

James Siegel

W ŻYWE OCZY

POWIEŚĆ



James Siegel

W ŻYWE OCZY

tłumaczenie
Małgorzata Kafel

WYDAWNICTWO OTWARTE
KRAKÓW 2007

Tytuł oryginału: *Deceit*

Copyright © 2006 by James Siegel

All rights reserved

This edition published by arrangement with

Hachette Book Group USA, Inc., New York, New York, USA.

All rights reserved

Copyright © for the translation by Małgorzata Kafel

Projekt okładki:

ART 3,14 Dariusz Suchocki

Fotografia autora na czwartej stronie okładki:

Joel Markman

Opieka redakcyjna:

Marta Dvorak

Opracowanie typograficzne książki:

Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie:

STUDIO NOTA BENE

ISBN 978-83-7515-016-2

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków.

Wydanie I, 2007.

Druk: Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków.

*Dla Joelle i Aleksy,
dwóch niezwykłych młodych kobiet,
które każdego dnia napawają mnie dumą*

Były sobie dwie wioski.

Jedna, w której zawsze mówiono prawdę.

I druga, w której zawsze kłamano.

Pewnego dnia jakiś podróżny stanął na rozstaju dróg. Wiedział, że jedna z nich prowadzi do wioski, w której zawsze mówi się prawdę. W tej wiosce mógłby liczyć na poczęstunek i dach nad głową. Druga droga wiodła do wioski, w której wszyscy kłamali. Tam mógłby zostać pobity, obrabowany albo nawet zamordowany. Na rozstaju stał człowiek, ale podróżny nie wiedział, z której pochodzi on wioski: tej, w której zawsze mówiono prawdę, czy z tej, w której mieszkali kłamcy.

- Możesz zadać mi jedno pytanie - powiedział człowiek. - Tylko jedno.

Podróżny zastanowił się, dokładnie przemyślał propozycję i w końcu zdecydował.

Wskazał na drogę, która prowadziła w lewo, i zapytał:

- Czy to jest droga do twojej wioski?

- Tak - odpowiedział człowiek.

Podróżny kiwnął głową, podziękował i mszył w tamtym kierunku.

Wiedział, że jeśli rozmawiał z człowiekiem z wioski, w której zawsze mówiono prawdę, to wskazana przez niego droga tam właśnie go zaprowadzi. A jeśli spytał o drogę kogoś z wioski kłamców, wtedy ów człowiek musiałby skłamać i również odpowiedziałby twierdząco.

Niezależnie od tego, czy napotkany człowiek był kłamcą, czy zawsze mówił prawdę, udzieliłby tej samej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 1

Piszę najszybciej, jak potrafię.

Galopuję przez terytorium wroga jak konny posłaniec przez prerię, ponieważ muszę dostarczyć pocztę.

Dostałem już za swoje. I chociaż widać, że jestem ranny, wciąż żyję.

Na razie.

Usilnie próbuję przypomnieć sobie wszystko, co może mieć znaczenie.

Czuję się trochę niepewnie, jeśli chodzi o chronologię, przyczynę i skutek, szczegóły.

Szczerze i dobrowolnie się do tego przyznaję. Właśnie. Mam nadzieję, że kiedy ci wszyscy redaktorzy spuszcza z łańcucha korektorów (a zrobią to na pewno) - ci nie skoczą mi do gardła.

Nie winię ich. Naprawdę.

Jestem przecież chłopcem, który wzywał pomocy, kiedy nie było wilka. Smarowałem swoim krzykiem pięciocentymetrowe nagłówki.

Mea culpa.

Mogę tylko powiedzieć, że to, o czym piszę w tym klaustrofobicznym pokoju w motelu, jest absolutną, nieubarwioną, stuprocentową prawdą.

Tak mi dopomóż Bóg. Słowo skauta. Niech padnę trupem, jeśli kłamię.

Zamień „niech” na „na pewno”.

To nie tylko moja ostatnia historia.

To moja ostatnia wola i testament.

Uważaj.

Jesteś moim katem.

Mała dygresja.

Kiedy piszę swoją ostatnią historię, mimo woli przychodzi mi na myśl pierwsza, którą w życiu napisałem.

Miałem wtedy dziewięć lat.

Padał śnieg. I nie było to wątłe próśnienie, które zwykle uchodzi za śnieg w nowojorskim Queens. Sypało, jak gdyby komuś na górze odpadło wieczko od solniczki. Wiatr zmiatał sople z naszych uginających się rynien i ciskał nimi w ceglane ściany domu, o które rozpryskiwały się z dźwiękiem uderzanej kijem piłki baseballowej.

Szkoły zamknięto na cały tydzień.

„Mój brat Jimmy pośliznął się na lodzie i uderzył się w głowę - napisałem w zeszycie w linie. - Zawsze się przewraca i różne takie. Wszedł na drzwi i podbił sobie oko. W zeszłym tygodniu przewrócił się w wannie i oparzył się. Jest prawdziwym łajzą i moja mama ciągle mu powtarza, żeby patrzył pod nogi, ale on nie słucha. Ma tylko sześć lat”.

Przyniosłem historyjkę do kuchni, gdzie siedziała przy stole moja mama i podpierając głowę, wpatrywała się w pustą butelkę po johnnie walkerze.

- Przeczytaj - wybełkotała.

Kiedy skończyłem, powiedziała:

- Dobra. Zapamiętaj to. Będą tu za godzinę.

ROZDZIAŁ 2

Nie było ostrzeżeń o nadchodzącej burzy.

Żadne centrum kryzysowe nie ponaglało mnie, żebym zabił okna i opuścił miasto.

Patrząc wstecz, mogę posłużyć się banałem (przepraszam mojego pierwszego profesora dziennikarstwa, który nienawidził komunalów równie szczerze, jak wprowadzonej właśnie zasady niespoufalania się ze studentkami) i stwierdzić, że z wyjątkiem setnych urodzin Belindy Washington tego dnia nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nic niezwykłego to właściwie naturalny stan rzeczy w Littleton w Kalifornii - jakieś dwieście czterdzieści sześć kilometrów na wschód od Los Angeles.

Zamień „jakieś” na „dokładnie”.

Dwa lata temu zjeździłem je swoją ostatnią prawowitą własnością - srebrno-niebieską miatą zakupioną w czasach, kiedy miaty były odjazdowe. Miała być potwierdzeniem tezy, że sam wtedy taki byłem.

Teraz miata miała dwa wstydlive wgniecenia, a skrzynia biegów głośno jęczała przy każdym użyciu.

Tamtego ranka zostałem wezwany do biura Hinch. Okazało się, że mam zrobić relację z setnych urodzin Belindy Washington. Kawalek obyczajowy. Można spokojnie powiedzieć, że każdy artykuł w „Littleton Journal” był kawałkiem obyczajowym. Gazeta szła do druku tylko dwa, trzy razy w tygodniu zależnie od tego, ile małomiasteczkowych wydarzeń nastąpiło od ostatniego wydania. Jedyne poważne wiadomości, jakie trafiały na jej łamy, pochodziły z Associated Press i dotyczyły najczęściej takich miejsc jak Bagdad i Kabul. Czulo się wtedy zapach prochu, który wydzielają litery. Przyglądałem im się tęsknie, jak gdyby były nieprzyzwoitymi francuskimi pocztówkami z minionej epoki.

Z minionej epoki pochodziła Belinda Washington.

Świadczyły o tym jej wózek i prawie łysy czubek głowy. Kiedy wszedłem do świetlicy jedyne domy seniora w Littleton, miała na głowie idiotyczną papierową tiarę z liczbą sto. Ktoś miał naprawdę uroczy pomysł, ale chyba nie Belinda. Wyglądała raczej na skołowaną niż szczęśliwą. Czulem się w obowiązku zachować obiektywizm, więc powstrzymałem chęć strącenia tiary z jej głowy.

Były to czasy, kiedy ściśle przestrzegałem szlachetnych zasad swojego zawodu.

Przedstawiłem się dyrektorowi domu opieki panu Birdwellowi, który uwieczniał doniosły jubileusz za pomocą aparatu cyfrowego. Dobrze. Nie będę musiał pstrykać zdjęć. W „Littleton Journal” byliśmy wielozadaniowi.

Przykucnąłem przed Belindą i przedstawiłem się, mówiąc trochę głośniejszym głosem niż zwykle.

- Dzień dobry, pani Washington, Tom Valle z „Littleton Journal”.

- I po co pan tak krzyczy? - spytała Belinda, krzywiąc się. Najwyraźniej darzyła protekcyjnych reporterów podobnym uczuciem jak papierowe tiary. - Zdejmij to coś z mojej głowy - dodała.

- Chętnie. - Wstałem i pozbyłem się tiary, podając ją jednemu z pielęgniarzy, którzy sprawiali wrażenie niezadowolonych, że przeszkodziłem im w zabawie.

- Dużo lepiej - powiedziała Belinda.

- Pewnie - odpowiedziałem. - Wszystkiego najlepszego, pani Washington. Jak to jest, mieć sto lat?

- A jak się panu wydaje?

- Nie wiem.

- Dużo zabawniej jest mieć osiemnaście.

- To było... kiedy? W tysiąc dziewięćset dwudziestym?

- Dwudziestym drugim.

- Racja. Byłem kiepski z matmy.

- Ja byłam całkiem dobra.

Myślałem, że będę przeprowadzał wywiad ze śliniacą się zjawą, a tymczasem śliniłem się tylko ja. Jedna z uczestniczek przyjęcia była dość atrakcyjna. Trzydziestoparoletnia, kasztanowowłosa kobieta ubrana w obcisłe bezszwowe rybaczkki koloru limonki balansowała na ośmiocentymetrowych obcasach. A zdarzały się chwile, kiedy myślałem, że czasy ślinienia mam już bezpowrotnie za sobą. Nie z powodu wieku (dobiegałem czterdziestki), ale po prostu dlatego że wszystko miałem już za sobą - wszystko, co dobre, a więc i kobiety.

Belinda uniosła kościstą dłoń.

- Tęsknię za tyloma rzeczami.

Przez chwilę myślałem, że ma na myśli powszechną zmołę podeszłego wieku - to, że pewne rzeczy zaczynają człowiekowi umykać: rozmowy, nazwiska, daty.

Ale nie. Chodziło jej o inną zmołę podeszłego wieku.

- Ludzie odchodzą - powiedziała. I uśmiechnęła się trochę ze smutkiem, a trochę dlatego, że chyba ze mną flirtowała.

A ja z nią. Obiektywizm swoją drogą, ale chyba ją polubiłem.

Belinda była czarna, co w Littleton było niespotykane - Latynosi owszem, ale czarnych nie było ani śladu. Ciemnoczarna

jak heban. Błyskały tylko białka jej oczu i dłonie - różowe jak kocie łapy.

Skinęła na mnie artretyczną ręką.

Zastanawiałem się, czym zasłużyłem sobie na ten szczególny przywilej? Pewnie nikt z nią już nie rozmawia, pomyślałem. Mówią jej tylko, żeby zażyła leki, zgasiła światło albo założyła głupią czapkę.

- Ludzie odchodzą - powtórzyła - poza jednym. On wrócił.

- Wrócił?

- No pewnie. Powiedział „hej”.

- Kto?

- Hę? Mój syn.

- Pani syn? Naprawdę? A skąd wrócił?

- Hę? Mówiłam ci. Odszedł... dawno temu, ale wrócił, powiedzieć „hej”. Powiedział, że mi wybacz.

- No tak. Rozumiem. - Kusilo mnie, żeby spytać, co takiego zrobiła, co miał jej wybaczyć, ale właściwie po co? Wiek Belindy dawał o sobie znać. Kiedy wstawałem, jeden z pielęgniarzy wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: no i czego się właściwie spodziewałeś. Kobieta w rybaczkach, odwiedzająca najpewniej innego pensjonariusza, rzuciła mi niewyraźny uśmiech, który wydawał się łagodnie zachęcający.

- Wyglądał staro jak ja - powiedziała Belinda.

- Pani syn?

- Tak. Wyglądał na chorego.

Ledwo powstrzymałem się od głupkowatego komentarza w stylu wygłaszanych przeze mnie w dawnych czasach. Obracałem się wtedy wśród ludzi, którzy prawie zawsze wiedli cyniczne rozmowy. Było to dawno temu, jeszcze zanim zostałem najpopularniejszym bohaterem dowcipów w Ameryce. Prawie powiedziałem: skoro nie żyje, to chorobę można chyba uznać za poprawę.

Ale ugryzłem się w język.

Zamiast tego oznajmiłem:

- To niedobrze.

Belinda roześmiała się cichym, pełnym zrozumienia śmiechem, który wprowadził mnie w zakłopotanie. I nie tylko. Poczulem się nieswojo.

- Nie nabijam się z ciebie - powiedziała Belinda. - I nie jestem stuknięta.

- Nie powiedziałem, że jest pani stuknięta, pani Washington.

- Nieee. Bo jesteś miły.

Zmieniłem temat. Spytałem, jak długo tutaj mieszka. Gdzie się urodziła. Co jest sekretem jej długowieczności. Wszystkie te nieszkodliwe pytania, których człowiek uczy się na lekcjach dziennikarstwa w szkole średniej. Unikałem pytania o jej rodzinę, skoro nikt z jej bliskich (z ewentualnym wyjątkiem niezującego syna) nie zadał sobie trudu, by się pojawić.

Po jakimś czasie poczułem zapach, który unosił się w pokoju - była to woń leków, stęchlizny albo butwiejących w piwnicy dokumentów. Nie dało się nie zauważyć brzydkich plam na linoleum i czerniakowatych znamion wypalonych papierosem na krzywym stoliku do gry w karty. Pani Washington miała na sobie sukienkę w grochy, którą czuć było trochę kamforą, ale pozostali paradowali w poplamionych żółtkiem szlafrokach i wyblakłych podkoszulkach. Jakiś mężczyzna był w jednej skarpetce.

Chciałem już stamtąd iść.

Pan Birdwell pstryknął Belindzie fotkę w otoczeniu połyskujących wózków i przechodzących ludzi. Wsunąłem rękę w ten tłumek, żeby się pożegnać.

- Jeszcze raz - powiedział pan Birdwell. - I tym razem chcę zobaczyć uśmiech na twarzy naszej solenizantki.

Solenizantka zignorowała go - najwyraźniej nie była w nastroju. Zamiast tego chwyciła moją dłoń i mocno ją uściśniła.

- Taak, miły z pana gość - powiedziała.

Jej ręka była lodowato zimna.

ROZDZIAŁ 3

„Mieliśmy dziś straszny wypadek za miastem”.

Tak powiedziała sekretarka Hinch. Wróc. Jego asystentka. Polityczna poprawność wtargnęła dwieście czterdzieści sześć kilometrów w głąb kalifornijskiej pustyni. Stewardesy zmieniły się w personel pokładowy, sekretarki w asystentki, a wojska okupacyjne na Bliskim Wschodzie - w obrońców wolności.

To mogło mieć jakiś związek z mijającą właśnie drugą rocznicą mojego przyjazdu do Littleton, w każdym razie kiedy Norma powiedziała „my” - ja też pomyślałem „my”. Tom Valle, niegdyś zamieszkujący Soho, Noho czy inne określane modnymi skrótami dzielnice Nowego Jorku, oficjalnie został prawdziwym littletończykiem.

- Jaki wypadek? - spytałem.

- Miażga na czterdzieście piątce - odpowiedziała. - Boże uchwaj, kula ognia!

Jak na osobę regularnie uczęszczającą do kościoła Norma miała dziwne upodobanie do wzywania imienia Pana Boga

nadaremno. Wszystko było skaraniem boskim, dopustem bożym, niech Bóg broni, Boże dopomóż albo Bóg jeden wie.

- Och, Boże - powiedziała. - Można tylko zgadywać, ile osób było w tym samochodzie.

Wiadomość przekazał szeryf, domyślając się, że Hinch będzie zainteresowany odpowiednio tragicznym wypadkiem samochodowym - krew to temat. Hinch właśnie poszedł na lunch. Druga reporterka Mary-Beth była nieobecna w związku z zaawansowaną ciążą i przychodziła do pracy tylko wtedy, gdy nie mogła już patrzeć, jak jej bezrobotny mąż opróżnia kolejne butelki piwa. W przeciwnym razie nie pojawiała się. Był jeszcze praktykant z Pepperdine University, ale gdzieś zniknął.

- Może powinienem tam pojechać.

Norma, która w końcu nie była redaktorem naczelnym, tylko jego asystentką, wzruszyła ramionami. Tym razem zabrałem aparat.

Nie lubiłem wypadków. Niektórzy lubią.

Podnieca ich zapach krwi, aura śmierci, a może po prostu ulga, że to przytrafiło się komuś innemu.

Rzecz w tym, że ja czułem się jak ten ktoś inny.

Jak pechowa ofiara wypadku samochodowego. Myśl, że to ja prowadziłem, że spokojnie trzymając kierownicę, zjechałem prosto w przepaść, w żaden sposób nie zmniejszyła nieprzyjemnego współczucia, które budził we mnie widok rozbitego samochodu.

Norma miała rację z tą kulą ognia.

Samochód jeszcze się tlił. Wyglądał jak kawałek węgla drzewnego, który wypadł z ogrodowego grilla.

Na poboczu dwupasmówki stały wóz strażacki, radiowóz i ambulans. Rzucił się w oczy jeszcze jeden samochód, ciemnozielony sable. Miał kompletnie zgnieciony przód. Mężczyzna, który - jak się domyśliłem - był kierowcą, stał oparty o drzwi, z twarzą w dłoniach. Wszyscy jakby na coś czekali.

Zawołał mnie szeryf Swenson.

- Hej, Lucas - powiedział.

Już wyjaśniam.

Chodzi o Lucasa McCaina - postać, w którą Chuck Connors wcielił się w *Człowieku z karabinem*. Po *Człowieku z karabinem* Chuck zaczął serial *Napiętnowany*, w którym grał żołnierza Północy podejrzanego o dezercję z pola bitwy pod Bull Run i w związku z tym na zawsze uznanego za tchórze. Włóczył się od miasta do miasta, gdzie pomimo bezinteresownych aktów heroizmu ktoś zawsze odkrywał jego prawdziwą tożsamość. A mogłoby się wydawać, że na Dzikim Zachodzie nie było to takie łatwe.

W każdym razie nie tak łatwe jak na dzisiejszym Zachodzie.

Szeryf Swenson mnie przejrzał.

A ponieważ nie mógł sobie przypomnieć, jak miał na imię bohater *Napiętnowanego*, postanowił nazywać mnie Luca-sem*.

* Bohaterem *Napiętnowanego* był James McCord (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Lepsze to niż „kłamca”.

- Witam, szeryfie.

Szeryf Swenson nie wyglądał na małomiasteczkowego szeryfa. Może dlatego, że zanim zbiegł na emeryturę do Littleton, przez dwadzieścia lat pracował w policji w Los Angeles. Wciąż jeszcze miał dobrze tam widzianą kwadratową szczękę, włosy obcięte na jeża i posturę regularnego bywalca siłowni. Wzbudzał respekt, który musiał sprawiać, że niejeden przestępca wyśpiewał wszystko, zanim Swenson sięgnął po paralizator.

Dzisiaj wydawał się jakiś nieobecny.

Może zahipnotyzowały go tańczące płomienie. Miał minę kogoś, kto zbyt długo wpatrywał się w kominek.

Poza płonącym samochodem było coś jeszcze, o czym warto wspomnieć. Coś, czego istnienia nikt przez grzeczność nie przyjmował do wiadomości, tak jak nie przyjmuje się do wiadomości

istnienia bezdomnego krewnego, który jakimś sposobem dostał się na rodzinny zjazd.

Każdy, kto miał kiedyś okazję czuć swąd spalonych zwłok, wie, że to zapach, który kojarzy się z mieszaniną miodu, smoły i pieczonych ziemniaków - jeden z najgorszych zapachów na świecie.

- Ilu było w środku? - spytałem szeryfa.

- A, wymyśl coś - powiedział po chwili. Podejrzewam, że powiedział to pół żartem, pół serio. Tak samo było z moim przewiskiem.

- Dobra. A gdybym chciał być rzetelny?

Obejrzałem się na drugiego kierowcę ciągle ukrywającego twarz w dłoniach, jak gdyby nie chciał otwierać oczu. Kiedy mechanik skomentował później żalony stan jego samochodu, odpowiedział: „trzeba było widzieć tego drugiego”.

- Jak to się stało?

- Chodzi ci o to, jak doszło do wypadku? - spytał szeryf.

- Tak.

- Szybko.

- Jasne. Ale kto uderzył w kogo?

- Ten jechał na południe - zaczął szeryf, wskazując na człowieka kryjącego twarz w dłoniach - a tamten na północ. - Pokazał na dymiący wrak. - Pojazd jadący na północ zniósł na lewy pas. Tak w każdym razie to wyglądało w relacji jedyne go świadka.

- Którego?

- Jedyne go, który przeżył.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Nie wiem. Możesz?

- Byłoby miło.

- No to miłej zabawy.

Podszedłem do pogniecionego sable'a. Facet podniósł głowę. Miał na twarzy ten cień - widuje się go na twarzach ludzi, którzy właśnie uniknęli śmierci. W jego oczach można było dostrzec przerażającą świadomość idiotycznej kruchości

ludzkiego życia. Poruszał się jak na zwolnionym filmie, który ktoś co chwilę przerywa. Jakby jego ciało było zrobione z drogiej, kruchej porcelany.

- Dzień dobry. Tom Valle z „Littleton Journal”. Czy mógłbym z panem chwilę porozmawiać?

- He?

- Jestem z gazety. Chciałem tylko zadać panu kilka pytań.

- Z gazety?

- Tak jest.

- Chyba nie mam ochoty rozmawiać. Jestem... wie pan...

Tak, wiedziałem. Ale były też inne zasady mojego zawodu, może niezupełnie szlachetne. Na przykład ta, która mówi, że musisz zdobyć temat. Nawet jeśli jest nim jedna z tych osobistych tragedii, które składają się na większość wiadomości w dzisiejszych czasach. Wiadomo, o czym mówię: zamordowane żony, zaginione dzieci, zakładnicy, którym odcięto głowy - jest tego sporo wokół nas.

To proste. Nawet jeżeli ktoś nie ma ochoty rozmawiać, ty musisz mieć ochotę pytać.

- Rozumiem, że zniósł go na lewy pas - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- A potem... mmm, jak pan się nazywa? Proszę powoli, żeby nie przekreślił.

- Crannell. Ed Crannell, przez dwa „l”.

Zanotowałem pilnie. Zawsze rezygnowałem z dyktafonu na rzecz notatek, które wydają się bardziej namacalne. Być może żywiłem instynktowny wstręt do niezmienności zapisu na taśmie - nawet na samym początku, jeszcze zanim zacząłem koloryzować.

- Mówił pan, że skąd pan jest, panie Crannell? - Stara sztuczka: tak sformułować pytanie, jak gdyby odpowiedź na nie padła już wcześniej.

- Z Cleveland - odpowiedział.

- Tego z Ohio?

Pokiwał głową.

- Daleko stąd.
- Jestem przedstawicielem handlowym. Branża farmaceutyczna.

- Samochód pewnie z wypożyczalni?

Skrzywił się, jakby dopiero teraz to do niego dotarło. Może zaryzykował i zrezygnował z pełnego ubezpieczenia.

- Więc wjechał na pana, zjechał na pana pas, zgadza się? - Na tym odcinku drogi numer czterdzieści pięć nie było ani jednego zakrętu. Tylko monotonna, jak rysowana od linijki, prosta.

Crannell pokiwał głową.

- W ostatniej chwili nacisnąłem klakson. On zaczął hamować... chyba nie zdążył zjechać... - Błądził wzrokiem po szeroko pojętych okolicach swoich zakurzonych butów i powoli kręcił głową. - Jezu...

- Zbadali pana, panie Crannell? Nic panu nie jest?

Pokiwał głową.

- Miałem zapięte pasy. Powiedzieli, że miałem szczęście.

- No tak.

Swenson węszył wokół wraku. Dorodne płatki sadzy wirowały w powietrzu jak mole. Ogień prawie się wypalił - chyba strażacy spryskali auto pianą gaśniczą.

- Jakiś pomysł, dlaczego go zniosło? Dlaczego zjechał na lewy pas? Może zasnął?

Crannell przez chwilę wyglądał, jak gdyby się nad tym zastanawiał, w końcu pokręcił głową.

- Chyba nie. Naprawdę nie wiem.

- No dobrze. Dziękuję panu.

Odszedłem kawalek dalej i pstryknąłem kilka zdjęć. Czarny samochód, purpurowe niebo, szeryf w białej koszuli, zielone kaktusy. Gdyby „Littleton Journal” ukazywał się w kolorze, to naprawdę byłoby coś.

Z drugiej strony czarno-białe zdjęcie było chyba bardziej odpowiednie. Kiedy następnego dnia zobaczyłem je na pierwszej stronie, doszedłem do wniosku, że oddaje odwieczny kontrast między życiem i śmiercią.

ROZDZIAŁ 4

Zacząłem grać w kręgle w lidze.

To był właściwie przypadek. Miejscowa kręgielnia nazywała się Niech Mnie Kule Biją i była własnością byłego boksera wagi średniej zwanego BJ, który uważał, że nazwa jest zabawna. Była to zarazem najlepsza knajpa w miasteczku.

Nie chodzi o to, że miała ładny wystrój, ciekawe przekąski w menu albo że bywały tam niezłe babki, bo była raczej kiepsko oświetlona i wymagała dezynfekcji. Unosił się w niej zapach używanych butów do kręgli.

Przyjechałem do Littleton jako uciekinier. Nie szukałem towarzystwa, wręcz przeciwnie: świadomie go unikałem.

Przez jakiś czas całkiem niezłe mi się to udawało w Niech Mnie Kule Biją.

BJ był zarazem barmanem i wbrew ogólnemu wyobrażeniu o małomiasteczkowych barmanach nie wydawał się wścibski. Poza pytaniem o zamówienie i podsumowaniem rachunku - trzy margarity bez soli, razem czternaście dziewięćdziesiąt pięć - trzeba było kilku moich wizyt, żeby wypowiedział zbędne słowo.

To słowo - a raczej dwa słowa - wypowiedział mniej więcej w moim kierunku po tym, jak Steve Finley, środkowy Arizony, złapał piłkę, dając mały pokaz ekwilibrystyki.

- Niezłe zagranie!

Brak kontaktów towarzyskich bardzo mi odpowiadał. Upijałem się samotnością jak tequila - małymi gorzkimi łyżkami.

Po jakimś czasie jednak towarzystwo samo mnie znalazło.

Sam Weitz, jeden z dwóch agentów ubezpieczeniowych w miasteczku, przeszczepiony z Nowej Anglii razem ze swoją monstrualnie grubą żoną cierpiącą na cukrzycę typu 2, zaczął pić mniej więcej o tej samej porze co ja. Najczęściej późnym wieczorem, kiedy większość ludzi wracała do domów, do swoich rodzin.

Ale nie my.

Sam, w przeciwieństwie do BJ-a, był ciekawski. Może ludzie, którzy pracują w ubezpieczeniach, zadają dużo osobistych pytań z przyzwyczajenia. Zaczynał rozmowę i ciągnął ją uparcie nie zniechęcony tym, że odpowiadałem głównie monosylabami.

Od słowa do słowa.

Skoro już piliśmy w kręgielni, któregoś wieczoru zaproponował, żebyśmy zagrali w kręgle.

Byłem po trzeciej margaricie i powoli osiągałem błogostan, który nazywam purpurową mgłą na cześć Hendriksa, jednego z moich muzycznych idoli. Bo czyż odpowiednia ilość alkoholu nie sprawia, że można całować niebo?

Widocznie wybelkotałem „dobra”.

Zdobyłem żalosne sto dwadzieścia punktów - robiąc porządny użytek z obu rynien zerowych. O dziwo, turlanie ciężkiej kuli i przewracanie kręgli - choćby kilku - sprawiło mi przyjemność. Widziałem jakąś życiową metaforę w tym, jak porzucane kręgle tak po prostu prowokująco wstają. Była to lekcja odwagi i wytrwałości, która wydawała mi się bardzo kształcąca.

W końcu dołączył do nas Seth Bishop, tutejszy zdeklarowany rozrabiaka - przynajmniej w czasach szkoły średniej, kiedy nikt mu dobrze nie wróżył. Prognoza okazała się dość trafna, ponieważ obecnie żył z zasilku, do którego dorabiał, kładąc okazjonalnie suche tynki. Naszą czwórkę uzupełniał Marv Riskin, właściciel serwisu samochodowego Exxona.

Po jakimś czasie zapisaliśmy się do ligi - czwartki o ósmej wieczorem.

Któregoś razu pojawił się szeryf Swenson. Zauważył, że zdobywam punkty, i poradził prezesowi, żeby skontrolował zapisy.

Kiedy Seth zapytał, o co mu chodzi, odpowiedziałem, że w poprzedniej gazecie miałem pewne problemy natury etycznej.

- Przeleciałeś sekretarkę? - spytał z nadzieją w głosie.

- Coś w tym stylu.

Tego wieczoru graliśmy w składzie: samotny kręgarz z Littleton, jeden z dwóch miejscowych dentystów, lekarz i księgowy.

Jeszcze tylko indiański wódz i mielibyśmy kompletną ekipę z piosenki Betty Hutton.

Pod koniec drugiego budweisera doktor zaczął opowiadać o zwłokach z samochodu.

Przywieziono mu ofiarę wypadku i poproszono o wystawienie karty zgonu. W Littleton nie było koronera, jego obowiązki pełnił więc miejscowy lekarz.

- Porządnie się zwęglili - powiedział doktor. - Nie widuję zbyt wielu ofiar poparzeń. Nie takich.

- Dzięki za podzielenie się wrażeniami, doktorku - skrzywił się Seth.

- Niektóre organy były nietknięte - kontynuował doktor, niezniechęcony. - Nieciekawy widok.

- Czy mógłbyś zmienić temat, do kurwy nędzy? - zdenerwował się Seth. - Nie trafiają ci się ładne osiemnastolatki po przedawkowaniu?

Doktor chyba nie załapał dowcipu. Kiedy zaczął szczegółowo opisywać, jak wygląda spalona wątroba (można było wywnioskować, że przypomina czterodniowy pasztet), Seth nachylił się i powiedział:

- Czy mogę o coś spytać, doktoru? Czy to prawda, co mówią o lekarzach? Że po jakimś czasie stajecie się... jak to się mówi... odporni na gołą cipkę?

Sam, który przymierzał się do rzutu, przystanął, żeby posłuchać odpowiedzi. Wyglądał, jak gdyby był całkowicie skoncentrowany na wyimaginowanych zewnętrznych narządach płciowych obnażonych lubieżnie ku ucieście doktora. W domu miał ważącą blisko sto trzydzieści kilogramów żonę objadającą się ciastkami z kremem.

- To pytanie ignoranta - odpowiedział doktor.

Seth nie należał do ludzi, którzy obrażają się za nazwanie ich ignorantami.

- Uznam to za „nie” - powiedział.

- Zidentyfikowali go już? - spytałem doktora. Pieściłem w dłoniach butelkę jasnego coorsa, zorientowawszy się już, że picie tequili i wprawianie kuli do kręgli w ruch prostoliniowy środkiem toru to czynności, które wzajemnie się wykluczają. Nagłówek mojego artykułu brzmiał: *Niezidentyfikowany mężczyzna ginie w wypadku samochodowym.*

Doktor powiedział:

- Tak. Znaleźli jego prawo jazdy.

- Nie spaliło się?

- Miał w portfelu jakieś metalowe karty, które zadziałały jak izolacja. Udało się odczytać nazwisko.

- Kto to był?

- Nie wiem, jakiś Dennis. Biały, 36 lat, z Iowa.

- Iowa? To zabawne.

Doktor spojrzał na mnie z ukosa.

- Co w tym zabawnego? To nazwa stanu.

- Tak, stanu. Zastanowiły mnie tylko dziwne koleje ludzkiego losu. Facet z Iowa zderza się czołowo z przedstawicielem handlowym z Cleveland na szosie w Kalifornii. Nie sądzisz, że to zabawne?

- Właściwie nie.

Sam wyturlał siódemkę i teraz nerwowo przymierzał się do trudnego rozstawienia dwa-jeden z przerwą pośrodku. Wziął głęboki oddech, podbiegł w stronę celu, kołysząc biodrami, i posłał kulę prosto w środek, niczego nie trafiając.

- A jednak jest w tym coś zabawnego - powiedział doktor.

- Poza jego rzutem? - Skrupulatnie odnotowałem punkty Sama. Przelewki się skończyły, mieliśmy dwadzieścia punktów w plecy, a zostało tylko pięć partii do rozegrania.

- Był wykastrowany.

- Że co? Kto?

- Denat.

- Chcesz powiedzieć, że w wypadku...

Doktor podniósł butelkę i pociągnął długi łyk budweisera.

- Nie - powiedział. Zsunął się ze stołka (a ponieważ miał kilkanaście kilogramów nadwagi, przyszło mu to nie bez trudu) i zaczął przetrząsać stojak w poszukiwaniu swojej kuli.

- Co masz na myśli? - Musiałem podnieść głos, żeby przekrzyczeć panujący w kręgielni zgiełk, ale i tak było to jak rozmowa podczas burzy z piorunami.

Doktor podniósł palec: chwileczkę.

Trafił dziesiątkę i odtańczył zwycięski taniec, który przypominał spastyczny krok Freddiego wylansowany w latach sześćdziesiątych przez grupę Freddie & the Dreamers. Widziałem to kiedyś w starym teledysku z programu „Amerykańska estrada”. Kiedy już usadowił się z powrotem i skrupulatnie odnotował X w tabeli wyników, powiedział:

- Mam na myśli to, że został wykastrowany.

- Kiedy?

- Skąd mogę wiedzieć? Jakiś czas temu. Chirurgicznie.

Seth musiał nas podsłuchać.

- Nie miał jaj? - zapytał.

Doktor pokręcił głową.

- Powiedz to głośniej. Ludzie na drugim końcu sali cię nie słyszeli.

- Nie miał jaj?!- wrzasnął Seth. - To powinno wystarczyć.

- Masz problem, synku - powiedział doktor.

- Nie masz o tym pojęcia, ojczulku.

Usiłowałem zliczyć, które piwo opróżniał Seth - wydawało mi się, że siódme. Do tego kilka skrętów: na parkingu wypalił panamę red.

- Dlaczego ktoś mógłby być wykastrowany? - spytałem doktora.

- Dobre pytanie.

- Czy usuwa się jądra z powodów natury medycznej?

- Raczej nie. Może w przypadku raka. Ale rak obydwu jąder to zupełnie niespotykane. Niemożliwe.

- Biedak.

- Też tak uważam. Przy okazji, to jest poufne, rozumiemy się? Nie pisz o tym przypadkiem w gazecie.

- Myślę, że w kręgielni wszyscy zapoznali się już z tą informacją.

Doktor zaczerwienił się.

- Ten mój długi język.

Albo Setha.

Tamtej nocy śniło mi się, że miałem dziewięć lat. Uciekałem pustą drogą przed facetem, który chciał ukraść moją kolekcję szklanych kulek.

Prosta symbolika tego snu nie uszła mojej uwadze.

ROZDZIAŁ 5

„Przerywamy program, aby nadać następującą wiadomość...”

Mój motelowy telewizor odbiera tylko trzy kanały.

Nie ma tam nic, co miałbym ochotę oglądać, ale zostawiam odbiornik na chodzie, żeby dotrzymywał mi towarzystwa i chronił przed obezwładniającym strachem. Jak lampka włączona na noc w dziecinnym pokoju.

Kilka minut temu ktoś zapukał do drzwi. Myślałem, że to oni.

Mam jeszcze dwóch innych przyjaciół, o których warto wspomnieć. Nazywają się Smith i Wesson.

Przyjaźnimy się wprawdzie krótko, ale słyszałem, że można na nich liczyć w potrzebie.

Celuję w drzwi pokoju. Bierzcie ich.

To tylko pokojówka.

Luiza - tak chyba ma na imię - oczywiście pracuje nielegalnie. To mnie martwi. Takich ludzi mogą szantażować, mogą ją przekonać, żeby zrobiła, co zechcą.

Wiem, wiem.

Gadam jak obłąkany, to przechodzi ludzkie pojęcie.

Proszę o cierpliwość.

Trzeba na to spojrzeć z mojej perspektywy.

Złożyć w całość poszczególne elementy.

Zanim mój tato nas zostawił, każdej niedzieli zabierał Jimmy'ego i mnie na śniadanie do Acropolis Diner. Mieli tam papierowe podkładki pod talerze z zagadkami typu „ukryty rysunek”.

Ładna uśmiechnięta kelnerka dawała mi ogryzek ołówka i dopóki na stół nie wjechały naleśniki z jagodami i syrop klonowy, znęcałem się nad obrazkiem.

W tym rzecz.

Nigdy nie udawało mi się zgadnąć, co przedstawia rysunek, przed połączeniem wszystkich kropek. Czasem nawet pomimo umieszczonych nad nim wskazówek.

„Jaki czworonóg to głośne stwo-rzenie?”

„Jaki ssak ciągle puszcza fontanny?”

Koń? Wieloryb? Dziobak?

Po prostu go nie widziałem.

Byłem kiepski w łączeniu punktów. Nie zauważyłem na przykład tego, co łączyło mojego tatę z uśmiechniętą kelnerką, z którą, jak się okazało, regularnie sypiał. Zostawił dla niej rodzinę, zanim skończyłem dziewięć lat.

Teraz łatwiej przychodzi mi łączenie różnych rzeczy.

Ale nie wtedy. Nie na samym początku, zanim jeszcze wszystko stało się naprawdę dziwne.

W wypadku samochodowym zginął mężczyzna. Kobieta skończyła sto lat. Tego samego dnia.

Życie i śmierć.

Tak to już jest, prawda?

Następnego dnia włączyłem komputer.

Jest taka mało znana strona z danymi wszystkich notowanych przestępców seksualnych w Stanach Zjednoczonych - NSOPR.gov. Zacząłem od telefonu do szeryfa z pytaniem o nazwisko. Dennis Flaherty. Zamieszkały w Ketchum City w Iowa.

Strona jest odwiedzana głównie przez mamusie i tatusiów chcących sprawdzić, czy aby sąsiad, który ciągle się gapi na ich pięciolatka, nie parał się kiedyś pedofilią. W dzisiejszych czasach władze mają obowiązek ostrzegać sąsiadów, gdy w okolicy zamieszka notowany zbrodnic. Zdarza się jednak, że komuś wylatuje to z głowy.

W niektórych stanach przestępcy seksualni mogą uniknąć więzienia, jeśli dobrowolnie staną się mniej niebezpieczni. Ale jak to możliwe? Na pewno nie poprzez terapię. Nie w przypadku członków NAMBLA*.

NAMBLA (ang. *North American Man/Boy Love Association*) - organizacja w USA zrzeszająca zwolenników zalegalizowania stosunków seksualnych z nieletnimi.

Poprzez usunięcie jąder.

Tak jest. Recydywiści kończą jak nerwowi pałkarze w starciu z Rogerem Clemensem: strata piłek w dwóch uderzeniach. Spróbuj kogoś zgwałcić, mając chirurgicznie usunięte libido.

Żadnych rezultatów dla zapytania „Dennis Flaherty”.

Spróbowałem innej pisowni.

Ciągle nic.

Nie poddawałem się jeszcze przez chwilę. Znalazłem kilku Dennisów, ale żaden nie mieszkał w Iowa. Zrezygnowałem mniej więcej po półgodzinie.

Przerzuciłem się na internetową książkę telefoniczną Ketchum City.

Było trzech Flahertych.

Pierwszego nie było w domu.

Drugi powiedział, że nie ma tam żadnego Dennisa.

A potem wybrałem trzeci numer.

- Halo?

- Dzień dobry, mówi Tom Valle z „Littleton Journal”.

- Littleton co? - To była kobieta. Sądząc po zmęczonym życiem głosie raczej niemłoda.

- „Littleton Journal” - powtórzyłem, wspominając czasy, kiedy mogłem zaimponować rozmówcy czymś bardziej prestiżowym. - To taka gazeta. Dzwonię w sprawie Dennisa.

- Aaa. Bingo.

- Czy mogę zapytać, jakie pokrewieństwo państwa łączy?

- Pokrewieństwo? Jestem jego matką.

- Czy ktoś już o nim z panią rozmawiał?

- Tak.

- A więc wie pani o wypadku.

- Tak.

- Bardzo mi przykro.

To zadziwiające, ile razy wypowiadałem te słowa. Kierowałem je do matek, ojców, wujów, ciotek, dziadków, narzeczonych, żon - wystarczająco często, żeby brzmiały jak wytarty frazes.

- Dziękuję - odpowiedziała pani Flaherty.

- To musiał być dla pani szok.

Cisza.

- Tak.

- Czy Dennis z panią mieszkał, pani Flaherty?

- Nie. Straciłam z nim kontakt.

- Dawno?

- Co dawno?

- Jak długo go pani nie widziała?

- Nie wiem. Pięć lat.

- Ale rozmawiała pani z nim?

- Nie.

- Czym się zajmował?

- Zajmował? Dlaczego pan pyta? Zginął w wypadku. Tak mi powiedzieli. Jakie to ma znaczenie, czym się zajmował? Skończmy tę rozmowę.

Nie skończyła. Nie rozłączyła się - słychać było jej płytki, chrapliwy oddech. Palaczka, pomyślałem. Pewnie wdowa albo

rozwidziona. „Straciłam z nim kontakt”, powiedziała beznamiętnie z akcentem ze Środkowego Zachodu. Nie: straciliśmy. Wydawała się rozdrażniona rozmową z niespodziewanym natrętem, ale też chyba pochlebiało jej moje zainteresowanie. Może nie miała ochoty odpowiadać na pytania, ale nie mogła się zmobilizować do odłożenia słuchawki. Jeszcze nie.

- Czy Dennis miał jakieś kłopoty z prawem, pani Flaherty?

- Co?

- Czy był kiedyś aresztowany?

- O czym pan mówi?

O kastracji pani syna.

- Chciałbym wiedzieć, czy kiedykolwiek zrobił coś, czego nie powinien był zrobić? Z powodu problemów natury, dajmy na to, seksualnej?

- Co to ma być? O co pan mnie pyta? Mój syn był dobrym człowiekiem. To ona była przyczyną wszystkich jego problemów.

- Ona?

- Jego żona. - Słowo „żona” wypowiedziała w taki sposób, że brzmiało jak najgorsze wyzwisko świata.

- Co to były za problemy?

- Depresja. Alkohol. Niech pan spróbuje żyć z dziwką.

- A więc mieli problemy małżeńskie?

- Miał ją każdy mężczyzna, który na nią spojrział. Była śmieciem. Nie wiem nawet, czy mój wnuk...

- Czy wciąż byli małżeństwem?

- Nie.

- Kiedy się rozwiedli?

- Mówiłam panu. Jakies pięć lat temu.

Nie mówiła mi. Powiedziała, że mniej więcej wtedy straciła kontakt z synem.

- Więc zaczął pić.

- Rozłączam się. Nie będę tu siedziała i mówiła źle o zmarłym.

Właściwie nie o zmarłym, tylko o byłej żonie zmarłego.

- Jeszcze jedno... czy Dennis miał raka?

Tym razem spełniła groźbę.

- Nie - odpowiedziała i rozłączyła się.

Na tym mogło się skończyć.

Dokładnie w tym momencie.

Co właściwie miałem?

Nic.

Ciekawą obserwację lekarza dokonującego oględzin - to wszystko.

Mężczyzna bez jąder ginie w wypadku.

Oczywiście wzbudziło to moje zainteresowanie, ale o to nie było wtedy trudno. Relacjonowałem przyjęcia urodzinowe, objazdowe zawody rodeo, otwarcia komisów samochodowych - żyłem z jałmużny, cicho odbywając swoją pokutę.

I na tym mogło się skończyć.

Gdyby nie dwie rzeczy.

Mieszkałem w wynajętym domu.

Kiedy wróciłem z pracy, zastałem tam hydraulika majstrującego przy piecu do ogrzewania wody.

Walił w piwnicy jakimś narzędziem.

A ja nie wzywałem hydraulika.

Kiedy poinformowałem go o tym, powiedział: „aha, widocznie właściciel wzywał”.

Nie zgłaszałem właścicielowi żadnych usterek.

Miałem ciepłą wodę. Piec działał.

„Aha - powiedział - rutynowa konserwacja”.

Cały czas się uśmiechał. Jakbyśmy byli na przyjęciu i oddawali się rozmowie o niczym.

Przez to poczułem się nieswojo. W dodatku nagle zdałem sobie sprawę, że jesteśmy sami w piwnicy. Piwnica to ciemne podziemne miejsce, do którego schodzi się na własne ryzyko

- każdy dzieciak to wie. Poza tym były jeszcze dwie rzeczy. Na przykład rysy jego twarzy - dziwnie niewyraźne, jak gdyby nie wykształciły się do końca. I ten głos - wysoki i piskliwy, jak gdyby przed chwilą nawdychał się helu. Wszystko to przyprawiało o gęsią skórkę.

- Czy mogę spytać, z jakiej pan jest firmy?

Nie dało się zignorować jego reakcji, przymknąć oczu na chwilę wahania, która wtedy nastąpiła. Chociaż naprawdę próbowałem.

Są pytania, które zawsze wywołują chwilę ciszy.

„Czy mnie kochasz?”

„Gdzie byłeś wczoraj wieczorem, kochanie?”

„Czy zmyśliłeś tę historię?”

Tak, tamto również.

„Z jakiej pan jest firmy?”, nie jest jednym z takich pytań.

Zdaje się, że zrobiłem coś w rodzaju uniku - cofnąłem się w sposób, w jaki człowiek się cofa, próbując zwiększyć dystans bez poruszania się. Na przykład na widok bezpańskiego psa podejrzanego o złe zamiary.

Nie wolno okazywać strachu - o tym też wie każde dziecko.

Zrozumiałem jego intencje, a on moje.

Poczułem tę metalową rzecz, którą trzymał, zanim zdążyłem ją zobaczyć.

ROZDZIAŁ 6

Musiła mi się odbić od czoła.

W każdym razie do takiego wniosku doszedłem później.

Udało mi się wystarczająco odwrócić głowę, aby uniknąć śmiertelnego uderzenia. Wtedy nic mnie właściwie nie zabolalo - zakończenia nerwowe miałem znieczulone naturalną nowokainą strachu.

Myślę, że dotknąłem czoła, by upewnić się, że coś rzeczywiście mnie uderzyło - tak podejrzewam, ponieważ następny cios trafił moje przedramię i osunąłem się na ziemię.

Wylądowałem na jakiejś puszystej chmurze. Był to biały włochaty relikwiarz lat sześćdziesiątych, który pieczołowicie zwinąłem i zniosłem na dół zaraz po tym, jak się wprowadziłem - to wspomnienie właśnie tłukło mi się po głowie, którą ktoś próbował roztrzaskać.

Wyszeptał coś tym swoim upiornym falsetem i zaatakował mnie.

Zasłoniłem się instynktownie, oczekując mniej więcej dziewięćdziesięciu kilogramów lądujących awaryjnie na mojej

osobie. Kiedy nic nie poczułem, podniosłem głowę, żeby się rozejrzeć.

Stał bez ruchu, gapiąc się na mnie z góry.

Nachylił się, poklepał mnie po ramieniu, a potem uśmiechnął się i wyszedł schodami na górę.

Leżałem tam, aż usłyszałem trzaśnięcie siatkowych drzwi.

Gonisz!

To właśnie do mnie powiedział.

Frank Futillo, lekarz medycyny, mój przeciwnik w grze w kręgle z poprzedniego wieczoru, orzekł, że raczej nic mi nie będzie.

- Kontuzja ręki, siniak na czole. To w zasadzie wszystko. Czym cię uderzył?

- Nie wiem. Czymś metalowym.

Siedziałem na tym woskowanym papierze, którego używa się do przykrywania kozetek w gabinetach lekarskich w całej Ameryce, i ze wszystkich sił starałem się nie wdychać zapachu amoniaku. Ten zapach zawsze kojarzył mi się z dziecięcymi upadkami. Tylko że to mój brat Jimmy zawsze się przewracał. Ja nigdy.

- No, w zasadzie powiedziałbym, że ci się upiekło - stwierdził doktor Futillo.

- W porównaniu z przeciętną ofiarą napadu we własnej piwnicy?

- Rozmawiałeś o tym z szeryfem?

Taak, rozmawiałem o tym z szeryfem.

Kiedy szeryf Swenson słuchał mojej relacji, przypominał mi przeciętnego redaktora z nowojorskich czasów słuchającego moich coraz to dziwniejszych pomysłów na reportaż. Z mieszaniną zmęczenia, przygnębienia i niedowierzania. Stepowanie w Auschwitz - tak opisałem to potem sądowemu terapeutę. Tańczyłem w drodze do komory gazowej.

- No dobrze, Lucas - powiedział szeryf Swenson. - Chcesz trafić na pierwszą stronę?

W porządku. Spodziewałem się pewnej dozy sceptycyzmu. Ale w końcu siedziałem w komisariacie z fioletowym przedramieniem i ciemniejącym guzem po lewej stronie czoła.

- Chcę zgłosić przestępstwo. Czy nie to właśnie powinno się zrobić, kiedy zostało się napadniętym?

- Jasne. Chcesz rzucić okiem na listę napadów dokonanych przez niebezpiecznych hydraulików?

- Bardzo śmieszne. Naprawdę. Ale przyszło mi do głowy, że może on w rzeczywistości nie był hydraulikiem. Takie podejrzenie.

- Dobrze. Więc jak sądzisz, co on właściwie robił w twoim domu? Kradł miedziane kable?

- Nie wiem. Zapytałem, z jakiej jest firmy, a on mi przyładował. Nie zdążyliśmy przejść do celu jego wizyty.

- Niedobrze. Sęk w tym, Lucas...

- Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywał - powiedziałem.

- Tak? Chciałbym cię o coś spytać. Dlaczego Hinch cię zatrudnił?

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale kiedyś byłem dobrym reporterem.

- Aha. A myślałem, że to dlatego, że jest spokrewniony z twoją kuratorką. Mój błąd.

Zazwyczaj było mi to obojętne.

To część pokuty. Sądowny terapeuta doktor Payne - tak, to jego prawdziwe nazwisko - konsekwentnie wbijał mi to do głowy. Trzeba zaakceptować swoje moralne porażki. Oznacza to również pogodzenie się z tym, że ludzie nie dadzą ci o nich zapomnieć, że trzeba będzie nadstawić drugi policzek, mówiąc: no, dalej, przywal mi jeszcze raz.

Tylko że dzisiaj oberwałem już dwa razy i to od kogoś, kto z pewnością miał więcej na sumieniu niż ja. Już miałem oddać Swensonowi i stanąć do walki na słowa, kiedy mnie rozbroił.

- Miałem ci właśnie powiedzieć, Lucas... że mieliśmy ostatnio serię włamań. Sprawca nosi ze sobą torbę hydraulika na

wypadek, gdyby ktoś go nakrył albo gdyby sąsiad zobaczył, że wchodzi do domu. Chowa w niej rzeczy, które wynosi. Twoje zgłoszenie nie jest pierwsze. Po prostu się upewniałem, ze względu na twoją przeszłość, że jesteś ze mną szczery. Rozumiesz?

Jasne, że rozumiałem.

Powiedziałem doktorowi Futillo o kradzieżach.

- Podobno w okolicy kręci się włamywacz.

- Masz szczęście, że nie rozwalił ci głowy.

Zauważyłem, że jestem drugim facetem w ciągu dwóch dni, który słyszy, że miał szczęście, chociaż wcale tak nie uważa. Pierwszym był Ed Crannell.

- Czy ciało zostało już odesłane?

- Jakie ciało?

- Dennisa Flaherty'ego. Odesłali je już do jego matki w Iowa?

- Aaa, tak, jasne.

- Przeglądałem listę przestępców seksualnych w Internecie.

- He? - Doktor Futillo wyglądał jak ktoś, z kim podzielono się intymnym sekretem, chociaż wcale nie miał ochoty go poznać.

- Narodowy Publiczny Rejestr Przestępców Seksualnych, rodzaj pedofilskiej centrali. Pomyślałem sobie, że może kastracja naszego przyjaciela wynikała z orzeczenia sądu.

- I co, wynikała?

- Nie wiem. Nie było go w rejestrze.

- Zabawne - powiedział doktor Futillo.

Jak już wspomniałem, wydarzyły się dwie rzeczy.

Dwa różne wydarzenia, które postawiły mnie na nogi i zmobilizowały do działania, nie pozwalając przewrócić się na drugi bok i ponownie zapaść w sen. Czyli wrócić do tego, co w gruncie rzeczy robiłem w Littleton przez miniony rok i dwie trzecie bieżącego.

Pierwszym była napaść we własnej piwnicy.

A to było drugie.

- Co jest zabawne? - spytałem. - Jego kastracja?

- A tak, to też. Ale jest jeszcze coś innego. Gdybym nie wiedział, że było inaczej, pomyślałbym, że denat był czarny.

- Co? Zdawało mi się, że mówileś, że był biały.

- Tak, wiem. Tak wynikało z jego prawa jazdy.

- Więc?

- Jego kości udowe. Dłuższe i grubsze w stawach. Cecha charakterystyczna czarnoskórego.

- Jesteś tego pewien?

- Widziałem to w „Aktach zbrodni”.

- Co?

- Widziałem to w „Aktach zbrodni”. Na kanale kryminalnym. Nigdy nie oglądasz tego programu?

„Gdybym nie wiedział, że było inaczej, pomyślałbym, że denat był czarny”. Tylko że nie wiedział. Był małomiasteczkowym lekarzem bawiącym się w specjalistę medycyny sądowej, co oznacza, że jego kwalifikacje były tylko trochę wyższe niż małomiasteczkowego idioty.

- Rozmawiałem przez telefon z jego matką - powiedziałem. - Nie wydaje mi się, że jest czarna. Poza tym, o ile nie zgłupiałem, Flaherty to irlandzkie nazwisko.

- W porządku - odpowiedział doktor.

- W porządku?

- Umarli nie kłamią, przyjacielu.

- Nie zrozum mnie źle, ale właśnie powiedziałaś, że całe twoje doświadczenie w tej dziedzinie pochodzi z telewizji.

- Dobrze, nie wierz mi.

Zabawne. Jakbym słyszał siebie. Siedzącego w redakcji naprawdę prestiżowego dziennika - ludzie harują w pocie czoła, żeby mieć choćby cień szansy pracować dla jednej z takich gazet - i spokojnie, z pokerową twarzą mówiącego to do siedzącego naprzeciwko mnie zmęczonego redaktora.

Dobrze, nie wierz mi.

Przez chwilę działało.

ROZDZIAŁ 7

Miasteczko Littleton w Kalifornii słynie z dwóch rzeczy.

Urodził się w nim Sonny Rolph, aktor filmowy grywający w latach pięćdziesiątych drugoplanowe role.

Poza tym znane jest z katastrofy tamy Aurora. Wydarzenie to przeszło ciekawą metamorfozę w języku potocznym. Miejscowi mówią o nim po prostu Tamta Katastrofa.

Właściwie to nie Littleton zostało zalane, tylko położone trzydzieści siedem kilometrów dalej malutkie siostrzane miasteczko Littleton Flats, gdzie na początku lat pięćdziesiątych wzniesiono tamę na pobliskiej rzece Aurora znanej z rwącego nurtu i brzydkiego mulistego koloru. Tamę zbudował wykonawca, który być może - choć niekoniecznie - otrzymał zlecenie dzięki hojnej łapówce wręczonej władzom stanowym. Jedno jest pewne: tamę zbudowano niedbale, a w projekcie były poważne błędy. Stwierdziła to później niezależna komisja powołana przez rząd, by winą za nieszczęście obarczyć wypadek, który mógł się wydarzyć w każdej chwili.

I wydarzył się.

Po trzech dniach deszczu w kwietniu 1954 roku rzeka wezbrała i wypełniła zbiornik do niespotykanego wcześniej poziomu, powodując, że wadliwie skonstruowane betonowe ściany osunęły się gigantyczną kaskadą.

Littleton Flats leżało poniżej poziomu morza bezpośrednio na drodze płynącej wody. Przestało istnieć. Liczbę ofiar ustalono na osiemset dziewięćdziesiąt dwie, poprawiając ją z osmiuset dziewięćdziesięciu trzech po tym, jak w dole rzeki znaleziono żywą trzyletnią dziewczynkę.

Dowiedziałem się o tym, przeglądając mikrofilmy w „Littleton Journal” wkrótce po tym, jak Hinch mnie zatrudnił, ale zanim jeszcze dostałem coś konkretnego do roboty. To, że stare numery były wciąż na mikrofilmach, a nie na dyskach komputerowych, boleśnie mi uświadomiło, że nie gram już w pierwszej lidze.

Wiele osób w miasteczku znało kogoś, kto znał kogoś, kto zginął w Tamtej Katastrofie. Nic dziwnego, że był to dla nich bolesny temat, o czym przekonałem się później, próbując zainteresować Hinch artykułem retrospektywnym z okazji pięćdziesiątej rocznicy wydarzenia.

- Już tego próbowaliśmy - powiedział. - W każdym razie twój poprzednik próbował.

Mój poprzednik nazywał się John Wren. Wiedziałem o tym, ponieważ odziedziczyłem nie tylko jego biurko; wynajmował również przede mną ten sam dom. Najwyraźniej był kimś w rodzaju chomika: znalazłem w domu stare rachunki za telefon i kablówkę, zaadresowane do Johna Wrena koperty po przesyłkach z Amazon.com, poupychane w różnych miejscach kartki zabazgrane częściowo tylko czytelnymi notatkami diabli wiedzą na jaki temat. Natknąłem się też na coś, nad czym pracował: historię pechowego, zdezorientowanego weterana wojny wietnamskiej, który pewnego dnia zabłąkał się do Littleton i zasnął w miejskiej altanie. Tytuł brzmiał: *Kim jest Eddie Bronson?*

Wyglądało na to, że Wren pisał go z myślą o jakiejś lokalnej nagrodzie dziennikarskiej. Nie zdobył jej. Pierwszego dnia w pracy przywitała mnie lista zatytułowana *Zasady Wrena* przyklejona taśmą klejącą wewnątrz biurka. „Zasada numer jeden: dla pewności kopiuj notatki. Zasada numer dwa: na wszelki wypadek przepisz nagrania z taśm!”

Norma uważała, że Wren, przeszczepiony do Littleton z Minnesoty, zapadł na ciężki przypadek pustynnej demencji - syndrom Santa Ana - albo atak małomiasteczkowych lęków, dziwne zaburzenie osobowości czasem dopadające ludzi, którzy utknęli na kalifornijskiej pustyni w samym środku nigdzie. Wyjechał potem, łowić pstrągi gdzieś w pobliżu granicy z Oregonem. Albo w przerębli na jeziorze Michigan. Albo szukać złota w Jukonie. Szczegóły były owiane tajemnicą.

- Chcesz wrócić do Tamtej Katastrofy, proszę bardzo - powiedział Hinch. - Jeżeli uda ci się znaleźć kogoś, kto będzie chciał o tym rozmawiać.

Nie udało mi się.

Hinch mógł o tym rozmawiać, ale tak naprawdę był za młody, żeby cokolwiek pamiętać. Dorastał gdzie indziej - chyba w Sacramento. Wrócił do Littleton, żeby zaopiekować się chorą matką, i dziwnym sposobem jakoś nie miał ochoty wyjeżdżać. Może wpłynęło na to jego małżeństwo z miejscową królową piękności. Trzymał na biurku jej zdjęcie - Miss Azalia 1974. Potem u Miss Azalii wykryto raka piersi. W wyniku chemii dwukrotnie straciła włosy. Myślę, że to zdjęcie pomagało Hinchowi pielęgnować w sercu wspomnienie o tym, jak kiedyś wyglądała. O ile mi wiadomo, Hinch pozostał jej wierny - a zdążyłem zauważyć, że nie jest to typowa cecha redaktorów naczelnych, którzy na ogół mają spory problem z zapamiętaniem, że są żonaci.

Kiedyś i ja byłem żonaty.

Nie chcę o tym mówić.

Wyjechałem za miasto zebrać materiał do artykułu na temat hodowli alpaka.

Wygląda na to, że alpaki to teraz niezły biznes, nie tyle ze względu na wełnę, co na same zwierzęta - można zarobić dwadzieścia tysięcy dolarów na sztuce.

Właściciele rancza, państwo Childress, podjęli mnie opowieściami o troskach i kłopotach hodowców alpaka i oprowadzili po nim, nalegając, abym karmił ich ulubieńców.

Żar pustyni wyraźnie im nie służył.

Były przyzwyczajone do życia w Andach, na pastwiskach położonych tysiące metrów nad poziomem morza. Tutaj w najgorsze dni puchły im kończyny, więc leżały na ziemi, jakby były martwe. Kiedy wędrowaliśmy po ranczu, niektóre z nich tak właśnie wyglądały.

Stwierdziłem, że mogły być inspiracją *Woolly Bully*. Albo dziełem genetyka, który kierując się jakimś estetycznym wyzwaniem, skrzyżował owcę z wielbłądem, a kiedy zobaczył, co z tego wyszło, powiedział: „cholera”. Co innego można powiedzieć na widok chodzącej kuli przędzy połączonej z rozczochraną końcówką mopa, której kudły opadają kaskadami na zasnucone oczy?

Sytuacja wymykała się spod kontroli. Pani Childress prowadziła mnie wzdłuż żłobów z owsem przez ciemny chłód stodoły. Chciała mi coś pokazać. Z początku myślałem, że to dwie alpaki leżące obok siebie na miękkiej wyściółce z siana.

Ale to nie były dwie alpaki, tylko jedna, która miała dwie głowy.

- Nie mieliśmy serca jej zabić - powiedziała pani Childress. - Jedna z jej głów jest ślepa. Biedactwo.

Poprosiłem panią Childress o coś do picia. Chciałem się stamtąd wydostać.

Usiedliśmy na werandzie, żeby napić się zimnej lemoniady, a kiedy mnie skończyły się pytania, a im historie, które mogliby

opowiedzieć, nadął tam siedzieliśmy, sącząc w milczeniu cytrynowy napój. Tak to chyba wygląda w prawdziwych rodzinach.

Skończyłem lemoniadę, wstałem i pożegnałem się.

- Dziękujemy, że do nas zajrzałeś, Tom - powiedziała pani Childress. - Jedź ostrożnie.

Coś takiego musiała powiedzieć na pożegnanie.

Zacząłem myśleć o kimś, kto nie jechał ostrożnie.

Zamiast w prawo, skręciłem w lewo na drogę numer czterdzieści pięć. Okrążyłem Littleton szerokim łukiem, mijając rozlatujący się drogowskaz na Littleton Flats, który pozostawiono chyba jako coś w rodzaju pomnika.

Jechałem dalej, aż znalazłem się w miejscu, w którym już byłem. Wieczne niebo rozbłysło odcieniami różu i purpury, odmalowując na pustyni niemal atomowy krajobraz - niekończącą się równinę w kolorze rozżarzonej czerwieni z fosforyzującymi na zielono kaktusami. Wrak już odholowano. Droga była zupełnie pusta.

Zjechałem na pobocze czterdziestki piątki i zaparkowałem miatę tam, gdzie stał wtedy ambulans.

Wysiadając, zauważyłem burobrązowego węża odpełzającego w pobliskie zarośla. Było tu sporo grzechotników. Od czasu do czasu ktoś padał ofiarą ich ukąszenia, nie zdążał na czas do lekarza i umierał straszną, samotną śmiercią.

Straszną, samotną śmiercią zginął też Dennis Flaherty.

Wyszedłem na drogę i stanąłem dokładnie w miejscu, gdzie zderzyły się samochody.

Przykucnąłem, splatając dłonie pod brodą. Nie wiem dlaczego - może czułem potrzebę modlitwy albo okazania szacunku zmarłemu.

Wtedy coś zauważyłem.

Brak czegoś.

Próbowałem przypomnieć sobie, co powiedział Ed Crannell. Słowo w słowo. Wstałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem, wpatrując się w ziemię. Coś zadudniło na drodze jak nadciągająca burza. Zszedłem na pobocze, obserwując z respektem ryżącą osiemnastokołową ciężarówkę, wystarczająco ciężką, aby wprawić ziemię w drzenie.

Kiedy wróciłem, w biurze nikogo nie było.

Odszukałem w szufladzie biurka swoje notatki.

„W ostatniej chwili nacisnąłem klakson”, powiedział mi Ed Crannell, kiedy zapytałem, co się stało. „W ostatniej chwili nacisnąłem klakson, a on zaczął hamować”.

Dennis Flaherty chciał się zatrzymać, żeby uniknąć czołowego zderzenia z przedstawicielem handlowym firmy farmaceutycznej.

Oczywiście było już za późno.

Kiedy wciska się hamulec w samochodzie jadącym prawie sto kilometrów na godzinę, pewne rzeczy są nieuniknione. A można spokojnie założyć, że z taką prędkością jechał Dennis pustą drogą wczesnym rankiem.

To proste prawa fizyki.

Kiedy wciska się hamulec w samochodzie jadącym z taką prędkością, koła zawsze ślizgają się po asfalcie. Sucha czy mokra nawierzchnia - to nie ma tak naprawdę znaczenia. Gdzieś musi zostać guma z opon przyklejona do jezdni.

To było właśnie coś, czego brakowało. Ślady poślizgu.

Na szosie nie było najmniejszego śladu poślizgu.

ROZDZIAŁ 8

„Kłamię, więc jestem”.

Pewnego dnia znalazłem te słowa wyryte scyzorykiem na blacie swojego biurka w Nowym Jorku.

Domyślałem się, że szkody dokonano za pomocą scyzoryka armii szwajcarskiej, ponieważ wiedziałem, że jeden z kolegów po fachu taki miał. Był to jego talizman, tak powiedział. Dzięki niemu wyszedł cało z dwóch wojen i uniknął porwania w Tikricie.

Ostatnio czytał moje teksty z żywym zainteresowaniem. Pewnego wieczoru zaprosił mnie na drinka. Powiedział, że podziwia moją umiejętność zdobywania informacji. Mój talent błyskawicznego znajdowania się w centrum wydarzeń. Mojego nosa do tematu.

Zadawał przymilne pytania i podziwiał gorliwość, z jaką dążyłem do ujawnienia prawdy.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że być może zamówił więcej drinków, niż byłem w stanie policzyć, i że to wszystko były moje drinki. Jego wódka - grey goose bez lodu - stała nieknięta tam, gdzie ją postawił.

Jeden z nas rzeczywiście gorliwie dążył do wykrycia prawdy, tylko że to nie byłem ja.

Kłamię, więc jestem.

Winny postawionych mu zarzutów.

Po ponownym przejrzeniu notatek, tym razem żałując, że nie zaprzyjaźniłem się z magnetofonami, pojechałem do Niech Mnie Kule Biją. Zamówiłem margaritę bez soli u kuzyna BJ-a, który stał za barem w te wieczory, które BJ spędzał w domu, bawiąc się w tatę (miał podobno czwórkę dzieci z trzema różnymi kobietami, przy czym z żadną się nie ożenił).

Czułem się trochę jak za dawnych lat.

Gdyby tak można było cofnąć czas. Do tych dawnych, dawnych lat.

Lat pierwszej miłości. Pierwszych pokłonów bóstwom Boba Woodwarda i Carla Bernsteina*, składanych im codziennie ofiar z wolnego czasu, wyrzekania się wszystkiego, co przypominałoby życie towarzyskie. Do czasów, kiedy przebiegałem ulice jak klawiaturę swojego maca - z desperacją zrodzoną z obsesyjnej lojalności.

* Bob Woodward i Carl Bernstein - znani amerykańscy dziennikarze, którzy zasłynęli udziałem w ujawnieniu afery Watergate.

Do tamtych lat, kiedy wierzyłem, że naprawdę mam nosa - nawet jeśli byłem w swoich złudzeniach osamotniony. Że potrafię wywęszyć temat jak pies policyjny. Ktoś, kongresmen, prawa ręka burmistrza, funkcjonariusz policji, powie coś bez przygotowania i nagle na częstotliwości niesłyszalnej dla przeciętnego pismaka rozdzwonią się alarmy. Tylko ja je usłyszę i zacznę gorączkowo kopać, szukając czegoś odrażającego, głębokoko ukrytego, co nigdy nie miało ujrzeć światła dziennego.

Przez większość czasu grzebie się wtedy w błocie. Mętym i grząskim. Bez niezbitych dowodów z niezależnych źródeł nikt nie można nim obrzucić.

Oczywiście zdarzają się wyjątki. Sporadyczne śledztwa, które odsłaniają trochę ciekawych szczegółów. Nie jakiś istotny temat, a w każdym razie nie na tyle gorący, żeby wypalił dziurę w świadomości społecznej, ale wystarczająco ważny, by pozwolił mi wylądować gdzieś na otwarciu dziesiątej strony.

W tamte poranki patrzyłem na swoje nazwisko pod nagłówkiem z pełną podziwu i wdzięczności pokorą, myśląc, że chyba naprawdę stoję po słusznej stronie.

Teraz znowu słyszałem alarmy.

Ktoś łączył przewody, zamykał obwód i w mojej głowie rozlegał się zgrzytliwy dźwięk dzwonka.

Pojawił się Seth.

- Co tam słychać? - spytał, wskakując na sąsiedni stół.

Mnie, chciałem powiedzieć, jak drzę, szczękam zębami i staczam się.

- Rozpracowuję temat - powiedziałem.

- Zabawne. A wyglądasz, jak gdybyś rozpracowywał margaritę. He, he.

W pewnym sensie lubiłem Setha. Był to rodzaj sympatii, jaką jeden popapraniec może darzyć drugiego, tylko że tego wieczoru poczułem raczej... dystans między nami. Ja znowu siedziałem w siodle, a on wciąż tkwił w błocie.

- Potrzebuję dziesięciu... - zacząłem.

- Zły adres, amigo - odparł. - Jestem splukany. Szczerze.

- Dziesięciu minut.

- Aha. - Zmieszał się od razu, a ja poczułem się podle, degradując kumpla z drużyny do poziomu irytującego natręta. Nawet jeżeli strzygł się jak MacGyver.

- Dobra - powiedział, zsuwając się ze stolka z udawaną obojętnością. - Ekstra.

- Postawię ci drinka, jak skończę - powiedziałem.

- Spoko.

Pozostawało pytanie, co mam skończyć. Poprosiłem kuzyna BJ-a o długopis. Zacząłem spisywać na serwetce wszystko, co do tej pory wiedziałem.

Znowu siedziałem w Acropolis Diner nad ukrytym rysunkiem.

Co to jest: jest czarne i jest białe, nie ma jąder ani śladów poślizgu?

Poddaję się.

Dorzuciłem napaść w piwnicy - odnotowałem to u dołu serwetki jako coś w rodzaju dodatku.

Nadal nie miałem pojęcia.

Albo wiele pojęć bez objaśnień.

Albo przypadkowych okoliczności.

Układających się w zbieg okoliczności.

Bazgrałem na marginesach. Rysowałem linie i łączyłem elementy. Jakbym się bawił znikopisem.

Narysowałem dwa samochody i zamalowałem jeden, aż zniknął. Zanotowałem nazwiska. Ed Crannell i Dennis Flaherty - który był albo nie był czarnoskóry.

Zacznę od niego, zdecydowałem.

Od nieboszczyka.

Wrócił Seth i poprosił o drinka seven and seven. Pewnie przyzwyczajenie z czasów ogólniaka, kiedy Seth był jeszcze niezłym towarem i może nawet miał przed sobą jakąś przyszłość, pomyślałem, gapiąc się na niego nieobecny wzrokiem.

- Mój drink, chłopie. Zdawało mi się, czy obiecałeś mi drinka?

- A, jasne. Po prostu go zamów. Ja muszę lecieć.

- O, a to dlaczego?

- Piszę nekrolog - powiedziałem.

Tak zaczynałem.

Wciśnięty w zagracony boks pisałem nekrologi żywych, odychających ludzi - głównie sławnych - wyciosywałem im nagrobki, żeby były gotowe, gdy zajdzie potrzeba. Kiedy spycha się rzesze żywych w niedawną przeszłość, najtrudniej jest pamiętać o użyciu właściwego czasu.

Zamień „jest” na „był”. „Robi” na „robił”. „Żyje” na „żył”.

Moje pierwsze zawodowe kłamstwa.

ROZDZIAŁ 9

Moja miata nie zapaliła.
Spróbowałem raz, drugi, trzeci.
Chyba zalałem silnik.

Wysiadłem, podniosłem maskę i zacząłem wpatrywać się w plątaninę przewodów, rurek i innego żelastwa, jakbym wiedział, co z tym zrobić.

Nie wiedziałem. Nie potrafiłem odróżnić gaźnika od skrzyni biegów.

Nieważne. Tak się po prostu robi, kiedy samochód nie chce zapalić - otwiera się maskę i z mądrą miną ogląda się silnik.

Miałem nadzieję, że jakaś część do mnie przemówi. „Tu jestem, Tom, to ja. To moja sprawka”.

Nie ma tak dobrze.

Byłem wstrząśnięty i wściekły. Teraz, kiedy właśnie się rozkręcałem, zostałem pozbawiony czterech kółek.

Ciekawe, gdzie jest Marv, właściciel serwisu, kiedy człowiek go naprawę potrzebuje. Miałem zamiar udać się z powrotem

do Niech Mnie Kule Biją i poprosić Setha o podwiezienie.

Aż tu nagle okazało się, że nie muszę.

Na parking wjechał wiśniowy beetle. Wysiadła z niego kobieta i ruszyła w stronę wejścia do kęgielni. Obejrzała się i zauważyła mnie.

- Problemy z samochodem?

- To by mogło tłumaczyć otwartą maskę - powiedziałem bardziej sarkastycznie, niż zamierzałem.

Odwróciła się i poszła dalej.

- Zaczekaj. Mam problem z samochodem. Duży problem z samochodem.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie. Rozpoznałem ją.

Poczułem to samo łaskotanie. Nieoczekiwana zmiana biorytmu.

- Widziałem cię na przyjęciu urodzinowym Belindy Washington - powiedziałem.

- A, rzeczywiście. - Przystanąła jakieś półtora metra ode mnie. Tym razem miała na sobie dzinsową spódnicę do kolan. Nie dało się nie zauważyć jej opalonych, jędrnych i łagodnie zaokrąglonych łydek. - Reporter, tak?

- Były reporter.

- Były? Myślałam, że piszesz artykuł?

- Tak. Jestem krytyczny wobec siebie.

- Może lepiej zostawić to komuś innemu - powiedziała.

Jej uśmiech podkreślił miękki dołeczek w lewym policzku.

Ja też kiedyś taki miałem. Moja mama, będąc pewnego razu w sentymentalnym nastroju, tak odmiennym od jej napadów szału (obie te skrajności były skutkiem alkoholu, ale nigdy nie dało się przewidzieć, w którą z nich popadnie), powiedziała, że to Bóg włożył palec w mój policzek, kiedy skończył mnie formować. Po jakimś czasie nie mogłem go już znaleźć, dołeczek po prostu zniknął.

- Mój samochód nie chce zapalić - powiedziałem.

- Zdążyłam zauważyć. - Podeszła i zajrzała pod maskę.

Było około ósmej wieczorem, kończył się upalny czerwcowy dzień i było jeszcze widno, ale ściemniało się z każdą chwilą. Miękkie światło zmieniało rzeczy w sposób, który sprawia, że impresjonista biegnie po płótno i pędzle, a pochylona kobieca sylwetka stanowi niespotykane piękno, oszałamiający widok.

Brzdęk. Stuk. Klik.

Pogrzebała wewnątrz, coś odkręciła.

- Kabel od cewki zapłonowej się poluzował - oświadczyła po kilku minutach. Spróbuj teraz.

Wgramoliłem się na przednie siedzenie i przekręciłem klucz, wciskając gaz. Brrruuuuum.

- To chyba właśnie nazywają odwróceniem ról - powiedziałem, kiedy już wyswobodziłem się z samochodu i uściśnąłem jej dłoń. - Dzięki.

- Mój tato był mechanikiem - powiedziała. - Właściwie mieszkał pod maską samochodu. To był jedyny sposób, żeby spędzić z nim trochę czasu.

- Widzę, że uważałaś. - Zdążyła już cofnąć rękę, ale wciąż czułem jej dotyk: ciepło ciała i chłód lakieru do paznokci.

- Na tyle by umieć zlokalizować luźny kabel od cewki zapłonowej. To naprawdę nie jest takie trudne.

Przynajmniej się uśmiechnęła, kiedy to powiedziała.

- Tom Valle - przedstawiłem się. Zdałem sobie sprawę, że łaskotanie nie minęło i coś nadal trzepocze w mojej piersi jak motyl złapany w siatkę.

- Anna Graham - powiedziała.

- Odwiedzałaś kogoś? W domu opieki?

- Tatę. Ma alzheimera.

- Przykro mi.

- Mnie też.

Cisza. Próbowałem się gapić, nie gapiąc się. Trochę jak przy pierwszym pobycie na plaży nudystów. Przydają się okulary słoneczne.

- Cóż - powiedziała. - Właśnie wchodziłam do środka.

Przez chwilę miałem zamiar powiedzieć: co za zbieg okoliczności, ja też właśnie wchodziłem. Ale nie dało się ukryć, że właśnie wyszedłem.

- Czy...

- Tak? - Zasłoniła oczy przed blaskiem słońca, ale nawet kiedy je mrużyła, były wystarczająco duże, żeby w nich utonąć.

- Zatrzymałaś się w Littleton?

- Tylko na kilka dni. Mieszkam w Santa Monica.

- Santa Monica, mmm.

- Przy Piątej Ulicy, w bok od promenady.

- Byłaś kiedyś w Shutter's?

- Nie.

- To miły bar.

- Tak, słyszałam.

- Cóż - powiedziałem - może kiedyś się tam spotkamy.

Jej wyraz twarzy mówił, że raczej nie.

Pojechałem do domu.

Chciałem wejść do środka i od razu pójść do sypialni, obejrzeć powtórkę *Kocham Lucy* na kablówce. Bo kochałem Lucy, a przynajmniej pielęgnowałem uczucie przywiązania do niej. W końcu Lucy, Ethel, Fred i Ricky opiekowali się moim bratem i mną przez niezliczone popołudnia, kiedy moja mama była wprawdzie obecna, ale zajęta czymś innym, kiedy wymieniała Jima, Jacka i Johnny'ego na Toma, Dicka i Vinny'ego - plejadę mężczyzn bez twarzy, którzy czasem mierzwiłi mi włosy, idąc na górę.

Nie poszedłem oglądać *Kocham Lucy*. Zamiast tego pstryknąłem kontakt przy schodach i zszedłem do piwnicy, przystając ostrożnie na każdym stopniu, żeby się rozejrzeć.

Wyglądało na to, że tym razem piwnica jest pusta.

Po napadzie obejrzałem ją pobieżnie, kiedy drżąc, podniosłem się już mniej więcej do pionu.

Kłęczał w połowie drogi między piecem a ścianą.

Tam go pierwszy raz zobaczyłem.

Walil tym metalowym czymś. Można było śmiało założyć, że nie naprawiał bojlera.

Tylko co w takim razie robił?

Po co włamywacz miałby tutaj schodzić?

Przesunąłem ręką po ścianie. Wisiały na niej przybite gwoździemi dwie przekrzywione półki, na których znalazłem trochę starych puszek po farbie, zeszywniałe szmaty i zepsute radio z lat pięćdziesiątych stojące na podartej grze planszowej. Starłem warstwę kurzu. *Życie Milтона Bradleya*. Przez chwilę zobaczyłem siebie, jak pędzę po krętej drodze malutkim niebieskim samochodzikiem do Rezydencji Milionera i chowam swoją kupkę śmiesznych pieniążków przed zaczerwienionymi oczami mojej matki. Nie żeby nie widziała. Na przykład tego, że Jimmy oszukiwał. Bo widziała zawsze. Podprowadzał pieniądze z banku jak drobny złodziejaszek.

Nagły skurcz strachu ścisnął mi żołądek. Spojrzałem na miejsce, gdzie gipsowa płyta łączyła się z podłogą. Jakiś brązowy pajak czmychnął za puszkę z farbą.

Słoik pełen zakrętek od butelek.

Porysowany kij hokejowy z ledwie widocznym logo San Jose Sharks.

Prawie rozwalona piłka baseballowa.

Jakieś stare książki. Biografia Edwarda R. Murrowa. *Historia zimnej wojny*. Stanley Karnow, *Wietnam*. John Hersey, *Hiroszima*.

Pewnie Wrena.

Gipsowy kurz pokrywał zdjęcie chmury w kształcie grzyba. Kiedy odsunąłem książki na bok, odkryłem dużą, nieregularną dziurę w ścianie. Taką dziurę można zrobić tylko czymś ciężkim,

pomyślałem, próbując sobie wyobrazić metalowy przedmiot w ręce hydraulika. Ten przedmiot, którym na koniec przywalił mi w głowę.

Zajrzałem do dziury, ale zobaczyłem tylko gips i podarte brzegi gazetowej izolacji.

Chodząc dalej po piwnicy, na coś nadepnąłem.

Coś małego i plastikowego.

Schyliłem się i podniosłem to. Zaatakował mnie silny zapach pleśni.

Obudowa gniazdka telefonicznego. W dziurce dyndała jeszcze śrubka.

Skąd się tutaj wzięła?

Stamtąd, z dołu ściany.

Gniazdko było otwarte, a czerwone i żółte druciki odłączone od swoich śrubek sterczały jak zeszywniałe palce nieboszczyka.

Zbliżyłem obudowę do zwisającej samotnie z sufitu gołej żarówki. Gniazdko było zdecydowanie nieużywane - na dole nie było telefonu. Obudowa mogła tu leżeć od zawsze, nawet od lat.

Nie była zakurzona.

No dobrze, nie mogła tu leżeć od lat.

ROZDZIAŁ 10

Tym razem pani Flaherty była bardziej nieufna.

- Czego pan znowu chce? - zapytała.

- Prowadzę śledztwo w sprawie wypadku - powiedziałem.

- Śledztwo?

- Tak jest. Zastanawia mnie to, co mi wtedy powiedziano.

- Kto powiedział? Nie rozumiem.

- Ten drugi kierowca. Uważam, że przebieg wydarzeń nie był taki, jak wynika to z jego opisu.

- Uważa pan, że on kłamie?

- Może jest zdezorientowany. Albo uważa, że to była jego wina, więc trochę zmyśla.

- Powiedzieli mi, że Dennis zjechał na lewy pas.

- Tak. Tak powiedział ten drugi kierowca.

Nie. Drugi kierowca powiedział, że Dennisa zniosło na lewy pas.

Nagle zrozumiałem.

Jego depresja, problemy z alkoholem... Pani Flaherty zapewne uważała, że Dennis umyślnie zjechał pod prąd w samobójczym pędzie.

- Nie wierzy mu pan? Temu drugiemu kierowcy, jak on się nazywa? Earl? - spytała.

- Ed. Ed Crannell.

- Nie wierzy mu pan?

- Może nie.

- To bez różnicy, prawda? - powiedziała miękko. - Mój syn nie żyje.

Usłyszałem coś, co zabrzmiało jak szloch.

Czekałem. Była ósma trzydzieści dwie. Norma jeszcze nie przyszła. Redakcja „Littleton Journal” mieściła się za zwykłą witryną sklepową wciśniętą pomiędzy Chińszczyznę na Wynos Foo Yanga a Broń i Amunicję Teda, gdzie przy zakupie rewolweru dostawało się gratis tarczę z podobizną Michaela Moore'a.

- Czy mogłaby pani opisać Dennisa?

- Co?

- Czy może pani opisać swojego syna?

- Dlaczego?

- Jakiej rasy był Dennis?

- Rasy?

- Był biały, prawda?

- O co tu chodzi? - spytała.

- O nic. Po prostu próbuję...

- Co?

- Wyjaśniam tylko pewne rzeczy.

- Na policji powiedzieli, że to był Dennis. Pochowałam go.

- Oczywiście, metr siedemdziesiąt pięć, brunet, oczy zielone. Czy tak wyglądał pani syn?

- Dlaczego pan pyta, czy był czarny?

- Nieważne, ja nawet...

- Myśli pan, że to nie on?

- Nie...

- To właśnie chce pan powiedzieć? Uważa pan, że to mógł być ktoś inny. Czarnoskóry. Był cały spalony... na czarno. - Już nie pytała, stwierdziła. Nadzieja napelniła jej głos gwałtownym zapalem osoby prawdziwie wierzącej.

Oczywiście powinienem był ją ostudzić. Od razu. Powinienem był powiedzieć, że nie do tego zmierzam, nie, potrzebuję opisu jego wyglądu, bo wymaga tego dziennikarska rzetelność.

Może nie miałem prawa używać terminu „dziennikarska rzetelność”. Musiałem za to zmierzyć się z jej drżącym głosem. Z ekscytującą chęcią przełknięcia czegoś. Słyszałem już kiedyś ten kuszący dźwięk - przy redakcyjnym stole, gdy na spotkaniach podsumowujących, wśród słodkiego podniecenia polepszycieli, przedstawiałem tematy do akceptacji.

Proszę o zrozumienie i wybaczenie. To było jak wydychanie dymu w twarz nałogowego palacza.

- Przypuśćmy po prostu - powiedziałem do pani Flaherty - że ktoś okradł Dennisa. Ktoś mógł ukraść jego samochód i portfel. Ciało nie nadawało się do identyfikacji. Chcę się po prostu upewnić.

- Tak... tak, oczywiście - powiedziała. - Dennis miał ciemne włosy, zielone oczy, tak jak pan powiedział. Miał małą bliznę na prawym policzku. Spadł z drabinek na placu zabaw, kiedy miał 5 lat. To możliwe... panie...

- Valle. Tom Valle.

- To możliwe, że oni się mylą. Prawda? Że to nie był on. Że to był ktoś inny.

Zanotowała mój adres.

Powiedziała, że prześle mi zdjęcie Dennisa.

Wyrzuciła z siebie kilka szczegółów na temat smutnej parodii jego małżeństwa i podała mi numer telefonu jego byłej żony.

Powiedziała, że Dennis zdobył pięć sprawności, kiedy był skautem.

Z trudem udało mi się odłożyć słuchawkę.

Przyszedł Hinch i zapytał, nad czym pracuję.

Był grubokościstym, szerokim w barach facetem, a jego bujne kształty rozrastały się ostatnio na południe, w kierunku

brzucha. Czasem pojawiał się z uczepionym podbródka kilkuniedniowym zarostem. Podejrzewałem, że Miss Azalia nie miewa się najlepiej.

- Nad kontynuacją historii o wypadku.

- Tego na czterdziestcepiątce? Stare dzieje, co?

- Jest parę rzeczy, które próbuję uporządkować.

- Na przykład? - Hinch przemieszczał się w kierunku ekspresu do kawy, który wspaniałomyślnie włączyłem. Zwykle było to zajęcie Normy.

- Na przykład brak ostatecznej identyfikacji. Poza portfelem tego człowieka.

- To znaczy?

- Nie wiem dokładnie, co to znaczy. Ale lekarz sądowy uważał...

- Kto taki?

- Doktor Futillo. Był przekonany...

- Doktor Futillo? - prychnął Hinch. - On nie jest lekarzem sądowym. Co o nim właściwie wiesz? - Jako właściciel, redaktor naczelny i jedyny felietonista „Littleton Journal” Hinch postawił sobie za cel wiedzieć niemal wszystko o wszystkich w mieście.

- Nieźle gra w kręgle.

- Nieźle mu też idzie przepisywanie oxycontinu pacjentom, którzy tak naprawdę go nie potrzebują. Powiedzmy, że przeniósł się tutaj w podejrzanych okolicznościach. Nie wierzyłbym we wszystko, co mówi doktor Futillo. Szczególnie w dziedzinie medycyny sądowej.

Pomyślałem, że Hinch do czegoś zmierza. Na przykład do tego, że w podejrzanych okolicznościach przeniosła się do Littleton jeszcze jedna osoba i ona również nie jest godna zaufania.

Szeryf Swenson miał rację. Hinch był spokrewniony z moją kuratorką sądową, która na naszym ostatnim spotkaniu zapytała mnie, co chcę zrobić ze swoim życiem, teraz kiedy żadna

gazeta w promieniu pięciu tysięcy kilometrów mnie nie zatrudni. Odpowiedź była prosta. Znaleźć gazetę w promieniu pięciu tysięcy jeden kilometrów, która mnie zatrudni, jeśli moja kuratorka zamieni słowo z kuzynem ze strony matki, redaktorem naczelnym Hinchem. Właściwie trudno to nazywać gazetą - była tylko trochę lepsza od ulotki reklamowej - ale puystynna lokalizacja odpowiadała mojej potrzebie izolacji i samobiczowania.

- Nie napiszę o tym, jeżeli nie będę miał stuprocentowej pewności - powiedziałem.

To samo powiedział Hinch w dniu, kiedy przyjechałem tu swoją poobijaną miatą. Że nie opublikuje niczego, nie mając pewności, że to prawda. Nawet jeżeli mówimy tylko o dorocznej wyprzedaży książek w bibliotece w Littleton. Lepiej, żeby data się zgadzała, jasne?

Obiecałem, że go nie zawiodę.

Hinch przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, jakby wiarygodność dało się ocenić wizualnie.

- Dobrze - powiedział.

Wycofał się do swojego biura i zamknął drzwi.

Kupiłem sobie iPoda.

Norma zachwalała mi niezliczone zalety tego urządzenia. Ostatnio zaczęła ćwiczyć aerobik podczas przerwy na lunch przy najnowszych przebojach grupy Outkast. Wskakiwała w wyciągnięty dres i podśpiewywała razem z André 3000.

W bardzo krótkim czasie zapchałem iPoda tysiąc trzydziestoma dwiema piosenkami. W większości była to klasyka: cały kanon Hendriksa, trochę Jacksona Browne'a, Santana, Fleetwood Mac, Jethro Tuli.

Dorzuciłem kilka wyjątków: ścieżkę dźwiękową z *Side by Side by Sondheim*, koncert Sinatry w hotelu Caesars Palace, *Where or When* w wykonaniu Judy Collins.

Ktoś, kto nigdy nie słyszał jej interpretacji tej niezapomnianej melodii Richarda Rodgersa, naprawdę sporo stracił. Słuchałem *Where or When* w drodze do samochodu.

Miałem zrobić relację z otwarcia nowego domu towarowego. I może coś jeszcze.

Wsluchiwałem się w słowa.

„Rzeczy, które wydarzyły się raz, mogą się powtórzyć...”

Właśnie.

ROZDZIAŁ 11

Zawsze pamięta się swój pierwszy raz.

Zaspalem.

Powinienem był już siedzieć w samolocie do Shreveport w Luizjanie, gdzie miałem przeprowadzić wywiad z rodziną nieżyjącego żołnierza Gwardii Narodowej, jednego z pierwszych poległych podczas wojny w Afganistanie. Było to w czasach, kiedy wojna z terroryzmem cieszyła się społecznym przyzwoleniem jako sprawiedliwa zemsta.

Zanim jeszcze wpadliśmy do Iraku po broń masowego rażenia, której tam nie było, i rozpętaliśmy cholerne piekło.

Może było to naturalne przerażenie. Obawa przed pukaniem do drzwi, zapewnianiem, jak bardzo jest mi przykro, że nachodzę rodzinę zmarłego w chwili żałoby. Przed wyrazem oszołomienia na ich twarzach - bo śmierć zawsze wywołuje zdumienie jak sztuczka iluzjonisty. Ktoś jest i nagle znika. Spuszczone głowy, krępujące łzy, albumy ze zdjęciami wyjmowane, abym mógł je z szacunkiem przejrzeć. Wspomnienia z dzieciństwa, wycieczka po sypialni i przyciągająca wzrok

złożona amerykańska flaga na kominku w salonie. Może tak się tego bałem, że postanowiłem się nie obudzić.

No i proszę. To była rutyna, rzecz znana mi tak dobrze, że mogłem napisać to z głowy.

Pomyślałem o tym, wpatrując się zaspanym wzrokiem we wskazówki budzika, które w jakiś niezrozumiały sposób przeskoczyły kilka godzin. O kilka za dużo, żebym mógł jeszcze złapać następny samolot, przeprowadzić wywiad i napisać tekst do niedzielnego wydania.

Muszę się do czegoś przyznać.

Już wcześniej plotłem koszalki-opalki. Każdy reporter to robi.

Drobnostki.

Możliwe, że po mojej rekonstrukcji fragment dialogu nie pokrywał się słowo w słowo z tym, co powiedział mi w opuszczonym garażu tamten polityczny szantażysta. Było to oczywiście bliskie prawdy, a brzmiało przecież o wiele lepiej, nieskończenie bardziej dramatycznie.

Możliwe, że od czasu do czasu opisałem coś, czego w rzeczywistości nie widziałem.

Rozmawiałem z tym ćpunem na zewnątrz spalonej czynszówki, w której mieszkał, a jednak kilka szczegółów z jego zaśmieconego, pełnego porozrzucanych igieł mieszkania jakimś sposobem zakradło się do artykułu.

Dlaczego nie? Komu to szkodziło?

Jego mieszkanie prawdopodobnie było zaśmiecone i pełne porozrzucanych igieł. Dzięki tym szczegółom artykuł nabierał charakteru. A że tak naprawdę nie wszedłem do środka i nie widziałem mieszkania na własne oczy - kto mógłby się o tym dowiedzieć? I tak niczego to nie zmieniało.

Oczywiście tym razem byłoby to coś zupełnie innego: zmyślenie wszystkiego od początku do końca. Sama zuchwałość tego pomysłu przykuła mnie do łóżka, sprawiając, że wpatrywałem się w napięciu we wskazówki budzika, jak gdyby mogły w cudowny sposób się cofnąć.

Chyba potraktowałem ten artykuł jako rodzaj ćwiczenia. Na początku.

Tak to sobie w każdym razie tłumaczyłem.

Napisz to dla zabawy, szeptałem, i zobaczymy, jak wyjdzie.

Wyobraź sobie, mówiłem, jak w ciepły dzień idziesz ocienionym drzewami chodnikiem w Shreveport, a potem po skrzypiących drewnianych schodach wchodzisz do ich domu. Państwo Beaumont cofają się, żeby wpuścić cię w duszną ciemność salonu. Wyobraź sobie, jak mogliby odpowiadać na pytania.

Miałem trochę danych. W Google wyszukałem dwa artykuły z lokalnego „Shreveport Journal”. W szkole średniej sierżant Lowell Beaumont był bardzo wysportowany i gdyby nie kontuzja więzadeł kolanowych otrzymałby stypendium Louisiana State University.

„W jego sypialni słychać echa odgłosów szkolnego boiska futbolowego, a komodę zdobią wypolerowane trofea”.

Proszę, to wcale nie takie trudne.

Istnieje duża szansa, że dokładnie tak wygląda jego sypialnia.

Z artykułu wynikało, że Lowell miał dwie młodsze siostry. Mary i Louise.

„Mary Beaumont trzyma kurczowo zdjęcie poległego brata.

- Zawsze się o nas martwił, pilnował, żebyśmy wracały na czas do domu i tak dalej”.

Który starszy brat nie troszczy się o swoje siostry? A czy oplakująca go siostra nie wzięłaby do ręki jego zdjęcia choćby po to, żeby spojrzeć na twarz, której już więcej nie zobaczy?

Lowell Beaumont pracował przy linii montażowej w miejscowej fabryce opon. Wstąpił do Gwardii Narodowej tydzień po jedenastym wrześniu.

„Uważał, że to jego obowiązek względem kraju - powiedział pan Beaumont, kręcąc z żalem pochyloną siwą głową. - Czuł, że warto było nawet oddać za niego życie”.

Czyż to nie jedyny powód wstąpienia do Gwardii Narodowej po tym, jak runęły wieże World Trade Center? Obowiązek względem kraju? Czy ojciec chłopca nie byłby dręczony mieszaniną dumy i smutku? Jeśli nie powiedziałby tego komuś tymi słowami, z pewnością tak by pomyślał.

Kiedy już zacząłem, trudno było się zatrzymać.

Bez konieczności ciągłego zaglądania do notatek pisało się łatwiej. O wiele łatwiej. Moje palce dosłownie fruwały po klawiaturze.

Skoro już mowa o notatkach...

Przypuśćmy, że naprawdę oddałem ten artykuł. Przypuśćmy, że ten jeden, jedyny raz - i nigdy więcej oczywiście - uratowałem swój tyłek odrobiną kreatywności. Gdyby ktoś spróbował podważyć moją wersję wydarzeń, mogłem dostarczyć dowód. Nie taśmę - byłem tradycjonalistą znanym z odrazy do magnetofonu. Pokazałbym swoje notatki.

Jakie notatki?

Te, które w razie potrzeby błyskawicznie bym wyczarował.

Prostota i błyskotliwość tego oszustwa dodały mi otuchy i zachęciły do działania.

Kiedy tekst był gotowy, pomyślałem, że brzmi dokładnie tak, jak by brzmiał, gdybym wszedł do samolotu, wylądował w Shreveport i dotarł do tego domu o zasłoniętych oknach.

A jednak muszę przyznać, że dłonie odrobinę mi drżały, kiedy wieczorem oddałem go redaktorowi.

Stałem tam i patrzyłem, jak trafia potem do korekty.

Następnego ranka on wezwał mnie do swojego biura.

Moje drżenie stopniowo rosło. Trząsłem się zżerany strachem, który ogarnia człowieka w drodze do gabinetu pryncypała po złapaniu na gorącym uczynku z plagiatorskimi notatkami w kieszeni.

Tymczasem powtarzałem swoją wersję: „Nie zdążyłem na samolot, więc zadzwoniłem do nich i przeprowadziłem

rozmowę przez telefon... To się już nigdy nie powtórzy... Powinienem być uprzedzić... Tak mi przykro... „

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, kiedy wszedłem, była gazeta z moim artykułem. Pierwsza strona, lewy dolny róg.

„Smutny powrót żołnierza”.

Przyjrzał mi się znad swoich dwuogniskowych okularów. Był chyba jeszcze bardziej rozczochrany niż zwykle. Odkąd w nowojorskich biurach zabroniono palenia, zaczął żuć wszystko, co miał w zasięgu ręki. Tym razem był to prawie przegryziony na pół czerwony ołówek, który ostrożnie wyjął z ust i powolnym ruchem zatrzymał nad tekstem, jakby odciągał cyngiel

- Niezły kawałek - powiedział. - Poruszający, ale nie kliwy. Naprawdę dobry.

- Dziękuję - powiedziałem.

Możliwe, że nawet się zaczerwieniłem.

ROZDZIAŁ 12

Dawno temu Littleton miało aspiracje zostać drugim Palm Springs. Kierując się teorią rozwoju urbanistycznego - zbudujmy, a przyjadą, przygotowano teren pod pole golfowe i dwa rozległe kompleksy rekreacyjne.

Nie przyjechali.

Być może dlatego że Palm Springs miało Boba Hope'a, Shecky'ego Greene'a i tłumy innych starzejących się członków legendarnego klubu komików, podczas gdy Littleton tylko Sonny'ego Rolpha.

Przedsięwzięciu nie pomogło również, że główny inwestor z Littleton splajtował z powodu krachu na początku lat dziewięćdziesiątych, właśnie wtedy, kiedy Vegas stało się tanią alternatywą dla szukających weekendowych rozrywek mieszkańców Los Angeles.

Kompleksów wypoczynkowych nigdy nie ukończono, a budowę pola golfowego przerwano na dziewiątym dołku.

Teraz główną atrakcją były otwarcia centrów handlowych. To dzisiejsze było pierwszorzędne.

Kowboje-klauni rozdawali balony poskręcane w małe różowe jamniki. Buczące maszyny przędły połyskujące szpule waty cukrowej. Facet o wyglądzie Billy'ego Raya Cyrusa śpiewał piosenkę country o dziewczynie, która go porzuciła, sprawiając, że na przemian czerwieni się, błednie i sinieje.

Tak się złożyło, że kolorystyka jego uczuć odpowiadała barwom wstęgi, którą zręcznie przeciął urzędujący trzecią kadencję burmistrz Littleton. Patriotyzm wyraźnie był w modzie. Chciwy tłum wlał się przez szerokie drzwi w poszukiwaniu promocji i klimatyzacji. Niekoniecznie w tej kolejności.

Nate Cohen, nasz praktykant z Pepperdine University, towarzyszył mi podczas przygotowania relacji z tego wiekopomnego wydarzenia. W dniu, kiedy się poznaliśmy, poinformował mnie, że kumple z bractwa nazywają go Nate Skate.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Nie wiem - odparł zaskoczony pytaniem.

Nate bombardował mnie pytaniami na temat dziennikarstwa w chwilach, kiedy nie nawijał przez telefon ze swoją dziewczyną. Oznajmił z dumą, że mają takie same telefony i że można nimi robić zdjęcia, które nie odbiegają jakością od zdjęć robionych aparatem fotograficznym. Na dowód pokazał mi swoją dziewczynę Rinę leżącą nago na ogrodowym szezlongu.

- Czyż nie jest słodka? - spytał.

- Jesteś pewien, że chcesz pokazywać to ludziom? - odpowiedziałem pytaniem.

- Ty nie jesteś ludźmi. Jesteś moim mentorem. Tak jakby.

- Może nie życzyłyby sobie, żeby twój mentor oglądał ją nago?

- E, nie miałyby nic przeciwko temu. Ciągle jeździmy do Black's Beach.

Black's Beach była osławioną zatoczką dla nudystów na południe od La Jolla.

Wywiązaliśmy się ze swoich obowiązków z powierzchownym profesjonalizmem.

Wywiad ze sprzedawczynią w średnim wieku, która hojnie spryskała mnie *eau de* coś tam Calvina Kleina, nie przyprawił mnie o dziennikarski orgazm. Tak jak rozmowa z kierownikiem stoiska AGD, niezależnie od fachowości, z jaką demonstrował działanie sokowirówki połączonej z tosterem oraz odkurzacza z elektronicznym układem scalonym.

Moje myśli krążyły gdzie indziej.

Belinda Washington dożyła setnych urodzin, a potem nagle odeszła. Dowiedziałem się o tym z radia dziś rano.

„Ze smutniejszych wydarzeń - powiedział prezenter lokalnej stacji - odeszła nasza stulatka. Belinda Washington przeprowadziła się do wielkiego domu opieki w niebie”.

„Czego wszystkim życzymy”, zawtórował mu radośnie współgospodarz programu.

Odstawiłem Nate'a i pojechałem do domu opieki.

Właściwie nie wiem dlaczego.

Kiedy wszedłem do holu, pan Birdwell odprowadzał właśnie do drzwi jakąś parę w średnim wieku.

- Proszę dać nam znać - powiedział. - Liczba miejsc jest ograniczona.

Już próbował zapełnić jej łóżko. Domy spokojnej starości są dziś jak restauracje - te lepsze prowadzą listy rezerwacji długości wielu kilometrów.

Pan Birdwell rozpoznał mnie od razu.

- Co pana do nas znowu sprowadza, panie Valle?

- Słyszałem o Belindzie. Piszę kontynuację.

Gapił się na mnie zaskoczony, czekając na dalszy ciąg zdania.

- Zastanawiałem się, na co umarła.

- Miała sto lat - odpowiedział, jak gdyby to stwierdzenie zawierało wszystkie niezbędne wyjaśnienia.

- Kiedy tu byłem, odniosłem wrażenie, że czuła się całkiem dobrze.

- Serce - powiedział. - Po prostu odmówiło posłuszeństwa.

- Rozumiem. - Przypomniałem sobie zimne ręce Belindy, przeciwieństwo ciepłego dotyku Anny. Zimne kończyny są objawem słabego krążenia. Serce, jasne.

- Czy mógłbym zobaczyć jej pokój?

- Po co?

- Dla potrzeb artykułu.

Nie było żadnego artykułu. W chwili, gdy te słowa przechodziły mi przez usta, wiedziałem, że kłamię.

- Nie ma tam wiele do zobaczenia - odparł pan Birdwell. - Ale niech będzie.

Odwrócił się i pokazał, żebym poszedł za nim.

Minęliśmy stanowisko pielęgniarek, gdzie wózki inwalidzkie stały rzędem jak przy wejściu do supermarketu. Pielęgniarki wydawały się dziś przygnębione. Może one też lubiły Belinę.

Odziany w szlafrok mężczyzna, wyposażony w maskę tlenową, niezdarnym krokiem przemierzał korytarz za pomocą chodzika. Spojrzał na mnie i zmrużył oczy, próbując się skoncentrować. Był wtedy w świetlicy, przypomniałem sobie, i przez chwilę zastanawiałem się, czy to może być ojciec Anny, przygaszony alzheimerem.

Pokój Belindy znajdował się na końcu oświetlonego jarzeńcówkami korytarza.

Czuło się tu natarczywą pustkę.

Belinda mieszkała sama. Tylko jedno podwójne łóżko, w rogu pomieszczenia przykręcony do ruchomej platformy telewizor.

Na małej brązowej toaletce stało zdjęcie w ramce przekręcone trochę w kierunku ściany.

Podniosłem je, żeby się przyjrzeć.

Matka z synem.

To bez wątpienia ona - tylko sześćdziesiąt lat młodsza.

Ten sam uśmiech, którym obdarzyła mnie w dniu, kiedy przeprowadzałem z nią wywiad. Siedziała na ławce z małym chłopcem na kolanach.

Tuż nad jej głową widać było zawieszony na łańcuchach szyld z napisem „Littleton Flats Café”.

- Dorastała w Littleton Flats? - zapytałem Birdwella, próbując sobie przypomnieć, czy o tym wspominała.

- A tak - powiedział pan Birdwell. - Belinda była naszą miejscową znakomitością. Znasz tego gościa od pogody na NBC, Willarda, jak on się nazywa, Scotta, który składa życzenia urodzinowe stulatkom z całego kraju? Pokazał zdjęcie Belindy kilka tygodni temu.

Spojrzałem na chłopca siedzącego na jej kolanach. „Odszedł dawno temu...”

- Jej syn. Czy on zginął w powodzi?

- Mhm - pan Birdwell pokiwał głową. - Prawdziwa tragedia. Belinda pracowała dla jakiejś rodziny w Littleton i u nich mieszkała. Właściwie zawsze spędzała weekendy w domu. Ale akurat w tamten weekend poproszono ją o przypilnowanie dzieci. Katastrofa wydarzyła się w niedzielę rano, kiedy wszyscy w Littleton Flats byli w domach. Łącznie z jej synem.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak musiała się czuć - zajmowała się cudzymi dziećmi w czasie, kiedy jej własne utonęło. Nie było jej tam, żeby je przytulić.

Powiedział, że mi wybacz, wspomniała w naszej rozmowie. Teraz wiedziałem dlaczego.

- Czy miała więcej dzieci? - zapytałem.

Pan Birdwell pokręcił głową.

- Urodziła go dość późno. Jestem prawie pewien, że Benjamin był jedynakiem.

„Tęsknię za tyloma rzeczami”.

Tak. Tęskniła za Benjaminem wystarczająco, żeby od czasu do czasu go wyczarować. Kobieta zmagająca się z początkami demencji i ostatnimi chwilami samotności.

- Czy mógłbym je wziąć? - zapytałem pana Birdwella.

- Zdjęcie? Po co?

- Do artykułu - powiedziałem, znowu kłamiąc.
- Zawahał się, najwyraźniej rozważając normy etyczne dotyczące wydawania prywatnej własności dziennikarzowi.
- Zwróć je - powiedziałem.
- No dobrze. Właściwie dlaczego nie.
- Już miałem je w kieszeni.

Późnym wieczorem, kiedy już opróżniłem dwa kieliszki tequili, oglądając kolejne odcinki „Akt zbrodni”, podniosłem słuchawkę i wybrałem znajomy numer.

Po czterech sygnałach odebrał i powiedział:

- Halo. Halo.

Czasem formułuję słowa.

W myślach.

Mówię, że jest mi przykro, że dawno już chciałem zadzwonić i powiedzieć mu, jak bardzo jest mi przykro. Przepraszam, że to zajęło mi tyle czasu. Słyszę te słowa w swojej głowie i wydaje mi się, że brzmią w nich skrucha i szczerłość. Tylko że nie słyszę, jak przechodzą mi przez gardło. Giną gdzieś po drodze.

Tego wieczoru sformułowałem je znowu, ale zabrzmiały trochę pijacko i smutno.

- Halo. Halo, kto mówi?

To ja, powiedziałem bezgłośnie. To ja Tom. Przepraszam, naprawdę.

Rozłączył się.

Czekałem, dopóki nie dobiegł mnie przygnębiający sygnał przerwane połączenia.

Kiedy się schyliłem, żeby odłożyć słuchawkę, dokonałem bolesnego odkrycia. Na podłodze leżało zdjęcie.

Musiał wypaść mi z kieszeni, kiedy bez powodzenia próbowałem powiesić dzinsy na oparciu krzesła. Szkiełko potłukło się na drobne kawałki, na których postawiłem stopę.

Krwawiłem.

Skacząc na jednej nodze, udało mi się dostać się do łazienki i zlokalizować butelkę jodiny. Wydobyłem srebrne szkiełko z miejsca tuż pod dużym palcem, założyłem opatrunek i zabandażowałem stopę. Poczłapałem ostrożnie do sypialni, delikatnie pobierałem pozostałe szkiełka i wyrzuciłem je do przepelnionego worka na śmieci śmierdzącego czterodniowymi resztkami jedzenia.

Trzeba było jeszcze zaopiekować się ranną fotografią. Krople jasnej krwi ucharakteryzowały matkę i syna na ofiary wypadku. Czuję się, jakbym zbeczczył coś pięknego i niepowtarzalnego.

Wytarłem zdjęcie chusteczką, ale krew zdążyła już w nie wsiąknąć i zmarszczyć papier. Ostrożnie wyjąłem je ze zniszczonej ramki i delikatnie dmuchnąłem.

Coś upadło na podłogę. Złożona kartka, która była schowana z tyłu zdjęcia. Położyłem fotografię na komodzie i sięgnąłem po kawałek papieru. W skaleczonej stopie czuję piekący ból.

To był list.

Zaczynał się słowami: „Wszystkiego najlepszego z okazji setnych urodzin”.

Usiadłem na łóżku i rozłożyłem kartkę na kolanie.

„Wszystkiego najlepszego z okazji setnych urodzin.

Sto buziaków.

Sto uścisków.

Kocham Cię

Benjy

PS Kara Bolka Cię pozdrawia”.

ROZDZIAŁ 13

Sam Weitz zadzwonił do mnie do pracy, żeby zapytać, czy nie chciałbym wykupić ubezpieczenia na życie.

- Po co? - zapytałem.

- Bo każdy powinien mieć ubezpieczenie na życie. Przecież dopiero co zostałeś pobity.

- No, tak.

- No, widzisz.

- No i co z tego? Komu zostawiłbym pieniądze, gdybym zginął?

- Najwyraźniej nie jesteś świadom ostatnich osiągnięć w dziedzinie ubezpieczeń. Nie chodzi tylko o umieranie. Mamy w ofercie na przykład ubezpieczenie na wypadek przedłużającej się absencji chorobowej. Dzięki niemu nadal możesz dostawać wypłatę. Nie widziałeś tych reklam z kaczką? Co by było, gdybyś był przykutym do łóżka i nie mógł już pracować jako reporter?

Kusiło mnie, by powiedzieć mu, ile zarabiam, żeby zrozumiał, że jeśli nie będę mógł już pracować w „Littleton Journal”,

zawsze mogę podążać ścieżką awansu społecznego i zatrudnić się w McDonalddie.

- W porządku - powiedziałem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zrezygnuję z ubezpieczenia.

- Jak chcesz, to nie jest sprawa życia i śmierci - powiedział, a potem dodał: - Nie najlepszy dobór słów.

- Przeciwnie. To zabawne.

- Naprawdę? - ucieszył się. Jako agent ubezpieczeniowy spotykał się już pewnie z różnymi epitetami pod swoim adresem. Irytujący, nudny, natrętny; zabawny być może jeszcze nigdy. - Cóż, gdybyś jednak zmienił zdanie...

- Pierwszy się o tym dowiesz.

- Oki doki.

Norma zapytała, czy chcę coś do jedzenia. Wybierała się właśnie po lunch do Foo Yanga. Nate zamówił już mu gu gai pan i smażone wonton.

- Dzięki, nie jestem głodny.

- Zawsze mówisz, że nie jesteś głodny, a potem muszę ci oddawać połowę własnej porcji, bo tak mi cię żal, że Boże uchowaj.

- Oto ja. Przysłowiowy obiekt współczucia.

To mógł być powód, dla którego postanowiła brać przykład z Hinch. On w końcu znalazł w sobie tyle współczucia, żeby - Boże uchowaj - zatrudnić kogoś takiego jak ja.

- Nie zainteresuję cię połówką krewetkowego żarcia, co?

- A, co tam - powiedziałem. - Mógłbym trochę zaszaleć.

Norma zignorowała moją próbę bycia dowcipnym.

Po telefonie Sama odłożyłem słuchawkę, po czym zaraz ją podniosłem, tylko zapomniałem, do kogo mam zadzwonić. W końcu zdałem sobie sprawę, że nie zapomniałem, tylko zwyczajnie skończyły mi się możliwości.

W spisie numerów całego Cleveland nie było Eda Crannella.

Sprawdziłem wszystko w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów i nadal nic.

Chciałem zapytać Crannella, czy twarz, która mignęła mu za szybą nadjeżdżającego samochodu, była biała czy czarna.

W Cleveland nigdy o nim nie słyszano.

Cleveland w Ohio?, spytałem Crannella, by się upewnić, że mówimy o tym samym mieście.

Pokiwał głową i powiedział, że jest przedstawicielem handlowym firmy farmaceutycznej.

Spróbowałem więc i tego. Zrobiłem listę wszystkich znanych mi dużych firm farmaceutycznych i zadzwoniłem do każdej z nich, pytając o Edwarda Crannella.

Nie pracuje u nich przedstawiciel handlowy o takim nazwisku.

Może na niepełny etat, zasugerowałem. Albo na zlecenie?

W Pfizer była przedstawicielka o nazwisku Beth Crannell. Nie mogła być osobą, której szukałem, prawda?

Nie, nie mogła.

Dobra. Obraz, który się wyłaniał, był dość wyraźny. Żadnych śladów poślizgu, żadnego Eda.

Zadzwoniłem do biura szeryfa.

Miał wszystkie potrzebne mi dane z prawa jazdy Eda. Zakładając, że miały cokolwiek wspólnego z prawdą, a prawo jazdy nie zostało kupione w systemie sprzedaży wysyłkowej ani podrobione.

Szeryfa nie ma, poinformowała mnie jakaś policjantka. Odzwoni do mnie.

Oczywiście dręczyło mnie coś jeszcze.

Nie zapomniałem. Nie. Liścik z pokoju Belindy Washington nie wyleciał mi z głowy, nie skasowałem go z pamięci ani nie przerzuciłem do katalogu rzeczy bardzo dziwnych.

„Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin.

Kocham Cię

Benjy”.

Czy mógł to napisać jakiś inny Benjamin?

Na przykład ktoś, kto nie był jej niezującym synem?

Jasne. To możliwe. A biorąc pod uwagę, że Benjamin Washington zginął pięćdziesiąt lat temu w katastrofie tamy Aurora, nawet prawdopodobne.

Zadzwońnięm do pana Birdwella.

- Czy przed przyjęciem urodzinowym Belindy odwiedzał ją może czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku? - spytałem.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział.

- Hmm, a komu byłoby wiadomo, czy ktoś z mieszkańców miał gości?

- Odwiedzający muszą zgłaszać się w recepcji - powiedział. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Próbuje skontaktować się z krewnym, który mógł do niej wstąpić - wyjaśniłem. - Mógłby pan to sprawdzić?

Westchnął i powiedział, że oddzwoni.

Oddzwonił dwadzieścia minut później i powiedział:

- Nikt nie odwiedzał Belindy od lat.

- Naprawdę? A jeśli ktoś nie chciałby się zgłaszać w recepcji? Jeśli zdecydowałyby się po prostu wejść. Czy mogłoby mu się to udać?

- Nie - odparł pan Birdwell. Ale zawahał się, zanim to powiedział, i zabrzmiało to wystarczająco ostrożnie, żebym pomyślał, że kłamie.

Pojechałem do domu opieki jeszcze raz.

Zaparkowałem dwie przecznice dalej przed starą apteką.

Staralem się nie myśleć o panującym w środku dnia upale. Miejscowi lubią podkreślać, że na kalifornijskiej pustyni nie ma wilgoci. Rzeczywiście. Sprytnie przemilczają przekraczające czterdzieści stopni letnie upały, przy których człowiek czuje się jak w saunie, oraz zabójcze wiatry Santa Ana. Bo te wiatry są zabójcze, choć nie tak, jak mogłoby się wydawać. Nie mogą cię sprzątnąć jak wilk, który zdmuchnął domki dwóch małych świnek, lecz zabijają przez wyniszczenie, więc tak uporczywie, że ludzie wariują. Wystarczy zapytać Johna Wrena, który podobno

zbzikował w Littleton. Stał się szalonym samotnikiem i zanim zbiegi w nieznane okolice, pewnej nocy zabarykadował się w redakcji „Littleton Journal”. To wszystko prawda. Wskaźniki samobójstw rosną, gdy wieje Santa Ana.

Skoro już mowa o samobójstwie...

Przyznam się, że w Nowym Jorku raz czy dwa myślałem o tym. Nie poważnie, jak ktoś, kto gotów to zrobić w każdej chwili, tak jak zrzuć na teren wroga agencji Biura Służb Strategicznych, którzy dotykaniem wyczuwali kapsułki strychniny wszyte w pasek spodni. Wiedzieli, czym groziły przesłuchania gestapo, i kiedy już robiło się naprawdę gorąco, świadomość, że spokój może im zapewnić przełknięcie trucizny, musiała być prawdziwą pociechą.

Podczas bolesnego okresu, kiedy występowałem w roli publicznej piniaty* (przez jakiś czas codziennie atakowano mnie w prasie - od sensacyjnych publikacji demaskatorskich po gorzkie traktaty o tym, jak to dobrzy reporterzy schodzą na złą drogę), pocieszające było kontemplowanie od czasu do czasu osiemnastu pięter dzielących okna mojego mieszkania od graffiti na chodniku.

* Piniata (hiszp. *piñata*) - zabawa pochodząca z krajów latynoskich polegająca na strąceniu kijem specjalnie przygotowanej kuli lub kukły wypełnionej zazwyczaj słodyczami, których później uczestnicy starają się zebrać jak najwięcej.

Dotarłem do domu opieki i zignorowałem główne wejście.

Błąkałem się z tyłu budynku, gdzie wysuszony trawnik opaść w dół do zarośniętego sitowiem błotnistego stawu. Teren był otoczony ogrodzeniem z żelazną furką, ale wystarczyło tylko odsunąć zasuwkę. Wyglądało na to, że pan Birdwell bardziej przejmował się tym, że ktoś z mieszkańców domu mógłby z niego wyjść, niż tym, że ktoś z zewnątrz mógłby wejść.

Na trawniku nie było spacerowiczów.

Nic dziwnego, dla przeciętnego osiemdziesięcioletka panujący tu zar był śmiertelny. Wielki klimatyzator brzęczał jak rój wściekłych cykad. Podeszedłem do tylnych drzwi i nacisnąłem klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Każdy mógł tędy wejść, gdyby nie chciał być zauważony lub nie chciał, by wpisano jego nazwisko do księgi gości. Gdyby zamierzał swoją wizytą zrobić komuś niespodziankę.

Gdy tylko wszedłem, otoczył mnie sztuczny chłód.

Minąłem dwóch sanitariuszy. Jeden z nich pchał przykutego do wózka pensjonariusza, który wyglądał, jakby był w śpiączce. Żaden z pielęgniarzy nie zapytał mnie, co tu robię, nie zażądał dowodu tożsamości ani nigdzie mnie nie skierował.

Przeszedłem całą drogę do dawnego pokoju Belindy.

Teraz wydawał się jeszcze bardziej pusty. To przygnębiające, z jaką łatwością pokoje wyzbywają się śladów swojego mieszkańca. Szczególnie gdy był nim ktoś, kto żył ponad wiek.

Drzwi po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się ze skrzypnięciem. Wyjrzał zza nich wysuszony mężczyzna z dużą plamą wątrobową na czole.

- Dan? - spytał.

- Nie.

- Dan, czy to ty?

- Nie, mam na imię Tom. Nie jestem Dan.

- Ach. - W jego głowie zapanował widocznie nagły mętlik. Wycofał się, zamykając za sobą drzwi przystrojone wyblakłymi dziecięcymi rysunkami.

Wszedłem do pokoju i usiadłem na dawnym łóżku Belindy.

„Cześć, mam. To ja, Benjy. Wszystkiego najlepszego. Wybaczam ci”.

Wychodząc, wpadłem na pana Birdwella.

Dosłownie.

Szedłem z pochyloną głową, trochę zahipnotyzowany wzorem czarnych i białych kwadratów na linoleum, i zderzyłem się z nim, kiedy wyszedł zza rogu korytarza.

Nie wyglądał na zadowolonego.

- Co pan tutaj robi?

- Musiałem coś sprawdzić.

- Co takiego musiał pan sprawdzić?

- Czy uda mi się dostać do środka, tak aby nikt o tym nie wiedział.

Pan Birdwell wydawał się jeszcze mniej zadowolony niż przed chwilą. Założył ręce na piersi i wpatrywał się we mnie, jak gdybym był jednym z jego starszych podopiecznych, którego przyłapał na łamaniu regulaminu. Jak gdybym zabrał dodatkowe ciasteczko w czasie podwieczorku albo uszczypnął w tyłek pielęgniarkę.

- To nie było zbyt mądre z pana strony.

- Dlaczego?

- Po pierwsze bezprawnie wkroczył pan na teren budynku. Wyjaśniłem panu, że należy się zarejestrować w recepcji. Po drugie nie udało się panu tutaj dostać tak, żeby nikt o tym nie wiedział, prawda?

- Cóż, nie udało mi się stąd wydostać tak, żeby nikt mnie nie zauważył. Nie jestem pewien, czy to to samo. Wszedłem dosyć łatwo.

- Zechciałby mi pan wyjaśnić, w jakim celu?

- Nie piszę o bezpieczeństwie domów opieki, jeśli to pana martwi.

- To moja sprawa, czym się martwię. Włamał się pan do mojego domu i chciałbym wiedzieć, dlaczego pan to zrobił.

- Czy „włamał się” nie jest zbyt dramatycznym określeniem? Tylne drzwi były otwarte.

- Wszedł pan bez pozwolenia. - Pan Birdwell zaczynał się denerwować. Twarz mu poczerwieniała, kiwał się w tył i w przód. - Wydaje się panu, że każdy może tak sobie wchodzić do domu opieki pełnego chorych i przerażonych ludzi?

- Właśnie.
- Właśnie co?
- Każdy może sobie wchodzić. Jak ja przed chwilą.
- To jakieś błędne koło.
- Chciałem wiedzieć, czy Belinda Washington mogła mieć gościa, o którym pan by nie wiedział. Powiedział pan, że to niemożliwe. Chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest. To wszystko.

- Jakiego gościa?
- Nie wiem. Ale jakiegoś miała.
- Wspaniale. Brawo. Nie wątpię, że jest pan na najlepszej drodze do Pulitzera. Choć z drugiej strony zdaje się, że media ostatnio nie przesadzają z pochwałami pana dokonań, czy nie mam racji?

Uśmiechnął się. W zasadzie to było najgorsze, ten uśmiech. Nie to, że wiedział, że mnie sprawdził, że rozmawiał ze Swensonem albo natknął się na Hinchę i wiedział, ale ten uśmiešek pełen wyższości i zadowolenia z siebie.

Na ten uśmieszek nie miałem odpowiedzi. Żadnej.

Pewnego razu, na ostatnie moje urodziny, które świętowaliśmy jako rodzina, ojciec kupił mi detektywistyczne szkło powiększające w stylu braci Hardy*. Kiedy odszedł, siadałem przed domem w palącym popołudniowym słońcu i testowałem szkło na swojej dłoni, aż pojawiały się pęcherze i nie mogłem już znieść bólu.

Podobny efekt wywoływał uśmiech pana Birdwella na moich szybko oddalających się plecach. Wypalał w nich dziurę.

* *The Hardy Boys* - seria stworzonych przez Edwarda Stratemeyera popularnych książek detektywistycznych, pisanych przez różnych autorów pod pseudonimem Franklin W. Dixon w latach 1927-1979. Bohaterami serii byli nastoletni bracia Frank i Joe Hardy.

ROZDZIAŁ 14

Na czym stanąłem?

Pogubiłem się.

Może dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch dni zjadłem tylko jeden posiłek. Może trzech, nie jestem pewien. Skończyły mi się krakersy - oto i smutna prawda. Koniec tostitos, jolly ranchers i suszonego mięsa - zaopatrzenia zdobytego podczas mojej ostatniej ekspedycji do 7-Eleven, gdy wyłoniwszy się ze swojego pokoju w okularach przeciwsłonecznych i kowbojskim kapeluszu, na śmierć przeraziłem kasjerkę. Kiedy wyjąłem drobne, spojrzęła z ulgą, jakby spodziewała się broni palnej.

Muszę przedsięwziąć środki ostrożności.

Szukają mnie. Grozi mi niebezpieczeństwo.

O czym mówiłem?

O kartce, którą znalazłem?

Na tym stało, prawda? Kilka słów od Benjy'ego uzupełnionych pozdrowieniami przesyłanymi przez tajemniczą Karę. Karę Bolka. Kim właściwie jest ta Kara? Żoną Benjy'ego? Jego dziewczyną?

Chwileczkę. Cierpliwości. Niedługo będzie wiadomo, kim jest Kara Bolka. Niedługo będzie wiadomo, kim są wszyscy. Wyjaśni się sprawa wypadku, wszystko. Martwi powstaną i pokłonią się.

Ale jeszcze nie teraz.

Muszę podjąć wątek.

Utkać ładną, staranną, profesjonalną całość.

Mój profesor dziennikarstwa zwykł mawiać, że każdy reporter nosi w sobie jeden wspaniały temat.

Oto i mój.

Wspomniałem już o kartce. Pamiętam dokładnie, że o tym mówiłem.

„Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin.

Kocham Cię

Benjy

Pozdrawia Cię Kara Bolka”.

Jak haiku.

Haiku czyta się łatwo, ale są przesiąknięte tajemnicą.

Zaraz.

Czy wspomniałem o mojej miacie? Że się zepsuła?

Nie, nie wtedy koło kręgielni.

Drugi raz, cztery przecznice od domu opieki.

ROZDZIAŁ 15

Jechałem i nagle stanąłem.

Silnik zgasł, a samochodem szarpnęło w kierunku pobocza, jak gdyby otrzymał cios.

Byłem wściekły z dwóch powodów.

Braku samochodu i braku klimatyzacji.

Było parszywie gorąco.

Z drugiej strony widziałem światełko w tunelu. Coś z przewodem cewki zapłonowej, tak powiedziała Anna. Miałem wskazówkę.

Podniosłem gorącą maskę i zajrzałem do środka z nieśmiałym uczuciem nadziei. Skupiłem się na miejscu, wokół którego szperała Anna. To było proste - luźny przewód wystający z obudowy.

Udało mi się podłączyć go z powrotem. Już miałem zatrzasnąć maskę, kiedy zauważyłem napis na pokrywie skrzyni biegów. W każdym razie podejrzewałem, że to jest skrzynia biegów.

Ktoś napisał coś palcem w zaschniętym brudzie.

To był login. Identyfikator - dla tych, którzy wciąż opierają się magii Internetu.

AOL: Braakk.

Anna zostawiła mi współczesny odpowiednik numeru telefonu.

Pomyślałem sobie, że to nawet urocze. Dobra, bardziej niż urocze.

Nie będę udawał, że było mi to obojętne. Już dawno nie zdarzyło mi się spodobać kobiecie, która podobałaby się mnie. Jak mawiają beduini - długo nie było wodopoju.

Zaschło mi w gardle.

Po powrocie do domu wypróbowałem login. Zalogowałem się na AOL, gdzie używałem pseudonimu Starreport - wybrałem go, zanim jeszcze Ken Starr* wydał osiemdziesiąt milionów dolarów podatników na dochodzenie w sprawie seksu oralnego. A także zanim moje własne postępowanie spowodowało, że posługiwanie się loginem pochodzącym od słów „star reporter” nabrało cech skrajnej farsy.

* Kenneth Starr - kontrowersyjny prokurator, który był oskarżycielem byłego prezydenta USA Billa Clintona, autor 455-stronicowego dokumentu zwanego Raportem Starra zawierającego szczegółowe opisy kontaktów seksualnych prezydenta z Moniką Lewinsky.

Nigdy nie zawracałem sobie głowy tym, żeby go zmienić.

Profil użytkownika Braakk był następujący:

Nazwisko: Anna Graham

Lokalizacja: Stan Chaosu, a czasem Braakku.

Płeć: Zgadnij

Związek małżeński: Czy to nie oksymoron?

Hobby i zainteresowania: Gra w zagadki.

Zajęcie: Tak.

W opisie miała cytat z tekstu piosenki Roberta Zimmermanna znanego również jako Bob Dylan: „Lepiej zacznij pływać albo pójdziesz na dno jak kamień”.

Trudno było się oprzeć komuś, kto miał taki profil. Szczególnie gdy składał w nim hołd jednej z najważniejszych piosenek dwudziestego wieku, którą, jako jedną z ulubionych, ulokowałem już bezpiecznie w swoim iPodzie.

Sprawdziłem, czy Braakk jest dostępna. Nie była.

Wysłałem jej maila.

W każdym razie spróbowałem. Staralem się utrzymać równowagę między niedbałym, przyjacielskim tonem a wrażeniem szalejącej żądz. Najlepiej w sposób inteligentny i dowcipny - choć trochę.

Utknąłem na „Cześć”.

Jak już wspomniałem, to było dawno. Kiedyś produkcja podszytych flirtem przekomarzanek przychodziła mi bez wysiłku. Oczywiście było to jeszcze w czasach, gdy fabrykowałem wiadomości. Być może tworzenie fikcji na temat innych ludzi szło w parze z tworzeniem fikcji o sobie. Czy nie to właśnie robią ludzie w mroku baru - zakładają maskę, mając nadzieję spodobać się komuś innemu?

Teraz, kiedy już nie zmyślałem, trudno mi było zbudować pełne zdanie.

Ale udało się.

„Cześć, Anno - napisałem. - Na szczęście przewód od cewki zapłonowej znowu się poluzował, bo w przeciwnym razie mogłoby minąć sporo czasu, zanim zauważyłbym Twoją wiadomość”.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy to mogło przyjść do głowy również Annie i czy poluzowała przewód celowo. Nie, uwierzyć w to choćby przez chwilę, byłoby szczytem niepokromionej pychy.

„Miałem nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Rozważyłem pomysł wyjazdu do Santa Monica, usadowienia się gdzieś przy promenadzie i oczekiwania, aż się pojawisz. Czy jesteś jeszcze w mieście? Jeśli tak, to chętnie kupiłbym Ci drinka. Albo wyspę. Cokolwiek zechcesz”.

Gdy tylko wysłałem wiadomość, doszedłem do wniosku, że trąci desperacją.

Za późno. Może i jest sposób na skasowanie wysłanego maila, ale ja go nie znałem.

Było to trochę jak w czasach szkoły średniej, kiedy zdarzało się chlapnąć coś przez telefon i w następnej sekundzie tego pożałować. Ale z drugiej strony może ona też była zdesperowana?

Desperacja jest dość powszechna w dzisiejszym świecie.

Wieczór w kręgielni.

W Niech Mnie Kule Biją panował wyjątkowy tłok. I wyjątkowy hałas, nawet jak na kręgielnię. Z jakichś powodów przesunięto rozgrywki ligi kobiet i grywaliśmy teraz w te same wieczory.

Na dobry początek Sam ponownie zaproponował mi kupno ubezpieczenia na życie. Ponownie odmówilem.

A Seth to już osobna historia. Zachowywał się jak dwulatek z zespołem nadpobudliwości psychoruchowej. Po każdym rzucie wykonywał improwizowaną interpretację przeboju *Who Let the Dogs Out* - gardłowej części chóralnej. Uuu-ooo-ooo-ooo-ooo, któremu towarzyszyła seria pchnięć biodrami w stylu rapperki Lii' Kim.

Kilka kobiet grających cztery tory od nas zastygło w połowie gry, przyglądając mu się, jak gdyby nie mogły do końca uwierzyć w to, co widzą.

Wtajemniczyłem Marva w swoje problemy z samochodem.

- Przewód od cewki zapłonowej, hm. Podjedź do mnie, to rzucę okiem - powiedział. - Gratis.

- Dzięki.

- No problemo.

Marv był znany ze swojego spokoju. Ktoś taki jak on mógłby obserwować, jak rośnie trawa, i świetnie się przy tym bawić.

Takiej postawy oczekuje się od pracownika telefonu zaufania dla osób o skłonnościach samobójczych. Gdybym kiedyś znowu pomyślał o skończeniu ze sobą, zadzwonię do Marva.

Teraz myślałem o czymś innym.

Śledztwo w sprawie wypadku prowadziło donikąd. Kiedy szeryf Swenson oddzwonił do mnie (po kilku dniach), zareagował na moje nowiny o braku Eda Crannella w Cleveland ledwo powstrzymywanym ziewnięciem. To był wypadek, przypomniał mi. Co oznacza, że nikogo nie obchodzi, czy Ed Crannell się znajdzie, czy nie.

No i był jeszcze ten intrygujący, ale wciąż niezrozumiały liścik od Benjy'ego.

I była Anna.

Odpowiedziała na moją wiadomość.

„Biorę wyspę - napisała. - Palmy i ciepła woda mile widziane. A jak już będziesz na zakupach, to poproszę jeszcze o martini”.

To w pewnym sensie żalosne, jak bardzo uszczęśliwiło mnie tych kilka słów. Zupełnie jak gdyby wyszeptala dwa magiczne słowa. Natychmiast odpisałem. Umówiliśmy się na następny wieczór w Violetta's Emporium, jedynej przyzwoitej włoskiej restauracji w mieście.

Ze zdziwieniem zauważyłem u siebie odruchy wielkoduszności, może nawet przyływ szczęścia, no, w każdym razie nadziei. Tylko że szczęście to rzeczywistość podzielona przez oczekiwania, a moje oczekiwania wyraźnie wzrosły.

Kiedy zauważyłem Seta stojącego twarzą w twarz z dwoma wkurzonymi facetami, w pierwszym odruchu byłem gotów postawić im piwo.

Coś najwyraźniej umknęło mojej uwadze. Tego wieczoru zdobywałem punkty, jednocześnie rozmyślając, jak mógłbym je zdobyć jutro. Tymczasem dwóch facetów z jakiegoś nieznanego powodu wrzeszczało na Seta.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zasugerował jeden z nich.

Seth opierał się jednak tej sugestii.

- Pieprzcie się - wykrzyknął. W prawej ręce trzymał kulę do kręgli, wymachując nią luźno, jakby miał zamiar użyć jej w charakterze broni.

Sam próbował interweniować.

- Luz, chłopaki.

- Nie wtrącaj się, tłuściochu - powiedział jeden z nich. - Ten palant obraził nasze panie.

Obraził?

Wtedy zrozumiałem. Seth wykonywał swoje psie popisy, a jednej z kobiet się to nie spodobało. Bo jego spontaniczne zawodzenie przypominało epitety, jakimi w Nowym Jorku robotnicy budowlani obrzucają przechodzące kobiety. Seth mógł po prostu powiedzieć towarzystwu w kręgielni, że jego radosne okrzyki nie były skierowane do kogoś w szczególności, lecz do całego wszechświata.

Cały Seth.

- Te pieski? - zapytał. - Trzeba było założyć im kagańce.

To wystarczyło, żeby jeden z nich pchnął go na podajnik do kul. Seth pozbierał się chwiejnie.

Kiedy rzuciłem się, odgrywać rolę mediatora, zobaczyłem BJ-a wyłaniającego się zza baru z kijem baseballowym w rękach. Zajście miało zadatki na paskudny incydent, idealny na nagłówek jutrzejszego „Littleton Journal”.

- Hej, chłopaki - powiedziałem. - Jesteśmy w kręgielni.

- Dzięki, dupku - wymamrotał większy, nawet na mnie nie patrząc. - Myślałem, że w bibliotece publicznej.

Seth wziął niezgrabny zamach kulą, celując w głowę większego faceta, lecz chybił o kilometr i zatoczył się, wpadając na stół do zapisu punktów. Przyszło mi do głowy, że na jego równowagę wpłynęło jakieś pięć czy sześć piw. Z kulą do kręgli czy bez kuli był łatwym celem.

Facet dał Sethowi w twarz. Seth osunął się ciężko. Jakaś kobieta krzyknęła w głębi kręgielni - chyba nie była to żadna

z tych kobiet, które wysłały dwóch kretynów, aby bronili ich honoru.

Udało mi się chwycić za rękę tego, który stał bliżej. Nie wyglądał może tak imponująco jak jego przyjaciel, ale i tak pod koszulką dało się wyczuć okazałe mięśnie.

Odwrócił się w moją stronę, cofając prawą pięść. Poczułem nagły przypływ adrenaliny, podobny do efektu, jaki wywoływała u mnie koka, którą zacząłem wdychać w Nowym Jorku podczas ostatnich nieznośnych dni. Zrobiłem unik, a pięść musnęła moje ucho. Wszyscy zaczęli gromadzić się wokół naszego toru, większość po to, żeby się pogapić, ale niektórzy wyglądali na zwabionych perspektywą staroświeckiej burdy w barze.

Łup!

Kij baseballowy BJ-a trzasnął w pobliski stolik, wystrzeliwując w powietrze półtorej butelki millera high life.

Spora ilość piwa opryskała wściekłego nie na żarty faceta, którego uczepliłem się ze wszystkich sił.

Trochę płynu dostało mu się do oczu. Zaklął, skrzywił się i zakrył twarz wolną ręką. Jego chwilowa ślepotą pozwoliła mi zastosować coś w rodzaju niedźwiedziego uścisku - raczej Misia Jogi niż grizzly.

Sethowi udało się jakoś wstać i zastygnąć we wzbudzającej wątpliwy respekt pozycji bokerskiej. Wyglądało na to, że wszyscy na coś czekają.

Albo na kogoś, kto trzymał kij baseballowy nad głową.

- Wybraliście sobie nie najlepsze miejsce - powiedział BJ niezwykle spokojnym głosem.

Nikt nie ośmielił się polemizować, łącznie z facetem, którego ściskałem jak dawno utraconego przyjaciela.

Czułem zapach potu i wody po goleniu. Powoli zwolniłem uścisk. Odsunął się i posłał mi mordercze spojrzenie, ale nie próbował wznowić działań wojennych.

Seth nadal się kiwał i zataczał.

- Szczekał na moją dziewczynę - powiedział ten, który zaatakował Setha. Najwyraźniej poczuł potrzebę wyjaśnień. To mogłoby być jego wystąpienie w telewizji w roli szubrawca z *talk-show* pod tytułem „Dlaczego ciągle kogoś biję”: ogolona większa część głowy i krzykliwy tatuaż kapeli Judas Priest wyeksponowany na ramieniu.

- On szczekał tak po prostu - powiedziałem. - Szczerze. Taki już jest. Żywiolowy.

Seth chyba nie docenił moich wysiłków, aby go obronić. Możliwe, że nie wiedział, co znaczy żywiolowy, i zastanawiał się, czy nie wrabiam go przypadkiem w coś kompromitującego.

- No właśnie - powiedział BJ, wciąż trzymając wysoko kij. - Nie było faulu, nikt nie ucierpiał - widocznie nie znalazł stosownej analogii w grze w kręgle. - Myślę, twardziele, że możecie uznać wieczór za zakończony.

Określenie „twardziele” zabrzmiało sarkastycznie.

- Hej - powiedział Sam - może wszyscy podamy sobie ręce?

Chyba chciał załatwić sprawę w sposób cywilizowany, może nawet planował zaoferować im ubezpieczenie na życie, kiedy już wszyscy się pogodzimy.

- No - powiedział niezrażony brakiem zainteresowania jego propozycją. - Co wy na to?

Niewiele. Facet, który dał Sethowi po mordzie, prychnął szyderczo, odwrócił się i zwyczajnie sobie poszedł.

Sam, oblany rumieńcem, zwrócił się ze swą lekko przywiądłą gałązką oliwną do drugiego osiłka. Nadal brak chętnych. Facet pokręcił głową, jak gdyby Sam był niedorozwiniętym dzieckiem, po czym poszedł w ślady kumpla.

Wtedy właśnie go zobaczyłem.

Obserwowałem, jak idą wzdłuż torów, pewnie po te swoje panie, które Seth tak ciężko obraził. Kilku mężczyzn poklepało ich po plecach i rzuciło słowa aprobaty w ich kierunku.

Znałem jednego z nich.

Ostatnim razem, kiedy go widziałem, trzymał w ręce narzędzie hydrauliczne. Albo nie narzędzie, tylko coś, czym można było zrobić dziurę w ścianie i podważyć obudowę gniazdka telefonicznego. Zwrócił w moim kierunku swoją twarz o rysach tak niewyraźnych, jakby jakimś sposobem opuścił ostatni trymestr życia płodowego, i patrzył. Mógłbym przysiąc, że się uśmiechał.

Było mi niedobrze.

Nie ruszyłem się z miejsca ani nie wezwałem policji.

Spojrzałem na Setha, niemo szukając wsparcia. Kiedy odwróciłem się znowu, hydraulik zniknął.

Wiem. To brzmi, jakbym miał halucynacje.

Nie miałem.

Był tam, a potem go nie było, zdążył się uśmiechnąć i zniknął.

Rzuciłem się do stolika zajmowanego przez dwie pary w średnim wieku w jednakowych koszulkach do gry w kręgle. Wszyscy jedli tłuste frytki i hot dogi z sosem chili.

- Ten człowiek, który tu przed chwilą stał, dokąd on poszedł? - zapytałem ich.

Przyglądali mi się nieufni. I skonsternowani. Jaki człowiek, który przed chwilą stał, gdzie, mówiły ich twarze.

- Kto? - spytała w końcu jedna z kobiet.

- Mężczyzna, który stał obok waszego stolika...

- Ten, z którym się biłeś? - spytała. - Jest tam.

- Nie, nie on. Ten, który coś mu szepnął, kiedy tędy przechodził.

- Komu coś szepnął? - spytał jeden z mężczyzn. Chyba chętnie poparłby propozycję BJ-a, żebym opuścił lokal. Albo chociaż zostawił ich w spokoju.

- Jestem reporterem tutejszej gazety, chciałbym tylko wiedzieć, kim jest facet...

- Nie wiemy, o kim mówisz - powiedziała kobieta, patrząc na mnie prawie z litością.

Dałem spokój i rozejrzałem się po kręgielni. Większość ludzi wróciła już do gry, uznając występ za zakończony. Jutro w pracy będą mieli o czym mówić przy porannej kawie. „I wtedy on wziął kulę do kręgli i...”

Popędziłem do męskiej toalety. Jakiś licealista podziwiał w lustrze swój kolczyk w języku. I tyle.

Wydostałem się na zewnątrz budynku, ale tam również nie było hydraulika.

Tylko resztki mojej drużyny.

Seth opowiadał właśnie Samowi i Marvowi, jak zamierza wyrównać rachunki z tą ciotą, która zniecka dała mu w twarz.

- Tylko poczekajcie - odgrażał się. - Ma to jak w banku.

ROZDZIAŁ 16

Gdy moja historia o wzruszającym powrocie Lowella Beaumonta do domu zdała egzamin, zapewniając mi uznanie i werbalny uścisk Tego, Któremu Należy Dogadzać - nie wspominając pojedynczych oklasków z ostatniego rządu dla wotów roboczych, z korektorni - zrobiłem to znowu.

Napisałem kawałek o amerykańskim najemniku, sprzedającym swoje usługi tym, którzy najlepiej płacili, łącznie z przywódcą talibów, co zmusiło go do walki przeciw rodakom.

Kawałek był niepokojący, dramatyczny, a także smutny.

Nie miał nic wspólnego z prawdą.

Nigdy nie spotkałem tego najemnika.

Był zlepkiem kilku osób, z którymi rozmawiałem, o których czytałem albo może śniłem.

Ale czy to miało znaczenie?

Zadziałał przecież jak magiczne żakiecie.

Potem, jeden po drugim, przyszły kolejne tematy. Przyprawiający o zawrót głowy popis kreatywnego pisania.

Grupa bezrobotnych hollywoodzkich aktorów, którzy oferowali swoje usługi rosyjskiej mafii. Żeby oszukać ludzi, przyjmowali różne role - od sprzedawców części komputerowych po kościelnych organistów.

Zespół republikańskich doradców politycznych, którzy w każdej ważniejszej kwestii odwoływali się do Ewangelii.

Gra w samochodowego berka zbierająca żniwo na krajowych drogach - samochody stukające się zderzakami przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę tak długo, aż przegrany się rozbije i spłonie.

Tajne stowarzyszenie piromanów, którzy w Internecie handlowali filmowymi relacjami ze swoich największych osiągnięć -pożarów lasów, budynków, eksplozji stacji benzynowych.

Było w tym coś porywającego.

Tworzenie niestworzonych historii. Nadawanie im rangi faktu przedstawionego czarno na białym. Opowiadanie coraz większych bzdur i wstrzymywanie oddechu, dopóki nie okaże się, że uszło mi to płazem. To było jak gra w ruletkę, kiedy zastawia się własny dom.

Rodzaj nałogu.

Byłem uzależniony od pochwał i próśb o kolejne teksty. Nawet od zazdrości kolegów.

Przecież naprawdę mi zazdrościli.

Oczywiście jeden z tych zawistnych reporterów zabrał mnie w końcu do Keatsa, żeby przy pomocy tequili rozwiązać mi język i zgłębić tajemnicę moich błyskotliwych, sensacyjnych tematów. Szczególnie ostatniego - najświeższego, najgłośniejszego - historii o pediatrze, który podłożył bombę pod klinikę aborcyjną. Pamiętam, że tamtego wieczoru długo o wszystko wypytywał: jak poznałem tego lekarza? gdzie? jak wpadłem na to, że podaje mi informacje w postaci anagramów - na przykład nazwę miejsca swojego urodzenia albo miasta, w którym mieszkał?

Dobrze. Może mój kumpel od kieliszka wcale mi nie zazdrościł, może był po prostu rzetelny, chciał chronić zawód, który sobie wybrał, przed czymś, co uważał za niegodne.

Oczywiście ostrzegł dyskretnie pewnego redaktora.

Podobne sytuacje zdarzały się wcześniej. Świetnie opanowałem umiejętność tworzenia szczegółowych notatek, kiedy tylko były mi potrzebne.

Czasem były. Kiedy ktoś, kto - w przeciwieństwie do wytworów mojej wyobraźni - istniał naprawdę, zarzucał mi, że to, o czym napisałem, nigdy się nie wydarzyło, że nigdy nie przeprowadziłem z nim wywiadu, że nie widział mnie na oczy ani o mnie nie słyszał. Ponieważ jednak większość tych osób przedstawiałem w niezbyt pochlebnym świetle, nietrudno było przypisać motywmy ich postępowania złości i zwyczajnej chęci zdyskredytowania oskarżyciela. Oczywiście, że twierdzi, że nigdy o mnie nie słyszał, odpowiadałem na stawiane mi zarzuty, jakby w ogóle nie było warto o nich mówić. Każdy by się tak zachował, gdyby w taki sposób opisano go w gazecie.

To, że żyjemy w świecie, w którym wszystkiemu można zaprzeczyć, było dość pomocne.

Wystarczy rzut oka na dzisiejsze wiadomości - wszyscy wszystkiemu zaprzeczają. To zostało wyjęte z kontekstu. Niedosłyszane, niezrozumiane, przedstawione niewłaściwie, w sposób nieprzemysłany albo zwyczajnie wysrane z paka. Nikt za nic nie odpowiada, wystarczy zapytać naszego prezydenta, czy znalazł ostatnio jakąś broń masowego rażenia w Iraku.

Byłem tworem naszych czasów, kimś, kto w innym świecie nie miałby racji bytu.

To mnie w żaden sposób nie usprawiedliwia.

Nie.

Miałem szansę zyskać parę punktów metodą Oprah Winfrey - wzbudzić sympatię, wywlekając w publicznej telewizji historię z dzieciństwa. Mogłem uzyskać choć częściowe odpuścić win dzięki anegdotom z rodzinnego albumu państwa Valle.

Przynajmniej jednej anegdocie.

W końcu w naszych czasach jedyną rzeczą modniejszą od zaprzeczania swoim grzechom jest wyznanie ich w telewizji.

*Ameryka wciąż nam przypomina, że robienie złych rzeczy
jest w granicy rzeczy w porządku, jeżeli ma się dobry powód.*

Oparłem się tej pokusie.

Nadal się jej opieram.

Skoro już mowa o pokusach.

Oto jak one wyglądają.

Jak Anna.

Siedzieliśmy we dwoje w Violetta's Emporium.

Na naszym stoliku stała świeczka w ozdobnym szklanym świeczniku rzucająca miękkie, roztańczone światło na twarz siedzącej naprzeciw mnie kobiety. Chociaż oczy Anny sprawiały, że wyglądała pięknie i bez nastrojowego oświetlenia.

Stolik był na tyle ciasny, że nie dało się uniknąć stykania się kolanami. Nie twierdzę, że się przed tym wzbraniałem, przeciwnie: robiłem, co się dało, żeby wciąż ocierać się o jej nogi. Dwa lata temu, przemierzając kraj w drodze do upokorzenia, zatrzymałem się w kurorcie w Arizonie i przepuściłem tam resztkę gotówki na masaż gorącymi kamieniami. Teraz, dotykając kolan Anny, czułem się podobnie jak wtedy, gdy gładkie gorące kamienie przyprawiały mnie o ogniste dreszcze promieniujące do nóg. I w przeciwnym kierunku.

Wiem. Ckliwa szmira najpodlejszego gatunku.

Próbuję tylko odmalować obraz, z pomocą wewnętrznego policyjnego portrecisty odtworzyć to, co mnie wtedy uderzyło.

Oboje zamówiliśmy vermicelli, ale prawie nie tknąłem swojego.

Kobiety, które miały pecha spotkać się ze mną na pierwszej randce, na ogół miały fałszywe przekonanie, że jestem niejadkiem.

Mogę jeść w towarzystwie najładniejszych.

Głód jednej rzeczy przeważa zwykle nad głodem czego innego. Jestem nieustannie głodny miłości i akceptacji - w każdym

razie zdaniem doktora Payne'a, który usiłował zgłębić podłoże moich społecznych zachowań.

„Twój ojciec był nieobecny, byłeś maltretowany przez matkę alkoholicką - podsumował - nic więc dziwnego, że szukasz ciągłego, mocnego poklepywania po ramieniu”.

Brzmiało to sensownie.

Wyjaśniało również, dlaczego zazwyczaj moje znajomości kończyły się po pierwszej randce. Widocznie bycie w potrzebie nie jest cechą, która czyni mężczyznę atrakcyjnym. Jedyna kobieta, która była innego zdania, wyszła za mnie. Potem miała tego żałować.

Anna i ja rozmawialiśmy o niczym.

Zapytała o moją pracę.

- Miałam na studiach zajęcia z dziennikarstwa - powiedziała, wyginając buzię w podkówkę, co miało, jak sądzę, wyrażać jej brak zdolności w tej dziedzinie. - Co, jak, gdzie, kiedy... co było piąte? Kiepsko mi szło. Nie jestem typem obserwatora. Nie umiem być obiektywna. Obląlam.

- W porządku. Nie jesteś reporterem. Czym się zajmujesz? W twoim profilu nic na ten temat nie było.

- Oczywiście, że było. Gram w zagadki, nie pamiętasz?

- A tak. Urocze.

- Tak sądzisz?

- Tak, tak myślę.

- Pracuję dla organizacji pożytku publicznego - powiedziała.

- W samym centrum Santa Monica, chociaż takie rzeczy lepiej pasują do Berkeley: strefa wolna od energii atomowej i tak dalej.

- Co to za organizacja?

- Nic nadzwyczajnego. Czysta planeta, czysta polityka, brudne filmy, wszystko, co bliskie sercu demokracji.

Przejechała środkowym palcem po szklanej krawędzi świecznika, zgarnęła kroplę gorącego wosku i podniosła go do światła, krzywiąc się z bólu.

- Próbowałaś tego kiedyś?
- Czego?
- Gorącego wosku. - Zachichotała i wypila kolejny łyk chianti.

- W jakim sensie? Dać się nim oblać?
- O, tak.
- Czy własnoręczne oblanie też się liczy?
- Nie wiem. Byłeś praktykującym masochistą?
- Nappełniałem zakrętki od butelek do scully. Miałem siedem lat.

- W takim razie to się nie liczy. Co to jest scully?
- Gra podwórkowa z Nowego Jorku. Nappełniasz zakrętki od butelek woskiem z kredek, rysujesz kredą kwadrat na chodniku i próbujesz wyeliminować przeciwnika z gry. Taka gra w kule, ale nakrętkami.

- Nowy Jork, co?
- Tak, Nowy Jork. Nie rozpoznałaś akcentu?
- Myślałam, że jest litewski. O, ja głupia.

Chciałem jej powiedzieć, że wcale nie jest głupia. Chociaż wiedziałem, że tylko żartuje. Chciałem jej powiedzieć, że jest najbardziej oszałamiającą, wyjątkową i urzekającą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Oczywiście mówiłem to już innym kobietom w innych Violetta's Emporium. Miałem pechowy zwyczaj zakochiwania się na zabój po drugim drinku. Po prostu szukam kogoś, kto mocno poklepie mnie po ramieniu, doktorze Payne.

- Co tutaj robi nowojorczyk? - zapytała.
- Pracuję nad opalenizną.
- Pytam poważnie. Dlaczego tu przyjechałeś?
- Musiałem odpocząć. - Była to jedna z tych odpowiedzi, które rządowe komisje śledcze określają mianem wymijających, chociaż nie są jeszcze krzywoprzysięstwem.

- Od czego? - zapytała, nie odpuszczając. Jej policzki zdobiły rumieńce, malinowe jak sos na crème brûlée.

- Miałem trudny okres w poprzedniej gazecie - powiedziałem. Musiałem zmienić temat. - Czy masz chłopaka? - zapytałem.

- Chłopaka? A co to takiego?

Poczułem nagły przypływ słodkiej uwodzicielskiej nadziei.

- Minęło trochę czasu?

- Sporo czasu. Jestem mężatką.

- Aha.

Nadzieja powiedziała „pa, pa” i zostały z niej zgłiszcza jak z tamtego samochodu na drodze numer czterdzieści pięć.

- Nie łam się - powiedziała Anna. - Myślę poważnie o tym, żeby go rzucić.

- Naprawdę?

- Mieszka z dwudziestoczteroletnią instruktorką aerobiku.

Więc przyszło mi to na myśl.

- Rozwieźcie się? - zapytałem.

- Nie wiem. W końcu tak. Pewnie. To nie takie łatwe. Mamy syna.

- Naprawdę? Ile ma lat?

- Cztery.

- Jak ma na imię?

- Cody. Czy mogę być standardową nudną mamusią i pokazać ci jego zdjęcie?

- A czy będę musiał nad nim wydawać standardowe „ochy” i „achy”?

- Tak.

- Dobra.

Wyjęła portfel i otworzyła.

- Proszę. Oooch.

Blond krasnal pedałuje na dziecięcym rowerku. Anna pilnuje go z tyłu.

- Co to jest ta rzecz, którą trzymasz? - zapytałem.

- Nie widziałeś urzędnika pomagającego zaszcześcić pewność siebie i niezależność u twojego przedszkolaka?

- Chyba nie.

- To rowerek z rączką. Twoje dziecko pedałuje, a ty pchasz. Wydaje mu się, że szarżuje jak Dennis Hopper w *Easy Riderze*, ale tak naprawdę to ty kierujesz. Takie małe oszustwo.

- No. Czy mógłbym dostać coś takiego?

- Następnym razem jak będę w Toys'R'Us, masz to jak w banku - powiedziała. - No, a jak tam z tobą?

- Ze mną? Co?

- Wolny? Żonaty? Rozwiedziony? Rozwodzący się?

- Odpowiedź C.

- Aaa. Jak to jest? Dostać rozwód.

Wahałem się na tyle długo, że Anna przeprosiła mnie za swoje wścibstwo.

Odpowiedziałem mimo to.

- To była w dużej mierze moja wina. W pewnym sensie to spieprzyłem.

Coś mi się przypomniało. Mimowolnie - ktoś zaczyna mówić o swoim nieudanym małżeństwie, a toksyczne wspomnienia zatrują nas jak biernego palacza. Moja słodka i lojalna żona wychodząca do kawiarni Starbucks, żeby nigdy nie wrócić. Zanim wyszła z naszego mieszkania, wymamrotała coś o waniliowym frappuccino i o potrzebie przemyślenia tego wszystkiego. „To wszystko” było publicznym oszustwem, którego dopuściłem się w znanym amerykańskim dzienniku - i chyba również w swoim małżeństwie, bo przecież powiedziała „tak” prawdziwemu dziennikarzowi śledczemu, który w gruncie rzeczy nim nie był. Moja eks, jako architekt specjalizujący się w drapaczach chmur, miała tendencję do patrzenia na życie w kategoriach konstrukcji - projekt dobrego związku musiał uwzględniać fundament zaufania. Spowodowałem zbyt wiele pęknięć w murach oporowych i konstrukcja stała się niestabilna.

- Przykro mi, że nie wypaliło.

- Mnie również.

Zapytałem, dlaczego nie dała mi po prostu swojego numeru telefonu tamtego wieczoru na parkingu.

- Dałam. W pewnym sensie.

- Napisałaś mi swój login na skrzyni biegów. Skąd wiedziałaś, że tam zajrzę?

- Nie wiedziałam. Ale jeśli tak się stało, to być może dlatego że tak miało się stać.

- Przeznaczenie?

- Może. Ale masz kompletnie zajeżdżony silnik, zdarzyło ci się chociaż raz zmienić olej? Coś mi mówiło, że zajrzysz jeszcze pod maskę. Poza tym zapisałam login na gaźniku, nie na skrzyni biegów.

Roześmialiśmy się. Sięgając po kieliszek, przewróciłem go i wylałem wino na jej kolana.

- Cholera - zakląłem.

Zerwaliśmy się na równe nogi, Anna próbowała strzepnąć krople, podczas gdy ja sięgałem po serwetkę, maczałem ją w wodzie i bez przekonania usiłowałem wytrzeć jej zniszczoną sukienkę.

Wtedy zrobiła coś cudownego. Poza tym, że nie wybiegła z restauracji, nazywając mnie Shrekiem.

Powiedziała:

- Jeżeli chciałeś wykorzystać mnie seksualnie, wystarczyło zapytać.

ROZDZIAŁ 17

Nate przekazał mi, że dzwoniła jakaś pani.

Pokręcił palcem w okolicy ucha w uniwersalnym geście oznaczającym „stuknięta dziwaczka”.

Telefon od tej szalonej osoby odebrał Nate, bo ja zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, na twarzy miałam coś, co można chyba nazwać głupkowatym uśmiechem. Podejrzanie potwierdziło się, kiedy spojrzałam w zaparowane łazienkowe lustro i nie zobaczyłam w nim pana Kwaśna Mina. Zamiast niego był pan Głupkowaty, który wrócił z wygnania. Trochę mi go brakowało.

Kiedy tanecznym krokiem wszedłam do biura, Norma zdjęła okulary i zmrużyła oczy.

- Wyglądasz jakoś inaczej - powiedziała.

- Kto to był? - zapytałam Nate'a Skate'a.

Rozmawiał przez komórkę, prawdopodobnie ze swoją dziewczyną nudystką.

- Nie wiem, zostawiłam ci numer na biurku.

Znalazłem kartkę - pani Flaherty. Pewnie chciała zapytać, jakie zrobiłem postępy. Nie zrobiłem żadnych. Poczulem nagły przypływ litości dla samotnych i cierpiących tego świata, warstwy społecznej, z którą niegdyś się utożsamiałem.

Nie oddzwoniłem od razu. O nie.

Delektowałem się poranną kawą, błogosławiąc biednych Kolumbijczyków, którzy harowali na plantacjach, abym mógł ją pić. Podejrzewam, że człowiek, który otrzyma odpowiednią dozę miłości i akceptacji, zaczyna przekazywać ich nadwyżkę innym.

Na przykład Hinchowi.

Wyszedł ze swojego biura z nieobecny wyrazem twarzy. Jego zarost osiągnął rozmiary prawie bródki. Wygnieciona koszula wystawała ze spodni.

- Jak się czuje twoja żona, Hinch?

Norma zaczęła przekładać jakieś papiery na biurku.

- Co? - Hinch zmierzył mnie wzrokiem, jakbym był świadkiem Jehowy, który zapukał do jego drzwi w dniu, kiedy ma wolne.

- Spytałem tylko o zdrowie twojej żony.

Nagle jego oczy się zaczerwieniły. Tak po prostu. Najpierw straciły wyraz i ostrość, aby następnie zwiastować nadciągające chaos i zniszczenie. Można to nazwać katastrofą tamy Aurora dwa.

Niezdarnie przetarł jedno oko, spojrzął na swoje buty i wymruczał coś pod nosem.

- Słucham?

- Zdrowie mojej żony... to nie twój interes - powiedział. Nie był zły. Raczej smutny.

- Przykro mi. Mam nadzieję... że wszystko, no wiesz... - zacząłem silić się na słowa pociechy, ale w końcu pozwoliłem im utonąć w niewyraźnym mamrotaniu.

Hinch wrócił do swojego biura.

Zapadła zenująca cisza. Nate podjął przerwana rozmowę telefoniczną, szepcząc: „Muszę już kończyć, kochanie”. Norma spojrzała na mnie kątem oka i westchnęła.

- Jest znowu w szpitalu, Tom - powiedziała cicho. - Bóg mi świadkiem, to nie wygląda dobrze.

- Przykro mi. Nie wiedziałem.

Mój przyjazny nastrój wyparował. Pomyślałem, że właściwie mogę już spokojnie zadzwonić do pani Flaherty.

- Chce pan z nim rozmawiać? - zapytała, kiedy się przywitałem

- Z kim?

- Z Dennisem.

- Z Dennisem? O czym pani mówi?

Powinienem się zorientować, o czym mówi. Mój syn wrócił, żeby powiedzieć „hej”, powiedziała mi stuletnia Belinda. To się stawało modne.

Odbyliśmy miłą pogawędkę.

Dennis i ja.

Może nieco jednostronną, bo Dennis nie był zbyt rozmowny, a ja miałem wrażenie, że jego głos dobiega spod powierzchni wody. Stuknąłem kilka razy słuchawką o biurko, żeby pozbyć się zakłóceń. To jednak nie były zakłócenia, tylko głos Dennisa.

- Wszystko przez leki - powiedziała pani Flaherty, kiedy Dennis oddał jej słuchawkę i poszedł do swojego pokoju z czasów dzieciństwa, żeby się zdrzemnąć. - Od nich robi się senny.

Co to były za leki?

Psychotropy, które podawano mu w szpitalu psychiatrycznym dla weteranów, żeby był grzeczny i szczęśliwy.

- Czy wiesz, że przeżyłeś śmiertelny wypadek samochodowy? - zapytałem, kiedy już się przedstawiłem.

- Mmhm - odpowiedział przygaszonym, beznamiętnym głosem.

- Jak myślisz, jak to się mogło stać?

- Nie wiem.

- Ktoś miał twój portfel.

- No.

- Dennis, czy rozumiesz, co mówię? Zostałeś pochowany.

- Tak.

- Gdzie zgubiłeś portfel?

- Nie wiem. Na ulicy.

- Na ulicy? Chcesz powiedzieć, że mieszkałeś na ulicy?

- Tak.

- Kiedy ostatnio miałeś portfel przy sobie?

- Nie wiem. Nie miałem go w szpitalu.

- Jakim szpitalu?

- Dla weteranów.

- Byłeś w szpitalu dla weteranów?

- No.

- Dlaczego tam trafiłeś?

- Coś jest nie tak z moją głową.

- Coś jest nie tak z twoją głową? Co to znaczy? Jesteś... chory umysłowo?

- No.

- Czy byłeś kiedyś w Littleton, w Kalifornii?

- Gdzie?

- Nie byłeś tydzień temu w Kalifornii, prawda?

- Mmhm.

- Nieważne. Ktoś zginął w wypadku. Rozumiesz? To nie byłeś ty. To był ktoś inny, kto z jakiegoś niezrozumiałego powodu miał twój portfel.

- No.

- Ale nie wiesz, skąd go miał. Jak zgubiłeś ten portfel? Czy mogłeś go zgubić na ulicy?

Nate podszedł do mojego biurka, jakby zwabił go aromat mu gu gai pan. Nawet słysząc połowę tej konwersacji, trudno

było się jej oprzeć. Ktoś zginął, a teraz żyje i ma się dobrze. Jak często to się zdarza?

Dennis nie odpowiedział na moje ostatnie pytanie. Sądząc po odgłosach, drzemał.

- Dennis, Dennis, jesteś tam?

- He?

- Pytałem, czy to możliwe, że zgubiłeś portfel na ulicy?

- Jestem zmęczony. Kurczę, ale jestem zmęczony.

- Jeszcze chwilkę, jeszcze kilka pytań, dobrze?

- Która godzina? Czy to już północ?

- Jest pierwsza po południu, Dennis - powiedziałem, uwzględniając różnicę czasu. - Jeszcze tylko kilka pytań.

Nie miałem jednak więcej pytań. Dennis był naćpany i otępiały. Miał swój portfel, a potem go nie miał. W końcu portfel znalazł się u ofiary wypadku, której nie dało się zidentyfikować.

Dennis oddał słuchawkę pani Flaherty, bo głos, który teraz usłyszałem, należał do niej.

- Miałaś rację, Tom - wyszeptała. - Po naszej rozmowie poszłam do kościoła. Pierwszy raz od lat. Zapaliłam świeczkę. Modliłam się, żeby Dennis żył i żeby zapukał do moich drzwi. I tak się stało.

- Jak długo był w szpitalu?

- Czy to ważne? To cud, nie widzisz? Odzyskałam syna.

- Tak, to cud - przerwałem, dając znak wiszącemu nade mną Nate'owi, żeby się odsunął. - Czy mogę znowu do pani zadzwonić? Gdybym miał jeszcze jakieś pytania.

- Oczywiście, Tom. Możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcesz. Dziękuję.

- Ale za co? Nic nie zrobiłem. Pani syn nie zginął. Ktoś ukradł jego portfel albo go znalazł. Kimkolwiek był kierowca tamtego samochodu, Dennis i tak wróciłby do domu, a mój telefon nie miał z tym nic wspólnego.

- Czyżby? - odparła. - Ja wiem swoje.

ROZDZIAŁ 18

Oparłem się pokusie jakichkolwiek wyjaśnień.

Nie wtajemniczyłem w szczegóły umierającego z ciekawości Nate'a Skate'a.

Wyszedłem na zewnątrz z papierosem od Normy, która zgaśniła mnie za powrót do nałogu. Tylko jeden, powiedziałem, za dobre czasy.

Zapaliłem pod markizą chroniącą chiński bar Foo Yanga przed palącym słońcem, podczas gdy jego trzynastoletnia córka przyglądała mi się bez entuzjazmu przez zakurzone okno.

Dawka nikotyny natychmiast mnie pobudziła.

Wypadek.

Na drodze zderzyły się dwa samochody.

Jechali nimi Dennis Flaherty i Ed Crannell.

Tylko że żaden nie był Dennisem Flahertym ani Edem Crannellem.

Nie było śladu istnienia Eda Crannella, a Dennis Flaherty żył sobie w najlepsze.

Pobawmy się w redaktora naczelnego.

Załóżmy, że artykuł o całej sprawie - a w każdym razie jego początek - znalazł się na biurku tego redaktora. Wiadomo którego. Tego w dwuogniskowych okularach, z wyrazem zmęczenia na twarzy. Temat został mu przedstawiony przez dziennikarza, który pamiętał lepsze czasy, dobra, którego reputacja była gorzej niż gówniana, który dosłownie znieważył swój zawód.

Popatrzmy, jak redaktor powoli wyjmuje z ust pogryziony ołówek, kiedy mówię mu, że Dennisa Flaherty'ego nie było w tym samochodzie.

Dobrze, mówi, a więc ten lekarz miał rację. Denat był czarny. Ukradł portfel Dennisa, znalazł go albo kupił od ulicznego oszusta. W każdym razie miał go przy sobie. I co?

Zapominasz o drugim samochodzie. Nikt nie słyszał o Edzie Crannelu.

A więc facet zataił swoją tożsamość. Ed Crannell nie powiedział, kim jest naprawdę. Przecież ludzie ciągle ukrywają swoją tożsamość. Może miał nieważne prawo jazdy. Może był notowany. Może zalegał z alimentami w Kalifornii. Albo był Edem Crannellem, tylko nie sprzedawał leków i nie mieszkał w Cleveland. Może skłamał tylko w tej kwestii. To się zdarza.

Nie było śladów opon.

Śluchasz, co mówię? Ed Crannell skłamał. Wiesz, co to jest kłamstwo, prawda? Wypadek zdarzył się z jego winy. Zmienił stację radiową, rozmawiał przez komórkę. Podziwiał krajobraz, marzył, rozglądał się. Spowodował wypadek. Tylko on przeżył, więc wymazał historyjkę o tym, jak to drugi kierowca zbyt późno go zauważył i zaczął hamować. Naprawdę nikt nie zaczął hamować, a Ed wszystko zmyślił.

Naczelny uśmiecha się z wyższością. Gorzej. Ma tę zmęczoną i pełną rezygnacji minę, z jaką patrzy się na notorycznych kłamców. Nie obrażaj mojej inteligencji, mówi ten wyraz twarzy. To wystarcza.

Nie chodzi o sam wypadek, mówię niepewnie.

Wzdycha znużony, kręci głową.

Nie chodzi o sam wypadek, powtarzam. Jest jeszcze Belinda.

Belinda, mówi redaktor. O rany.

Powiedziała, że jej nieżyjący syn wrócił, żeby powiedzieć „hej”. Wiem, że miała sto lat. Może miała bzika. Tylko że jest jeszcze ta kartka od Benjy'ego. „Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin”. Pan Birdwell twierdzi, że nikt Belindy nie odwiedził, ale Benjy tam był. Jaki inny Benjamin mógłby tam pójść i zostawić tę kartkę?

Jej syn nie żyje, tłumaczy redaktor. Rozumiesz, co znaczy nie żyć, prawda, Tom?

Syn pani Flaherty również zginął. A jednak żyje.

Sprawdziłeś przynajmniej, czy w domu opieki nie mieszka jakiś Benjy? Nowy Jork wciąż powraca, co? Redaktor najwyraźniej uznał rozmowę za zakończoną. Pokazuje mi drzwi, mam sobie iść. To się nie trzyma kupy. Mówisz o dwóch różnych rzeczach, kompletnie bez związku.

I wtedy to mówię. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałem tego wcześniej. Robię to teraz. Biorę do ręki swój zniszczony ołówek i zbliżam go do podkładki w Acropolis Diner. Niepewną kreską łączę nieżyjącego syna Belindy ze spalonym kierowcą - właśnie z nim.

Ojciec uśmiecha się, wyciąga rękę nad stołem i mierzwi mi włosy.

Dobra robota.

Wiem, co pan o tym myśli, doktorze Payne.

Mój ojciec. Mój szef.

Nie chcę tego słuchać.

ROZDZIAŁ 19

„Pewnie będę musiał zadzwonić do Iowa i poprosić o eks-humację zwłok”.

Szeryf Swenson powiedział to takim tonem, jakby sprawdzał listę zakupów. Będę musiał kupić mleko, margarynę, mrożone frytki, sześć puszek tuńczyka Bumble Bee, a tak, jeszcze zadzwonić do Iowa i poprosić, żeby wykopali fałszywego Dennisa z tego cmentarza, na którym go pochowali. To znaczy, jeżeli ich to w ogóle obchodzi, bo mnie osobiście nie.

Znowu siedziałem w sterylnym, klimatyzowanym biurze szeryfa Littleton. Było zupełnie niepodobne do miejskiego komisariatu, przypominało raczej biuro firmy ubezpieczeniowej w typowym centrum handlowym koło domu. Zbudowane z prefabrykatów, uporządkowane i schludne.

Nie popełniono przestępstwa. Tak można by podsumować punkt widzenia Swensona. O ile mu było wiadomo, nie popełniono przestępstwa. Ewentualna kradzież portfela Dennisa Flaherty'ego mogła być przestępstwem, ale to było poza obszarem jego jurysdykcji, prawda? Może przebieg wypadku nie

zgadzał się z relacją Eda Crannella, ale nadal był to wypadek. Nie przestępstwo. I jeśli Ed Crannell nie był tym, za kogo się podawał, trudno, punkt dla niego.

- Co cię właściwie tak zainteresowało? - Zabrzmiało to bardziej jak odprawa niż pytanie. Widocznie chciał wrócić do prawdziwych problemów policji, takich jak chociażby mandaty za parkowanie.

Nie poinformowałem go o kartce, którą znalazłem w ramce zdjęcia zabranego z pokoju Belindy.

- Dwaj uczestnicy wypadku, z których żaden nie jest tym, za kogo go uważaliśmy. Czy to cię nie zastanawia? - Chciałem go zaintrygować.

- Właściwie nie.

Może go nie zastanawiało, ponieważ ja o to pytałem.

- Nie otwierają jakiegoś komisju samochodowego, o którym mógłbyś napisać? - zapytał.

Tak, najprawdopodobniej chodziło o moją osobę.

- Spotkałem hydraulika - powiedziałem.

Szeryf Swenson odplątał nogi, które trzymał oparte na biurku w pozycji wyrażającej postawę „ja tu rządzę”. Jest coś upokarzającego w oglądaniu podeszew czyichś butów - o to w tym chyba chodzi.

- Naprawdę? - zapytał. - Gdzie?

- W Niech Mnie Kule Biją. Któregoś wieczoru.

- Mmhm. Jesteś pewien?

- Tak. Jestem pewien.

- To bardzo ciekawe. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Bo uciekł.

- Uciekł? Co to ma znaczyć? Gonileś go czy co?

- Nie. Po prostu był tam, a potem już go nie było. Kiedy zobaczył, że go zauważyłem, zwiął.

- I wyglądał dokładnie tak, jak nam to opisałeś?

- Tak. Trudno go pomylić z kimś innym. Były inne przypadki? - zapytałem.

- Przypadki czego?

- Włamań.

Nie odpowiedział.

- Powinieneś być do mnie zadzwonić, Lucas. Wiesz o tym? - powiedział.

- Tak.

- Dobra, w porządku. Daj mi znać, jeśli zostanie członkiem twojej drużyny, dobrze?

- Jasne. - Odwróciłem się, żeby wyjść, a potem zatrzymałem się. - Co wiesz na temat katastrofy?

- Jakiej katastrofy?

- Katastrofy tamy Aurora. W latach pięćdziesiątych.

- To znaczy?

- Czy... czy ktoś, o kim myślano, że zginął... odnalazł się później? Ktoś, kogo uznano za jedną z ofiar, a potem się okazało, że jednak przeżył?

Przez chwilę myślałem, że powie „tak”.

Że powie coś innego niż: „Katastrofa tamy Aurora wydarzyła się w czasach, kiedy nie było mnie na świecie. Co, do cholery, miałbym o tym wiedzieć?”.

Ale tak właśnie powiedział.

A potem, jakby zachęcając mnie do wyjścia, odebrał telefon.

Zapytałem Normę, czy John Wren zostawił jakieś notatki.

Kiedy rozmawiałem z Hinchem o artykule, który chciałem napisać na pięćdziesiątą rocznicę katastrofy tamy Aurora, powiedział: „Powodzenia, twój poprzednik już próbował”.

- Nie - powiedziała Norma. - Nawet gdyby zostawił, już byśmy je wyrzucili.

- Jesteś pewna?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent. - Norma usiłowała czytać tygodnik ze spowitą w ślubny welon Britney Spears na okładce. *Znowu to zrobiła*, głosił pełen wigoru nagłówek.

- A gdyby nie zostały wyrzucone, to gdzie by były?

- Jeeeezu, dalbyś asystentce kierownictwa poczytać brukowiec w spokoju.

- Chciałbym, ale to jest akurat zadanie dla asystentki kierownictwa.

Norma porzuciła Britney. Poczłapała do szafki na akta, na której stały ekspres do kawy i faks. Norma była kiedyś żoną dyrygenta chóru kościelnego, który uciekł z organistką. Zbliżała się do granicy wieku średniego, a to, po której akurat była stronie, zależało od stosowanej przez nią aktualnie kombinacji diety i ćwiczeń. Teraz była na diecie South Beach i ćwiczyła aerobik do muzyki André 3000 i spółki.

Otworzyła trzecią szufladę i zaczęła w niej grzebać.

- Nic nie zostało, tak jak mówiłam. - Wyjęła plik sfatygowanych szarych teczek. Były puste.

- Czy mogę je obejrzeć?

- Nic w nich nie ma, Tom.

- Proszę.

Rzuciła je na mojego laptopa.

- Wiesz co, ta Britnejka jest jakaś głupkowata.

Na teczkach zostały etykiety z tytułami. Rozpoznałem pismo Wrena znane mi z rozsypanych po domu licznych śladów obecności mego poprzednika.

Litania banałów: *Największa na świecie kolekcja hula-hoop, Parada z okazji Czwartego Lipca, Konkurs w pędzeniu bydła*. Miały szansę znaleźć się na mojej liście tematów na nadchodzący rok.

Były też wyjątki. Na przykładteczka z napisem *Historia weterana*.

Ta teczka nie była pusta, w każdym razie nie całkiem: kiedy ją otworzyłem, wypadły z niej dwa zdjęcia.

Pomnik weteranów Wietnamu w Waszyngtonie.

Jedno ze zdjęć przedstawiało panoramę z czarnym granitowym „V” - pełnym przejmującego wdzięku, a zarazem wyniosłej prostoty. Druga fotografia była zbliżeniem tego pomnika.

Widać było wyrzeźbioną w kamieniu przygnębiającą listę poległych.

Artykuł który znalazłem w domu...

Smutna historia.

Weteran po przejściach, który pewnego październikowego popołudnia zawitał do Littleton i został tu wystarczająco długo, by dziennikarzowi udało się ustalić, że nie wiadomo, gdzie mieszkał, że nie miał żadnej rodziny, a nazwisko pożyczył sobie od zaginionego w akcji kolegi, z którym służył w delcie Mekongu. „Kim jest Eddie Bronson?” Dręczonym poczuciem winy weteranem wojny wietnamskiej - to było wszystko, czego Wren tak naprawdę się dowiedział, zanim nieznanymi żołnierz został wypędzony z miejskiej altany i umieszczony w domu opieki. Wren wykorzystał ten przykry incydent i sklecił wzruszający tekst o zaniedbywaniu przez państwo weteranów wojny, o której zresztą Ameryka nie chce pamiętać.

- Normo, czy Wren pojechał obejrzeć pomnik weteranów Wietnamu? Kiedy pisał artykuł o tym byłym żołnierzu?

- W każdym razie na pewno nie na koszt Hinch - powiedziała. - Dlaczego pytasz?

- Musiał tam być. Zrobił zdjęcia.

- Aha. - Norma dotarła tymczasem do swojego biurka i ponownie zagłębiła się w lekturze o życiu sławnych i bogatych.

Wpatrywałem się w zbliżenie pomnika. Eddie Bronson - nazwisko zaginionego w akcji żołnierza, które przyjął tajemniczy weteran, było doskonale czytelne na czarnym granicie, choć szczątki prawdziwego Bronsona gniły w jakimś tunelu w Chu Lai.

Historia weterana wojny wietnamskiej, choć ładnie napisana, nie została doceniona. W każdym razie tak twierdziła Norma. Po pierwsze Hinch uważał, że małomiasteczkowe gazety powinny trzymać się małomiasteczkowych wiadomości. Na przykład o otwarciach centrów handlowych. Po drugie mieszkańcy Littleton niezbyt uprzejmie potraktowali niechlujnego,

na wpół szalonego włóczęgę, który obrał sobie za siedzibę miejską altanę i nazywał ją domem.

Wren sam wtedy był na wpół szalony. Może ów brak życzliwości odbił się i na nim? Albo wiał akurat wiatr Santa Ana? Albo wszechobecny piekielny żar pomieszał mu w głowie?

W każdym razie wyglądało na to, że skłonność do poważnych tematów obudziła w nim manię wielkości. Otwarcia centrów handlowych były dla rzemieślników. A Wren natychmiast pogrążył się w retrospektywnej publikacji demaskatorskiej na temat katastrofy tamy Aurora. Wywnioskowałem to z daty odnotowanej starannie na trzeciej teoczce, podpisanej po prostu: *Katastrofa*. Tydzień po artykule na temat Eddiego Bronsona.

Ta teczka była pusta.

- Myślisz, że zabrał je ze sobą?

- Co zabrał? - spytała Norma, wyglądając zza silikonowego biustu Britney.

- Swoje notatki. Dokumenty. Myślisz, że zabrał je ze sobą, czy wyrzuciłaś je po jego odejściu?

- Nie pamiętam - odparła. - Nie był wtedy w najlepszej formie. Wiesz, co mam na myśli. Zamknął się tutaj pewnej nocy i wył do księżycyca.

- Wył do księżycyca?

- Tak się tylko mówi.

- Jasne. A co tu w takim razie robił?

- Bóg jeden wie. Wiem tylko, że trzeba było wezwać szeryfa, żeby go stąd zabrali.

- Aha. Kiedy wyjechał z miasta?

- Następnego dnia. Poważnie. Widocznie czuł się tym wszystkim zażenowany. Bóg mi świadkiem, ten człowiek naprawdę potrzebował zmiany krajobrazu.

Norma wspominała kiedyś, że wyjechał gdzieś na północ. Szczegóły rysowały się mgliście.

- Czy zostawił jakiś numer?

- Numer?

- Tak. Cyfry, które się wstukuje, kiedy chce się do kogoś zadzwonić. Numer.

Przewertowała obrotowy wizytownik na swoim biurku.

- Nie.

Potem przekrzywiła głowę i powiedziała:

- Zaczekaj.

Poszła do biura Hinch, skąd dobiegły niebawem dźwięki wysuwanych i zasuwaných szuflad. Wróciła, trzymając w ręce wygniecioną kartkę papieru.

- Dziękuję, Norma - powiedziała.

- Dziękuję, Norma - powtórzyłem.

Ostatni znany numer telefonu Johna Wrena. Sądząc po kierunku, północna Kalifornia. Zapisałem go na odwrocie jednego ze zdjęć i włożyłem do portfela.

Automatyczna sekretarka odpowiedziała głosem Wrena, który brzmiał, jakby jego właściciel czuł się wykorzystany, choć nie musiał nawet odbierać telefonu.

„Jesteśmy na rybach, ale jeśli chcesz zostawić wiadomość, to zostaw”.

- Cześć, mówi Tom Valle. Objąłem twoje dawne stanowisko w „Littleton Journal”. - I mieszkam w twoim domu, mogłem dodać. - Chciałbym porozmawiać o artykule, nad którym pracowałeś, zanim odszedłeś z gazety. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić?

Zostawiłem numer telefonu do pracy i na komórkę.

Potem zadzwoniłem do Anny.

Następnego dnia miała wyjechać. Wracała do Santa Monica. Ponieważ mieliśmy się jeszcze spotkać, chciałem, jak każdy dobry dziennikarz, potwierdzić czas i miejsce.

Odebrała po czwartym dzwonku.

- Hej - powiedziałem.

- Hej.

- Widzimy się dzisiaj?

- Jasne, przecież jesteśmy umówieni.
- Wiem, chciałem się tylko upewnić, czy to aktualne.
- Zadzwoiłabym do ciebie, gdyby coś się zmieniło.
- Dobra, świetnie. Więc jesteśmy umówieni. - Panie Głupkowaty, proszę poznać pana Potrzebującego. - Gdzie się widzimy?

- W Violetta's. Tak jak ustaliliśmy przedwczoraj. Rzeczywiście, masz objawy nadpobudliwości z deficytem uwagi. - Przy najmniej powiedziała to z sympatią w głosie.

- Tylko się upewniałem - broniłem się.

- Aha, jeszcze jedno.

- Tak?

- Zamawiamy białe wino - powiedziała.

- Jasne, bardzo mi przykro z powodu tego incydentu. Co z sukienką?

- Nic jej nie będzie. Znam pralnię chemiczną, w której obchodzą się z plamami w sposób bezwzględny. Gdyby Monica Lewinsky oddała im swoją niebieską kreację, nie byłoby impeachmentu.

Roześmiałem się i od razu zacząłem się zastanawiać, czy nawiązanie do plam spermy kryło w sobie jakieś zaproszenie. „Wystarczyło zapytać”, powiedziała, gdy wycierałem jej sukienkę.

Zapadła krótka cisza, jakby aluzja do seksu wciąż wisiała w powietrzu, a potem zapytałem, jak się czuje jej ojciec. Do tej pory unikałem tego tematu, wychodząc z założenia, że jeśli chciałaby o tym mówić, sama by zaczęła. Ale po pewnym czasie stało się to nienaturalne.

- Bez zmian - powiedziała. - Dziękuję, że zapytałeś.

- Twoja mama żyje?

- Tak. Ale rodzice są rozwiedzeni. Ojciec właściwie ma tylko mnie.

- To niełatwe.

- Nie wiem. To coś, co się robi, kiedy się kogoś kocha, prawda? To mój tato. Zrobiłabym dla niego wszystko. A ty?

- Ja?
- Twoi rodzice wciąż żyją?
- Nie, oboje odeszli.

Odeszli. Określenie, które odnosiło się do mojego ojca, gdy ja jeszcze grałem w scully na ulicach Queens. Wrócił kiedyś, przed pogrzebem, i zapytał mnie, czy chciałbym przejechać się wozem strażackim jak kiedyś. Przejechalśmy przecnicę i zaparkowaliśmy na tyłach kościoła Świętego Antoniego. „Co się stało, Tommy?” Siedział obok w szoferce, ale nie patrzył na mnie. Patrzył na zdjęcie naszej czwórki zatknięte na desce rozdzielczej. Co się stało?

- Siostry, bracia?
- Nie... już nie.
- Co to znaczy?
- Miałem brata. Nie żyje. Od dawna.
- Och. Strasznie mi przykro. Pewnie nie lubisz o tym mówić.
- Nie, tylko że... to było dawno temu...
- Jasne, rozumiem.

Nie, nie rozumiesz, pomyślałem.

Niektóre rzeczy przechodzą ludzkie pojęcie.

ROZDZIAŁ 20

Kara Bernstein.

Kara Betland.

Kara Bolinsky.

Kara Brill.

Straciłem pół godziny między przyszcicem, goleniem, czesaniem włosów oraz spryskiwaniem się starą wodą po goleniu, a potem zmywaniem jej, bo miała zapach skórzanej torby - pół godziny między tymi czynnościami a wyjściem z domu, szukając nazwiska Kara Bolka, w internetowym spisie numerów.

Bez powodzenia.

W Kalifornii nie brakowało kobiet o imieniu Kara; wyobraziłem sobie tłumy dziewcząt z Ocean City noszące jeszcze aparaty na zębach, przesiadujące dla ochłody w centrach handlowych albo popisujące się swoimi jędrnymi ciałami na plaży i w poczekalniach przemysłu pornograficznego San Fernando. Kara Bolka brzmiało dla mnie jak nazwisko, jakie mogła nosić urodzona w Ameryce córka imigrantów z Europy Wschodniej. Było jak szept pół kobiety, pół nimfy.

Oczywiście mogły to być podszepty mojego libido.

Wieczór jeszcze się nie zaczął, a już się zastanawiałem, jak się skończy. Obliczałem, ile czasu minęło od mojego ostatniego intymnego zbliżenia, i zastanawiałem się, czy z seksem naprawdę jest jak z jazdą rowerem.

Nie byłem całkowitym abstynentem seksualnym od czasu przyjazdu do Littleton. Nie. Bywałem w Days Inn z pewną mężatką, która zaryzykowała przyjscie do Niech Mnie Kule Biją z podobnego powodu co ja - szukając kryjówki. Ukrywała się przed niewiernym mężem, który znęcał się nad nią, kiedy odwołano mecz golfa albo gdy interesy szły kiepsko. Pracował w nieruchomościach, gdzie transakcje regularnie kończyły się fiaskiem - szczególnie w Littleton, które szczyliło się dwoma nieukończonymi kompleksami wypoczynkowymi.

Nie powiem, jak się nazywała. To nie ma znaczenia. Chodziłiśmy do Days Inn zamiast do mnie, ponieważ nie chciałem, żeby jej mąż zapukał pewnego dnia do moich drzwi. Byliśmy tam trzy razy i było to satysfakcjonujące tylko w najbardziej pierwotnym znaczeniu tego słowa. Jak rozgotowany na papkę posiłek, kiedy jest się głodnym.

Kiedy zadzwoniła do mnie po naszym trzecim spotkaniu, nie oddzwoniłem. Tydzień później przeczytałem SMS-a od niej: „Więc to już wszystko? Miłego życia”.

Te słowa były równie dobre jak każde inne, żeby zakończyć romans.

Tymczasem wciągnęły mnie poszukiwania kobiet o imieniu Kara. Krótko mówiąc: bagno.

Porzuciłem je jednak dla Anny.

Gdzieś pomiędzy sałatką a przystawką, pomiędzy rozmową a flirtem, między ósmą a dziewiątą wieczorem Anna wspomniała o Johnie Wrenie.

Że go znała.

Jakimś sposobem znowu mówiliśmy o dziennikarstwie. Właściwie nie była to zwykła rozmowa. Wygłaszałem kazanie,

a do mojej zarozumiałej paplaniny w dużej mierze przyczyniło się chianti. Mówiłem jak kiedyś, w czasach, gdy zaczynałem. Jak student teologii, który pełen zapału mówi o swojej wierze. Czyż nie stworzyłem uznanej biblii swojego fachu?

Powoli, grzech za grzechem, udało mi się podważyć sens istnienia gazety, wyrzucić prawdę na lewą stronę. Jak ten sowiecki kret, który w latach trzydziestych ubiegłego stulecia przekopał się do serca brytyjskiej demokracji. I ja też - jak kiedyś Kim Philby* i spółka - przelałem krew niewinnych ludzi.

Nie byłem do końca szczery. Pomiąłem wstydlive szczegóły.

* Kim Philby - pracownik tajnych służb brytyjskich, który jako jeden z członków tzw. siatki szpiegowskiej Cambridge współpracował z wywiadem sowieckim.

Jedną z ofiar czystki, która nastąpiła po zdemaskowaniu i wyrzuceniu mnie z pracy, był pewien błyskotliwy, oddany i powszechnie ceniony redaktor, którego jedyną winą było to, że we mnie wierzył.

Poszedł na dno wraz ze swoim okrętem.

I szczurem na jego pokładzie.

Kiedy rozpracowywałem jakiś temat, czułem, że stoi za moimi plecami jak anioł stróż, który cały czas ma mnie na oku. Miał pozycję, cieszył się wyjątkową reputacją - nawet w gazecie, w której wybitni dziennikarze nie byli rzadkością.

Z jakiegoś powodu zainteresował się mną, dostrzegł we mnie talent wart rozwijania. Może po prostu umiał wyczuć chłopaka, który wychował się bez ojca. Któregoś wieczoru zaprosił mnie na drinka, a ponieważ było miło, nie zanudziłem go ani nie zasypałem gradem przymilnych pytań, zaprosił mnie znowu. Po jakimś czasie prowadziliśmy szczere rozmowy nad hot dogiem o północy i chodziliśmy do Bryant Parku dla rozprostowania nóg. Kiedy robił obchód po redakcji, wyczuwałem za plecami jego obecność i obłany rumieńcem próbowałem

zmusić klawiaturę komputera do wyczarowania czegoś ostrego, ciętego i błyskotliwego. Czasem nawet mnie słuchała.

Ale to nie miało znaczenia.

Był na tyle powściągliwy w pochwałach, że pragnęło się ich więcej. To, co się napisało, było na ogół niezłe, w porządku albo po prostu solidne. Chodziło o to, żeby pisać dla czytelników - tej wielkiej masy głodnych informacji i spragnionych prawdy ludzi.

Ja pisałem dla niego.

Miałem tak naprawdę jednego czytelnika. Musiałem zamienić „w porządku” na „wspaniale”.

To, że wymyślona historia o nieżyjącym żołnierzu Gwardii Narodowej Lowellu Beaumencie zdała egzamin, było ironią losu.

Oczywiście jest pewien problem związany z osiągnięciem w końcu tego, czego od dawna się pragnie. Kiedy człowiek raz zostanie doceniony, musi znowu słyszeć pochwały, czuć, że miłość i akceptacja leją się na niego jak szampan w siedzibie Boston Red Socks po upragnionym zwycięstwie w rozgrywkach w 2004 roku.

Próbowałem „tak trzymać” dłużej, niż się dało.

Aż w końcu już się nie dało.

Aż wypilem trochę w towarzystwie pewnego reportera i wszystko się wydało.

W ciągu tygodnia ów redaktor, ów przyjaciel, z wysławianego rzecznika praw obywatelskich stał się szkalowanym niekompetentnym dziennikarzem. Kilka tygodni później niespodziewanie przeszedł na emeryturę.

„Powinien był wiedzieć - mówili głównie ci, których gwiazdy przyćmił w drodze na szczyt. - Powinien był czuwać nad wszystkim. Powinien był robić to, co do niego należało”.

Jego hańba była tylko trochę mniejsza niż moja, jego upadek dziesięciokrotnie większy.

Ze wszystkiego, co zniszczyłem - a byłem jednoosobową siłą destrukcyjną rujnącą swoją karierę, małżeństwo, reputację - najbardziej mi wstyd, że zniszczyłem jego. To robak, który wciąż mnie gryzie i którego od czasu do czasu próbuję zalać niezliczonymi kolejkami tequili.

Czasem ów robak sprawia, że wybieram numer skromnego wiejskiego domu w Putnam County i wypowiadam bezgłośnie słowa skruchy.

- Cześć - mówię - to ja. Przepraszam.

Wyobrażam go sobie, jak trzyma w ręce tę staroświecką czarną słuchawkę, jak dwuogniskowe okulary zsuwają się z jego ogromnego nosa i przetykam niewypowiedziane słowa, a one ześlizgują mi się do żołądka i aż robi mi się od nich niedobrze.

Ale nie dziś.

Nie.

Dzisiaj byłem Carlem Woodwardem, hybrydą dziennikarskiego zapału i dzikiego pożądania. W porządku, wino rozwiązało mi język, wsiałem na swojego konika i nie miałem zamiaru zsiadać. Popisywałem się.

- Może i zajmujemy się eksportem demokracji - w każdym razie wygląda na to, że to dzisiaj nasza jedyna linia polityki zagranicznej, nasza kruczata - ale kto chroni demokrację w demokracji? Tych dziewięciu geriatyków z Sądu Najwyższego? Tym, co chroni USA dzisiaj, jest „USA Today”.

Przerażające? Nie żartuję. Czy to się komuś podoba, czy nie, demokracja jest w spoconych rękach dziennikarzy. Nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nawet jeśli tego nie chcemy. Mówię „my” w sensie ogólnym. Bo prawda zawsze idzie na pierwszy ogień.

„Prawda” - beztrósko użyłem słowa, które było mi najmniej bliskie ze wszystkich słów w języku angielskim.

Słuchałem sam siebie, zastanawiając się, czy jestem niebezpiecznym szaleńcem, czy - co gorsza - nudziarzem. Ale wyglądało

na to, że Anna słucha mnie w prawie nabożnym skupieniu. Chyba podobał się jej ten ja, ten superbohater prawdy, sprawiedliwości, amerykańskiego stylu życia.

Wtedy zapytała:

- Dlaczego potrzebowałeś przerwy?

- Słucham?

- Powiedziałeś, że przyjechałeś tutaj, bo potrzebowałeś przerwy. Od czego? Mówisz, jakbyś kochał swoją pracę. Zajmowanie się ważnymi tematami. Dlaczego zagrzebałeś się tutaj? Właściwie nie to miałam na myśli, chciałam powiedzieć...

Trzeba było być bardziej ostrożnym.

Rozpoczęliśmy wieczór rozmową niezwiązaną z dziennikarstwem, prawda? Drużyna New York Yankees, grzechotniki, komedia *Golfiarze*. Dziwnym sposobem, nie zdając sobie z tego sprawy, skierowałem moją kolację z Anną na niebezpieczne wody.

- Miałem kłopoty w swojej poprzedniej pracy.

- Tak? Jakiego rodzaju?

- Problemy... etyczne.

- Etyczne - powtórzyła. - Coś, o czym chciałbyś pogadać, czy wolisz udawać, że o to nie spytałam?

- Wolałbym udawać, że o to nie spytałaś. - Człowiek może zaskakująco szybko wytrzeźwieć. Moja purpurowa mgła rozwinęła się jak siatka ochronna porwana przez gwałtowny wiatr.

- W porządku. Chociaż „etyczne”... to brzmi interesująco. Nawet trochę nieprzyzwoicie.

- Bo to było nieprzyzwoite. Ale nie w sposób, który masz na myśli - powiedziałem.

- Aha. Cóż, cokolwiek to było, przykro mi. Chciałam powiedzieć, że najwyraźniej lubiłeś pracę reportera. Zresztą nadal nim jesteś, wiesz, co mam na myśli...

- Zmyślałem.

O właśnie.

Wcześniej czy później to musiało wyjść na jaw. Wcześniej czy później wspomniałaby o mnie komuś z przyjaciół lub znajomych, a oni, usłyszawszy moje nazwisko, powiedzieliby, że brzmi znajomo. Że gdyby nie wiedzieli, że chodzi o kogoś innego, pomyśleliby, że to zupełnie jak ten reporter, przez którego omal nie upadła gazeta. Ten, który pisał o rzeczach, które nigdy się nie wydarzyły.

Kłamca.

- Tom Valle - powiedziała, jakby wymawiała słowa w obcym języku. - O cholera.

Próbowałem coś wyczytać z wyrazu jej twarzy - w ciągu tych kilku sekund, kiedy człowiek jest zbyt zszokowany, żeby nad sobą panować. Czy było to zwykłe zażenowanie? Obrzydzenie? Współczucie?

- Nieźle - powiedziała, podnosząc kieliszek do ust, a potem odstawiając go z powrotem na stół z niezręczną powolnością człowieka po wylewie, który od nowa uczy się poruszać.

- Nie żartowałeś, mówiąc, że potrzebujesz przerwy. Czy mogę zapytać, dlaczego robiłeś to, co robiłeś? Nie zapytam, jeżeli sobie nie życzysz.

Nie odpowiedziałem od razu. Mogłem powiedzieć: tak, wołałbym, żebyś nie pytała, i zmienić temat. Mogłem powtórzyć jakiś wypróbowany frazes przeznaczony wyłącznie do użytku publicznego. To było złe. Nie zrobiłem tego celowo. Wiele wtedy przeszedłem. Mogłem przedstawić własny punkt widzenia.

A powiedziałem prawdę.

O tym, jak to się zaczęło. O tym, jak zasnąłem. O małym ćwiczeniu z kreatywnego pisania.

- Ile razy? - zapytała miękko. - Potem?

- Nie wiem. Na koniec zweryfikowali wszystkie artykuły, które kiedykolwiek napisałem. Powiedzieli, że było ich pięćdziesiąt sześć. Tych, w których opisywałem częściowo lub całkowicie sfabrykowane wydarzenia. Nie sądziłem, że było ich tak wiele. Widocznie było.

- Dlaczego? Byłeś dobrym dziennikarzem, tak? Robiłeś karierę, cieszyłeś się poważaniem. Pracowałeś dla świetnej gazety. Nie musiałeś.

Nie musiałeś. Wielka tajemnica kryminalnej przeszłości Toma Valle'a.

- Byłaś kiedyś w knajpie dla dziennikarzy? - zapytałem. - W takich miejscach panuje hierarchia. Albo błyszczysz, albo oddajesz pokłony. Może chciałem, żeby dla odmiany to mnie oddawano pokłony. Poza tym jeśli jesteś miernym uczniem, dobrze jest być pupilkiem nauczyciela. Jeszcze lepiej jest trafić na pierwszą stronę zamiast na te dalsze. Przyjemnie też być na liście rezerwowych gadających głów w telewizji. Byłem nawet gościem Larry'ego Kinga*. Raz. W dyskusji brał udział Ben Bradlee. Praktykanci z Columbia School of Journalism odszukanali mnie jako guru wiedzy dziennikarskiej. Inni reporterzy wbijali szpilki w lalki Toma Valle'a, kiedy tylko nie pchali się drzwiami i oknami, żeby postawić mi drinka. Co zresztą stało się przyczyną mojej zguby - jeden z tych właśnie reporterów postawił mi kilka drinków. Ciężko jest zachować spójną wersję wydarzeń po czterech margaritach.

* Larry King - pseudonim artystyczny Lawrence'a Harveya Zeigera, jednej z najwybitniejszych postaci amerykańskiego dziennikarstwa. W czerwcu 1985 rozpoczął pracę w telewizji CNN. Obecnie jest gospodarzem programu „Larry King Live”. Benjamin C. Bradlee był zastępcą redaktora naczelnego dziennika „Washington Post”, gdy Woodward i Bernstein publikowali na jego łamach teksty związane z aferą Watergate.

Zapytała, jak się tutaj znalazłem.

- To jest właściwie jedyne miejsce, gdzie mnie chcą - powiedziałem. - Kiedy już było wiadomo, że się wydało, że mój świat się zawalił, redaktorzy zwarli szyki. Przeszukiwali gruzy, wynajęli biegłych sądowych, żeby porównali moje rachunki z nagłówkami. Bo skoro jadłem jajka i piłem kawę w barze przy Trzeciej Alei w Nowym Jorku, to nie mogłem w tym czasie być na Konferencji Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej w Waszyngtonie, prawda? Tak czy owak, upiłem się do nieprzytomności i

poszedłem o trzeciej nad ranem do redakcji. Chyba zamierzałem wykraść jakieś dowody, co, patrząc z perspektywy czasu, oznaczałoby, że potrzebowałbym wózka widłowego. Naprawdę nie wiem, co właściwie chciałem zrobić. Włamałem się do biura kierownika działu krajowego i próbowałem przejrzeć pliki w jego komputerze. W końcu urwał mi się film i znaleźli mnie na podłodze. To im dało pretekst, jakiego potrzebowali, żeby wysunąć oskarżenie przeciwko mnie jako dodatek do efektownego, publicznego zwolnienia z pracy. Dostałem dozór kuratorski zamiast kary więzienia, nie mieli zamiaru mnie za to zamykać. Przez rok nie robiłem właściwie nic, zapadłem w sen zimowy. Moja kuratorka jest spokrewniona z Hinchem Edwardsem, właścicielem „Littleton Journal”. Hinch okazał się litościwy. Koniec historii.

- Taak, to miły facet.

Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że być może Anna wie więcej, niż sądziłem.

- Znasz Hinchę?

- Znałam kogoś, kto dla niego pracował.

- Kogo?

- Johna.

- Jakiego Johna? Johna Wrena? Znałaś Johna Wrena?

- Aha.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?”

- Dlaczego miałabym ci mówić? Raz byliśmy na kolacji. Nie powiedziałam ci też, jak mam na drugie imię. Przy okazji: Alicja.

- A więc byliście przyjaciółmi czy coś w tym rodzaju?

- Tak jakby. Co w tym takiego niezwykłego?

- Nic. To po prostu zabawne, że znałaś dwóch dziennikarzy, którzy mieszkali w tym samym domu.

- Mieszkasz w jego domu? No tak, to przecież małe miasto. Nie ma tu znowu tak wielu domów.

- Właśnie. - Wypiłem łyk wina, próbując desperacko odzyskać utracony dobry humor. - Masz z nim jakiś kontakt? - zapytałem.

- Nie wiem, czy on ma kontakt z kimkolwiek. Kiedyś przyjechałam do Littleton odwiedzić tatę, a jego już tu nie było. Tak się właśnie poznaliśmy. W domu opieki. Przeprowadzał wywiady na temat tamtej... katastrofy... tej, która wydarzyła się w latach pięćdziesiątych. Słyszałeś o tym, prawda? Straszne - całe miasteczko zatopione. Myślę, że pojechał tam w poszukiwaniu kogoś, kto byłby trochę bardziej wylewny w rozmowie na ten temat niż większość mieszkańców Littleton.

Wylewny. Dobre określenie, pomyślałem.

- Chyba niewiele zdziałał - powiedziałem. - Artykuł nigdy się nie ukazał.

- Naprawdę? - powiedziała Anna. - Wydawał się podekscytowany tym reportażem. Napisał do mnie zaraz po swoim wyjeździe z Littleton - odniosłam wrażenie, że zaszył się gdzieś, żeby popracować nad tekstem.

- To dziwne, zważywszy, że nie pracował już w gazecie - powiedziałem. - W każdym razie wieść niesie, że był wtedy ogólnie dość podekscytowany. Trochę mu odbiło.

- Odbiło? Czy to termin psychiatryczny?

- Zamknął się w redakcji pewnej nocy i trzeba go było wyrzucić siłą. Myślę, że to oznacza, że mu odbiło. Wiem coś o tym.

- Czy tak mówili o tobie? Że ci odbiło?

- Tylko ci, którzy chcieli być mili. Pozostali twierdzili, że byłem opętany.

- Nie wyglądasz na opętanego.

- Dzięki. - Czerwieniąc się, upiłem kolejny łyk wina. - Czy twój ojciec tu mieszkał? Wtedy, kiedy wydarzyła się katastrofa?

- Tak. Tylko że oczywiście nie mógłby zbyt wiele o tym opowiedzieć. Już nie.

Cisza.

- Niedawno do niego dzwoniłem - powiedziałem. - Do Wrena.

- Tak? Po co?

- Chciałem zasięgnąć języka na temat czegoś, nad czym właśnie pracuję.

- Przecież powiedziałeś, że stracił rozum?

- Może go odzyskał?

Kusiło mnie, żeby powiedzieć Annie, że pracuję nad tym samym tematem, nad którym kiedyś pracował Wren. Wyżej wymieniony wariat Wren.

Tylko że mogłem wyjść na paranoika. Zdesperowanego reportera próbującego odzyskać swoją moc.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie.

Zrobiło się jakoś niezręcznie. Jakby ktoś wyciągnął korek z butelki oznaczonej „Rozmowy przy kolacji Anny i Toma”. Zawartość wylała się na podłogę, zostało zaledwie kilka marnych kropel.

Czułem, że w jej oczach wyglądam jak upośledzony. Byłem etycznym kaleką. Cały nastrój się popsuł. Próbowwała go ożywić, ale jakoś bez przekonania.

Zapłaciłem. Wyszliśmy na zewnątrz i odprowadziłem ją do samochodu. Powiniennem powiedzieć „dobranoc” czy „żegnaj”?

Zatrzymaliśmy się przed jej wiśniowym beetle'em, który w świetle księżyca wydawał się rdzawoczerwony, i poczułem się, jak gdybym stał przed drzwiami do mieszkania dziewczyny, nie wiedząc, czego mogę się spodziewać za chwilę.

Nachyliła się i pocałowała mnie.

W policzek.

- Zadzwoń kiedyś - powiedziała. - Dziękuję za kolację.

Chciałem zapytać: i to wszystko?

Chciałem złapać tego motyla, który trzepotał w moim żołądku od czasu, gdy naprawiła mój samochód - chciałem przebić

go szpilką, a potem umieścić gdzieś, gdzie będę mógł podnosić go do światła i oglądać.

Zadzwoń do mnie kiedyś. I co wtedy? Zadzwoń do mnie jak do przyjaciela albo znajomego czy do kogoś więcej? Zadzwoń do mnie, dlatego że chce, dlatego że musi, czy wcale do mnie nie zadzwoni?

- Nie ma o czym mówić - odparłem.

ROZDZIAŁ 21

Powrót do domu stał się wyprawą w uzalanie się nad sobą.

Okolice nie była mi obca, miałem okazję bywać tam wielokrotnie podczas dwunastu miesięcy, które spędziłem zamknięty w swoim mieszkaniu w Noho jak więzień w izolatce. Często wtedy litowałem się nad sobą, próbując miejscowej tequili i bazgrząc kartki pocztowe do doktora Payne'a: „Bawię się kiepsko, szkoda, że Pana tu nie ma”.

Oszczędziłem Annie psychobelkotu, ale doktor Payne nie miał takich zahamowań.

„Dlaczego ten kłamca skłamał?”

Naprawdę chcesz wiedzieć, Anno?

Jesteś pewna?

Ponieważ obudziłem się o kilka godzin za późno i kłamstwo było mi potrzebne.

Ponieważ Ward Cleaver* dziennikarzy pogłaskał mnie po głowie i powiedział „dobra robota”.

* Ward Cleaver - bohater serialu *Leave it to Beaver* emitowanego w telewizji amerykańskiej w latach 50. i 60. Mądry i odpowiedzialny ojciec.

Nie wystarczy?

Mam mówić dalej?

Ponieważ okłamywałem dziewięcioletniego siebie. Wmawiałem sobie, że mój tata nie sypia z tamtą kelnerką, że wróci do domu lada chwila, że moja mama nie jest sadystką ani pijaczką, że mężczyźni idący z nią na górę naprawdę mnie lubią, podczas gdy nie lubili nawet jej.

Że Jimmy był niezdara.

„Dzieci alkoholików mają tendencję do zauważania tego, co chcą, i niezauważania tego, czego nie chcą widzieć”, powiedział doktor Payne.

Nie masz o tym pojęcia.

Pośliznął się na ślizgawce i uderzył się w głowę.

Pośliznął się.

Na ślizgawce.

Kłamałem w odruchu obronnym, jak powiedział doktor Payne. Proszę tego nie potępiać.

Kłamałem, ponieważ kłamstwo łagodzi ból, jest magicznym eliksirem, łatwym wyjściem z sytuacji.

Kłamałem jak z nut, w żywe oczy.

Kłamałem, bo to był mój *modus operandi*.

Kłamałem w obecności pracowników opieki społecznej. Policjantów. Wszystkich.

„Co się stało, Tommy?”

Pośliznął się.

Na ślizgawce.

I uderzył się w głowę.

Kiedy zobaczyłem jakiś cień zmierzający w kierunku frontowego wejścia do mojego domu, w pierwszej chwili nie zorientowałem się, co widzę.

Nawet kiedy zauważyłem, że intruz w lewej ręce trzyma jakąś torbę, potrzebowałem kilku sekund, żeby pozbierać myśli. To ciekawe, pomyślałem i zdjąłem nogę z gazu.

Włamywacz zatrzymał się w połowie drogi do drzwi wejściowych, a wtedy na jego twarz padło światło uruchamianej

fotokomórką lampy przytwierdzonej do prawie uschniętego wiązu na moim trawniku. Błysk chorego fioletowego światła oświetlił te same ohydne rysy.

Gonisz.

Zaprzyjaźniony hydraulik z sąsiedztwa. Zawsze do usług.

Już wie, że ma towarzystwo.

Miała zatrzymała się nagle na środku ulicy, jak gdyby znowu wypadł kapryśny przewód od cewki zapłonowej.

Pobiegł do swojego pick-upa i odjechał, szybko przekraczając dozwoloną prędkość - bo sto czterdzieści na godzinę to raczej więcej, niż wolno jechać osiedlową uliczką.

Wcisnąłem gaz do dechy i ruszyłem za jego tylnymi światłami.

Kluczył, zmieniał kierunek, manewrował, przemykał wzdłuż wyłożonych sidingiem ścian domów na Redondo Lane, obok 7-Eleven, pizzerii Shakey, baru śniadaniowego, liceum San Pedro i knajpy dla motocyklistów za miastem. Zignorował dwa znaki stopu, dwa czerwone światła i grupkę hałaśliwych nastolatków, którzy na środku ulicy pili piwo z puszek ukrytych w brązowych papierowych torebkach. Musieli dosłownie nurkować na pobocze w poszukiwaniu schronienia.

Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek przedtem jechałem tak szybko.

Może w grze komputerowej.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem pijany, do momentu, kiedy wchodząc szerokim łukiem w zakręt drogi wokół szkolnego boiska, zahaczyłem o pierwszy samochód. Odskoczyłem lekko z okropnym zgrzytem wgniatanego metalu. Dźwięk był trochę spóźniony w stosunku do szarpnięcia, jakby fale dźwiękowe potrzebowały więcej czasu, żeby mnie dogonić.

Drugi samochód stuknąłem gdzieś w okolicy pola golfowego z dziewięcioma dołkami. Tym razem nie zauważyłem nawet, co to było, zorientowałem się tylko, że w coś trafiłem, ponieważ

miatę odrzuciło gwałtownie w prawo, a jej ofiara zawyla z bólu rozwścieczonym alarmem samochodowym.

Wtedy coś uderzyło we mnie.

Trzask.

Skręciłem za róg. Ulica przede mną była pusta.

Spojrzałem w lewo. Spojrzałem w prawo.

A trzeba było obejrzeć się za siebie.

Hydraulik wjechał w boczną uliczkę.

I potem z niej wyjechał.

Zupełnie jak w kreskówkach, w których rozwścieczony Elmer Fudd ściga „kólika”, a potem nagle role odwracają się w ten magiczny sposób, który tylko w bajkach jest możliwy, i nieszczęsny uzbrojony Elmer wieje ostatkiem sił, podczas gdy Bugs depta mu po piętach.

Tylko że mnie nie ścigał królik, a jeśli w tym towarzystwie ktoś w ogóle był uzbrojony, to raczej on.

Brzdęk.

Znowu wałnął w mój tylny zderzak, raz, drugi, a potem trzeci tak gwałtownie, że rzuciło mnie na deskę rozdzielczą.

Uderzyłem brodą w kierownicę, aż odskoczyła mi głowa.

Zmieszane z winem vermicelli alfredo podeszło mi do gardła.

Nie mogłem się zatrzymać.

Gdybym nacisnął hamulec, hydraulik wylądowałby na moim przednim siedzeniu.

Przed oczyma miałem obraz zwęglonego wraku na drodze numer czterdzieści pięć. To byłem ja.

Docisnąłem pedał gazu. Opierałem się pokusie spojrzenia na prędkościomierz, wychodząc z założenia, że to, co tam zobaczę, może mnie przerazić, zresztą nie chciałem odrywać oczu od coraz bardziej rozmywającej się drogi. Raz czy dwa minęliśmy jakieś samochody wyglądające jak nieruchome dekoracje sceniczne. Mignęła mi czyjaś twarz, na której malowało się zaskoczenie i przerażenie.

Moje odczucia były podobne.

Hydraulik znowu mi przyłożył. Poczułem ukłucie bólu w kręgosłupie, kiedy samochód odskoczył w prawo i zahaczył o krawężnik.

I znowu - tym razem mocniej, aż zakołysało mną w lewo, a jedna ręka ześliznęła mi się z kierownicy.

Tak to jest, kiedy ma się zostać stratowanym.

Tak to jest, kiedy coś brutalnego i rozpędzonego depta człowieka po piętach.

Nie ma się gdzie ukryć.

Nie można się zatrzymać, nie można skrócić w prawo ani w lewo.

Można tylko spróbować przed tym uciec.

Przynajmniej do pewnego momentu.

Pokonałem zakręt, za którym droga nagle zrobiła się szersza, a budynki gdzieś zniknęły.

Wiedziałem, gdzie jesteśmy.

Minąłem dwa billboardy: na jednym była reklama sklepu optycznego przy głównej ulicy, na drugim trzy odziane w półskujące cekiny tancerki rewiowe o bujnych biustach wabiły do rajy w Binions Casino.

Wyjazd na autostradę.

Gdyby udało mi się wyjechać na autostradę, miałbym szansę.

Pomodliłem się w duchu i dodałem gazu.

Światła radiowozu zauważyłem dopiero, gdy zaczęły błyskać w moim lusterku.

- Co ty do cholery wyrabiasz, Lucas?

Były to pierwsze słowa, które padły z ust szeryfa Swensona.

Przepelniony wdzięcznością człowieka niespodziewanie uratowanego, powiedziałem mu, co wyrabiam.

- Jaki pick-up? - zapytał.

Stał obok mojego samochodu od strony kierowcy i świecił mi w oczy latarką, sprawiając, że czułem się mniej wdzięczny, a bardziej jakbym był przesłuchiwany. Brakowało mu tylko gumowej pałki.

- Niebieski pick-up, który jechał zaraz za mną - powiedziałem. - Jechał nim facet, który włamał się do mojego domu i mnie pobił.

- Pick-up? - powtórzył Swenson. - O czym ty mówisz? Nie widziałem żadnego pick-upa.

Wtedy właśnie to poczułem. Ten wewnętrzny chłód, który skrada się w górę nóg, jak gdyby człowiek stał w dusznym, gorącym pomieszczeniu w mokrych skarpetach. Wiadomo, że zanoszą się na poważną chorobę.

- Jak to możliwe? Był pięć stóp za mną.

- Wsiadaj.

To, co zobaczyłem w świetle reflektorów radiowozu, wyglądało jak odrzut z Demolition Derby. Wgnieciony przedni błotnik. Drzwi pasażera poprzecinane smugami w nieokreślonym kolorze. Dwa spore wgniecenia w tylnym zderzaku.

- Przyłapałem go na kolejnej próbie włamania do mojego domu. Potem usiłował zepchnąć mnie z drogi - powiedziałem.

- Aha - powiedział Swenson. - Mówiłeś, że pick-up był niebieski?

Na drzwiach od strony pasażera widniał wyraźny tatuaż z krwistoczerwonego lakieru.

- Bawiłeś się w zderzanie z innymi samochodami, Lucas?

- Dobra, możliwe, że kogoś stuknąłem.

- Wygląda mi to na kilku kogosiów. Zechciej, proszę, przejść kawałek po prostej. - To nie była prośba. - No już, Lucas, w dowolnym kierunku.

- Przecież mówię, że właśnie próbowałem okraść mój dom. A potem chciał mnie zepchnąć z drogi. Mógł mnie zabić.

- Przejdź się, zrób to dla mnie, dobrze, Lucas?

- Nie ma problemu.

Miałem nadzieję, że nie będzie problemu, że przejdę po linii prostej, a następnie wrócę do swojego samochodu i po kłopotach. Potrafiłem to przecież zrobić - przejść prosto między dwoma punktami, prawda?

A może i nie.

Nawet banalna codzienna czynność staje się skomplikowana, jeśli od jej wyniku zależy nasza wolność. Mechanizm stawiania stóp w jednej linii jakoś nigdy nie zaprzętał mojej uwagi. Ciężka sprawa.

Zachwiałem się, zatoczyłem i próbując odzyskać równowagę, przechyliłem się w prawo.

A jednak udało mi się zrobić całe dziesięć kroków i nie runąć na twarz. Odwróciłem się i chociaż moja pewność siebie gdzieś zniknęła, zacząłem iść z powrotem.

Przeszedłem.

Potknąłem się o coś.

Albo o kogoś.

Zdałem sobie sprawę, że był to czarny but Swensona dopiero wtedy, gdy leżałem na ziemi, a on postawił go na moim karku.

ROZDZIAŁ 22

Luiza chciała wejść, żeby posprzątać pokój.

Oznajmiła to łamaną angielszczyzną przez uchylone drzwi do mojego pokoju w motelu.

To było jakoś wczoraj.

Chyba była sama. Mówię „chyba”, ponieważ moje pole widzenia było niebezpiecznie ograniczone otworem wizjera. Widziałem Luizę - w porządku. Widziałem jej odkurzacz, niebieskie wiadro i wózek z pościelą.

Nie widziałem, co czai się po obu jej stronach.

- Prosię... panie Valle... - powiedziała. - To już dwa tygodnie.

Czyżby minęło aż tyle czasu?

Dwa tygodnie?

Możliwe.

Pokój był zaśmiecony opakowaniami po suszonej wołowinie, pudełkami po krakersach, pozólkłymi gazetami i opróżnionymi do połowy puszkami napojów gazowanych z pływającymi w nich muchami. Moje zmięte ubrania wały się po zniszczonym dywanie. Rolety były szczelnie zaciągnięte.

- Prosię... panie Valle... - znowu Luiza.

Otworzyć, nie otworzyć?

Wydawała się szczerą. Z drugiej strony skąd mogłem wiedzieć, jak brzmi szczerłość w ustach Luizy? Ten jej akcent! Szczerłość mogła być złudzeniem.

A jednak. Jeżeli nie wpuszczę jej do środka, może przyprowadzić kierownika, który przekona mnie w jej imieniu.

Akurat w tej chwili ani ja, ani moi przyjaciele, Smith i Wesson, nie byliśmy spragnieni towarzystwa.

Poklepałem wypchaną prawą kieszeń spodni, wziąłem głębokoki oddech i odsunąłem zasuwkę.

Cofnąłem się na środek pokoju.

- No dobrze. Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się jak w zwolnionym tempie. Sekundę lub dwie później do pokoju zajrzała głowa Luizy.

Możliwe, że była równie przestraszona jak ja. Prawdopodobnie zastanawiała się, co ją czeka za drzwiami. A może przeciwnie? Może dokładnie wiedziała, co ją czeka - przygotowała się do zajęć.

„Odsunie się od drzwi, żeby się bronić. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Ale proszę się nie obawiać - my również”.

Szepnąłem „dzień dobry” do pana Smitha, zapewniłem pana Wessona, że jesteśmy gotowi do strzału.

Drobna postać Luizy pojawiła się-w ślad za głową.

Unikając mojego wzroku, odwróciła się i zaczęła ciągnąć wózek do pokoju. Ponad jej ramieniem do środka wpadł promień słońca, oświetlając rozrzuconą pościel i ubrania - święto śmiecia, wśród którego mieszkałem.

Odańczyłem kilka kroków w prawo, starając się odzyskać wzrok. Oślepiające słońce kłuło w oczy jak odłamki szkła.

Jak brzmi pierwsza zasada partyzantów?

Zaskocz nieprzyjaciela, kiedy słońce będzie mu świecić w oczy.

Minąłem Luizę, zatrzasnąłem drzwi i z powrotem przekręciłem zamek.

Luiza odwróciła się, słysząc szcęk zakładanego łańcucha. Wyglądała, no cóż, na zdenerwowaną.

- Ile potrzebujesz czasu? - zapytałem.

Wzruszyła ramionami, nie odpowiadając. Zamiast tego wyjęła z wózka czarny worek na śmieci i zaczęła go napełniać odpadkami z ostatnich dwóch tygodni.

Usiadłem na jedynym w pokoju krześle, ostrożnie ją obserwując.

- Skąd jesteś, Luizoz?

- Z Ekwadoru - odpowiedziała, nie oglądając się w moim kierunku. Na rękach miała żółte gumowe rękawice.

- Jak długo tu jesteś?

- Dwa roki.

- Dwa roki, hm. Masz tu rodzinę?

- Mąż - powiedziała, tym razem zerkając na mnie.

- Mąż. Jak miło.

Mogło to wyglądać jak uprzejma pogawędka. Nic bardziej mylnego. Prowadziłem przesłuchanie jak w Abu Ghraib. Tylko bez upokarzających zdjęć i kabli elektrycznych.

- Czy ktoś o mnie pytał, Luizoz?

- Nie rozumiem...

- Pytam, czy ktoś, ktokolwiek, zadawał jakieś pytania na mój temat? Na przykład kim jest ten mężczyzna w pokoju numer cztery? Albo inne.

- Nie - odpowiedziała.

- Dobra, w porządku. Świetnie. Więc nikt nic nie mówił?

- Kierownik.

- Kierownik? - Poczulem nagły przypyływ strachu. - Kierownik o mnie pytał?

Luiza pokiwała głową.

- Co powiedział?

- Pytał, dlaczego pan nie wpuszcza mnie spsiać pokój.
- Co mu odpowiedziałaś?
- Mówię, pan nie chce, jak spsiać. Pan śpi. Albo pan pracuje.

To była moja odpowiedź, kiedy pukała do drzwi. Że śpię. Albo pracuję. Że proszę, by przyszła jutro. Jutro rozciągnęło się na dwa tygodnie.

- Pracowałem - powiedziałem. - Zobacz. - Pokazałem otwarty laptop na zaśmieconym biurku. Piszę najszybciej, jak potrafię.

Pokiwała głową.

- Piszę... sztukę. Dlatego nie otwieram drzwi. Ponieważ nie lubię, gdy ktoś mi przeszkadza. Ponieważ kończę sztukę. Możesz mu tak powiedzieć.

- Dobrze.

- Świetnie. Prawie skończyłem.

Luizy nie interesowało, czy skończyłem, czy nie. Złożyła pośpieszną wizytę w łazience, niosąc ręczniki, po czym wyłoniła się stamtąd i rozpoczęła odkurzanie.

- Inny mężczyzna też mnie pytał - powiedziała, wieszając worek na śmieci na wózku i pchając całość w kierunku drzwi.

- Co? Co powiedziałaś?

- Inny mężczyzna. Pytał mnie, kim pan jest - powiedziała. - Zapomniałam.

ROZDZIAŁ 23

Okazało się, że zawartość alkoholu w mojej krwi była dwukrotnie wyższa od dozwolonej.

W każdym razie byłem wystarczająco pijany, żeby nie zauważyć, jak szeryf Swenson stawia swój czarny bucior rozmiar czterdzieści pięć na mojej drodze. Zauważyłem go dopiero na swoim karku. Kiedy leżałem na ziemi z policzkiem przyciśniętym do asfaltu, ciągle rozgrzanego od pustynnego słońca, i poczułem brutalny ciężar buta, dotarło do mnie wyraźne przesłanie na temat tego, kto tu rządzi.

Doszedłem do wniosku, że to koniec. Mojego życia. Widocznie miałem skończyć tutaj, na pustej drodze w środku kalifornijskiej pustyni.

Jak się okazało, szeryf po prostu pouczał mnie, jakie są konsekwencje brawurowej jazdy.

Pouczenie przyjąłem.

Dmchnąłem w alkomat, zostałem przesłuchany w sprawie tego, gdzie i w co uderzyłem. Swenson zacytował przepisy dotyczące jazdy po pijanemu i ucieczki z miejsca wypadku. No dobrze, dwóch wypadków.

A potem, o dziwo, zostałem wypuszczony.

Mógł mi zafundować noc w więzieniu, żebym przemyślał swoje uczynki, o czym mi przypomniał, dając do zrozumienia, jaki jest łaskawy.

Podziękowałem.

Choć myślałem o czymś zupełnie innym.

Nie widział pick-upa. Jak to możliwe?

W jakiś sposób, wbrew wszelkim prawom fizyki, nie zauważył niebieskiego pick-upa, który ścigał mnie z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Gdzie się podział pick-up?

Może tamten zauważył policyjne światła, zwolnił i zjechał na bok albo gdzieś skręcił?

Może Swenson rzeczywiście go nie widział.

Rozważałem też przykrą możliwość, że miewam halucynacje.

Była przecież ta twarz w kręgielni, ta sama, którą zobaczyłem potem w świetle lampy - już drugi raz zniknęła mi z oczu.

Czy to możliwe, żebym miał coś z głową? Może potrzebuję psychotropów w ilościach hurtowych jak Dennis Flaherty?

Nie.

Łatwo kwestionować swoją poczytalność, leżąc w łóżku o pierwszej w nocy, kiedy głowa pulsuje od kaca, a na podjeździe stoi miata, która zaliczyła randkę ze zgniatarką złomu.

Coś jeszcze się tu działo.

Wyjąłem z szuflady przy łóżku liścik od Benjamina.

„Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin”.

No jasne, zawierał błąd ortograficzny. Dziwne, że nie zauważyłem go wcześniej. Powinien był napisać: „Wszystkiego najlepszego z okazji setnych urodzin”. Ile lat miałyby autor kartki, gdyby był synem Belindy? Sięgnąłem do szuflady po ich zdjęcie z bladymi plamkami krwi.

Kiedy je zrobiono, musiała być zima.

Zimy nie były w tej okolicy szczególnie chłodne. Może na tyle, by włożyć beżowy wełniany sweter i ubrać jedyne dziecko w

brązowy sztruksowy płaszczyk z pięcioma czarnymi guzikami. Trzymała go pod paszkami i możliwe, że miał łaskotki, bo wyglądało to tak, jak gdyby chwilę wcześniej, gdy fotograf ustawiał ich do zdjęcia, chłopiec wiercił się i zaśmiewał na jej kolanach. Na zdjęciu uśmiechał się, odsłaniając zęby w uroczy sposób, jakby w każdej chwili miał wybuchnąć hałaśliwym chichotem. Mówią, że zdjęcie nie może ukraść czyjejś duszy, ale chyba czasem może przetrzymać ją jako zakładnika.

Kto zrobił to zdjęcie?

Mąż Belindy? Chciał upamiętnić tę chwilę? Jaką chwilę? Siedzieli pod szyldem kawiarni w Littleton Flats. Może świętowali ten dzień uroczystym lunchem? Co świętowali? Ukończenie przedszkola przez Benjaminą? Wygląda na sześciolatka.

Tyle samo lat miał Jimmy.

Katastrofa musiała się wydarzyć niedługo po tym, gdy zrobiono zdjęcie. Może właśnie to, co miało nadejść potem, sprawiło, że fotografia nie dawała mi spokoju.

Tamte trzy dni nieprzerwanego deszczu - wprawdzie niezwykle jak na pustynię, ale takie rzeczy się zdarzają. Matka natura się wściekła i zawalił się cały świat.

A przynajmniej betonowa zapora.

Zwykły niedzielny poranek w Littleton Flats.

Może Benjamin oglądał zabawne gazety, ucząc się czytać w czasie, gdy Jane biegała, Dick rzucał, a Spot szczekał, a może zastanawiał się, dlaczego wszystkie te przechodzące, biegające i rzucające dzieciaki są białe. A może nie - może dzieci w tym wieku jeszcze nie dostrzegają koloru skóry. Może tego ranka nie mógł się doczekać, kiedy mama wróci do domu i upiecze placek brzoskwiniowy. Nie wiem, czy Belinda piekła placki brzoskwiniowe - pewnie była zajęta sprzątaniem domu białych ludzi w Littleton jak większość czarnoskórych obywateli, którzy w tamtych czasach chcieli zarobić na chleb. Może Belinda ściełła łóżka, robiła śniadanie, myła dzieci, którymi musiała się zająć w tamten weekend, kiedy usłyszała pierwszy pomruk

podobny do grzmotu, chociaż dzień był bezchmurny. „Jakie to dziwne - musiała pomyśleć, wszyscy musieli tak pomyśleć - słychać grzmoty, a na niebie nie widać ani jednej chmurki”.

Najpierw woda zniszczyła wieżę ciśnień.

Dowiedziałem się tego z mikrofilmów.

To trochę ironiczne - woda uderzyła w samą siebie.

Kiedy było po wszystkim, znaleziono wieżę jednaście kilometrów od miejsca, w którym stała. W pobliżu natrafiono również na jedyną osobę, która przeżyła katastrofę - trzyletnią dziewczynkę płynącą na drzwiach do piwnicy wyrwanych z zawiasów przez wodny wir. Utrzymała się na powierzchni, sunąc na fali zniszczeń niczym dziecięcy miłośnik surfingu w hawajskiej zatoce Waimea.

Miasteczko zostało zrównane z ziemią. W wiadomościach porównywano je do Hiroszimy - bo to skojarzenie odpowiadało ówczesnemu wyobrażeniu większości Amerykanów o całkowitej zagładzie.

Znalazłem kilka zdjęć.

Porównanie było trafne.

Tu i ówdzie sterczały fragmenty betonowych lub stalowych konstrukcji jak jakieś dziwaczne abstrakcyjne rzeźby. Nie bardzo dało się rozpoznać, czym kiedyś były.

Ze względu na groźbę epidemii - wszystkie te wzdęte ciała w śmierdzącej wodzie - okolica została zamknięta. Trzeba było miesiocy, by wydobyć zwłoki wszystkich ofiar, uratować to, co nadawało się jeszcze do uratowania, zabić deskami, wyburzyć i wywieźć resztę. Potem przyszła kolej na załamywanie rąk, refleksje, a wreszcie, co nieuniknione, na szukanie winnych. Utworzono niezależną komisję, której zadaniem było zbadanie przebiegu budowy tamy Aurora, skrupulatne przestudiowanie projektów, dokumentacji związanej z zamówieniami...

Dryń, dryń.

Dźwięk telefonu sprowadził mnie z Littleton Flats sprzed pięćdziesięciu lat do teraźniejszości, która w ten sposób domagała się uwagi.

Odebrałem.

- Tom Valle?

- Tak. Kto mówi? - Dzwonek telefonu ponownie uruchomił młot pneumatyczny w mojej głowie. Łup... łup... łup...

- John Wren. Dzwoniłeś do mnie? - zapytał z nieuchwytną pretensją w głosie.

- Tak, dzwoniłem. Dziękuję, że oddzwaniaasz.

- Nie ma sprawy - stwierdził Wren.

Przez chwilę nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

Jak się ostatnio czujesz, John? Wyjiesz jeszcze do księżycy?

Rozwiązał problem za mnie. Zapytał o Hinch.

- Ma się dobrze - powiedziałem, a potem się poprawiłem.

- Właściwie to nie, nie ma się dobrze. Jego żona znowu jest chora.

- Fatalnie.

- Tak.

Cisza.

- To czego właściwie chcesz? - zapytał.

- Katastrofa tamy Aurora. Hinch powiedział, że zamierzałeś o tym napisać.

- Katastrofa? Uhm, zgadza się.

- Co się stało?

- Niewiele.

- Nie rozumiem.

- Ciężko było namówić kogoś do rozmowy. Większości ludzi nie było jeszcze wtedy na świecie.

- Więc nie udało ci się z nikim porozmawiać?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że było ciężko. Dlaczego pisziesz o katastrofie tamy Aurora?

- Z tego samego powodu co ty - zginęły osiemset dziewięćdziesiąt trzy osoby.

- Osiemset dziewięćdziesiąt dwie. Zapominasz o tej dziewczynce.

- Racja. Dziewczynka.

- Rozmawiałem z nią - powiedział. - Nadal żyje.

- W Littleton?

- W San Diego. Odszukałem ją. Była pierwszą osobą, z którą rozmawiałem.

- Jak poszło?

- W porządku. Jak na kogoś, kto miał wtedy trzy lata, zapamiętała nieprawdopodobnie dużo. - Usłyszałem dźwięk zapalanej zapalki i wciąganego dymu. - Miałem z tym mały problem.

- To znaczy?

- To znaczy, że były to dość niezwykle wspomnienia.

- Niezwykłe?

- Jeżeli twoim zdaniem statek kosmiczny pełen robotów z kosmosu, które wyciągają kogoś z wody, trafia się codziennie, to właściwie nie było to nic niezwykłego.

- Roboty z kosmosu?

- Właśnie. Roboty z kosmosu.

- Cóż, sam powiedziałeś, że miała wtedy trzy lata.

- Uhm. Oczywiście część z tego, co zapamiętała, brzmiała prawie wiarygodnie. Reszta dobrze by się prezentowała w „National Enquirer”.

- To znaczy, że było coś więcej niż roboty z kosmosu?

- Właśnie. Poza robotami z kosmosu miała tego dnia wiele przygód... - Jego głos się oddalił.

- Na przykład?

- Czy mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Tom Valle. Nazywasz się tak samo, jak ten... oszust... wiesz, o kim mówię. Pewnie ciągle cię o to pytają. Musi ci się ciężko pracować w tej samej branży?

- Owszem, niełatwo.

- Myślałeś o tym, żeby zmienić nazwisko?
- Nie.
- Racja. Nie musisz przecież zmieniać nazwiska, dlatego że ktoś inny zmieszał je z błotem, prawda?
- Prawda.
- Co się z nim stało? Czy ten gość poszedł do więzienia?
- Nie, nie poszedł.
- Mógłbym przysiąc, że poszedł do więzienia. Zaslugiwał nato.
- To ja jestem Tom Valle.
- Wiem.
- Nie, ja jestem tym Tomem Valle'em, o którym mówisz. Tym, który nie poszedł do więzienia.
- Wiem - powtórzył. - Sprawdziłem to, kiedy odebrałem twoją wiadomość. Byłem ciekaw, czy mi powiesz.
- Powiedziałem.
- Prawdę mówiąc - bo mówimy tutaj prawdę - jestem zaskoczony, że nie zmieniłeś nazwiska. A jeszcze bardziej dziwi mnie to, że znowu pracujesz w gazecie. Nawet jeśli to gazeta w miasteczku Pleasantville. Hinch chyba wie?
- Tak.
- To dobrze. Czy to ma być próba resocjalizacji?
- Zapytaj jego.
- Może powinienem. W końcu to trochę tak, jak wpuścić pedofila z powrotem do szkolnej klasy, prawda?
- To stare dzieje. Zgodnie z orzeczeniem sądu spłaciłem dług względem społeczeństwa. Szczerze. Moglibyśmy zmienić temat? Byłem po prostu ciekaw, czy mógłbyś podzielić się ze mną informacjami o...
- Bardziej mnie martwi twój dług względem dziennikarstwa - przerwał mi. - Tego długu nie możesz spłacić. Ludzie tacy jak ty niszczą nasz zawód. Łamią niepisane zasady. Przez takich jak ty wszyscy jesteśmy dziennikarzami tabloidów - powiedział, podnosząc głos. - Byłeś wiarygodny. To naprawdę

było coś. Trafieś tam, gdzie większość z nas miała nadzieję kiedyś się znaleźć. Ale nie daliśmy rady. Teraz przez ciebie przeciętny Joe sądzi, że być może wszystko jest bzdurą, że *reality TV* to kit, że wymyślamy rzeczywistość. Dlatego odzwoiłem. Chciałem ci to powiedzieć.

Siedziałem i słuchałem jego zarzutów, nie rozłączając się. Może dlatego, że nadal był trochę szalony - chociaż miał rację. Można być szalonym i mieć rację, prawda? A może dlatego, że minęło trochę czasu, sporo czasu, odkąd ktoś wygarnął mi prawdę, nie owijając w bawełnę. W dniu, kiedy - chcąc uniknąć spojrzeń spode łba i chłodnego traktowania - próbowałem wymknąć się z biura ze swoim nędznym dobytkiem w pudełku, kilku samozwańcych mścicieli zdołało osaczyć mnie na korytarzu i założyć podwójnego nelsona dziennikarskiego oburzenia. Jednym z nich był mój kumpel od kieliszka, ten, który wyrzył na moim biurku osobliwą wiadomość. „Kłamię, więc jestem”. Przyjąłem ich diatrybę tak samo jak teraz krytykę Wrena - nie dałem nura do windy, nie rzuciłem się w kierunku schodów ani nie zamierzyłem się na nich. Słuchałem ze stoickim spokojem niczym Chuck Connors, kiedy odcinano naramienniki od jego munduru kawalerzysty, zanim został wyrzucony z Fort Apache na początku *Napiętnowanego*. Częściowo sprawiły to pouczenia doktora Payne'a, abym uznał swoją winę. Po części uważałem, że na to zasłużyłem. A po części miałem wtedy nadzieję, że jeśli usłyszę to od nich, może nie będę musiał wysłuchiwać tego od niego. Od człowieka na końcu korytarza, którego osobiście zniszczyłem, który kilka tygodni później miał raz na zawsze zostać wyrzucony z fortu i do którego dzwoiłem pijany jak świnia, ale nie odzywałem się ani słowem.

- A więc przeszedłeś już leczenie odwykowe?

- Nie byłem alkoholikiem. Wymyślałem historie. Przestałem.

- Milo mi to słyszeć.
- Ciekawi mnie tamta sprawa. Katastrofa tamy Aurora.
- Już to mówiłeś.
- Dlatego do ciebie zadzwoniłem. Zastanawiałem się, czy wiesz coś na temat ostatecznej liczby ofiar. Czy doliczono się w końcu wszystkich ciał?
- Jak to: doliczono?
- Czy ktokolwiek, o kim sądzono, że zginął w katastrofie, odnalazł się później żywy?

Cisza.

- Rzecz w tym - powiedział - że moim zdaniem do ciebie nie stosują się zasady dziennikarskiej uprzejmości.

- Moim zdaniem ktoś, o kim sądzono, że zginął w powodzi, w rzeczywistości ocalał. Myślę, że pojawił się ostatnio i odwiedził matkę, która skończyła sto lat. Podejrzewam, że to mógł być ten sam człowiek, który zginął później w wypadku samochodowym z cudzym portfelem w kieszeni. Nie mam pewności, ale myślę, że to prawdopodobne. Próbuję połączyć fakty.

Usłyszałem tap, tap, tap papierosa o popielniczkę.

- O co mnie właściwie prosisz? O pomoc? Jak? Chcesz, żebym zajrzał do swoich notatek? O to ci chodzi?

- Jeśli nie sprawiłoby ci to zbyt dużego kłopotu.

- Nie sprawiłoby. Gdybym chciał. Ale nie chcę. Nie dla ciebie.

Teraz w jego głosie słyszeć było zniecierpliwienie, za którym kryła się chęć odłożenia słuchawki.

- Może tak właśnie spłacam swój dług - powiedziałem.

- Co?

- Dług, o którym wspomniałeś. Względem dziennikarstwa. Może to mój sposób. - Nie wiem właściwie, dlaczego z tym wyskoczyłem, nie mam pojęcia, ale kiedy już to z siebie wyrzuciłem, uznałem, że zabrzmiało słusznie. Z braku lepszego słowa można powiedzieć, że wypadło to prawdziwie.

Słyszałem, jak znowu się zaciąga, i wyobraziłem sobie spiralę niebieskawego dymu kłębiącego się pod sufitem.

- Pomyślę o tym - powiedział po przerwie, która wydała mi się dość długa.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. Nie powiedziałem „tak”.

ROZDZIAŁ 24

Pierwszą wskazówką był kolor piasku.

Zrobił się nagle bardziej czerwony, jakby ziemia krwawiła.

Pojechałem rano miatą do serwisu Marva.

- Może uda się ją uratować, jeśli nie będzie ci przeszkadzało, że będzie wyglądała jak gruchot porucznika Columbo - powiedział, a potem zaproponował mi samochód zastępczy na czas naprawy.

Jechałem trasą numer czterdzieści pięć starym t-birdem bez tylnego siedzenia.

Minąłem wysłużony znak na drodze donikąd.

W krajobrazie wyraźnie czegoś brakowało...

Jakby się stało na ruinach Forum Romanum pozbawionego otaczających je kolumn. Przestrzeń zdawała się mówić jak otwarte usta.

A potem tu i ówdzie jednak pojawiły się kolumny w postaci zardzewiałych stalowych konstrukcji. Garbate pozostałości betonowych fundamentów zaśmiecające księżycowy krajobraz. Może raczej czerwone równiny Marsa...

Zatrzymałem samochód i wysiadłem w miejscu, które kiedyś było miasteczkiem Littleton Flats.

Poczułem się jak ktoś, kto zrobił krok w tył na cmentarzu i omal nie zawołał „przepraszam”, zdając sobie sprawę, że niechcący stanął na czyimś grobie.

Włóczyłem się, mijając ledwie zauważalne bryły gruzu, porzrzućane tu i ówdzie kamienie matowe jak dmuchane szkło i porzewiałe puszki po piwie Old Milwaukee.

Próbowałem sobie wyobrazić, co gdzie stało.

Littleton Flats Café na przykład. Ta mała drewniana ławka pod wiszącym szyldem, na której czarnoskóra matka usiadła z uśmiechającym się do obiektywu sześćoletnim dzieckiem na kolanach.

Obszedłem jakiś duży okrąg.

Wieża ciśnien? Ta, którą znaleziono jedenaście kilometrów dalej, kiedy woda wreszcie opadła?

Próbowałem sobie wyobrazić chwilę, gdy woda uderzyła.

Oglądałem kiedyś materiał filmowy nakręcony podczas uderzenia tsunami w Indonezji. Najpierw coś wsysa wodę do oceanu, pozostawiając na piasku łodzie rybackie jak małe plażowe zabawki. Chwila niesamowitej pustki, po czym ocean wraca z rykiem, wysoki na dwa piętra, smolście czarny, i można by pomyśleć, że to tania sztuczka filmowa, gdyby nie świadomość, że na tych plażach, łodziach i w hotelach byli ludzie. Rozrzuczone ręce i nogi, pękające płuca i splątane ciała.

Littleton Flats zamieszkiwały głównie rodziny pracowników elektrowni wodnej, dla potrzeb której zbudowano tamę Aurora. Ta sama energia, którą ludzie z miasteczka okiełznali i uregulowali, w końcu obróciła się przeciwko nim. Elektrownia została zniszczona i ze względu na dostępność tańszych źródeł energii w głębi stanu nigdy jej nie odbudowano.

Ani elektrowni, ani Littleton Flats.

Wpatrując się w czerwony piach, napotkałem czyjś wzrok. Należał do porośniętego mchem Lincolna z jednocentówki, którego upływ czasu upodobił do jakiegoś potwora z bagien.

Przypomniał mi się *Potwór z Czarnej Laguny* - jeden z filmów, w które uciekałem, ustawiając dźwięk jak najgłośniejszy, żeby nie słyszeć, co się dzieje w pokoju obok, dokąd matka zabierała Jimmy'ego. Postrach małych dzieci. Takich jak Benjamin. Tylko że Benjamin ocalał, jakoś wydostał się na powierzchnię i zniknął.

Jak?

„Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin”.

Zdałem sobie sprawę z panującej tu grobowej ciszy.

Poza szeptem wiatru nie słyszałem nic - żadnego świerszcza ani ptaka. Dziwne. Żadnego grzechotnika, co było dość pocieszające dla kogoś, kto znalazł się tu sam.

Tylko że ja nie byłem tu sam.

Siedziałem na betonowym występie, kontemplując jedno-centówkę, za którą kiedyś Benjamin mógł kupić kawałek gumy balonowej z komiksem *Bazooka Joe*. Obracałem ją w ręce, pocierając palcami omszałą powierzchnię, kiedy poczułem, że ktoś mnie obserwuje.

Mężczyzna.

Stał w odległości połowy boiska futbolowego ode mnie.

Jakieś dwadzieścia metrów od poturbowanego t-birda, którym tu dotarłem. Nie zauważyłem innego samochodu i zacząłem się zastanawiać, jak on się tu dostał. I nad czymś jeszcze - co tutaj robi.

W pierwszej chwili przestraszyłem się, że to może hydraulik, którego ostatni raz widziałem idącego niespiesznie z torbą w rękę w kierunku mojego ganku.

On.

Jednak nie.

Ten człowiek był wyraźnie starszy. Gdybym go zauważył u Searsa albo minął w nocy przechadzającego się po Redondo Lane, nie zwróciłbym na niego najmniejszej uwagi. Tutaj to co innego.

Poderwałem się i cofnąłem dwa kroki dla odzyskania równowagi, z której wyträcił mnie samym swoim pojawieniem się.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Halo! - krzyknąłem w jego kierunku.

Nie zatrzymał się, szedł dalej w tym samym tempie, jakby był na porannym spacerze i nie słyszał nikogo wołającego, żeby się zatrzymał.

Przyspieszyłem.

Kiedy się zbliżyłem, okazało się, że jest jeszcze starszy, niż sobie wyobrażałem. Otaczała go aura dostojności - nawet kiedy stał tyłem. Było ze czterdzieści stopni, a on miał na sobie szykowną niebieską sportową marynarkę w szare prążki, zamiast butów trekkingowych czy adidasów czarne wypolerowane do połysku półbuty. A na głowie przekrzywiony staromodny kapelusz.

- Przepraszam - powiedziałem lekko zdyszany. - Przepraszam, czy mógłbym z panem chwilę porozmawiać?

Zatrzymał się i odwrócił.

Musiał być dobrze po siedemdziesiątce, a może i po osiemdziesiątce. Jego włosy, w każdym razie te, które wystawały spod przekrzywionego kapelusza, były stalowo-siwe, obcięte na rekruta.

- Tak? - odezwał się spokojnie i uprzejmie, jak ktoś, kto pyta o godzinę.

- Chciałem tylko zapytać, co pan tutaj robi.

- Zabawne - powiedział. - O to samo mógłbym zapytać pana.

Jego spojrzenie można było chyba nazwać przenikliwym - uderzający błękit oczu sprawiał, że chciało się sięgnąć po okulary słoneczne.

- Tom Valle - powiedziałem. - „Littleton Journal”.

- O, jest pan reporterem?

Miałem wrażenie, że przeszywa mnie wzrokiem. Poczułem się jak w komorze aparatu do rezonansu magnetycznego, który drobiazgowo bada moje wnętrze.

- Píše pan... o tym miejscu? - zapytał.

- Tak. O katastrofie tamy Aurora.

- Rozumiem. - Pokiwał głową, zdjął kapelusz i wytarł czoło czystą białą chustką, która w tajemniczy sposób wyłoniła się z kieszeni jego marynarki.

- Powinien pan mieć coś na głowie - powiedział, zakładając z powrotem kapelusz i wpychając chustkę do kieszeni. - Udar słoneczny może być tragiczny w skutkach.

Nie musiał mnie przekonywać. Czuję się zamroczony upałem, osiągając stan podobny do purpurowej mgły, ale bez związanej z nią przyjemności.

- Katastrofa - powtórzył. - To było wiele lat temu.

- Pięćdziesiąt - powiedziałem. Poczułem, jak środkiem pleców spływa mi strużka potu. - A więc co pana tu przywiodło? - Zamierzałem zapytać również, jak się tu dostał, ale zauważyłem kratownicę maski samochodu zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej za jedną z zardzewiałych stalowych konstrukcji.

- Ciekawość - odpowiedział.

- Czytał pan o katastrofie?

- Tak.

- Jest pan stąd?

- Stąd? Chyba nikt nie jest stąd. Już nie.

- Nie chodziło mi o Littleton Flats. Chodziło mi o to, czy mieszka pan gdzieś w okolicy.

- Nie, nie mieszkam.

- Pasjonują pana katastrofy?

- Byłem tu kiedyś - powiedział.

- Tu? W Littleton Flats?

- Tak.

- Przed katastrofą? Pokiwał głową.

- Niewiele zostało, prawda?

- Niewiele. Jak tu wtedy było?

- Jak?

- Jak wyglądało to miejsce przed katastrofą? - Sporo czytałem o zniszczeniu Littleton Flats, ale prawie nic o samym

mieście. A teraz miałem przed sobą kogoś, kto chodził jego ulicami, kto być może minął Belinę i Benjamina idących na śniadanie do Littleton Flats Café.

- Wyglądało jak każde miasteczko. Całkiem zwyczajnie. Rodziny, sklepy, domy, ogródki. Zwykle miasteczko.

- W którym to było roku?

- Roku?

- Kiedy pan tu był?

- W 1954.

- W tym samym roku zawałiła się tama.

- Tak.

- I nigdy pan tu nie wrócił? Aż do dziś?

Pokręcił głową.

- Nie. Przejeżdżałem obok i pomyślałem sobie, dlaczego nie?

- To musi być dla pana trochę upiorne.

- Upiorne dla mnie? Powiedziałbym, że to jest upiorne dla każdego. Jak wszystkie opuszczone miasta.

Tak, miał rację. Lekki wiatr świszczący wśród porzewiałej stali brzmiał jak szept zirytowanych duchów.

- Straszna rzecz się tu wydarzyła - powiedział mężczyzna. - Wciąż się to czuje.

Wyjąłem z kieszeni notes i długopis.

- Czy mógłbym zapytać, jak pan się nazywa? Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym zacytował w swoim artykule pana wypowiedź?

- Obawiam się, że nie bardzo mam się czym podzielić. Jestem tylko, jak pan powiedział, pasjonatem katastrof.

- Ale był pan tu kiedyś.

- Tak, byłem. Jak wielu ludzi.

- Wielu ludzi nie chce o tym rozmawiać. W każdym razie w Littleton. Pan, jak mi się zdaje, nie ma nic przeciwko temu.

Popatrzył na swoje czarne, wypolerowane buty. Stopy trzymał na baczność i pomyślałem, że pewnie był kiedyś w wojsku.

- Dobrze - powiedział. - Nazywam się Herman Wentworth. Zanotowałem.

- Czy mogę zapytać, czym pan się zajmował?
- Jestem lekarzem - powiedział. - Oczywiście już niepraktykującym.

Zabawne, pomyślałem. To nieprzyjemne uczucie, że jestem badany, kiedy się przywitałem. To nie był przypadek.

- Miał pan prywatną praktykę?

Pokręcił głową.

- Pracowałem dla wojska.

A więc jednak był w wojsku.

- Dla wojska, naprawdę? Gdzie pan stacjonował?

- Och, wszędzie. Raz tu, raz tam. Właściwie na całym świecie. Na początku w Japonii.

- W Japonii? Kiedy to było?

- Pod koniec wojny. Zaraz po kapitulacji.

- Tokio?

- Nie - odparł. - Inna część kraju. Byłem w 499. Batalionie Medycznym.

- Leczył pan rannych?

- Leczyłem wszystkich. Japończyków również. Przysięga Hipokratesa nie dzieli ludzi na wrogów i przyjaciół, tylko na tych, których można uratować, i tych, których nie można.

- A więc w pewnym momencie, w 1954 roku, znalazł się pan tutaj?

- Spędziłem tu jeden dzień.

- Znał pan kogoś w Littleton Flats?

Pokręcił głową.

- Nie, tylko tędy przejeżdżałem. Tak jak dziś.

Zastanawiałem się, dokąd człowiek musi jechać, żeby przejeżdżać przez Littleton Flats. To nie był światowy węzeł komunikacyjny. Raczej ślepa uliczka.

Wyjaśnił moje wątpliwości.

- Zostałem przeniesiony do San Diego. Chciałem zobaczyć trochę pustyni. Urodziłem się na północy, w Minneapolis. Nie ma tam zbyt wielu pustynnych krajobrazów.

- Wtedy zatrzymał się pan tutaj na jeden dzień?

- Tak. Tylko na jeden dzień.
- Pamięta pan, jaka to była pora roku?
- Obawiam się, że nie - powtórzył rytuał sprzed kilku minut, wyjmując z kieszeni chusteczkę, zdejmując z głowy kapelusz i wycierając z czoła pot.

Zawroty głowy, które poczułem wcześniej, dokuczały mi coraz bardziej. Tępy ból głowy umiejscowił się gdzieś pośrodku czoła.

- Zapamiętał pan coś szczególnego?
- W związku z czym?
- Z miasteczkiem.
- To było dawno temu. Jak już powiedziałem, to było tylko miasteczko.

- Gdzie pan był, kiedy pan o tym usłyszał?
- Usłyszał o czym?
- O katastrofie.
- Przepraszam - wzruszył ramionami - ale nie pamiętam.
- W porządku - powiedziałem. - Dziękuję, że odpowiedział pan na moje pytania.

- Nie rozumiem, w jaki sposób mogłem panu pomóc.
- Był pan tam. To miło spotkać kogoś, kto widział miasteczko, zanim zostało zmyte z powierzchni ziemi.

Wyciągnąłem rękę, którą, jak na osiemdziesięciolatka, uściśnął zadziwiająco energicznie. Ruszył w stronę samochodu, a potem się odwrócił.

- Proszę nie zostawać tutaj zbyt długo - poklepał się po czołe. - Udar może być morderczy. Wiem coś o tym, jestem lekarzem.

- Dziękuję, już jadę.

Patrzyłem, jak idzie do samochodu. Usłyszałem dźwięk silnika pracującego na wysokich obrotach, potem przez chwilę na jałowym biegu, aż w końcu wyjechał zza rozłupanej stalowej kolumny.

Odjechał i wróciła martwa cisza.

W mojej głowie zapanował podwyższony stopień gotowości bojowej. Idąc do samochodu, poczułem mdłości. Otworzyłem drzwi i osunąłem się na siedzenie.

Było trochę lepiej niż na słońcu, ale wciąż kręciło mi się w głowie i zamknąłem oczy.

Rozłożyłem siedzenie i pomyślałem, że może lepiej będzie, jak kilka minut odpocznę.

Po chwili znowu chodziłem po Littleton Flats.

Miasto było pełne ludzi. Wieża ciśnień stała przy głównej ulicy. Wszyscy mężczyźni nosili staromodne kapelusze. Czulem dochodzący z Littleton Flats Café aromat naleśników z jagodami i syropem klonowym.

Kiedy wszedłem do środka, ładna kelnerka, ta, dla której mój ojciec nas zostawił - Lillian, tak miała na imię - uśmiechnęła się do mnie. Zaczerwieniłem się, kiedy przyniosła mi czystą podkładkę z punktami do połączenia.

Zacząłem rysować linie od kropki do kropki i od czasu do czasu zdawało mi się, że widzę tam rysunek, ale kiedy go podnosiłem, żeby pokazać ojcu, obrazek znikał.

Poczułem straszną frustrację, nieznośne zakłopotanie, wciąż rysując, żeby pokazać ojcu i Lillian to coś wśród kropek, ale gdy tylko próbowałem, znikало. Puff! Wyczuwałem rosnące rozczarowanie ojca i znużenie Lillian, aż w końcu stworzyłem własny rysunek, całkowicie ignorując kropki: narysowałem kobietę z dzieckiem na ławce.

Kiedy otworzyłem oczy, było ciemno i oblewał mnie zimny pot.

Zastanawiałem się, czy lekarz wojskowy był częścią mojego snu.

ROZDZIAŁ 25

Marv miał rację.

Miata wyglądała jak gruchot porucznika Columbo. Wyklepał wgniecenia, ale blacha była pogięta jak używana folia aluminiowa. Wymienił przedni zderzak na inny, ewidentnie nie od miaty, który w dodatku był przekrzywiony i o kilka cali za szeroki.

Silnik pracował jednak bez zarzutu.

Jechałem właśnie na północ autostradą wzdłuż Pacyfiku przyzwoite sto dziesięć na godzinę, żeby spotkać się z Johnem Wrenem.

Oddzwonił do mnie kilka dni po naszej rozmowie.

Odszukał swoje notatki. Dał mi jedynie do zrozumienia, że było w nich kilka interesujących rzeczy. Porównał swoją wiarę w artykuł z obrzydzeniem, jakie czuł do mnie. Artykuł zwyciężył. Ale był w tym haczyk - jeśli potrzebowałem notatek, musiałem sam po nie przyjechać. Nie miał faksu, a najbliższy aparat znajdował się w odległości dobrych sześćdziesięciu kilometrów, bo Wren zaszył się w jakimś opustoszałym ośrodku rybackim nad jeziorem.

„Odniosłam wrażenie, że gdzieś się zaszył”, powiedziała Anna. Najwyraźniej na dobre został samotnikiem.

Powiedziałem Hinchowi, że chciałbym wziąć kilka dni wolnego.

Nie zdradziłem mu, co zamierzam robić, bo obawiałem się, że będzie się ze mnie śmiał. A potem z miejsca mnie zwolni.

Właściwie mogłem polecieć samolotem, ale z pieniędzmi było krucho, zresztą, tak jak Herman Wentworth, miałem ochotę na zmianę krajobrazu.

Jadąc na północ wzdłuż Pacyfiku, obserwuje się, jak znikają warte milion dolarów domy na plaży, podłe motele dla amatorów surfingu, siatki do gry w piłkę i hałaśliwe mola. Linia brzegowa staje się stroma, urwista i bardziej malownicza. Za San Francisco ogromne sosny zasłaniają wprawdzie widok fal, ale i tak słychać ich ryk, którego nie zagłuszają nawet samochody.

Zatrzymałem się tylko raz, w motelu Big Sur, gdzie dostałem klucz do ostatniego wolnego pokoju, tego najbliższej drogi. Był wyposażony w naturalny sprzęt nagłaśniający: samochody z jednej strony, ocean z drugiej - dźwiękowy befsztyk z owocami morza, który ukołysał mnie do snu swoją stereofonia. Miałem hałaśliwe, pełne żywych kolorów sny, ale żadnego z nich nie pamiętałem, kiedy obudziłem się w szarym świetle przefiltrowanym przez zasłony, które naprędce zaciągnąłem poprzedniego wieczoru. Materac był przesiąknięty morskim powietrzem.

Potrzebowałem dwóch kaw, żeby się dobudzić.

Nigdy nie byłem tak daleko na północy Kalifornii. W miarę zbliżania się do granic stanu zacieły się różnice; teoretycznie może i byłem w Kalifornii, ale czułem się jak w Oregonie. Był prawie lipiec, lecz panował przenikliwy chłód. Bujna, spleciona roślinność śmierdziała zgnilizną.

Starannie kreśliłem trasę do drzwi Wrena.

A jednak się zgubiłem. Dopiero po przejechaniu sześćdziesięciu kilometrów zorientowałem się, że przeoczyłem zjazd z autostrady. Las wszędzie wyglądał podobnie. Czuję się, jakbym błądził w zielonym ogrodowym labiryncie - w lewo i w prawo, w tył i w przód - ale nie mógł nigdzie dotrzeć, ciągle natrafiając na nieprzebytą ścianę zieleni.

W końcu odnalazłem właściwą drogę.

Skręciłem zgodnie z drogowskazem na jezioro Bluemount.

Wkrótce dostrzegłem między sosnami prześwity chłodnego błękitu. Niestety, miałem wrażenie, że jednopasmowa droga okrąży jezioro w nieskończoność, wcale się do niego nie zbliżając.

Po jakichś dwudziestu minutach zobaczyłem kolejny znak: „Ośrodek wędkarski Bluemount - zjazd: dwadzieścia metrów”.

Zwolniłem, szukając zjazdu, co nie było łatwe, ponieważ resztki dnia szybko ginęły w cieniu grubych sosen.

Był ledwo widoczny.

Właściwie przypominał zatoczkę wśród pełzających paproci.

Zatrzymałem się i znalazłem przybity do drzewa prymitywnie narysowany znak - czarną strzałkę wskazującą kierunek.

Moja miata nie nadawała się do jazdy terenowej. Nawet w czasach, kiedy była nowa i określała status swego właściciela jako człowieka sukcesu, nie byłaby w stanie łatwo pokonać krętej i wyboistej drogi.

Teraz leśne wyboje były dla niej w gruncie rzeczy mordercze.

Z każdym metrem zaliczałem kolejne potężne wstrząsy. Z okolic podwozia dobiegały dziwne dźwięki - skrzypnięcia, piski i chorobliwe jęki. Jakbym ciągnął tłumik po ziemi. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy nie porzucić samochodu i nie pójść dalej piechotą. Ale las na zewnątrz auta wydawał się mniej zapraszający, niż gdy patrzyło się na niego ze

środku. Zresztą jezioro było już blisko, czułem jego zapach.

Za ostrym zakrętem, który pozwalał ominąć stary gruby dąb, wyłonił się rząd chat z bali położonych nad brzegiem jeziora, które - wbrew swojej nazwie Bluemount - w wieczornym świetle połyskiwało purpurą.

Nad kominem jednej z chat unosił się dym.

Podjechałem bliżej, wyrzucając żwir spod kół, i zatrzymałem się.

Wysiadłem, ale nikt nie wyszedł mi naprzeciw.

Dziwne.

Moja poobijana miata musiała przecież narobić straszego hałasu, szczególnie tutaj, gdzie najgłośniejsze dźwięki wydawały zapewne wędrowne ptaki.

- John! - zawołałem. Z jakiegoś powodu krępowalem się po prostu podejść i zapukać do jego drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Jeszcze raz zawołałem go po imieniu. Wciąż nic. Poszedłem do domu, pokonałem trzy stopnie ganku i zdecydowanie zapukałem do drzwi. Bez odpowiedzi. Znowu zastukałem.

- Wren, to ja, Tom Valle. Jesteś tam?

Odczekałem chwilę i pchnąłem drzwi. Zamiast klamki miały przybitą gwoździami deskę z surowego drewna.

Otworzyły się powoli.

Prawdziwe pobojobowisko. Nora chomika, przypominająca piwnicę mojego domu zaraz po tym, gdy go wynająłem. Sterty rupieci na łóżku, na kanapie, na stole, nawet na podłodze. Żelwny piecyk wydzielał odrobinę ciepła.

Wrena nie było.

Odwróciłem się i wyjrzałem na jezioro.

Nic. Żadnych łodzi ani kąpiących się ludzi. Żadnych rybaków. Tylko maleńkie płochliwe zmarszczki na powierzchni

wody wywołane coraz silniejszą bryzą. To mi uświadomiło, że na zewnątrz było już zdecydowanie zimno, a ja byłem ubrany odpowiednio do pogody panującej w czerwcu w Littleton. Wypłowiła koszulka nowojorskich Yankees z nazwiskiem Pettitte na plecach, którą nosiłem w dowód uznania dla machlojek właściciela drużyny (Andy'ego Pettitte'a, tak jak mnie, dawno już nie było w Nowym Jorku), niestety nie najlepiej chroniła przed zimnem nocy nad jeziorem Bluemount. W bagażniku miałem kurtkę, ale nie byłem przekonany, czy ubranie jej cokolwiek by zmieniło.

Co robić?

Czułem się dość niezręcznie na myśl o tym, żeby po prostu wejść i się rozgościć. To nie był mój dom, należał do kogoś innego, kto w dodatku nie był nawet moim przyjacielem, kogoś, kto nazwał mnie oszustem i powiedział to całkiem poważnie. Mógł nie mieć ochoty zobaczyć po powrocie do domu tego samego oszusta na swojej kanapie. Mógł się obrazić.

Wróciłem do samochodu, wyjąłem z bagażnika kurtkę i szybko ją założyłem. Wśliznąłem się do środka, sprawdziłem, czy szyby są zamknięte, i czekałem.

Błyskawicznie zrobiło się ciemno.

Było ciemniej niż na pustyni. Tam przynamniej świeci księżyc. Tutaj przysłaniały go drzewa, choć widziałem jego odbicie połyskujące jak gorące języki ognia na dalekim krańcu jeziora.

Chcąc dodać sobie otuchy, włączyłem radio, ale udało mi się złapać tylko dalekie echo jakiejś stacji z Sacramento nadającej muzykę poważną. „Teraz trochę Debussy'ego”, powiedział szorstki głos gospodarza programu. To przypomniało mi, że znałem kiedyś jakiś dowcip na temat Debussy'ego, spróbowałem więc przypomnieć go sobie dla zabicia czasu.

Zastanawiałem się, czy pomyliłem dzień. Może powiedziałem „w przyszłym tygodniu”? Nie, dokładnie pamiętałem, że umawialiśmy się na dzisiaj. Wspominałem, że jeśli ruch będzie duży, to być może przyjadę późno, ale na pewno dzisiaj.

W takim razie gdzie on jest?

Może poszedł na ryby i miał wypadek. Łódź się wywróciła, uderzył głową o skałę i leży teraz nieprzytomny gdzieś na brzegu jeziora. Albo jeszcze gorzej.

Co wtedy?

Nie mogłem siedzieć w samochodzie do końca świata.

Mogłem wrócić do domu, ale jedno spojrzenie na otaczającą mnie jednolitą czerń wystarczyło, żebym od razu porzucił ten pomysł.

Nie było widać, gdzie zaczyna się droga w głąb lasu. Już nie. Poza tym określenie „droga” było tu nieco przesadzone. Wyobraziłem sobie mój samochód w jakiejś niewidocznej dziurze i siebie stąpającego niepewnym krokiem wśród drzew jak Tom Hanks w *Cast Away - poza światem*, kiedy w drugiej części filmu gadał już do poplamionej krwią piłki do siatkówki.

Nie ruszyłem się z miejsca.

Słuchałem Beethovena, Liszta i Chopina.

Kiedy miałem jedenaście lat, moja mama zapisała mnie na lekcje gry na fortepianie. Tak się złożyło, że nauczycielka, która chodząc od drzwi do drzwi, zachwalała dobrodziejstwa muzycznej edukacji, zastała moją mamę w chwili, gdy ta była przytomna i wielkoduszna. Lubilem lekcje mniej więcej tak samo jak nauczycielkę, która musiała ścigać moją matkę, żeby wyegzekwować swoją zapłatę, a od czasu do czasu za pomocą prawego pedała próbowała zagłuszyć docierające z góry odgłosy wściekle skrzypiącego łózka.

„A teraz śliczny koncert Schuberta”, wyszeptał głos radiowego spikera przypominający do złudzenia komentarz sprawozdawcy golfowego. Widocznie muzyka klasyczna wymagała jakiejś formy przyciszzonego szacunku.

Czy już wtedy zasnąłem? Nie wiem.

Słyszałem, jak szepcze do mnie las. To wiatr szeleścił w liściach.

Ale wydawało mi się, że coś mówi.

Posłuchaj.

Chrzęst butów i szelest suchych liści. Ktoś idzie do samochodu. Ktoś tam stoi.

Za moim oknem. Patrzy na mnie.

Śpi...

Człowiek za oknem trzyma coś w ręce. Podnosi to do góry. Topór z długim trzonkiem? Pokryta błotem łopata? Coś długiego, ciężkiego i śmiercionośnego.

Zamierza roztrzaskać w drobny mak przednią szybę.

Zamierza rozwalić mi łeb.

Nie...

Kiedy się obudziłem, bełkocząc, na zewnątrz nie było nikogo.

Drżałem.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem do domu.

Żeliwny piecyk nadal grzał, ale ogień już dogasał. Dorzuciłem dwa polana z leżącego pod ścianą stosu drewna i rozcierając ramiona, czekałem, aż ogień znowu się rozpali.

Odsunąłem na bok kilka książek i usiadłem na zalatującej rybą kanapie.

Po chwili zacząłem przeglądać rzeczy leżące w zasięgu ręki. Dlaczego nie - nudziło mi się. Tytuły książek świadczyły o tym samym eklektycznym guście, na którego ślady natrafiłem wcześniej u siebie w piwnicy - od kieszonkowego wydania *Lolity* po biografię Enrico Fermiego. Było w nich mnóstwo przypadekowych zakładek: lista zakupów spożywczych, odcinek biletu do kina, list. Otworzyłem list i zerknąłem na jego treść, myśląc o tym, że w każdej chwili Wren może wpaść do domu i przyłapać mnie na czytaniu jego prywatnej korespondencji. Z Dearborne Labs we Flint w stanie Michigan. „Pan J. Wren”, suchy, pozbawiony emocji ton oficjalnej złej wiadomości. „Wstępne analizy nadesłanych przez Pana próbek potwierdzają Pańskie obawy. W załączeniu przesyłamy wyniki badań laboratoryjnych”.

Czy Wren był chory? Czy to dlatego w Littleton miał napad szału? Czy dlatego zagrzebał się tutaj?

Załączone wyniki badań gdzieś się odłączyły.

Właśnie ich szukałem, kiedy zadzwoniła moja komórka.

- Jesteś tam już? - zapytał głos.

A gdzie jest to tam, pomyślałem. Chwilę trwało, zanim zdałem sobie sprawę, że to był Wren. Jego głos nie brzmiał szczególnie przyjaźnie.

- Tak. Jestem w twoim domku letniskowym. Gdzie jesteś?

- Długo czekasz? - zapytał.

- Jakieś kilka godzin.

- Mhm. Musiałem pojechać do Fishbein po zaopatrzenie. Fishbein, pomyślałem. Gdzie to jest?

- Mój pick-up się zepsuł - powiedział. - Nie naprawią go do jutra.

- Jesteś w Fishbein?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Wydawało mi się...

- Co?

- Wydawało mi się, że ktoś chodził koło mojego samochodu. Musiało mi się przyśnić.

- Uhm. A więc siedzisz w moim domku letniskowym?

Pomyślałem, że w tonie jego głosu coś się czai.

- Tak. Ładne wędkę - powiedziałem, próbując to odpędzić.

Trzy wędkę stały oparte o ścianę.

Napisałem kiedyś artykuł o konkursie łowienia pstrągów w Vermont - prawdziwy artykuł. Naprawdę wsiałem do samolotu, a potem dwie godziny jechałem bocznymi drogami nad huczący strumień przy kanadyjskiej granicy. Zawodowi rybacy strzegli swoich wędek z taką samą czujnością jak zawodowi gracze w baseball swoich kijów. Te, które stały pod ścianą, wyglądały na drogie.

- Są w porządku - odparł Wren.

Zapytałem, co to za wędki. Powiedział, że na pstrągi. Potem zapytałem, czy mieszka sam.

- Tak - odpowiedział. - Dlaczego pytasz?

Nie odzywałem się, więc powiedział:

- No tak, automatyczna sekretarka.

„Jesteśmy na rybach, ale jeśli chcesz zostawić wiadomość, to zostaw”.

- Stare przyzwyczajenie - powiedział. - Zawsze udawaj, że nie jesteś sam. Jeśli ktoś będzie chciał cię okraść, najpierw dobrze się zastanowi.

Zastanawiałem się, kto mógłby chcieć okraść domek letniskowy w samym środku lasu. Może złodziej wędek.

- Cóż - powiedziałem. - Wracasz?

- Już mówiłem. Zepsuł mi się samochód. Nie naprawią go do jutra.

- No tak.

Jechałem tu dwa dni. A Wrena nie było.

- Może mógłbym po ciebie przyjechać? - zapytałem.

- Jasne. Jeśli chciałbyś się zgubić, to mógłbyś. Wjedź teraz do lasu, a nie znajdą cię do przyszłego roku.

- Wspaniale. Przyjechałem aż z Littleton, żeby się z tobą spotkać. To szmat drogi.

- Ho, ho - powiedział. - Przyjechałeś po moje notatki. Znalazłem je.

Sądząc po wyglądzie domku, było to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Wszędzie pełno porzucanych rzeczy: gazet, brudnych ubrań, podartych czasopism, zabazgranych bloków papieru. Nie wspominając o złowieszczym brzmieniu listach z laboratoriów w Michigan.

Usłyszałem, jak zapala zapalną, zaciąga się i kaszle. Rak płuc?

- Po katastrofie - zaczął - przeprowadzili gruntowne śledztwo.

- Wiem - powiedziałem. - Czytałem o tym. Powołali jakąś komisję rządową.

- Jakaś, jasne. Wezwali na świadków pracowników firmy budowlanej. Wynajęli własnych inżynierów, przeanalizowali projekty tamy, sprawdzili zamówienia - podeszli do sprawy kompleksowo. Ciekawa rzecz: przesłuchania odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Były tajne.

- Czy to aż takie dziwne?

- W przypadku robót publicznych nawet bardzo. Twierdzili, że to kwestia reputacji. Nie chcieli mieszać z błotem niczyjego imienia, dopóki nie zdobędą dowodów winy.

- To ma jakiś sens. W każdym razie brzmi jak dobry powód.

- Zawsze można znaleźć dobry powód. - Znowu zakaszła. - Pozwól, że cię o coś spytam. Za pierwszym razem, kiedy to zrobiłeś... jakieś wyrzuty sumienia?

- Kiedy co zrobiłem?

- Kiedy skłamałeś. Gryzło cię sumienie?

- Tak - odpowiedziałem. - Gryzło mnie sumienie.

- Ale zrobiłeś to znowu.

- Tak, zrobiłem.

- Dlaczego?

To najwyraźniej było pytanie tygodnia. Najpierw Anna, teraz on.

- Co za różnica. Zrobiłem to. Wymyśl powód, jaki ci się podoba. Słuchaj, wróćmy może do...

- Czytałem go.

- Co?

- Twój kanon kłamstwa. Wszystkie twoje teksty wciąż są w Internecie, w tym serwisie, który przygotowała twoja gazeta, żeby pokazać światu, jak pilnie nad nimi pracowałeś. Coś rzuciło mi się w oczy. Ich wiarygodność spadała w postępie geometrycznym. Z początku wszystko było względnie łatwe do przełknięcia. Ale później? Daj spokój. Ta historia o pediatrze, który

podłożył bombę pod klinikę aborcyjną? Anagramy, tajemne spotkania na pustkowiach. To przypomina kiepski film. Tak się tylko zastanawiałem, czy musiałeś wymyślać coraz bardziej skandalizujące tematy? Może chciałeś zostać przyłapany?

- Musiałem nakarmić bestię - powiedziałem. - To wszystko.

Bestia była przerażająca i nienasycona, mogłem dodać. Po chwili okazało się, że biorę udział w konkursie opowiadania dowcipów, tylko że grałem sam ze sobą. Było to skrajnie wyczerpujące.

Słysząc było, jak znowu się zaciągnął, dobiegło mnie również stłumione pobrzękiwanie sztućców o talerze. Restauracja?

- O czym mówiłem? - zapytał.

- O komisji za zamkniętymi drzwiami.

- Właśnie, o komisji. Przesłuchali świadków, przygotowali raport i dostali, co chcieli. Ktoś poszedł do więzienia.

- Nie wiedziałem. Kto?

- Inżynier. Lloyd Steiner. Interesujący gość, umysł na pograniczu geniuszu i szaleństwa. Lewicujący. Letnie obozy komunistyczne dla dzieci na Lower East Side w latach trzydziestych. Wtedy to był krzyk mody.

- Czy był winny?

- Winny czego? Tego, że jest liberalnym Żydem? Oczywiście.

- A zbudowania niebezpiecznej tamy?

- Tego nie wiem. Pracował jako asystent asystenta inżyniera. Trudno sobie wyobrazić, żeby mógł mieć na tyle duży wpływ na cokolwiek, aby być winnym.

- Co sugerujesz?

- Nie jestem pewien. - Zniżył głos do niemal konspiracyjnego szeptu, nie chcąc widocznie, żeby usłyszał go ktoś z pozostałych gości restauracji. - Mogę tylko powiedzieć, że dostał dziecię lat, a kiedy wyszedł, jego rodzina przeprowadziła się z dwupokojowego mieszkania komunalnego do piętrowego domu z cegły w La Jolla. Sprawdziłem. Nie mógł już oczywiście

dostać pracy jako inżynier. W więzieniu skończył kurs dla mechaników samochodowych i w tym zawodzie pracował po wyjściu na wolność. To musiał być dla niego koszmar. Cudowne dziecko, inżynier, naprawiał samochody, żeby zarobić na chleb. Musiał być jedynym robotnikiem w tamtej okolicy.

- Myślisz, że mu zapłacili? Że był kozłem ofiarnym?

- Już mówiłem. Nie wiem. W przeciwieństwie do twoich, moje metody pracy dziennikarskiej nie pozwalają mi powiedzieć, czy był winien czy nie. Nie mogę ogłosić tego drukiem. Żeby to zrobić, potrzebowalibyśmy dowodu. Ale to daje do myślenia. Zastanów się, mogli mu wywlec cały ten komunistyczny syf, letnie obozy, na których wszyscy nosili czerwone chusty. Pamiętaj, że mówimy o 1954 roku: McCarthy, schrony, cała ta paranoja. A gdyby nadal nie chciał współpracować? Cóż, można go było do tego nakłonić. Mała łapówka dla dobra najbliższych. Kij i marchewka. Zrobisz to, bo jeśli nie, to cię zniszczymy. By okazać nasze wielkie serce, pozwolimy, żeby twoja rodzina zakosztowała amerykańskiego snu o domu na przedmieściu. Widziałem ten dom w La Jolla, to nie jest byle jakie przedmieście. Zatrzymałem się tam, kiedy jechałem zrobić wywiad z tą dziewczynką. Pamiętasz?

- Pływające roboty z kosmosu.

- Właśnie.

- Czy on żyje? Lloyd Steiner?

- Ledwo.

- Próbowalesz z nim porozmawiać?

- Uhm. Powiedzmy, że on nie rozmawia.

- Więc twoim zdaniem Lloyd Steiner poszedł do więzienia, żeby uspokoić opinię publiczną, a oni przez cały czas pilnowali, by trzymał głębę na kłódkę?

- To prawdopodobne. W każdym razie bardziej niż podkładający bomby pediatra, prawda?

Gadaj zdrów...

- Czy jest coś jeszcze?

- Zawsze jest coś jeszcze - powiedział. - Trzeba to tylko znaleźć.

Odłożył telefon. Usłyszałem, jak prosi o rachunek. Kiedy znowu podniósł telefon, powiedział niemal szeptem:

- Ja wypadłem z gry, ale tobie pozwolili grać dalej. Powiedziałeś, że chcesz spłacić dług. Proszę bardzo. Spłać go, jeśli możesz.

Nagle uderzenie okiennicy o ścianę domku zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. To miejsce stanowczo przyprawiało o dreszcze.

Zapytałem go o dziewczynkę.

- Dlaczego pytasz?

- Ten wywiad, który z nią przeprowadziłeś - masz to w swoich notatkach?

- Między innymi.

- A czy ona nadal w to wszystko wierzy - w roboty z kosmosu, które uratowały ją z powodzi?

- Sam zobacz. Notes leży na moim biurku.

Spojrzałem na jego staroświecki sekretarzyk. Wyglądał, jakby coś na nim wybuchło, ale wydawało mi się, że ze stosu śmieci spogląda triumfalnie jak zwycięzca wojny podwórkowej mały kołonotatnik

- Co za różnica - powiedziałem. - Możemy spokojnie przyjąć, że kosmici nie odwiedzili Littleton Flats.

- Jeżeli nie wierzysz w bajki, to nie - powiedział. - Chyba że wierzysz?

- Słucham?

- Czy wierzysz w bajki?

- Nie.

- Czytałeś kiedyś jakąś, będąc dorosłym?

- Nie.

- Może powinienes. Nawet jeżeli nie wierzysz w gobliny, możesz się przerazić na śmierć. Zwłaszcza kiedy nie wierzysz już w gobliny.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Pewnie będziesz chciał przenocować? - zapytał.

- Jeśli to nie będzie kłopot.

- Żaden kłopot. Możesz wybierać spośród sześciu pustych domków kempingowych.

Podziękowałem mu i życzyłem powodzenia przy naprawie pick-upa w Fishbein.

- Moje notatki - powiedział. - Możesz je przepisać albo zapamiętać. Jak wrócę, chcę je znaleźć tam, gdzie je zostawiłem. Radzę wybrać domek, w którym jest drewno. Miłych snów.

ROZDZIAŁ 26

Wywiad z Bailey Kindlon został oczywiście najpierw nagrany na kasetę, a potem przepisany.

„Zasada Wrena numer dwa: przepisuj nagrania z taśm na wszelki wypadek!”

Najpierw zanotował ogólne spostrzeżenia na jej temat. Trzyletnia dziewczynka ocalała z katastrofy tamy Aurora była teraz w średnim wieku. Rozwiedziona, mieszkała sama. Zauważył, że jej salon wypełniały książki poświęcone wprowadzeniom przez obcych.

Niebawem dowiedział się dlaczego.

Rozpoczął od podziękowania za zgodę na spotkanie i powtórzenia w kółko, jaki jest cel jego wizyty. Pisał artykuł na temat katastrofy tamy Aurora. Miał nadzieję, że zapamiętała tamten dzień, mimo iż była wtedy bardzo mała.

Właściwie pamiętam bardzo dużo, powiedziała. Byłby pan zdziwiony, jak wiele rejestruje mózg trzylatka. Oczywiście terapia, której poddałam się później, była bardzo pomocna.

Wren zauważył, że to musiało być dla niej straszne przeżycie.

Wie pan, bycie dzieckiem w pewnym sensie bardzo pomaga. A w pewnym nie. Pamiętam, że dwa dni po tym, jak zostałam wyratowana, robiono mi zdjęcie dla jakiejś gazety, a ja pozowałam z wielkim uśmiechem, bo miałam być na pierwszej stronie. To było dwa dni po tym, jak zostałam sierotą. Więc dzięki temu, że miałam trzy lata, było mi łatwiej, ale powiem panu coś: z upływem czasu, kiedy problemy psychiczne dały o sobie znać, nie było już tak fajnie. Dzieci po prostu tłumią w sobie koszmarnie wspomnienia, ato w pewnym sensie pogarsza sprawę.

Wren zapytał ją, czy to znaczy, że przypomniła sobie wszystko dopiero później.

Nie. Zawsze pamiętała niektóre rzeczy, na przykład to, że tamtego niedzielnego ranka bawiła się w ogrodzie.

Pamiętam, że położyłam w wózku szmacianą lalkę i śpiewałam jej kołysankę. Pamiętam, że mama wybiegła na zewnątrz i krzyczała coś do mnie, ale przez ten huk nie słyszałam co - to było jak ryk silników boeinga, który ląduje człowiekowi na głowie. Było tak blisko. Zapamiętałam dziwną zbieżność dźwięków i doznań. Potem wydawało mi się, że coś uniosło mnie do góry. Tak robił mój tata, chwycił mnie w pasie od tyłu i huśtał. To było podobne uczucie. Nagle coś mnie porwało do góry, tylko że nie było tam ani taty, ani mamy, a ja byłam cała mokra. Znalazłam się w basenie, ale basenem był cały nasz ogród, cała ulica. Pamiętam, jak śmignęłam obok domu pani Denning, naszej sąsiadki, widziałam, jak cały jej dom się rusza i mija mnie, kręcąc się jak bąk. Zupełnie jak w Czarnoksiężniku z krainy Oz, kiedy Dorotka została porwana przez tornado i wszystko kręciło się w powietrzu - tylko że zamiast wiatru była woda. To wszystko zapamiętałam.

Wren zapytał, czy to było wszystko, co pamiętała przed terapią.

Nie. Pamiętała jeszcze, jak została wyratowana. Wpadła na kawałek drewna albo kawałek drewna spadł na nią. Stare drzwi

do piwnicy. Siedziała na nich przynajmniej jeden dzień, zanim ją znaleźli.

Wren spytał, kto ją znalazł. Policja, strażacy?

Nie, powiedziała. Nie policja ani strażacy.

Więc kto?

Obcy.

Wrenowi udało się ukryć niedowierzanie. Poprosił, żeby opowiedziała mu o obcych.

Cóż, to właściwie niezupełnie byli obcy, wyjaśniła. Na początku to były ich roboty.

Siedziałam na drzwiach. Pamiętam, że chciało mi się pić, byłam głodna i cała mokra. To było jak sen, z którego nie mogłam się obudzić. W wodzie pływało pełno szmacianych lalek. Tylko że to nie były lalki. Bo kiedy przypomniałam sobie wszystko z pomocą terapeuty, w końcu ich zobaczyłam. Martwych ludzi w wodzie. Były ich setki, mieli otwarte oczy, które wyglądały jak oczy martwej ryby, i białe, zamglone spojrzenia. Ciągłe odbijali się od drzwi, wyskakiwali z wody, jakby chcieli na nie wejść, ale oczywiście nie mogli. Wszyscy byli martwi. I wtedy zjawily się roboty.

Wren poprosił ją, żeby opowiedziała mu wszystko, co pamięta na temat robotów.

Dryfowała. Może zasnęła. Nagle obudziła się i usłyszała ten chlupoczący dźwięk. Szli do niej przez wodę. Białe roboty. Mieli ręce i głowy, ale nie mieli dłoni ani twarzy. Stąd wiedziała, że nie byli ludźmi. Poruszali się powoli jak mechaniczne lalki.

Wren zapytał, ilu ich było.

Sześciu albo siedmiu, odpowiedziała.

Mówili do niej?

Jak mieli mówić, skoro nie mieli twarzy ani ust, przypomniała mu. Wydawali tylko piszczące dźwięki jak delfiny.

Roboty zabrały ją z drzwi i niosły.

Dokąd, zapytał Wren.

Do statku kosmicznego.

Leżałam na stole. Część z tego pamiętałam od początku, a część powróciła dopiero później, podczas hipnozy. Byłam przypięta pasami do metalowego stołu, a oni badali mnie swoimi przerażającymi przyrządami. Jak pan wie albo nie wie, to dość częste w przypadku uprowadzenia przez obcych. Czytał pan kiedyś wspomnienia Whitleya Schreibera?

Wren przyznał, że nie.

Wyjaśniła, że to rodzaj biblii wśród uprowadzonych przez obcych, a Schreibera uprowadzili trzykrotnie.

Wren powiedział, że na pewno przeczyta. Poprosił, żeby mówiła dalej.

Leżałam na tym stole. Nie mogłam ruszać rękami ani nogami. Była tam ta... jasna poświata, rodzaj niebieskiego blasku, rozproszonego, jak gdyby nie miał żadnego źródła, rozumie pani Wpatrywali się we mnie.

Wren przypomniał jej, że obcy nie mieli oczu.

To roboty nie miały, poprawiła go Bailey. A to byli obcy. Była w ich statku kosmicznym. Obcy mieli oczy. Ale nie mieli ust, więc również nie mogli z nią rozmawiać, ale mogli się z nią komunikować. Wkładali swoje myśli do jej głowy jakby telepatycznie.

Co to były za myśli, zapytał Wren.

Nie pamiętała dokładnie. Głównie, żeby się nie bała. Że nie zrobią jej krzywdy. Nawet jeśli to nie okazało się do końca prawdą.

Trochę bolało. Wkładali jakieś przyrządy do mojego ciała - do ust i... tam niżej. Pamiętam, że płakałam i wołałam mamę i tatę.

Wren poprosił ją, żeby opisała ich statek kosmiczny.

Właściwie nie mogła mu się przyjrzeć. Była przypięta pasami. I było to niebieskie światło, które wwierało się jej w oczy. Widziała tylko ich. Obcych. Była ich grupka, a jeden wyglądał na przywódcę.

To był ten, który mnie badał. Inni wyglądali jak... jak jego pomocnicy.

To trwało i trwało, opowiadała. Jak gdyby była przypięta do stołu całymi dniami. Wiedziała, że to nie mogły być dni, że to niemożliwe, by obcy więzili ją tak długo, ale takie miała wrażenie. A potem wszystko się skończyło.

Wren zapytał, czy mogłaby to opisać. Jak się skończyło?

Nie mogła.

Tej części właściwie nie pamiętam. Musieli odstawić mnie z powrotem i tyle.

Zapytał dokąd.

W jakieś suche miejsce. Gdzieś, gdzie mogli mnie znaleźć ludzie. Widocznie tak zrobili, skoro tutaj jestem, prawda? Jedyna osoba, która ocalała. Przez jeden czy dwa dni byłam wielką sensacją. Oczywiście gdyby to się wydarzyło dzisiaj, byłabym w CNN. Ale nie wtedy. W każdym razie przygarnęło mnie kuzynostwo z Sacramento. Do miasteczka już nigdy nie wróciłam, zresztą nie sądzę, żeby było tam cokolwiek do oglądania. Wszystko zmyła woda.

ROZDZIAŁ 27

Rano Wrena nadal nie było.

Poszedłem do jego domku, żeby zwrócić notatki i zrobić sobie kawę.

Odniosłem tylko połowiczny sukces.

Pojechał do Fishbein po zaopatrzenie. Było mu potrzebne. Kawa się skończyła - i wszystko inne chyba też.

Kilkanaście centymetrów nad powierzchnią jeziora wisiała szara mgła. Było bardzo jesiennie i nie byłbym zaskoczony widokiem wirujących liści na ziemi.

Kiedy podkrecałem ogrzewanie, jadąc w stronę autostrady, drogę przebiegł mi przestraszony jelen. Stuknął kopytami w maskę i pognął w gęstwinię.

Skręciłem gwałtownie w prawo i zatrzymałem się. Minęła minuta albo dwie, zanim złapałem oddech.

Nie tylko moje serce pracowało jak szalone - mózg również nie próżnował, odtwarzając surrealistyczną historię Bailey Kindlon. Płynące ulicą wirujące domy, setki martwych ludzi w wodzie. Ta część historii była prawdziwa.

„Wierzysz w bajki?”

Ktoś, kto w nie wierzy, musiałby uwierzyć i w resztę jej opowieści. Mali niebiescy kosmici bez ust. Białe roboty bez twarzy. Badanie we wnętrzu statku kosmicznego.

Bajka godna braci Grimm. Gdyby byli na grzybkach.

Jechałem z powrotem autostradą wzdłuż Pacyfiku bez zatrzymywania się.

Lasy rzedły, fale cichły, strome klify zamieniały się w płaskie plaże, a pensjonaty w motele i smażalnie ryb. Znalazłem stację, na której DJ Frankie Foo puszczał klasycznego rocka i stukalem o kierownicę w rytm *Soul Sacrifice*, *Layli* i *Brown Sugar*.

Kiedy zachodziło słońce, dostrzegłem światła diabelskiego młyna na molo w Santa Monica. Przypomniała mi się jedyna w życiu wizyta w parku rozrywki. Właściwie to nie był prawdziwy park rozrywki tylko małe objazdowe wesołe miasteczko z kolejką górską i strzelaniem wodą w klauna. Po śmierci Jimmy'ego. Po tym, jak powiedziałem policji i pracownikom opieki społecznej, że przewrócił się na ślizgawce. Że upadł w wannie. Że uderzył się o drzwi. „Co się stało, Tommy?” To był wypadek. Był niezdarą. Mama wzięła swojego syna kłamcę na przejażdżkę diabelskim młynem i zwymiotowała, kiedy byliśmy na samej górze. Krzyki, które potem nastąpiły, nie miały nic wspólnego z tanim dreszczykiem towarzyszącym jeździe wagonikiem do nieba. Kiedy byliśmy już z powrotem na ziemi, jakiś wędrowny naganiacz, który sam raczej nie stronił od butelki, padł ofiarą oddechu mojej matki, co zainspirowało go do wygłoszenia wykładu na temat odpowiedzialnego wychowania dzieci. Wystarczyło, żeby na zawsze zniechęcić mnie do wesołych miasteczek, chociaż nie wystarczyło, żeby ją zniechęcić do whisky. „Czy nadal ją obwiniasz?”, zapytał doktor Payne. Chodziło mu o to, czy winiłem matkę za to, że była pijaczką, że używała obelżywego języka, że pieprzyła się ze wszystkim, co nosiło spodnie. Nie wiedział, za co naprawdę ją obwiniam.

Skąd mógł wiedzieć?

Na zawsze pozostałem posłusznym synem.

Nie powiedziałem.

Nie jestem pewien, kiedy podjąłem świadomą decyzję, by nie skręcać na czterysta piątkę i jechać prosto do Santa Monica.

Może miałem ochotę na jeszcze jedną przejażdżkę diabelskim młynem - używając przenośni. Jakies dwa procent ludzkiego mózgu zdolne jest uwierzyć prawie we wszystko. Powiniennem był o tym wiedzieć - nieźle sobie poczynalem z tymi dwoma procentami w mózgach innych ludzi. Na przykład pracowników opieki społecznej, którzy uwierzyli w dziwne upodobanie sześciolatka do twardych powierzchni. Na przykład mojego zwierzchnika, który połykał historyjki o zespole religijnych doradców, aktorach oszustach i podkładających bomby pediatrach. Te same dwa procent podpowiada człowiekowi, że piękna kobieta, która siedzi naprzeciwko w Violetta's Emporium, nie może mu się oprzeć. Albo przynajmniej uważa, że jest umiarkowanie atrakcyjny. Innymi słowy te dwa procent to miejsce, w którym mieszka matka głupich.

Nie miałem planu.

Raczej nie zamierzałem spełniać swojej internetowej obietnicy i zainstalować się przy promenadzie, czekając, aż ją spotkam. Mniej więcej wiedziałem, gdzie mieszka, i miałem numer jej telefonu komórkowego. Tylko jakoś nie mogłem zdobyć się na odwagę, by zrobić z niego użytek. Pozostałe dziewięćdziesiąt osiem procent mojego mózgu pamiętało jej wyraz twarzy, kiedy oznajmiłem dobrą nowinę - że umówiła się ze słynnym kłamcą. Jej wspaniałomyślne próby podtrzymania rozmowy były bardziej bolesne niż milczenie.

Zaparkowałem na miejskim parkingu przy Czwartej Ulicy i jakiś czas spacerowałem.

Na promenadzie były właśnie godziny szczytu. Kiedyś, w nie tak odległej przeszłości, centrum Santa Monica było skupiskiem wszelkiego rodzaju mętów - żołnierzy po przejściach,

bezdolnych, pechowców, ludzi, którzy właśnie opuścili szpital psychiatryczny. Było tu ciepło, a pod deskami mola zawsze znalazło się miejsce, żeby przenocować.

Promenada to wszystko zmieniła. Śródmieście przeobraziło się w zatłoczone centrum handlowe na wolnym powietrzu pełne ulicznych zonglerów, muzyków i krzewów w kształcie dinozaurów.

Kiedy oglądałem wystawy, zastanowiło mnie, kim jest ten niechlujny facet w średnim wieku, który przygląda mi się przez szybę VJ Records, i nie byłem specjalnie zaskoczony odkryciem, że to ja.

Uciekłem przed tłumem w boczną alejkę, która prowadziła na sąsiednią ulicę. Tam również kłębili się ludzie, ale nie było ich aż tak wielu i przynajmniej dało się oddychać.

Wiedziałem, że powoli podążam w określonym kierunku, nawet jeśli sam się do tego nie przyznawałem.

Na Piątej Ulicy była kawiarnia o nazwie Java.

Sklep Adidasa. Wypożyczalnia filmów.

Dwa połączone wspólnym holem budynki mieszkalne z tarasami widokowymi i czymś, co okazało się patio z basenem. Prawie wyczuwałem zapach chloru.

„Przy Piątej Ulicy - powiedziała - w bok od promenady”.

Przystanąłem, podziwiając rododendrony i bugenwille przed domami. Zauważyłem świeżą warstwę czarnej farby na ozdobnej metalowej balustradzie po obu stronach chodnika.

Tego, którym właśnie powoli szedłem w kierunku zapraszającego holu.

Oświetlały go poprowadzone wzdłuż rzędy niebieskich, fluorescencyjnych światełek. Po obu stronach stały skrzynki na listy, jedna przed każdym budynkiem. Oglądałem je od niechcienia jak wystawy sklepowe, chociaż możliwe również, nigdy nic nie wiadomo, że szukałem czegoś konkretnego, trudnego do znalezienia.

Dziewczyny o oczach z obrazów Botticellego. Tej, która sprawiła, że powiedziałem jej prawdę, a potem natychmiast tego pożałowałem.

Na żadnej liście nie było Anny Graham.

W żadnym z budynków.

„Przy Piątej”, powiedziała, ale Piąta ciągnęła się jeszcze spory kawałek.

Wyszedłem z holu i zatrzymałem się na chwilę przed podjęciem doniosłej decyzji, czy pójść w lewo, czy w prawo. Skręciłem w lewo, rozmyśliłem się, przeszedłem na drugą stronę i wstąpiłem do Fatburgera na coś dużego i tłustego.

Reklama nie kłamała, wyszedłem z ćwiartką wołu.

Znalazłem się naprzeciwko teatru. Możliwe, że nie trafiłem w to miejsce tak po prostu, może coś mnie tam zaprowadziło.

Grali sztukę pod tytułem *Molo*.

Sądząc po minach aktorów na plakatach, była to jakaś komedia. Jedna z aktorek wymachiwała damską bielizną przed nosem mężczyzny, którego szeroko otwarte oczy mówiły „dobra, poddaję się”.

Już miałem się odwrócić i iść dalej. Tylko dokąd?

Nie wiedziałem.

Chodziłbym tak do upadłego, dopóki nie natknąłbym się na nią, choć prawdopodobieństwo takiego spotkania było znikome.

Tylko że nagle coś przykuło mój wzrok.

Poczułem się jak pstrąg w jeziorze Johna Wrena, który połknął haczyk.

To było zdjęcie zrobione w chwili, gdy wszyscy aktorzy wychodzą razem na scenę i kłaniają się.

Było na nim jakieś osiem osób.

Nachyliłem się, aż zaparowałem szybę oddechem i musiałem się odsunąć, przetrzeć ją, a potem przykucnąć, żeby przypatrzeć się fotografii jeszcze raz.

Stałem tam jak sparaliżowany. Drobiazgowo przestudiowałem recenzję z „Santa Monica Weekly”, która obiecywała świetną zabawę w teatrze.

„Umrzesz ze śmiechu”, twierdził recenzent.

Albo ze strachu.

Kupiłem bilet - środek, dziewiąty rząd.

Rzeczywiście była to komedia - rodzaj francuskiej farsy z erotycznym dowcipem, której akcja rozgrywała się głównie na molo w Santa Monica. Bohaterowie ciągle byli z kimś myleni, tworzyli niedopasowane pary, nie brakowało też seksualnych podtekstów. Najśmieszniejsza była scenografia - namalowany widok z mola. Tło ciągle się wyginało, więc co jakiś czas któryś z aktorów zbaczał z drogi i od niechcienia wpychał diabelski młyn na swoje miejsce.

Widownia bawiła się jednak dość dobrze. Zwykle trudno to ocenić, bo publiczność zawsze wygląda, jakby się bardzo starała - może za sprawą żywych aktorów, których człowiek ma przed sobą zamiast kinowego ekranu. Nikt nie chce być nieuprzejmy.

W drugim akcie całość intrygi zasadniczo się rozwiązała. W jednym wyjątkiem.

On pojawił się pod koniec pierwszego aktu.

Grał aktora homoseksualistę udającego swojego współlokatora, który był hetero, żeby zrobić wrażenie na agentce z firmy łowców talentów, która była napalona na jego współlokatora, sądząc, że jest nim ów aktor. Agentka ciągle rozmawiała przez komórkę, używając jednego z tych niewidocznych mikrofonów, podczas gdy inne osoby sądziły, że rozmawia z nimi. Był to główny dowcip, który prowadził do różnego rodzaju pomyłek i dostarczał potencjalnych powodów do wesołości.

Za pierwszym razem pojawił się z prawej strony sceny, w koszulce bez rękawów i spodenkach do biegania, aby po kilku

sekundach wpaść na babkę od talentów, która opowiadała właśnie przez telefon o jakimś gorącym projekcie, używając dwuznacznych określeń.

Pochyliłem się w fotelu, prawie opierając podbródek na głowie siedzącej przede mną osoby.

Akcja rozgrywała się o zmierzchu, w porze, którą tak upodobał sobie Szekspir. Wtedy budziła się magia, ludzie zamieniali się w osły, rzucano i odczyniano uroki, kochankowie rozstawali się i wracali do siebie. Pochyliłem się, ponieważ przyćmione światła utrudniały obserwację i nie miałem całkowitej pewności.

Kiedy jednak na początku drugiego aktu pojawił się w pełnym blasku porannego słońca, wszystkie wątpliwości zniknęły.

To był on.

Teatr nie miał wyjścia dla aktorów.

Była to scena niskobudżetowa. Aktorzy wychodzili tymi samymi frontowymi drzwiami co publiczność.

Musiałem na nich poczekać, wmieszałem się więc w garstkę oczekujących widzów.

Zaczęli wychodzić po jakichś dziesięciu minutach: najpierw aktorka, której naprzeciw wyszła para w średnim wieku, przypuszczalnie rodzice. Otoczyli ją w uścisku i rozplęwali się nad tym, jak przezabawna była sztuka, która ujawniła talent aktorski, najwidoczniej przekazany córce w genach.

Potem drogę przez drzwi teatru utorował sobie jeden z aktorów rozmawiający przez telefon komórkowy.

- O co ci chodzi, jak to nie do tej roli... powiedz im...

Sam Savage - tak się nazywał, jak wynikało z afisza - wyszedł w towarzystwie dwóch innych osób z obsady, mężczyzny i kobiety. Stałem pod ścianą, nie mogąc się zdecydować, czy podejść do niego, czy jeszcze chwilę poczekać z boku.

Czekałem.

Kiedy wyszli z budynku, mężczyzna pomachał na pożegnanie, zostawiając Sama z gibką blond aktorką. Szli chodnikiem, trzymając się za ręce.

Ruszyłem za nimi, starając się zachować odpowiednią odległość - w moim mniemaniu powinno to być jakieś pół przecznicy.

Jeśli nigdy wcześniej nikogo się nie śledziło, okazuje się to dużo trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

Nie byli po prostu ruchomym celem - ciągle się zatrzymywali, oglądali wystawy - głównie ona. On zostawiał ją na chwilę, odchodził kawalek, a czasem odwracał się i patrzył w moim kierunku.

Próbowałem obserwować ich odbicie w szybach, przewidywać, co zrobią, zatrzymywać się w porę, odwracać, cały czas mając nadzieję, że nie stracę ich z oczu.

Skręcili w prawo i poszli w stronę Siódmej Ulicy.

Przez cały czas, kiedy za nimi szedłem, pochylałem się, starałem się ukrywać. Po głowie, jak mantra, tłukło mi się pytanie. Miałem nadzieję, że jeśli będę je wystarczająco długo mamrotał, to coś z tego zrozumiem.

Zaczynałem łączyć punkty - tu i tam rysowałem drżącą ręką linie od zdarzenia do zdarzenia. Ale potem było jak w tym powracającym śnie - za każdym razem, kiedy popatrzyłem na niedokończony rysunek, znikał jak Littleton Flats.

Dali nura do baru Piñata na Siódmej.

Wiedziałem, co zobaczę w środku, jeszcze zanim tam wszedłem. Mrożone margarity z różowymi parasolkami, plastikowe menu z rysunkiem sombrero ustawione na środku każdego stołu, drewniane miseczki z chipsami i salsą. Czekałem na zewnątrz, słuchając przebojów Los Lobos, podczas gdy goście wchodzili i wychodzili.

Wreszcie pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Było głośno i tłoczno.

Aktorka siedziała samotnie przy barze, sącąc ogromną mrożoną margaritę - taką, o jakiej w Niech Mnie Kule Biją można było tylko pomarzyć.

A gdzie zniknął on? W łazience?

Podszedłem do baru od przeciwnej strony niż ta, z której siedziała aktorka, wcisnąłem się jakoś obok pięciu bardzo pijanych kobiet i zamówiłem eccellente - jak głosiło menu, była to specjalność firmy: margarita z tequilą Cuervo Gold, likierem brzoskwinowym i tajemniczym składnikiem, którego nie zamierzali ujawnić nawet w obliczu śmierci.

Byłem w połowie eccellente, kiedy go zauważyłem.

Gapilem się na niego przez dłuższą chwilę, zanim go rozpoznałem. Aktorka przeszła już tymczasem do margarity numer dwa. Obok niej siedzieli dwójka ludzi o modnym wyglądzie - on miał ogoloną głowę i okulary słoneczne, ona była opalona i miała silikonowy biust. Kelner przyjmował od nich zamówienie. Dopiero kiedy zamknął notes, uśmiechnął się i nachylił, żeby szepnąć jej coś na ucho, zorientowałem się, że to on.

Czemu nie?

Był aktorem w bardzo niekomercyjnym teatrze. Co oznaczało, że był również pośrednikiem w handlu nieruchomościami, akwizytorem firmy telekomunikacyjnej, parkingowym albo kelnerem. Kiedy kurtyna opadała, zmieniał po prostu jeden kostium na inny.

Zaczynałem odczuwać skutki wypitej margarity. No i dobrze.

To pomagało zabić strach.

Wsysałem właśnie przez słomkę resztki drugiego drinka, kiedy światła w barze zaczęły migotać.

Zamykają.

Pięć dziewczyn gdzieś zniknęło.

Blond aktorka została.

On tymczasem wyszedł z zaplecza bez fartucha i zgarnął ją ze stolka.

Przezornie trzymałem się kilka metrów od wejścia, a teraz skorzystałem z okazji, żeby wymknąć się z baru.

Dzisiaj nie robią już takich chodników jak kiedyś. Ten, po którym szedłem, huśtał się jak wiszący mostek podczas wichury.

Wyszli i przeszli obok, jakby mnie nie rozpoznali.

Byłem w końcu tylko jednym z widzów, którzy siedzą na ciemnej widowni.

Ta myśl ośmieliła mnie na tyle, że zacząłem dosłownie deptać im po piętach.

Zniknęli za rogiem, a ja odczekałem pięć sekund i poszedłem za nimi.

Wtedy zdarzyła się dziwna rzecz.

Przywitał mnie pusty chodnik.

Ani żywej duszy.

Na Piątej Ulicy stał jakiś samochód zaparkowany w niedozwolonym miejscu, ale kiedy zajrzałem przez okno, przekonałem się, że w środku nikogo nie ma.

Opanowało mnie uczucie paniki, jak gdybym wszedł do nieznanego ciemnego pokoju, nie mając pojęcia, gdzie się zapala światło.

Kiedy coś zgubisz, przejdź jeszcze raz tą samą trasą.

Zataczając się, wróciłem na róg ulicy, by sprawdzić, czy nie przegapiłem jakiejś bramy albo innego miejsca, w którym mogli się schować.

Przyłożył mi przedramieniem w krzyż, zanim zdążyłem go zauważyć, i nagle okazało się, że klęczę na chodniku, wpatrując się w jego bardzo niewyraźną powierzchnię.

- No dobra, sukinsynu, dlaczego za nami łazisz?

Czułem piekący ból. Spróbowałem wstać, ale on wbił mi knykcie w ramiona, z powrotem popychając na ziemię. Poczuliem, jak na karku rozpryskuje mi się jego gorąca ślina.

- Odpowiadaj, dupku!
- Przyszły mi do głowy dalsze pytania - powiedziałem.
- He?
- Zapomniałem o coś zapytać. - Teraz miałem przed sobą dziewczynę. Widocznie ukryli się za staroświecką latarnią uliczną, czekając, aż będę przechodził obok.
- O czym ty, kurwa, mówisz?
- O artykule.
- O jakim artykule? Kim, do cholery, jesteś?
- Chcę wstać. - Byłem o włos od torsji. Za dużo eccellente.

Zawahał się, a potem powiedział:

- Dobra, wodzu, powoli.

Udało mi się wstać i złapać równowagę. Jedną nogawkę miałem rozdartą i zakrwawioną.

Kiedy się odwróciłem i spojrzałem na niego, zobaczyłem kogoś, kto zwyczajnie grał kolejną rolę - tym razem ulicznego twardziela - a teraz wyglądał jak aktor, który zapomniał kwestii. Przede wszystkim cofnął się, kiedy się odwróciłem, co było równoznaczne z oddaniem wcześniej zdobytego terytorium.

Może mnie rozpoznał.

- Cześć, Ed - powiedziałem.

Nie odpowiedział.

- On nie ma na imię Ed - powiedziała dziewczyna, przyglądając mi się z nieufnością i przestachem. - On ma na imię Sam. Bierze go pan za kogoś innego. Myśleliśmy, że chce nas pan napaść. Więc może już sobie pójdziemy, dobrze?

- Wiem, że ma na imię Sam, a nie Ed - powiedziałem. - Ale grał kogoś o imieniu Ed. Pamiętasz, prawda? Przedstawiciela handlowego o nazwisku Edward Crannell. Na szosie pod Littleton.

ROZDZIAŁ 28

W Los Angeles nie ma tak wielu nocnych klubów jak w Nowym Jorku - miasto wcześniej chodzi spać. Może ma to coś wspólnego z modą na zdrowy styl życia - o szóstej rano wszyscy truchtają już po Mulholland Drive.

W każdym razie była tam co najmniej jedna knajpa otwarta dłużej.

Pojechałem do niej za szarym mustangiem Sama.

Sam zaprzeczał, zaprzeczał i zaprzeczał. Poddał się w końcu, kiedy powiedziałem, że z przyjemnością prześlę mu artykuł z „Littleton Journal” z jego zdjęciem. Nie zrobiłem mu wtedy zdjęcia, ale on o tym nie wiedział.

Podnieśliśmy roletę w jakiejś ciemnej witrynie wciśniętej między lokal ze striptizem a wolno stojący stragan z taco. Oba przybytki wyglądały na od dawna zamknięte, podobnie jak sklep pośrodku. Kiedy Sam zapukał do drzwi, ktoś nam jednak otworzył.

W środku było sporo osób o wyglądzie aktorów - atrakcyjnych i nieco zdesperowanych.

Usadowiliśmy się na czerwonej skórzanej ławie, która wyglądała, jak gdyby trafiła tutaj prosto z *Chłopców z ferajny*. Stoliki tworzyły mieszaninę stylów od art déco po bistro z lat pięćdziesiątych.

- Właściciel zajmował się kiedyś rekwizytami w Paramount - wyjaśnił Sam.

Poprosił o martini, które następnie odwołała jego dziewczyna - powiedziała, że ma na imię Trudy - i zamiast tego zamówiła mu napój imbirowy bez lodu.

- Nie mam zamiaru nieść cię do domu - powiedziała. - Widziałam, jak popijałeś ukradkiem w Piñacie.

Sam uległ potulnie.

Kiedy kelnerka w czarnym obcisłym stroju przyniosła jego napój, zapytałem:

- No dobrze, więc kto cię wynajął?

- Jakiś facet.

- Jakiś facet. I tyle? Czy ten facet miał jakieś nazwisko?

- Nie pamiętam. Nie ściemnam. To był po prostu jakiś facet, który potrzebował aktora.

- Dobra. W porządku. Jak się poznaliście?

- Przeczytał moje ogłoszenie na specjalnej stronie w internecie. Umieszcza się tam swoje zdjęcia i kłamie na temat różnych produkcji, w których brało się udział. Czasem ktoś zadzwoni. Zwykle to jest coś ekstra.

- Co ci powiedział? Ten facet, który nie wiadomo jak się nazywał?

- Że potrzebuje aktora na jeden dzień. Nawet nie na dzień - właściwie rano. Robota za miastem.

- Zapytałeś, co to za robota? Film, reklama?

- Jasne. Powiedział, że to występ na żywo.

- Na jeden dzień? Na jeden rano? Czy nie wydało ci się to trochę nietypowe?

- Owszem.

- A jednak pojechałeś?

- Płacił pięć tysięcy dolarów.

- To stąd miałeś pieniądze! - powiedziała Trudy. - A mówiłeś, że sprzedałeś bony oszczędnościowe, które dostałeś na bar micwę. Kłamca.

Sam nagle się zmieszał. Przez chwilę poddałem się przyplwowi empatii, jaką jeden kłamca czuje do drugiego. W innej sytuacji może nawet postawiłbym mu drinka i moglibyśmy się porozczulać nad sobą jak dwie bratnie dusze.

- Wiesz, ile można zarobić na dodatkowych zleceniach? - zapytał. - Dwa pięćdziesiąt za dzień. Jeśli w ogóle uda się coś znaleźć. A to było więcej, niż mi płacą za tę kretyńską sztukę. To było pięć tysięcy, rozumiesz? Mam rachunki do zapłacenia.

- Jechałeś do Littleton z tym hojnym dobroczyńcą czy spotkaliście się na miejscu?

- Jechałem sam.

- Na drogę numer czterdzieści pięć?

- Tak.

- I co tam zobaczyłeś?

Zaczął się bawić pudełkiem zapalek, obracając je to w jedną, to w drugą stronę między środkowym palcem a kciukiem.

- Samochód już się palił - powiedział cicho.

- I co zrobiłeś? Zadzwoiłeś na dziewięćset jedenaście, zatrzymałeś kogoś?

- Powiedział, że samochód jest pusty. Że w środku jest manekin - to miało być częścią przedstawienia. Przysięgam na Boga, na życie mojej matki.

- Twoja matka nie żyje - powiedziała Trudy beznamiętnie.

- Tak się tylko mówi. No dobra, przysięgam na Boga, na swoje życie... - Patrzył na mnie błagalnie, jakby bardzo mu zależało, żebym mu uwierzył. - Nikogo tam nie było. Tak powiedział. Nikogo prawdziwego. Myślisz, że dałbym się wciągnąć w jakieś... - Zawiesił głos.

- W jakieś co? - zapytała dziewczyna, która z każdą chwilą patrzyła na niego z coraz większą odrazą.

- No wiesz, jakieś podejrzane interesy. Gość potrzebował aktora i zapłacił mi pięć tysięcy, żebym zagrał swoją rolę. To wszystko.

- Był tam, kiedy przyjechałeś? - zapytałem. - Facet, który ci zapłacił.

Sam pokiwał głową.

- Jak wyglądał?

- Dziwacznie. - Wypił łyk napoju imbirowego. - Jakby... trudno to właściwie wyjaśnić... miał taką twarz... jakby wepchniętą do środka... Nie, nie wepchniętą, tylko nie do końca wypchniętą. Rozumiesz, o co mi chodzi? I mówił bardzo wysokim głosem. Jak dziewczyna.

Gonisz.

- No dobrze - powiedziałem. - Mamy płonący samochód. I jego. Ktoś jeszcze?

- Na razie nie. Powiedział, że pozostali zaraz przyjadą - jak do normalnego wypadku. Wiesz, policja, pogotowie. Ja miałem grać kierowcę, tak jakbyśmy się zderzyli, ja i kierowca tego drugiego samochodu, chociaż w środku nikogo nie było. To było tylko przedstawienie.

- A ty mu wierzyłeś?

Pokiwał głową.

- Byłem tam, Sam. Pamiętasz?

Sam popatrzył w bok, na podłogę, na kopcający tłum przy barze, na ściany wyklejone starymi grafikami Petera Maksa, obserwował pomieszczenie, jak gdyby szukał najbliższego wyjścia.

- Pamiętasz tamten zapach, Sam? Ten swąd, który dochodził z samochodu? Wiedziałeś, co to jest, prawda? Wiedziałeś, co to znaczy, nie jesteś głupi.

Sam patrzył teraz w swoją samotną szklanekę napoju imbirowego, jak gdyby chciał w niej zanurkować i utonąć. Oczy zaszyły mu łzami. Po raz pierwszy tego wieczoru wiedziałem, że nie gra.

- Ja... - Podniósł ręce do góry w geście beznadziejnej skruchy. - Chciałem mu uwierzyć. Powiedział, że to gra. Przejechałem szmat drogi, żeby się tam dostać, on mówi, że w samochodzie nikogo nie ma, za chwilę przyjeżdża policja i pogotowie, a potem ty...

- Ten drugi samochód, twój samochód. Ten zgnieciony sabbie. Czyj on był?

Pokręcił głową.

- Nie wiem. Był tam, kiedy przyjechałem. Myślę, że on go prowadził.

- Dobrze. A co było potem?

- To znaczy kiedy?

- Kiedy odjechałem. Po tym, jak uprzejmie odpowiedziałeś na moje pytania związane z wypadkiem? Przy okazji - improwizowałeś czy był jakiś scenariusz, którego miałeś się trzymać?

- Powiedział mi, co mam mówić, mniej więcej opisał przebieg wypadku. Potem improwizowałem na ten temat.

- W rozmowie z szeryfem również?

Pokiwał głową.

- I z tobą.

- Jasne. Nie przeszkadzało ci, że opowiadasz zmyśloną historijkę policji? Nie przejmowałeś się tym, że narobisz sobie kłopotów?

Czarna dziewczyna na piętnastocentymetrowych obcasach podeszła do naszej ławy. Pochyliła się i uściskała Trudy.

- Rudey... - powiedziała. - Nie dzwoniłaś do mnie od stuleci, kobieto. Co u ciebie?

- Niewiele - odpowiedziała Trudy.

- Słyszałam, że grasz w teatrze?

- Taak. - W głosie Trudy nie było entuzjazmu.

- Ze swoją znakomitą drugą polową, co?

- Nie jest taki znakomity, jak ci się zdaje - powiedziała Trudy.

Sam rzucił jej spojrzenie winowajcy na mękach.

- Słuchaj - powiedziała do niej Trudy. - To dość osobista rozmowa. Obiecuję, że do ciebie zadzwonię, dobrze?

- Osobista, co? - Dziewczyna rzuciła mi spojrzenie, które wydawało się lekko lubieżne. - Dobra, do zobaczenia.

- Co się stało, kiedy odjechałem? - zapytałem Sama.

- Nic. Zapłacił mi. I tyle.

- I tyle. Nie zapytałeś go, o co chodziło w tej małej sztuce? Jedziesz na środek kalifornijskiej pustyni, widzisz płonący samochód, w powietrzu czujesz swąd spalonego ludzkiego ciała, okłamujesz policję i miejscowego dziennikarza, zabierasz swoje pieniądze i nie pytasz go nawet, o co, do diabła, chodzi?

- Zapytałem - powiedział Sam prawie szeptem. - I co odpowiedział?

- Powiedział: to był taki *reality show*. Żegnaj.

- I tyle. Nie pytałeś więcej?

Sam pokręcił głową.

- Może nie chciałem wiedzieć, dobra?

Jak kiedyś ktoś inny, przypomniałem sobie nagle. Czasem, kiedy ten ktoś siedział, słuchając moich gorączkowych wyjaśnień, usprawiedliwień dla tej czy innej niespójności, miałem wrażenie, że wie, że ma to na końcu języka, ale nie powie tego. Nie powie.

- Więc po prostu wróciłeś do domu?

- Tak.

- Nie sprawdziłeś w gazetach albo w Internecie, czy ktoś naprawdę tam zginął? Nie nurtowało cię to?

Pokręcił głową.

- Mówiłem ci. Chciałem o wszystkim zapomnieć.

W miejscach, gdzie z szyby poodłaziła czarna farba, migotało już szare światło poranka. Wyglądało to jak sklepienie pełne wyblakłych gwiazd.

- Opowiedz mi jeszcze o tej stronie internetowej, na której znalazł twoje namiary.

- Co chcesz o niej wiedzieć?
 - Skąd on wiedział, że nie odwrócisz się na pięcie i nie odjedziesz stamtąd zaraz po przyjeździe?
 - Już mówiłem. To było dla mnie dużo pieniędzy.
 - Tak, mówiłeś. Ale są granice tego, co człowiek zrobiłby dla pieniędzy, nawet dużych. Skąd on wiedział, że na to pójdziesz?
- Trudy założyła ręce na piersi i przeszła go spojrzeniem. Sam wzruszył ramionami.
- Nie rozumiem, o co właściwie pytasz.
 - Jasne, że rozumiesz. Pytam, jak to się stało, że wybrał właśnie ciebie. No, Sam, co to za strona?
 - Mówiłem już. Po prostu strona z ogłoszeniami aktorów.
 - Jakich aktorów?
- Sam skulił się na krześle, popatrzył na sufit być może z nadzieją, że Bóg ześle mu jakieś wskazówki.
- Ktoś mi powiedział, że jest taka nowa strona, dzięki której można sobie trochę dorobić...
 - Tak?
 - Zamieszczają tam ogłoszenia aktorów zainteresowanych udziałem w niekonwencjonalnych przedsięwzięciach.
 - Niekonwencjonalnych przedsięwzięciach. Tak to nazywacie?
 - O czym on mówi? - Trudy niczego nie rozumiała. Kto wie, ile musiała już przełknąć w tym związku, ale tego jakoś nie mogła strawić. Na razie.
 - Opowiedz jej, Sam. No, opowiedz.
 - Cóż...
- Zrobiłem to za niego.
- Chodziło o szwindle. Za odpowiednim wynagrodzeniem wynajmowałeś się do różnych kantów. Oszustwo to jedyny rodzaj gry aktorskiej, na której można zarobić pięć tysięcy dolarów w jedno przedpołudnie, prawda?
- Sam nie odpowiedział. Nie musiał.

Czułem chłód pełznący coraz wyżej wzdłuż kręgosłupa, krąg za kręgiem.

Zwróciłem się do Trudy.

- Na twoim miejscu miałbym oczy dookoła głowy.

Sam popatrzył na mnie niespokojnie, więc dodałem:

- Człowiekowi, który ci zapłacił, może się nie podobać, że się tu kręcisz. Już nie. Rozumiesz?

Ten szok, kiedy się zorientowałem.

Coś znajomego, ale dawno zapomnianego...

Grupa zdesperowanych aktorów hollywoodzkich, którzy wynajmowali się rosyjskiej mafii do różnych oszustw.

Prawda, że to brzmi znajomo?

Jeden z moich artykułów.

Tylko że to był jeden z tamtych artykułów.

Aktualnie dostępnych w Internecie dzięki życzliwości wielkiego amerykańskiego dziennika, który prawie rozłożyłem na łopatki.

Wycinek z wielkiego kanonu kłamstwa Toma Valle'a.

Dramatycznie skonstruowany. Nienagannie szczegółowy. Drobiazgowo opisany.

Tylko że ani jedno jego słowo nie było prawdą.

Ani jedno pieprzone słowo.

ROZDZIAŁ 29

Zza okna motelowego pokoju dobiega dźwięk helikopterów.

Wydają niskie bojowe brzęczenie, jak Black Hawks w szyku podczas misji „odszukać i zniszczyć”.

W pierwszym instynktownym odruchu mam ochotę się schować, dać nura pod łóżko i siedzieć tam, dopóki nie odlecą.

Ale nie mogę się ruszyć, jakbym przemarzł na kość albo ugrzązł w ruchomych piaskach.

Wtedy się budzę.

Jest czwarta nad ranem, telewizor w pokoju jest włączony. Pokazują jakiś film o Wietnamie z wybuchami napalmu, terkotem podskakujących karabinów maszynowych i uciekającymi w popłochu wieśniakami w słomianych kapeluszach.

Już dobrze, nie ma żadnych helikopterów.

A jednak o czymś mi to przypomina.

Szukają mnie.

Muszę skończyć tekst w terminie.

Piszę najszybciej, jak potrafię.

Piszę.

Nie będę mógł tego odłożyć. Uda mi się albo nie.

Powiedziałbym, że prawdopodobieństwo wynosi nie więcej niż pięćdziesiąt procent.

Zacząłem wyglądać oknem, żeby się przekonać, czy jest tam ten człowiek. Ten, który według Luizy o mnie wypytywał.

Kiedy zapytałem ją, jak wyglądał, wzruszyła ramionami i zrobiła zniesmaczoną minę.

Spytałem ją, co chciał o mnie wiedzieć.

„Jak długo pan tu jest”, odrzekła Luiza.

Powiedziałas mu?

Pokręciła głową. „Powiedziałam, że nie wiem”.

I to wszystko?

„Pytał, jak pan wygląda”.

No dobrze, powiedziałaś mu, jak wyglądam?

„Tak”.

Luiza zapamiętała, że miał odznakę.

Nie wiedziała, czy to była odznaka policjanta, czy hycła.

Wiedziała tylko, że się ich boi. Ludzi z odznakami.

Musi uważać na urząd imigracyjny.

I dlatego nie mogę jej zaufać. Nie mogę.

Mają sposoby na nielegalnych. Kiedy się przekonała, że mnie to nie obchodzi i że nie mógłbym jej zrobić krzywdy, opowiedziała mi o swojej koszmarnej podróży przez Amerykę Środkową i o przeprawie przez Rio Grande na łasce dziewiętnastoletniego szmuglera. O papierni dostarczającej dokumenty, które wyglądają jak prawdziwe. Ale nie dla kogoś z urzędu imigracyjnego. Nie dla nich.

Tymczasem ja doszedłem do zasadniczej części historii - do jej sedna.

To się wyczuwa, prawda?

Można już połączyć punkty. Muszę przedstawić to chronologicznie, tak żeby można było prześledzić wszystko po kolei, tak jak się stopniowo rozwijało, kawałek po kawałku. Tak, by na koniec można było w to uwierzyć. Przy całym braku zaufania do posłańca, jego wiadomość pozostanie wiarygodna.

I wtedy będzie wiadomo, co zrobić.

ROZDZIAŁ 30

Kiedy pojawiłem się w redakcji „Littleton Journal”, Hinch był z żoną w szpitalu.

Norma wyglądała, jakby płakała.

- Sprawa jest poważna - powiedziała.

Nate też miał nietęgą minę, bo Rina zerwała z nim listownie - a raczej SMS-owo, jak to bywa w dzisiejszych czasach. Teraz dąsał się przy swoim biurku.

Nikt nie był zbyt rozmowny, w redakcji panował ponury nastrój.

Hinch zostawił mi standardową porcję lokalnych tematów do opracowania. Przemknąłem przez nie „na pamięć”, jak kierowca skoncentrowany wyłącznie na celu podróży. W przyszłym tygodniu zaczynał się targ uliczny w Littleton, przyjeżdżało też rodeo z atrakcją w postaci zawodów dla kobiet w ujeżdżaniu mustangów. W bibliotece zaplanowano spotkanie Kalifornijskiego Towarzystwa Historycznego.

Skończyłem w rekordowym czasie. Poklepałem Nate'a po plecach i powiedziałem, żeby był twardy. Przyniosłem Normie kubek kawy i powiedziałem, żeby zachowała wiarę.

Potem zniknąłem w bibliotece z mikrofilmami.

Spadałem w dół króliczej nory i byłem ciekaw, gdzie wyląduję.

Robiłem postępy, wędrując wstecz.

Do miejsca, które odwiedziłem już na początku swojej pracy w „Littleton Journal”, kiedy przeglądałem stronicę lokalnej historii jak podróźny wertujący przewodnik po kraju, do którego się wybiera. Rozglądałem się po mieście i wypytywałem ludzi o ich wspomnienia. Nieważne dokąd jechałem - na północ czy na południe autostradą wzdłuż Pacyfiku, trzydzieści kilometrów za miasto czy na drugą stronę lustra - ciągle trafiałem w to samo miejsce.

Czekało na mnie przez cały czas.

Rok 1954.

Katastrofa tamy Aurora.

Zagłada Littleton Flats.

ROZDZIAŁ 31

Słuchali w radiu piosenek Eddiego Fishera i Rosemary Clooney.

„Hej, ty z głową w obłokach...”

Chodzili do kina Odeon na rogu Szóstej i Główniej, żeby zobaczyć Brando w roli byłego boksera, którego gryzie sumienie.

Czytali w „Littleton Journal” doniesienia z Seulu. Wojna w Korei właśnie się skończyła, jednak przyszłość tego azjatyckiego kraju ciągle stała pod znakiem zapytania. Przeglądali wyniki rozgrywek baseballu na ostatnich stronach, gdy New York Giants parli do mistrzostwa w lidze ogólnokrajowej.

Ci, którzy mieli telewizory firmy General Electric, wybierali pomiędzy dwoma najważniejszymi pojedynkami wagi ciężkiej tego roku: Marciano kontra Ezzard Charles i armia kontra McCarthy.

To nie był dobry rok dla senatora.

Ameryka lubiła Ike'a, ale nie była już tak przekonana do Joego, pogromcy czerwonych, który przysiągł na stertę Biblii, że komuchy są wszędzie. A już z pewnością w każdym departamencie rządu Stanów Zjednoczonych. Niesamowita ironia

jego wojowniczych zapewnień nie wyszła na jaw jeszcze przez lata. Przewidywania kłamliwego Joego, taniego oportunisty, którego nazwisko zaczęło się kojarzyć z bezpodstawnym oczernianiem ludzi, okazały się poniekąd trafne. W amerykańskim rządzie rzeczywiście byli komuniści - ale senator McCarthy wcale o tym nie wiedział.

Zdawał sobie za to sprawę z innego niebezpieczeństwa - własnego politycznego końca, którego nadejście wyczuwał. Zdenerwował się na armię amerykańską, ponieważ odmówiła zwolnienia ze służby jego ulubionego specja od brudnej roboty. Nagle wojsko również zaroilo się od komunistów. Prowadzono w tej sprawie publiczne przesłuchania, podczas których Joe kwestionował lojalność prawej ręki szefa adwokatury armii Josepha Welcha, gdzie Welch zadał senatorowi słynne pytanie o jego poczucie przyzwoitości i gdzie względnie nowe jeszcze medium - telewizja - starało się uchwycić każdą hipnotyzującą, zabójczą dla kariery McCarthy'ego chwilę. Zanim przesłuchania dobiegły końca, senator już tylko nominalnie był rozdającym karty w tej rozgrywce. Jego taktyka polegająca na zastraszaniu słabszych i szpetny charakter zostały pokazane wszystkim Amerykanom posiadającym odbiorniki telewizyjne. Politycznie był skończony.

Oczywiście była i druga strona medalu.

Strach przed komunizmem wciąż miał wielkie oczy.

Zapach unoszącej się nad Rosją chmury w kształcie grzyba wystarczał, żeby Amerykanie biegli przerażeni do schronów. Rosja ma bombę wodorową! W „Littleton Journal” zamieszczono zdjęcie najnowocześniejszego schronu zaopatrzonego w ścianę puszek zupy Campbell's i dwieście pudełek płatków śniadaniowych Kellogg's.

Niewinne lata pięćdziesiąte, jak o nich mówiono.

To była niewinność podszyta strachem. Ludzie zawsze wiedzieli, że kiedyś umrą, a teraz w dodatku wiedzieli jak.

A jednak w Littleton Flats nadal sprzątano w domach, przewijano dzieci i przewracano hamburgery na patelni. Jakieś trzy czwarte mężczyzn w mieście pracowało w elektrowni wodnej przy tamie Aurora. Nosili stalowe hełmy i wkładali watę do uszu, żeby stłumić ryk płynącej wody. W niedzielne popołudnia urządzano przyjęcia w ogrodzie, podczas których słuchano, jak Giants kończą mistrzostwa z wynikiem cztery do zera. W klubie przy miejscowym kościele parafialnym tańczono jak William Holden i Kim Novak. W sobotnie wieczory młodzież urządzała za miastem wyścigi samochodowe. Jakiś artykuł wspominał o kilku skasowanych autach, jednej ofierze śmiertelnej oraz wysiłkach szeryfa, aby skierować młodzieńczą energię ku zdrowszym pasjom.

Na przykład takim jak sport.

Liga futbolowa w miasteczku składała się z trzech drużyn. Reprezentacja miejscowej szkoły średniej znana pod nazwą Littleton Flats Rattlers wygrała w 1953 roku trzy z siedmiu meczów.

Uczniowie ostatnich klas wystawiali *Oklahomę* z Marie Langham w roli głównej. W szkolnej gazetce nazwano jej kreację *t r a n s c e n d e n t n ą*, zauważono również, że chłopak, który wystąpił w roli Curly'ego, grał jako skrzydłowy i obrońca w szkolnej drużynie. Liceum szczyliło się pięcioma finalistami konkursu nauk ścisłych imienia George'a Westinghouse'a.

Na miejskim placu zorganizowano tego roku obchody święta wiosny. Tańczono wokół ozdobnego słupa i śpiewano „pora, by nadeszła wiosna”.

Na Boże Narodzenie przywieziono ogromną jodłę, którą przystrojono elektrycznymi lampkami oraz gwiazdą na wierzchołku. Zorganizowano zbiórkę zabawek dla ubogich rodzin. Czwartoklasiści ze Szkoły Podstawowej imienia Franklina Pierce'a napisali list do Eisenhowera, przyrzekając pomoc w walce z bezbożnym komunizmem.

W miasteczku był fanklub Binga Crosby'ego.

Klub Rotariański, zagorzale republikański i obowiązkowy dla tych, którzy ubiegali się o stanowisko we władzach miasta, ogłaszał czerwcowe przyjęcie.

Raz w tygodniu w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Pocieszenia odbywały się turnieje gry w bingo.

W Littleton Flats Café serwowano zestaw śniadaniowy w cenie pięćdziesięciu centów składający się z trzech jaj podanych w dowolny sposób, smażonych ziemniaków, soku pomarańczowego, kawy i grzanki. Kawa bez ograniczeń.

W altanie odbywały się letnie koncerty - główną atrakcją był męski kwartet wokalny Flats Four.

W historii „Littleton Journal” dwukrotnie użyto nagłówka na całą szerokość pierwszej strony. Drugi raz, gdy Lee Harvey Oswald opuścił swoje stanowisko w teksańskim magazynie książek. Pierwszy raz w poniedziałek po katastrofie tamy Aurora.

Powódź zmiata Littleton Flats z powierzchni ziemi!

Co, gdzie, jak i kiedy w zwięzłych sześciu słowach. Dlaczego, udało się ustalić dopiero później, jednak było to tylko tyle, że po trzech dniach deszczu woda osiągnęła złowieszczo wysoki poziom.

Wszyscy zginęli!

To nagłówek z następnego dnia - zanim jeszcze trzyletnią Bailey Kindlon znaleziono żywą w dole rzeki.

Były też zdjęcia.

Miasto, które w całości pochłonęła woda, z wystającymi z niej fragmentami budynków przypominającymi martwe gałęzie drzew cyprysowych na moczarach.

Jedno ze zdjęć zrobiono chyba z helikoptera. Widać było wywołane śmigłem krótkie nieregularne fale na powierzchni wody i niewyraźny cień przypominający unoszącego się tuż pod powierzchnią wody wieloryba.

Było też zbliżenie komendanta straży pożarnej z Littleton z zaczerwienionymi oczami i wyrazem twarzy chirurga informującego rodzinę, że pomimo jego wysiłków pacjent zmarł.

W kolejnych dniach pojawiła się lista. Rosła i rosła jak żarłoczny potwór utuczony ciałami swoich ofiar.

„Benjamin Washington - lat 6” pojawiło się trzeciego dnia.

Wtedy gdy lista zajmowała już sześć kolumn, całe dwie strony.

Gdy wezwano już Gwardię Narodową - cały batalion z Fort Hood w Teksasie.

Gdy gubernator Kalifornii odbył już obowiązkową konferencję prasową na miejscu katastrofy, a biskup Los Angeles pobłogosławił wodną mogiłę, nawiązując do biblijnego potopu, gdy ustawiono blokady, aby powstrzymać ciekawskich oraz pograżonych w żalu. Rozkładające się w słońcu ciała groziły epidemią. Woda była naturalną wylęgarnią niebezpiecznych bakterii.

Pod koniec tygodnia zaczęto wskazywać winowajców. Nie wspomniano jeszcze Lloyda Steinera, jeszcze nie wtedy. Coraz częściej jednak pytano, jak to możliwe, że tama zbudowana przez najlepszych inżynierów pokruszyła się jak suche ciasteczko. Pojawiło się podejrzenie korupcji. Cytowano czyjąś wypowiedź: „pół stanu pod wodą, drugie pół w stanie oskarżenia”.

W „Littleton Journal” przytoczono wypowiedź eksperta od budowy zapór majora Samsona z Wojskowego Oddziału Inżynierów: „Pustynia czy nie, należy uwzględnić wzrost poziomu wody i ciśnienia. Każda tama zbudowana zgodnie z przyjętymi w Stanach Zjednoczonych standardami powinna takie obciążenia wytrzymać. Tego rodzaju katastrofa musiała być skutkiem błędów konstrukcyjnych”.

Prezydent Eisenhower przekazał kondolencje rodzinom ofiar. Oczywiście większość rodzin ofiar była ofiarami. Ale nie wszyscy. Belinda Washington była tamtego ranka gdzie indziej - opiekowała się dziećmi innych ludzi. Na liście brakowało pana

Washingtona - może jego nieobecność była wynikiem innego rodzaju katastrofy.

Ekipa kaplicy pogrzebowej w Littleton pracowała na pełnych obrotach, organizując jeden pogrzeb za drugim, czasem po trzy dziennie, żeby pochować wszystkich. Ciała przekazywano aż do San Diego, do zakładów pogrzebowych, które miały jeszcze miejsca. Cmentarz w Littleton powiększył się o połowę.

Udział w pogrzebach wzięło kilku znaczących polityków. Wiceprezydent Dick Nixon przyleciał aż z Waszyngtonu i razem z żoną pożegnał miejscowego burmistrza. Wicegubernator Kalifornii był obecny na dwóch pogrzebach. Kaznodzieja Billy Graham wygłosił słowa pożegnania nad trumną księdza z Littleton Flats.

Magazyn „Life” przysłał fotografa, który dokładnie uwiecznił powódź żalu. Jedno ze zdjęć zostało przedrukowane w „Littleton Journal”. Przedstawiało ubranego na czarno starszego człowieka z Minnesoty, który ze spuszczoną głową ociera łzy białą chusteczką, nie żegnając nikogo w szczególności w myśl urzekającego przesiania, że wszyscy jesteśmy jedną rodziną.

Flagi w Kalifornii pozostały opuszczone do połowy masztów przez cały tydzień.

Cztery dni po katastrofie w „Littleton Journal” pojawiła się uśmiechnięta twarz Bailey Kindlon. Miała oczy jak spodki i delikatne piegi na obu policzkach niczym dziewczęca wersja Howdy Doody - postaci z popularnego w latach pięćdziesiątych programu dla dzieci. Nagłówek głosił:

Tylko ona przeżyła!

Zgodnie z artykułem uratowała się, płynąc na drzwiach do piwnicy sklepu spożywczego w Littleton, jednak znaleziono ją ponad dziesięć kilometrów od miejsca, w którym stał sklep. Uratował ją żołnierz Gwardii Narodowej o nazwisku Michael Sweeney. Żadnej wzmianki o robotach z kosmosu popiskujących jak delfiny. Jej stan zdrowia określono jako dobry pomimo drobnych zadrapań i siniaków.

Po dwóch tygodniach artykuły na temat Littleton Flats spotkał ten sam los, co samo miasto - zniknęły. Gazety wciąż przypominają banał powtarzany na całym świecie przez tych, którzy przeżyli: życie toczy się dalej.

Trzeba było śledzić i relacjonować wybory do władz lokalnych. Przedrukowywać i analizować wyniki rozgrywek sportowych. Przygotowywać prognozy pogody i narzekać na pogodę. Upomnieć (dyskretnie) senatorów w Waszyngtonie, którzy obrażali narodowe poczucie *fair play*, oraz skrupulatnie odnotować próby atomowe w odległych miejscach. Kontynuować przygody komiksowych postaci.

Następna wzmianka o tragedii Littleton Flats dotyczyła komisji rządowej, która miała za zadanie ustalić przyczyny katastrofy oraz zdecydować, kto poniesie publiczną karę, aby zaspokoić ogólnonarodową żądzę krwi - osiemset pięćdziesiąt trzy ofiary śmiertelne tego wymagały.

Lloyd Steiner miał swoje piętnaście minut niesławy.

Znalazłem tylko jedno jego zdjęcie.

Wychodził z sali sądowej po dniu już i tak zbyt ciężko obciążających go zeznań. Znalaziono dymiącą broń - ustalono, że Steiner był w posiadaniu tajnych projektów uwzględniających pewne uproszczenia konstrukcyjne, które zostały zaakceptowane i wprowadzone.

Rzekomo przez samego Steinera.

Widać było, że został zaskoczony błyskiem flesza - jego okulary rozbłysły jak lampki choinkowe, a głowa odskoczyła mu w tył jak artyście, którego ktoś ściąga ze sceny niewidzialną laską. Była to dość trafiona metafora - główny winowajca został zabrany z narodowej sceny prosto do celi w więzieniu federalnym, gdzie spędził następne dziesięć lat.

Wróciłem do swojego biurka.

Pochłonąłem kubek paskudnej kawy Normy, po czym poszedłem do ekspresu i nalałem sobie kolejny.

Nate Skate poprosił, żebym znalazł mu coś do roboty, najwyraźniej wierząc, że ciężka praca jest najlepszym lekarstwem na złamane serce. Dałem mu swoje pośpiesznie nabazgrane teksty do korekty.

Norma czekała przy telefonie na wieści ze szpitala. Co jakiś czas dzwoniła pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii z informacjami o stanie żony Hinch. Nie były to dobre wiadomości.

Usiadłem wygodnie na swoim krześle obrotowym, odtwarzając w pamięci mikrofilm jak niekończącą się pętlę migocącą surowymi, szokującymi obrazami, które prawie ukołysały mnie do snu.

Prawie.

- Nate - powiedziałem.

Kiedy spojrział znad swojego biurka, nagle wydał mi się starszy. Myślę, że tak właśnie działa na człowieka strata.

- Ilu może być finalistów konkursu imienia Westinghouse'a jednego roku? - zapytałem.

- Co?

- Nagrody Westinghouse'a dla uczniów szkół średnich. Ilu może być finalistów konkursu w dziedzinie nauk ścisłych w tym samym roku?

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Zgadnij.

- Niewielu.

- Właśnie. Ja też powiedziałbym, że niewielu. Pewnie nie więcej niż pięćdziesięciu.

- Dlaczego pytasz?

- Ujmijmy to tak. Jakie jest twoim zdaniem prawdopodobieństwo, że w jednej szkole średniej będzie ich pięćciu?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W Nowym Jorku jest jakaś duża szkoła średnia specjalizująca się w naukach ścisłych, liceum w Bronksie czy coś takiego...

- Bronx High School of Science. Jasne, z tamtej szkoły mogłoby być pięciu finalistów. A z jakiejś innej?

- Czy to jakiś quiz z wiedzy ogólnej? Bo ja nie mam ochoty grać, Tom. Przykro mi, naprawdę nie mam ochoty. Ja tutaj cierpię. Umieram.

- Powiedziałbym, że pięciu uczniów tej samej szkoły, innej niż Bronx High School of Science, w finale konkursu Westinghouse'a to, używając terminu z nauk ścisłych, zdarzenie niemożliwe.

- Dobrze, świetnie. Wygrałeś.

- A gdyby to była mała szkoła? W samym środku nigdzie? To daje mniejszą szansę niż w Vegas, nie sądzisz?

- Możliwe. Dlaczego?

- Nate, mam dla ciebie zadanie. Coś, co oderwie twoje myśli od Riny. - Na dźwięk imienia swojej dziewczyny Nate aż się wzdrygnął.

- Co?

- Chcę, żebyś dowiedział się wszystkiego, co się da, na temat ludzi, którzy mieszkali w Littleton Flats.

- W Littleton Flats? W tym mieście, które zostało... no wiesz?

- Zalane, właśnie. Sprawdź, czy uda ci się dowiedzieć, kim byli jego mieszkańcy.

- Chodzi ci o nazwiska?

- Mam ich nazwiska. To nie było trudne. Chodzi mi o to, kim byli. Gdzie pracowali, skąd pochodzili, tego rodzaju rzeczy. Niektórzy musieli mieć przecież jakichś krewnych, którzy jeszcze żyją. Interesuje mnie wszystko, czego uda ci się dowiedzieć.

- Przepraszam, że zapytam, ale kiedy ci ludzie zginęli?

- Pięćdziesiąt lat temu.

- Jasne. Łatwizna - powiedział Nate z niespotykanym u niego sarkazmem. Może to jego świeżo zranione serce. Jechał

sobie przez życie, aż zaliczył pierwszą wywrotkę, podczas której ucierpiał jego naiwność i optymizm.

- Spróbuj w Internecie - powiedziałem. - Przecież jesteś specem od komputerów, znalazłeś sposób, żeby wejść na stronę PinkWorld.com bez płacenia.

To od razu poprawiło mu nastrój.

- Dobra - powiedział. - Spróbuję.

ROZDZIAŁ 32

- Halo, kto mówi? Halo?

To był standardowy scenariusz: najpierw się upiłem. Byłem wystarczająco pijany, żeby wybrać jego numer, ale nie aż tak, żeby go nie pamiętać. To było jak balansowanie nad przepaścią.

- Halo, halo.

To ja, Tom.

Byłem drugą najbardziej zaskoczoną osobą, kiedy zdałem sobie sprawę, że te słowa zostały wypowiedziane na głos.

- Tom? Tom Valle?

Znowu zamilkłem na chwilę, kontemplując potworność rozmowy z człowiekiem, któremu osobiście, nieodwołalnie zniszczyłem życie.

- Tak.

Teraz on zamilkł. Było to milczenie tak całkowite, że wydało mi się, iż słyszę, jak przesuwa się wskazówka zegara po dziadku, który wisiał na ścianie jego gabinetu. Zostałem zaproszony do tej kryjówki w cudownych zamierzchłych czasach, kiedy ja byłem wschodzącą gwiazdą dziennikarstwa, a on redakcyjnym sumieniem.

- Czy to byłeś ty? - zapytał wreszcie. - Przez cały ten czas? To ty do mnie dzwoniłeś?

- Tak, to byłem ja.

- Rozumiem. - Kolejna chwila milczenia. - Czy mógłbyś powiedzieć mi dlaczego, Tom? Obudziłeś się któregoś dnia i postanowiłeś uzupełnić sfinansowane artykuły fałszywymi rozmowami telefonicznymi?

No dobra, zabołało. Ale bólowi towarzyszyło nagle uczucie ulgi. Kiedyś napisałem artykuł na temat sekty samobiczujących się, dopiero teraz jednak zrozumiałem, skąd brał się zachwyty na ich twarzach, kiedy karali się za grzechy.

- Chciałem z tobą porozmawiać - powiedziałem. - Ale nie miałem odwagi. Za każdym razem, kiedy dzwoniłem, zamierzałem coś powiedzieć.

- Dobrze wiedzieć. A już myślałem, że mam cichą wielbicielekę.

- Nie. Tylko wielbiciela.

Znowu cisza.

- Okazałeś swoje uczucie w dość nietypowy sposób.

- Chciałem, musiałem powiedzieć przepraszam. Jest mi tak cholernie przykro. Powinienem był, posłuchaj, wiem, że to niczego nie zmieni, ale musiałem to powiedzieć. Chciałem, żebyś wiedział... że nie chciałem...

- Dać się złapać? Czego nie chciałeś? Kiedy siedziałeś w swoim boksie, ćwicząc kreatywność, myślałeś, że dokąd cię to zaprowadzi? Do Pulitzera?

- Nigdy nie myślałem tak perspektywicznie. Tylko do następnego *deadline'u*.

- Rozumiem. - Skrzyknięcie krzesła, odgłos przekładanych papierów. - Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek się do mnie odezwiesz. Twoje milczenie było dość nieeleganckie.

- Wiem. Przepraszam. To było strasznie nie w porządku, co ci zrobili. To było...

- Nie w porządku? Ani trochę. Byłem za to odpowiedzialny. Zabrakło mi rozumu albo cynizmu, kiedy patrzyłem na twoje

teksty. Plotka głosi, że było mi to potrzebne. Zabrakło mi redaktorskiej mądrości, żeby zauważyć to, co miałem przed samym nosem. Zawaliłem, z pompą i publicznie. Nie w porządku? Eee.

- Nie musieli cię pogrążyć razem ze mną...

- Nie? Wiesz, po tym gdy to się stało, zafundowałem sobie długi spacer do domu. Miałem wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Byłeś moim najlepszym reporterem, Tom. Każdy redaktor kogoś takiego potrzebuje. To, co zostawiamy po sobie, to w jakimś stopniu nasze dziedzictwo. Możliwe, że czasami jakiś głos mówił mi, żebym zaczekał. „Stój. To zbyt idealnie - Merkury i Mars zbyt sobie sprzyjają”. Może powiedziałem temu głosowi, żeby spływał. Myślę, że kilka razy mi się to zdarzyło. Zapomniałem o starej mądrości. Nie wierz we wszystko, co piszą w gazetach.

Poczułem, jak coś nieubłaganie we mnie wzbiera. Odsunąłem słuchawkę i zakryłem twarz ramieniem, żeby to stłumić.

- Tom, jesteś tam jeszcze?

- Tak.

- Często o tobie myślałem. Co się z tobą stało. Jesteś jeszcze w Nowym Jorku?

- W Kalifornii.

- W Kalifornii. Czym się zajmujesz?

- Dziennikarstwem.

Lekki, ale zauważalny wdech.

- Syn marnotrawny, co?

- Słucham?

- Nieważne. Kalifornijczycy są dość wspaniałomyślni, to wszystko.

- Ciężko to właściwie nazwać gazetą.

- Być może. Ale to jednak zawód, do cholery. Na twoim miejscu nie zaglądałbym w zęby darowanemu koniowi.

- Dlatego właśnie dzwonię.

- Myślałem, że dzwonisz z mocno spóźnionymi przeprosinami.

- Tak. Ale jest jeszcze coś.

- Co?

- Natrafiłem na coś. Trafiłem na temat. To prawdziwy temat, taki, jakiego szuka się przez całe życie. Wiem to. Ślady prowadzą wstecz i wybiegają do przodu, prowadzą do miejsc, gdzie chodzi się na własne ryzyko. Ale ja to robię. Idę tam. Chciałem ci to powiedzieć.

- Bądź ostrożny, Tom.

- Jestem. Podejrzewam, że ktoś już z tego powodu zginął. Jestem ostrożny.

- Nie mówię o twoim bezpieczeństwie, Tom. Mówię, że to nawet przez telefon trąci *déjà vu*. Mówię o tym, że potrafię zgadnąć, co za chwilę powiesz. Rozumiesz, o czym mówię? Już to kiedyś słyszałem. To stare dzieje. Wyświechtany scenariusz zmęczonego bajkopisarza. Podrzyj go.

- Tym razem jest inaczej. Tym razem to prawda. Autentyk. Posłuchaj mnie, coś nieprawdopodobnie dziwnego...

- A ty posłuchaj mnie. To zawsze była prawda. To zawsze było autentyczne. Wszystkie te dziwne rzeczy.

- Nie tym razem. Tym razem to jest prawdziwe.

- Tu nie chodzi o „tym razem”. Albo mówi się prawdę, albo nie. Nie można tylko sprawdzić, czy jest ci z nią do twarzy, przymierzyć jak płaszcz. To nie działa.

- Kiedy skończę, kiedy poskładam to w całość, przekonasz się. Przyślę ci wszystko i sam się przekonasz.

- Nie zwracaj sobie głowy. Nie jestem już twoim szefem. A ty nie jesteś moim gwiazdorem. Muszę się położyć, Tom. Tutaj jest już bardzo późno.

Nie, pomyślałem. Jest już bardzo późno dla nas obu.

ROZDZIAŁ 33

Miałem dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że ktoś mnie śledzi.

To uczucie pojawiało się zawsze, kiedy skręcałem za róg albo zjeżdżałem na parking, kiedy wchodziłem do domu albo wyskakiwałem z redakcji na papierosa czy do apteki po lekarstwo na zgagę, kiedy kupowałem cheesburgera w barze albo jechałem na kręgle.

Innymi słowy cały czas.

Za każdym razem, kiedy się zatrzymywałem i oglądałem za siebie, czułem, że zrobiłem to o sekundę za późno, żeby go zobaczyć. Albo ich. Jakbym widział swój cień, który nagle znika, kiedy słońce chowa się za chmurę.

Tak szybko.

Odwiedziłem Broń i Amunicję Teda i wyszedłem z trzydziestkąósemką firmy Smith & Wesson. Byłem nowicjuszem, jeśli chodzi o broń, jednak dwuczłonowa nazwa dodawała, w moim mniemaniu, producentowi rewolwerów powagi. Był oczywiście mały problem. Będąc pod nadzorem kuratorskim,

nie miałem prawa do posiadania broni w stanie Kalifornia. Na szczęście Ted, który do każdego zakupu oferował gratis tarcze z podobizną Michaela Moore'a, w kwestiach praw stanowych i federalnych miał poglądy członka Krajowego Związku Myślistwa Sportowego.

Nie uznawał ich.

Pojechałem za miasto, żeby poćwiczyć strzelanie do kaktusów. Moja celność była mniej więcej dwudziestopięcioprocentowa.

Zacząłem zamykać drzwi wejściowe na klucz i zasłaniać okna. Któregoś wieczoru zszedłem na dół z bronią w rękę i jeszcze raz sprawdziłem piwnicę. Czego właściwie szukałem? Nie wiem, może pluskiew, bo odkręcone gniazdko telefoniczne nie dawało mi spokoju. W każdym razie jedyną, jaką znalazłem, był piętnastocentymetrowy bezkręgowiec w rurze odpływowej. Zajrzałem ponownie do dziury, którą hydraulik wybił w ścianie, ale znalazłem tam tylko gipsowy pył i podarty papier, którego używano w tych stronach jako taniej izolacji. I tyle. Przypomniało mi się, że miałem poprosić Seta, żeby to naprawił - to on kładł tynki w tym domu. Spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy przyszedł coś sprawdzić na prośbę właściciela.

Miałem wrażenie, że połowa Littleton gra jakąś rolę, że każdy poza mną bierze udział w przedstawieniu.

Sporym problemem było ustalenie, kto grał kogo. Przydałaby się lista z obsadą.

Sam Savage jako Ed Crannell, to na pewno.

Ktoś w kluczowej, choć niewdzięcznej roli ciała Dennisa Flaherty'ego. Ale kto?

Benjy Washington?

Druga osoba, która przeżyła katastrofę tamy Aurora? Jak to udowodnić?

I wtedy znalazłem dowód. Tak jakby.

Jakieś potwierdzenie moich przypuszczeń.

Zadzwoiłem do szeryfa, żeby zapytać, czy wykopali już ciało w Iowa, powstrzymując się jednak od powiedzenia mu, że człowiek w pick-upie wynajął zdesperowanego aktora zdecydowanego zagrać niekonwencjonalną rolę za odpowiednim wynagrodzeniem - że Ed nie był Edem. Chciałem powiedzieć Swensonowi, jak natknąłem się na ten teatr w Santa Monica, jak poszedłem za tym aktorem i nawet zostałem powalony na chodnik, jak się pozbierałem i wydobyłem od niego tę historię.

Tylko że ciągle słyszałem głos dawnego mentora.

„To stare dzieje. Wyświechtany scenariusz zmęczonego bajkopisarza. Podrzyj go”.

Miał rację.

To był wyświechtany scenariusz. Bardzo wyświechtany. Aktorzy hollywoodzcy dorabiający dzięki przekrętom. Można to było sprawdzić.

Szeryf powiedział, że ciało nadal tkwi w leżącej odlegiem ziemi w Iowa i że wykopanie kogoś wymaga nieprawdopodobnej ilości biurokratycznego gówna, nawet jeśli człowiek o nazwisku z nagrobka wciąż chodzi po świecie. Wtedy przypomniałem mu naszą rozmowę w dniu, kiedy przyszedłem mu powiedzieć, że Dennis Flaherty żyje.

- Pamiętasz, jak zapytałem, czy któraś z osób uznanych za ofiary powodzi kiedykolwiek się pojawiła? Odniosłem wrażenie, że chciałeś mi wtedy coś powiedzieć. Na przykład powiedzieć, że tak. Dlaczego?

- Hm - powiedział. - No cóż. To było po prostu trochę dziwne.

- Dziwne? Dlaczego?

- Tak się złożyło, że ktoś zadzwonił do jednego z moich ludzi, mniej więcej tydzień wcześniej. Powiedział, że ma informacje, których potrzebujemy. Na temat katastrofy tamy Aurora.

- Co odpowiedział twój człowiek?

- Zapytał, co to, do cholery, jest katastrofa tamy Aurora.

- Co to były za informacje? - zapytałem. Znowu miałem to uczucie, jak wtedy gdy gapilem się na zdjęcie na ścianie teatru. Jakby świat był wirującym kalejdoskopem.

- Kto wie? Umówił się, a potem nigdy nie przyszedł. Oczywiście, kiedy mój człowiek odkrył, że katastrofa tamy Aurora wydarzyła się pięćdziesiąt pieprzonych lat temu, specjalnie go to nie zdziwiło. Dzwoniący oszuści raczej nie wpadają potem na kawę.

- Przedstawił się?

- Tak. Stąd wiedzieliśmy, że to lipny telefon. Podał nazwisko jednego z dzieci, które wtedy zginęły.

W biurze pojawiła się Mary-Beth w bardzo zaawansowanej ciąży, żeby pomóc nam podczas nieobecności Hinch. Wtoczyła się jak kaczką i zapytała, czy nie zamieniłbym się z nią krzesłami, ponieważ jej było małe i niewygodne, a ja miałem dodatkowo poduszkę z emblematem drużyny futbolowej. Przywlokłem ze sobą ten gadżet aż z Nowego Jorku, chociaż logo Jetsów już się prawie wytarło.

Zgodziłem się szarmancko.

Nate Skate właściwie przyrósł do komputera i telefonu. Wyglądało na to, że nowe zadanie trochę mu pomogło pokonać rozpacz spowodowaną nieoczekiwaną decyzją Riny.

Wróciłem do poszukiwania dziewczyny z moich snów.

Nie, nie Anny. Dziewczyny ze złych snów, z moich wirujących jak derwisze koszmarów.

Kara Bolka.

Ani Belinda Washington, ani ja nie mogliśmy odpowiedzieć na jej pozdrowienia.

Po przeszukaniu całego stanu Kalifornia sprawdziłem w innych stanach, sprawdziłem w końcu wszędzie, a mimo to nikogo takiego nie znalazłem.

Zadzwoiłem do pani Flaherty i zapytałem, jak się miewa Dennis.

- Dobrze - powiedziała. - Żyje. A jak pan się miewa? - zapytała ze szczerą troską należną sprawcy cudu, który przywrócił jej syna.

- W porządku. Mógłbym zamienić słówko z Dennisem?

- Nie bardzo. Śpi.

Obliczyłem, że była tam trzecia po południu.

- Dobrze, zadzwonię jutro.

Było jeszcze coś, co musiałem zrobić, coś, co tkwiło gdzieś na obrzeżach mojej świadomości, ale czego nie mogłem przywołać. Coś, co wymagało sprawdzenia. Tylko że ktoś przerwał moją zadumę.

- Te nagrody naukowe - powiedział Nate. - Wiem już dla czego.

Wydawał się jednocześnie ożywiony i wyczerpany, jak gdyby w ciągu ostatnich kilku dni niewiele spał i może tak właśnie było.

- Dobrze - powiedział. - Gotowy?

Rozmawialiśmy na zewnątrz, by przy okazji móc zapalić i żeby Norma ani Mary-Beth nas nie słyszały.

- Chciałeś wiedzieć, jak to możliwe, że w jednym liceum było pięcioro finalistów nagrody Westinghouse'a, tak? - powiedział. - Dobrze, nie jest to takie trudne, jeśli ich rodzice są cholernymi geniuszami.

- O czym ty mówisz?

- O czym mówię? - Zaciągnął się potężnie papierosem i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jednocześnie wypuszczając dym. - Wziąłem tę czarną listę, którą mi dałeś, wiesz, listę ofiar powodzi. Wpisywałem po kolei do wyszukiwarki wszystkie nazwiska i właściwie niczego nie znalazłem. Na początku. To w końcu było pięćdziesiąt lat temu, więc dlaczego miałbym coś znaleźć. Ofiarami byli głównie pracownicy tamy, gospodynie domowe, dzieci, prawda? Nic z tego nie wychodziło i już miałem ci powiedzieć, że to prawdopodobnie jakaś anomalia statystyczna - wiesz, co to jest, prawda?

- Tak, wiem co to jest.

I tak mi to wyjaśnił.

- Miałem z tego zajęcia, ze statystyki i prawdopodobieństwa. Zdziwiłbyś się, jak często to się zdarza. Duża liczba zachorowań na raka bez rozpoznawalnej przyczyny. Dwa tornada uderzające dokładnie w tym samym miejscu. W każdym razie zaczynałem myśleć, że pięcioro finalistów nagrody naukowej z prawdziwego zdarzenia z tej samej prowincjonalnej szkoły średniej było czystą anomalią statystyczną.

- Ale nie było.

- Nie - powiedział. - Żadnych anomalii statystycznych, szefie. Było jedno nazwisko, alfabetycznie rzecz biorąc, na samym dole listy. Jedno nazwisko, jedno trafienie. Franklin Timmerman. Tylko że miałem to zignorować, bo Franklin Timmerman z Littleton Flats był operatorem śluzy na tamie Aurora, a Franklin Timmerman, którego znalazłem w Internecie, był kimś innym.

- No dobra, kim?

Nate znowu się zaciągnął i otarł pot, który zrosił mu czoło. W cieniu mogło być z dziesięć stopni mniej, ale to niewiele zmieniało, skoro zaledwie metr dalej było ponad czterdzieści.

- Inżynierem wysokości wybuchu.

Zamilkł na chwilę, jakby chcąc się przekonać, czy wiem, kto jest inżynierem wysokości wybuchu.

- No dobrze, Nate, poddaję się. Kto to jest inżynier wysokości wybuchu?

- A tak. To jest ktoś, kto pracuje nad tym, żeby rozszczepienie przebiegało na prawidłowej wysokości. Rozszczepienie jądra atomu. W bombie. W bombie atomowej. Żeby wybuchła na takiej wysokości, na której wybuch spowoduje największe zniszczenia. Franklin Timmerman, inżynier wysokości wybuchu, brał udział w Projekcie Manhattan. Na pewno o nim sły-
szaleś.

- Tak, Nate, słyszałem o Projekcie Manhattan. Z tego też miałeś zajęcia, jak przypuszczam?

- W rzeczy samej. Niezła sprawa. Robert Oppenheimer, Enrico Fermi, wszyscy ci cholerni geniusze tam na pustyni w Los Alamos. Little Boy, Fat Man i Hitler w wyścigu do wielkiego wybuchu. Wiesz, co powiedział Oppenheimer, kiedy wreszcie im się udało? Kiedy przetestowali pierwszą bombę atomową i wszystko w promieniu trzech kilometrów wyparowało?

- Chyba tak. Ale mów dalej.

- „Stałem się śmiercią, niszczycielem światów”. Cytat z *Bhagawadgity*. „Stałem się śmiercią” - dość elokwentne, chociaż przyprawia o gęsią skórę.

Pokiwałem głową.

- Więc Franklin Timmerman był wymieniony jako...

- Zaraz do tego dojdę.

Dobre dziennikarstwo tkwi w szczegółach, a Nate postanowił zrelacjonować je wszystkie w porządku chronologicznym. Zamierzał opisać szczegółowo swój triumf nad ignorancją.

- Franklin Timmerman był w Los Alamos, w każdym razie ten Franklin Timmerman, którego znajduje wyszukiwarka. Był jednym z uczestników projektu. Tam wszyscy pracowali w zespołach, każdy zespół zajmował się jednym zagadnieniem, na przykład rozszczepieniem jądra atomu, obudową bomby albo tym, żeby wybuchła na właściwej wysokości - i to była robota Franklina.

- Przecież mówiłeś, że ten Franklin Timmerman z Littleton Flats był operatorem śluzy.

- Zgadza się. Był wymieniony jako operator śluzy na tamie Aurora. Co z tego wynika? Że było dwóch ludzi o tym samym nazwisku, a jeżeli kiedykolwiek szukałeś kogo w Internecie, to wiesz, że to się zdarza cały pieprzony czas. Wpisujesz „Quentin Tarantino” i czytasz o jakimś hodowcy owiec z Nowej Kaledonii. Więc to najwyraźniej była taka sama sytuacja, tak? Bo co ekspert od eksplozji atomowych robiłby na śluzie tamy federalnej?

Przerwał i znowu się zaciągnął papierosem.

- Czy to było pytanie retoryczne, Nate?

- Uhm.

- Więc może zechcesz kontynuować.

- Tak. W każdym razie już miałem zignorować całą sprawę. Przeczytałem cały artykuł tylko dlatego, że mnie to interesuje - prace nad bombą, Hiroszima, Nagasaki. Ale wtedy nagle zauważam coś dziwnego. Sprawdzam Projekt Manhattan, nazwiska wszystkich ludzi, którzy pracowali w Los Alamos i dla zwykłej draki porównuję je z listą z Littleton Flats.

Nate doszedł do momentu, kiedy królik wyskakuje z cylindra, przedarta dwudziestka znowu jest cała, a kobieta, która przed chwilą zniknęła, znów pojawia się na scenie.

- I co widzisz? - powiedział Nate. - Dziesięć trafień. Dziesięć pieprzonych trafień.

- Widziałeś tego pick-upa, który tędy przejeżdżał, Nate?

- He? Jakiego pick-upa?

- Nieważne. Mów dalej - powiedziałem, chociaż poczułem nagle supeł w żołądku. Oparłem się o napis „Dowóz gratis” wystawiony w oknie Foo Yanga.

- Jak to: mów dalej? Powiedziałem ci właśnie, że znalazłem dziesięć tych samych nazwisk. Rozumiesz, co mówię? Littleton Flats roilo się od tych małych atomowych geniuszy. Eksperymentatorów, teoretyków, inżynierów. Dlatego w jednej szkole było pięcioro dzieci ubiegających się o Westinghouse'a. Wyobrażasz sobie ich projekty naukowe? „Na dzisiejszej lekcji Susie Timmerman rozszczepi atom”. Zaraz obok tego biednego dzieciaka z La Jolla, który zbudował krótkofalówkę z pudełka po cygarach. To tak, jakby całą tę szkołę średnią z Bronksu mieć tutaj, w samym środku nigdzie. Do diabła ze szkołą, to jak mieć tutaj kolejny Massachusetts Institute of Technology. Cholernie niewiarygodne.

- Tak - powiedziałem. Zaczynałem rozumieć. Zaczynałem widzieć. - Świetna robota, Nate. Naprawdę.

- W porządku - powiedział. - A więc dlaczego dziesięciu geniuszy atomowych, prawdopodobnie więcej niż dziesięciu, bo kto wie, kogo nie znalazłem, porównując wyniki - dlaczego ci wszyscy pierwszorzędni goście od bomby atomowej mieliby mieszkać w małym zawszonym miasteczku z tamą?

Miałem mu właśnie podać zasadę, którą każdy prawdziwy dziennikarz powinien znać na pamięć: że zakładając cokolwiek, robisz z siebie dupka, ze mnie zresztą też. Że przyjęliśmy za pewnik, że Littleton Flats było zwykłym miasteczkiem pełnym pracowników tamy, i że się myliliśmy. Że może powinniśmy przestać cokolwiek zakładać.

Że tam była tylko tama.

Ale wtedy jakiś głośny dźwięk przebił ciszę.

Nate Skate też go usłyszał. Odwrócił się i instynktownie przykucnął.

- Co to, do diabła, było? - powiedział całkiem normalnie.

Pick-up, chciałem powiedzieć. Ten, o którego przed chwilą pytałem. Niebieski kolor mignął ulicą.

Ale na rękach miałem krew, jakbym zamierzał malować palcami.

A Nate patrzył na moje zakrwawione ręce zszokowany i zmartwiony, jak gdyby chciał zapytać: „nic ci nie jest?”. Widziałem, jak te słowa powstają w jego ustach.

To nie o mnie powinien się martwić.

Upadł na ziemię, wbijając w niebo dziwnie martwe spojrzenie.

W oddali usłyszałem krzyk Normy.

ROZDZIAŁ 34

Znaleźli pocisk wbity w gipsowo-kartonową płytę u Foo Yanga. Kula przeszła na wylot przez klatkę piersiową Nate'a, mijając trzynastoletnią córkę Foo Yanga zaledwie o jakieś piętnaście centymetrów.

Nate nie zginął. Nie było z nim tak źle, jak na to wyglądało. Tyle krwi.

Przewieziono go do szpitala, gdzie zatamowano krwawienie, zaszyto go, przeprowadzono dwie transfuzje i pozostawiono, żeby wypoczął na oddziale intensywnej terapii.

„Nic mu nie będzie”, poinformował nas - Normę, Hinch i mnie - lekarz Indianin o nazwisku Plith.

Kiedy przywieźli Nate'a, Hinch wciąż czuwał na oddziale onkologicznym. Wydawał się najbardziej opanowany z nas trojga - ranny praktykant z pewnością nie mógł być źródłem tak silnych doznań emocjonalnych jak umierająca żona.

Jakimś sposobem zdecydowano, że to właśnie ja zadzwonię do rozwiedzionej matki Nate'a, mieszkającej w Rancho Mirage, i przekażę jej wieści. Postanowiłem zacząć od informacji o optymistycznych rokowaniach, stopniowo przechodząc do

samej strzelaniny.

Ledwo zapisała nazwę szpitala - zamierzała wyruszyć zaraz po odłożeniu słuchawki - zapytała mnie, kto, na Boga, mógłby chcieć zastrzelić jej syna.

- Nie wiem - skłamałem.

Spędziłem trochę wolnego czasu, dyskutując z szeryfem Swensonem na ten właśnie temat.

Tym razem potraktował mnie jak wiarygodnego świadka, a nie słynnego kłamcę. Zanotował moją relację: krążący po okolicy niebieski pick-up, okropny dźwięk, jakby pękła opona, Nate upadający na ziemię.

Nadeszła pora, żeby powiedzieć szeryfowi o Santa Monica - o wszystkim. Ktoś został postrzelony.

Zacząłem od Sama Savage'a i strony internetowej oraz hydraulika, który tamtego ranka był na drodze numer czterdzieści pięć.

- Aktor? - zapytał.

Popatrzył na mnie ze zrozumiałym niedowierzaniem.

- Tak - powiedziałem. - Hydraulik już nie tylko włamuje się do domów. Wynajmuje bezrobotnych aktorów do *reality show* na drodze numer czterdzieści pięć. I pali ludzi.

Wtedy powiedziałem mu, kto według mnie został spalony.

Benjy Washington.

I wtedy właśnie zaszklily mu się oczy. I przybrał ten wyraz twarzy.

- Hę?

Powiedziałem mu o kartce włożonej do ramki ze zdjęciem Belindy Washington.

- Ten chłopiec, który zginął w powodzi? O nim mówisz? O nieżyjącym dziecku?

- On nie jest już dzieckiem. I myślę, że wtedy nie zginął. Dzwonił do jednego z twoich ludzi, pamiętasz?

- Jezu, Lucas... to był kit.
- Doktor Futillo powiedział, że to było ciało czarnego. Cały ten wypadek był wyreżyserowany.
- Swenson westchnął i pokręcił głową.
- Rozumiem. Dobrze, zapytam z czystej ciekawości: dlaczego? Dlaczego został wyreżyserowany?
- Jeszcze nie wiem. Myślę, że to ma coś wspólnego w miasteczkiem. Z Littleton Flats.
- Littleton Flats. Jasne. Wstał, zamknął notes.
- Czy masz numer telefonu tego aktora, Lucas?

Byłem nadal w szpitalu, kiedy pojawiła się mama Nate'a.

Dr Plith kazał nam iść do domu - Nate miał teraz spać przez wiele godzin, ale czułem się odpowiedzialny za to, że tutaj trafił. Gonisz, szepnął do mnie hydraulik tamtego dnia w piwnicy, a pocisk trafił Nate'a. Jakie jest modne powiedzonko rządu w ostatnim czasie? Straty wśród ludności cywilnej. Zredukowanie morderstwa do terminu bardziej odpowiedniego dla zniszczenia mienia, tak by lepiej smakował publiczności, którą wizyty w multipleksach przyzwyczyły do regularnej porcji krwi.

Mama Nate'a wyglądała, jakby biegła całą drogę z Rancho Mirage. Była czerwona i spocona, sprawiała wrażenie, że sama potrzebuje opieki medycznej.

Usłyszałem, jak z trudem łapiąc powietrze, pyta główną pielęgniarkę o syna - Nathaniela Cohena. Ledwie była w stanie wymówić jego nazwisko.

- Pani Cohen - podszedłem do niej. - Jestem Tom Valle z gazety. Bardzo mi przykro.

Musiła uznać moje słowa za pełne troski wyrazy współczucia współpracownika, a nie przyznanie się do winy osoby, za sprawą której jej syn znalazł się na czyimś celowniku.

Dlaczego nie weszliśmy do środka, kiedy zobaczyłem tego krążącego pick-upa?

Podeszła do mnie jak w zwolnionym tempie, a potem prawie padła w moje ramiona. Próbowałem niezręcznie ją objąć, ale wypadło to trochę tak, jakbym się o coś opierał. Wszystko przez tę dziwną skłonność, która każe ludziom w chwili smutku szukać pociechy u obcych.

W końcu się odsunęła, próbując się pozbierać, jakby zgarniała z podłogi rozsypane emocje i odkładała je z powrotem na swoje miejsce.

- Przepraszam... - powiedziała. - To takie... o Boże...

- Proszę się nie martwić - powiedziałem świadomy nieprzyjemnej mokrej plamy, którą zostawiła na mojej piersi. - To musi być okropne, usłyszeć coś takiego. W dodatku przez telefon. Na szczęście doktor Plith mówi...

- Doktor Plith? - powtórzyła. - Co to właściwie jest za nazwisko? Czy to dobry lekarz? O nikim tutaj nic nie wiem.

- Chyba jest Indianinem. Sprawia wrażenie bardzo kompetentnego.

- No dobrze. W porządku. - Zakryła twarz rękami i trzymała je tak przez chwilę, mamrocząc coś, jak gdyby się modliła.

- Lekarz mówi, że Nate wyzdrowieje. Miał dużo szczęścia, pocisk przeszedł przez klatkę piersiową, mijając główne tętnice.

Kiwała głową przez dłuższą chwilę, spijając te wiadomości dużymi łykami jak człowiek spragniony.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Nie wiem. Chyba wciąż jest nieprzytomny. Musi pani zapytać lekarza. Oczywiście jest pani matką, więc może...

Zanim skończyłem, wybiegła na widok zieleni pierwszego zauważonego fartucha, którego właścicielką była pielęgniarka z izby przyjęć wioząca na wózku kolejnego pacjenta oddziału intensywnej terapii.

Czekałem.

Na małym drewnianym stoliku leżały jakieś czasopisma. Ostatni „Time”, prastary numer „People” bez połowy okładki z nowożeńcami Bradem Pittem i Jennifer Aniston, z których została tylko Jennifer dziwnie wyciągająca w przestrzeń lewą rękę. Ktoś najwyraźniej chciał być dobrze zrozumiany. Przejrzałem pisemko, właściwie go nie czytając.

Byłem zajęty czymś innym.

Przesuwaniem ołówka od jednej kropki do drugiej.

„Powiedziałbym, że nasz nieboszczyk był czarny”.

„To było po prostu trochę dziwne - w tym samym czasie... Ktoś zadzwonił do jednego z moich ludzi...”

„Samochód już się palił. Powiedział, że jest pusty”.

„Chętnych do udziału w niekonwencjonalnych przedsięwzięciach”.

„Dziesięć trafień. Dziesięć cholernych trafień”.

To jest kontur. A teraz popatrzmy i spróbujmy zgadnąć, co przedstawia.

Proszę bardzo.

„Co rysujesz?”, pytała mnie ładna kelnerka, która zawsze dawała Jimmy'emu i mnie kilka dodatkowych naleśników. Która czasami mierzwiła mi włosy i opierała się o stół tak, że czuło się jej perfumy - jak zgniecione kwiaty, które moja mama wkładała pomiędzy stronicę książek.

- Wieloryba - mówiłem. - Ośmiornicę. Słonia.

Śmiała się.

- Słoń tutaj, w restauracji, kurczę, lepiej zadzwonię do zoo.

Ja też się uśmiechałem, czując, że się czerwienię. Byłem w to wszystko zamieszany, w rzeczywistości nie mając o niczym pojęcia.

Trudno powiedzieć, co rozumie małe dziecko, a czego nie - czyż nie tego właśnie dowiedziała się Bailey Kindlon?

Czy to było moje pierwsze kłamstwo?

Że była tylko kelnerką, która nas polubiła, która spośród wszystkich dzieci w restauracji właśnie do nas postanowiła skierować swoje wyjątkowe uśmiechy?

Dlaczego moja mama nigdy nie poszła z nami na śniadanie do Acropolis Diner?

A może poszła - raz?

Gdybym spróbował, mógłbym sobie przypomnieć.

Siedzieliśmy całą czwórką w czerwonym boksie - jedna nieszczęśliwa rodzina - tylko że nie byliśmy jeszcze wtedy tak nieszczęśliwi, jak mieliśmy być potem. Ale czy nie czuło się chłodu, kiedy mama oddała swoje menu kelnerce, która przyjmowała nasze zamówienie - tej kelnerce, która pytała mnie, co rysuję, jakie fantastyczne zwierzę wyczaruję tym razem? Nie rozumiałem, dlaczego mama się do niej nie uśmiecha, nie modli się przed ołtarzem jej blasku jak my - Jimmy, tata i ja.

Pamiętam jeszcze coś.

Pamiętam, jak mama zawołała ją opryskliwie, tę kelnerkę

- Lillian, jak mówiła jej tabliczka z imieniem, jak kwiat, lilia - kiedy pojawiły się już moje naleśniki i zdążyłem wylać na nie pół butelki syropu klonowego. Mama nagle odsunęła mój talerz, wyszarpując mi go, i zawołała kelnerkę.

- Te naleśniki są zimne! Podajecie klientom zimne jedzenie! To skandal, słyszy pani? Skandal! Zachowuje się pani skandalicznie!

I zrobiła to, czego mamy robić nie powinny, chyba że dostaną kwiaty albo oglądają coś smutnego w telewizji.

Rozplakała się.

Wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach, a w restauracji zrobiło się bardzo cicho, jak gdyby wszystkie szafy grające nagle umilkły. Wtedy nauczyłem się, że człowiek nie może jednak umrzeć ze wstydu.

Potem przychodziliśmy już tylko Jimmy, tata i ja.

Każdej niedzieli, we trójkę.

Dopóki nie odszedł.

A jeśli wiedziałem, że nie byliśmy tylko we trójkę, jeśli wiedziałem, że było nas trzy osoby plus jedna, nigdy nie powiedziałem tego głośno.

Nawet wtedy, kiedy byliśmy już tylko we dwóch.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi prowadzące na oddział, i poczułem zapach krwi i alkoholu.

Wyszedł stamtąd chirurg zamaszystym, pewnym krokiem wszechmocnego, który musi dokonać jeszcze kilku cudów. Zdjął maskę i wytarł nią pot pokrywający jego brwi.

To mi o czymś przypomniało.

O tej jeszcze jednej rzeczy, która wymagała sprawdzenia - tej, która tkwiła na obrzeżach mojej świadomości i trzeba było ściągnąć ją z powrotem. O tej rzeczy, którą próbowałem sobie przypomnieć, kiedy Nate klepnął mnie w ramię i powiedział: te nagrody naukowe. Wiem dlaczego.

No jasne.

ROZDZIAŁ 35

- Oto moje notatki - powiedziałem. - W czym problem?

Siedziałem w pokoju, na którego drzwiach za pomocą szablonu namalowano słowo „Redakcja”. Opierał się o biurko i wyglądał, jakby prawie na nim spał. Nie miał worków pod oczami, tylko wypchane po brzegi wielkie walizy.

- W lekarzu, który podłożył bombę pod klinikę aborcyjną - powiedział. - Napisałeś, że odbył staż z pediatrii w szpitalu St. Alban's, w Mizzolou w Missouri. Tak jest napisane w twoim artykule.

- Tak? - Zachowuj się spokojnie, powtarzałem sobie, bądź nawet trochę urażony.

- Zadzwoił właśnie rzecznik z St. Alban's. Pomimo oczywistej chęci odcięcia się od religijnego fanatyka i przypuszczonego mordercy przysiągł na stos prezbiteriańskich Biblii, że nie przyjmują stażystów z pediatrii, a z całą pewnością nie przyjmowali ich w latach, o których wspominałeś. Więc mamy tutaj wyraźny problem.

- Nie przypominam sobie, żebym napisał, w jakich latach odbywał staż.

Dobrze, tylko ślad zniecierpliwienia, jakby zawracając mi głowę tymi drobnymi niespójnościami, przeszkadzał mi w

prawdziwej pracy, to znaczy w pisaniu następnego artykułu.

- Wiem, że nie napisałeś, Tom. Ale podałeś jego wiek - 43 lata. Co dość dokładnie mówi o tym, kiedy odbył staż - plus minus rok.

- W porządku, może zostanie lekarzem zajęło mu trochę więcej czasu. Przykro mi, nie poinformował mnie, kiedy był na stażu. Doceniłem fakt, że powiedział, gdzie go odbył. Myślałem, że było to potknięcie z jego strony, bo rozmowa miała być anonimowa. - Zaciskał zęby na rozprostowanym spinaczu do papieru, prawie przegryzionym już na pół. - Właściwie, skoro już o tym rozmawiamy, przychodzi mi do głowy, że mógł mi przecież powiedzieć, że odbył staż w St. Alban's dla zmylenia tropu. Chyba powinienem był tę informację opuścić.

- Masz swoje notatki, Tom?

- Proszę.

- Dobrze.

Pochyliłem się i położyłem je na biurku, otwierając notes na drugiej stronie.

- Tutaj - powiedziałem, wskazując nazwę szpitala. - Tak mi powiedział. Staż w St. Alban's. Może powinienem był go przycisnąć w tej kwestii, ale wtedy wstrzymałem oddech zadowolony, że powiedział mi chociaż tyle.

Wpatrywał się w moje notatki, przesuwając palce po atramencie jak niewidomy czytający Braille'a.

- Kiedy z nim rozmawiałeś, Tom?

- Zobaczmy... piątego marca. - Pokazałem datę, którą nagryzmołem u góry strony po przeprowadzeniu w myślach wywiadu z wyimaginowanym lekarzem: Tom Valle, spotkanie z doktorem Anonimowym, zamieniając swój wymyślony artykuł w skrupulatnie uporządkowane notatki zdolne oprzeć się tłumom podstępnych niedowiarków, gwiazdom palestry i coraz bardziej podejrzliwym redaktorom.

- To dziwne, Tom.

- Dlaczego?

- Piąty marca. Piątego marca byłeś na Florydzie. Pamiętam, ponieważ poprzedniego dnia skończyłem pięćdziesiąt pięć lat i zadzwoniłeś do mnie z życzeniami. Byłeś wtedy w Boca Raton w związku z tekstem poświęconym emerytom. To było piątego marca, Tom, jestem tego pewien. A wspominałeś przecież, że rozmawiałeś z tym lekarzem w Michigan.

- Zaraz... o co ty mnie pytasz?

- Pytam, kiedy rozmawiałeś z lekarzem. Mam tutaj rzeczownika z St. Alban's grożącego nam procesem i muszę znać fakty. Więc jeszcze raz... Kiedy rozmawiałeś z tym lekarzem?

- Niech zobaczę, to była więcej niż jedna rozmowa. Rozmawiałem z nim przez telefon, a potem spotkaliśmy się osobiście w Michigan.

- Powiedziałeś, że spotkałeś się z nim na pustkowiu, w ruinach jakiegoś przygranicznego miasta, które się spaliło. Pojechałeś tam, a on przyjechał swoim samochodem, tak?

- Tak. Zgadza się. Możliwe, że... tak, to są widocznie notatki z naszej rozmowy telefonicznej. Tak, przypominam sobie, tak to chyba było. Widocznie zadzwoniłem do niego z Florydy.

- W porządku, Tom. Przypuszczam, że użyłeś swojej komórki.

- Komórki?

- Swojego telefonu komórkowego. Zakładam, że chcąc zadzwonić do Michigan, użyłbyś telefonu komórkowego. W razie potrzeby możemy wykorzystać twoje bilingi, żeby udowodnić, że piątego marca dzwoniłeś do Michigan z Florydy.

- Udowodnić komu?

- Udowodnić przed sądem, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ta afera może się dla nas skończyć procesem.

- W porządku. Musiał mi podać nieprawdziwą nazwę szpitala. Pamiętaj, że warunkiem była anonimowość. Nie powiedział mi, skąd pochodzi ani gdzie się urodził. Tylko anagramy.

Powinienem być ostrożniejszy. Podał mi nieprawdziwy szpital, mając nadzieję, że umieszczę to w tekście, a ja, jak ostatni idiota, tak zrobiłem. Wykorzystał mnie. Następnym razem będę ostrożniejszy.

- Nie mówię o niewłaściwym szpitalu, Tom. Zapytałem, kiedy przeprowadziłeś wywiad, a ty powiedziałeś, że piątego marca, tylko że piątego marca byłeś na Florydzie, a teraz mówisz, że do niego stamtąd zadzwoniłeś i przeprowadziłeś wywiad przez telefon.

- Spotkałem się z nim osobiście, siedziałem naprzeciwko niego, tak jak teraz siedzę naprzeciwko ciebie. Już mówiłem. Po prostu zapomniałem, że najpierw rozmawialiśmy przez telefon. To było kilka rozmów, które złożyły się na cały wywiad.

- W porządku, rozumiem. Kiedy zadzwoniłeś do tego lekarza piątego marca z Boca Raton i przeprowadziłeś pierwszy ze swoich wielu wywiadów, czy dzwoniłeś do niego z komórki? To była rozmowa zamiejscowa. Byłeś na Florydzie, więc zakładam, że użyłeś swojej komórki, żeby uniknąć złodziejskich rachunków z hotelu. Próbuję tylko ustalić fakty.

- Niech pomyślę... wydaje mi się, że dzwoniłem do niego z budki.

Wyjął spinacz z ust i ostrożnie położył go przed sobą.

- Dzwoniłeś do niego z budki?

- Tak.

- Dlaczego? Dlaczego miałbyś dzwonić do niego z budki?

- Dlatego że on sobie tego życzył. Zapomniałem o tym. Był oczywiście bardzo tajemniczy. Cała ta sprawa z anagramami, spotkanie w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas widzieć. Nie był pewien, czy może mi zaufać. Nie chciał, żebym widział, z jakiego numeru dzwoni.

- Myślałem, że to ty do niego zadzwoniłeś. Dopiero co powiedziałeś, że zadzwoniłeś do niego z budki telefonicznej.

- Przepraszam, źle się wyraziłem.

- *Źle się wyraziłeś? Albo do niego zadzwoniłeś, albo to on do ciebie zadzwonił. A więc?*

- *Już mówiłem. On do mnie zadzwonił.*

- *Skąd miałby numer budki telefonicznej na Florydzie?*

- *Wysłałem mu go mailem. A potem miałem czekać w budce o umówionej porze, aż zadzwoni.*

- *Wysłałeś mu numer mailem?*

- *Słuchaj, nie pamiętam dokładnie, jak to było. Pisałem jednocześnie dwa artykuły, jak sam powiedziałeś, pojechałem tam, żeby przygotować tekst o domu spokojnej starości, więc można chyba zrozumieć, dlaczego zapomniałem o budce telefonicznej. Zapomniałem o tym - to wszystko. Po to mam notatki.*

- *Tak, Tom. Zawsze masz notatki.*

Zostawiłem je w redakcji.

Notatki z wycieczki do Littleton Flats.

Teraz wpatrywałem się w swój wywiad z lekarzem wojskowym.

„Spotkałeś się z tym lekarzem na pustkowiu, w ruinach jakiegoś przygranicznego miasta, które się spaliło”.

Spotkałem się z lekarzem wojskowym w ruinach innego zniszczonego miasta. Zostało zniszczone przez powódź, nie pożar, chociaż jedno i drugie było biblijnym narzędziem kary.

Niesamowite.

Jak powracają do mnie echa mojej kłamliwej przeszłości.

Sam Savage nagle wskrzesił starą historię o bezrobotnych aktorach, którzy dla pieniędzy biorą udział w mistyfikacjach.

Jeden z tekstów na wyłączność na liście Valle'a dostępnych w Internecie dla każdego miłośnika nie nadających się do druku wiadomości.

I jeszcze coś, czego nie skojarzyłem, dopóki było pozbawionym kontekstu drobiazgiem. Tamtej nocy, kiedy ścigałem pick-upa hydraulika i nagle sam stałem się ściganym.

Kiedy uderzał w mój błotnik, jakby bawił się... no cóż, w berka.

Wystarczyło sprawdzić pod „N” jak „niebezpieczne fanaberie”, żeby znaleźć inny sensacyjny materiał o niespotykanym dotąd fenomenie, który ogarnął drogi międzystanowe na terenie całego kraju: autoberek, samochody zderzające się podczas jazdy, aż przegrany się rozbije i stanie w płomieniach jak James Dean. Tekst w całości powstał w wewnętrznych zakamarkach mojej rozgorączkowanej i coraz bardziej znerwicowanej wyobraźni.

A co się mówi w czasie zabawy w berka?

Gonisz!

Właśnie to.

Oco w tym wszystkim chodzi?

Dobra, bądź dziennikarzem. Prawdziwym, takim, który żywi szacunek do prawdy i potrafi do niej dotrzeć. Gromadzi fakty, łączy je, wyciąga wnioski. Dojdź do tego.

Co działa się naprawdę, a co nie?

Sam Savage był prawdziwy. Płakał prawdziwymi łzami nad prawdziwym napojem imbirowym, kiedy jego prawdziwa dziewczyna - teraz już może była dziewczyna - rzucała mu nad stołem prawdziwie mordercze spojrzenia.

I Herman Wentworth też był prawdziwy.

Potem śniło mi się miasto - mężczyźni w staromodnych kapeluszach przechadzający się główną ulicą, zapach syropu klonowego i naleśników z jagodami dochodzący z Littleton Flats Café. Miasto mi się śniło, ale on nie.

Pojawił się na pustyni w swojej niebieskiej sportowej marynarce i błyszczących czarnych butach i opowiedział mi historię o tym, jak pięćdziesiąt lat temu w drodze do San Diego przejeżdżał przez małe miasteczko.

Był lekarzem wojskowym, który podróżował po całym świecie.

Ale zaczynał w Japonii jako rekrut, który schodząc ze statku, mógłby powtórzyć z pamięci świeżo złożoną przysięgę Hipokratesa.

Nowy członek 499. Batalionu Medycznego.

To też było prawdą.

Gdzieś na obrzeżach pamięci kryła się informacja, którą trzeba było wydobyć.

Słyszałem już kiedyś o tym batalionie.

ROZDZIAŁ 36

Rano zadzwonił szeryf i zapytał, czy mógłbym przyjechać na posterunek. Leżałem jeszcze w łóżku, chociaż powinienem być już umyty, ogolony i właśnie wychodzić z domu. Miałem wy­mówkę: do trzeciej nad ranem siedziałem przy komputerze i drażyłem przeszłość. Wczytywałem się w raporty sporządzone na podstawie *Ustawy o wolności informacji*, szczególnie te z 1994 roku, które spowodowały, że szef Departamentu Energii w administracji Clintona publicznie przeprosił za potworności sprzed ponad czterdziestu lat*.

* Chodzi m.in. o ujawnienie informacji o doświadczeniach na ludziach prowadzonych lub finansowanych w USA w czasie zimnej wojny przez instytucje państwowe, które później stały się częścią Departamentu Energii (*Ustawa o wolności informacji* zobowiązuje aparat państwowy do udostępniania społeczeństwu informacji na temat jego funkcjonowania i podejmowanych decyzji).

- Wydawało mi się, że w takich sytuacjach zawsze mówicie: chcielibyśmy zadać panu kilka pytań - powiedziałem.

- Technicznie rzecz biorąc, to jedno pytanie.

- No dobrze. Dlaczego chcecie zadać mi jedno pytanie?

- Co powiesz na to: dowiesz się, jak przyjedziesz.

Wchodząc do biura szeryfa, o mało nie potrąciłem policjantki niosącej trzy kubki kawy Starbucks chwytając ustawione jeden na drugim.

Moje przeprosiny skwitowała zwięzłym:

- Wylejesz, kupujesz.

Szeryf Swenson siedział w tej samej co zwykle pozycji - rozparty w fotelu, z nogami na biurku. Naprzeciwko Swensona siedział Hinch.

Hinch tam był.

Nie powiedziałem szeryfowi o wysuszonych psich odchodach przyklejonych do podeszwy jego lewego buta.

Może dlatego wydawał się lekko zniesmaczony, kiedy usiadłem.

- Cześć, Lucas.

A może wcale nie dlatego.

- Cześć - powiedziałem, a potem się odwróciłem, żeby przywitać się z Hinchem.

Pozdrowił mnie słabym skinieniem głowy. Ostatnimi czasy wydawał się mniejszy, jakby usychał z żalu.

- Uznałem, że Hinch powinien tu być - powiedział Swenson - z uwagi na powagę sytuacji.

- Powagę jakiej sytuacji? Chodzi o to, że Nate został postrzelony?

- Tak, uważam, że postrzał to poważna sprawa. A ty?

- Oczywiście.

- Świetnie, zatem co do tego się zgadzamy.

- A więc o co chodzi?

- Może ty mi to wyjaśnisz, Lucas.

Spojrzałem na Hinchę w poszukiwaniu wsparcia, akceptacji, podpowiedzi, ale wydawał się nieobecny. Odwróciłem się z powrotem do szeryfa.

- Nie rozumiem. Powiedziałem wszystko, co wiem.

- Wszystko, co wiesz, he? - Zabrzmiało to trochę, jak gdyby mi nie wierzył. Mniej więcej tym samym tonem przywitał mnie

w dniu, kiedy się poznaliśmy. Opuścił wtedy szybę w samochodzie i zawołał: „kłamie, kłamie, powiem mamie”.

- Co dokładnie chciałbyś wiedzieć z rzeczy, o których twoim zdaniem nie powiedziałem?

- Cóż, skoro już o tym mówimy... Nie dostaliśmy jeszcze z laboratorium raportu na temat pocisku. Jeszcze nie, ale nasz miejscowy specjalista od balistyki jest właściwie pewien, że zna broń, z której strzelano.

- Świetnie. Kto jest waszym miejscowym ekspertem od balistyki?

- Ja. To małe miasto, Lucas. Musimy być wielozadaniowi. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to był Smith & Wesson. Trzydziestkaósemka.

Dopiero po chwili zrozumiałem, dlaczego zabrzmiało to tak bardzo znajomo. Dotarło do mnie również, że szeryf Swenson dobrze wiedział, jak to zabrzmie.

- Poszedłem do Teddy'ego - dodał. - Zapytałem go, czy sprzedał ostatnio jakąś trzydziestkęósemkę, i zgadnij, co odpowiedział: że nie. Na początku. Potem zmienił zdanie i okazało się, że jednak sprzedał trzydziestkęósemkę. Tylko że osoba, która ją kupiła, nie miała pozwolenia na broń, bo była pod nadzorem kuratorskim. Ale wiesz, co Teddy myśli o przepisach federalnych dotyczących posiadania broni.

Zauważyłem, że Hinch odwraca się w moją stronę.

- No dobrze, kupiłem broń. Bałem się, że ktoś mnie śledzi. Jak widać, moje obawy nie były bezpodstawne.

- Uhm. Mógłbym zapytać, czy nie masz nic przeciwko temu, abym rzucił okiem na ten rewolwer. Mógłbym poprosić, żebyś pojechał po niego ze mną do siebie do domu. Oczywiście mógłbyś odmówić.

- Co sugerujesz, szeryfie? Że strzelałem sam do siebie? Że o mało nie zabiłem praktykanta?

- To by było trochę jak historyjki w tych twoich artykułach: dość niewiarygodne. A jednak mimo wszystko chciałbym rzucić

okiem na ten rewolwer. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Miałem zamiar wyłożyć mu swoje prawa.

Miałem powiedzieć: załatw sobie nakaz.

- Myślę, że powinniśmy oddać szeryfowi broń - odezwał się w końcu Hinch, przypominając, że on też tu jest.

Na znak, że mnie wspiera, użył liczby mnogiej: my, reporter i redaktor naczelny razem, ręka w rękę, na dobre i na złe przeciwko wścibskim władzom. Tylko że on trzymał z władzami.

- Jasne - powiedziałem, czerwieniąc się. - Pewnie, nie ma sprawy.

- Dzięki, Lucas - powiedział Swenson. - Jeszcze jedno. Dzwoniłem pod ten numer, który mi dałeś. Do Sama Savage'a. Jest nieaktualny. Sztuka, o której mówiłeś, została zdjęta. A ta dziewczyna, Trudy? Mówi, że nie ma pojęcia, o kim mówię.

W porządku, to brzmiało aż nazbyt znajomo. Znowu byłem w Nowym Jorku. Tkwiłem po uszy w gnoju, a oni krzywili się z odrazą i zatykali nosy. Tylko że tym razem nie zmyślałem. Grałem czysto.

Tu nie chodzi o „tym razem”. Albo się mówi prawdę, albo nie.

- Powiedziałem Samowi, że człowiekowi, który go wynajął, może się nie podobać, że chodzi po świecie, więc postanowił się ukryć, a jego dziewczyna go chroni. Zrobiłbym tak samo.

- Tak?

- Nie jestem oszustem. Jestem reporterem. Pojechałem do tego wypadku na czterdzieście piątce. Pamiętasz, szeryfie? Byłeś tam. Obaj uczestnicy zderzenia okazali się kimś innym, niż sądziliśmy. Czy to nie zabawne? - Odwróciłem się częściowo w stronę Hincha, tak że mówiłem teraz do nich obu, wtajemniczając jednocześnie szefa w to, czym się ostatnio zajmowałem. W porządku, powinienem był zrobić to wcześniej. - Ed Crannell

nie istnieje, to było pieprzone przedstawienie. A Dennis Flaherty żyje, ma się dobrze i wsuwa psychotropę w Iowa.

- Ty tak mówisz - powiedział Swenson.

- Spróbuj znaleźć Eda Crannella w Cleveland. Powodzenia, próbowałem. Zdobądź obsadę sztuki, ma tytuł *Molo*. Sam Savage grał drugoplanową rolę, znajdziesz tam jego zdjęcie. A potem powiedz mi, w jaki sposób strzelałem sam do siebie.

- Już mówiłem. Uważam, że nie strzelałeś sam do siebie. Nie trzymałeś broni, prawda? Ale z pewnością mogłeś dać ją komuś, kto miał do ciebie strzelać. Może to spieprzył i trafił chłopaka.

- Po co, u licha, miałbym robić coś takiego? Dlaczego miałbym chcieć, żeby ktoś do mnie strzelał? To jakieś pieprzone szaleństwo.

- Taak. Takie sarno jak zmyślenie pięćdziesięciu sześciu historyjek i opublikowanie ich w gazecie. Co na to powiedział twój psychoanalityk?

Czekałem, aż Hinch pospieszy na ratunek swojemu dziennikarzowi, tak jak powinien to zrobić naczelny, powie szeryfowi, że ma dość tego przesłuchania, że nie ma zamiaru siedzieć bezczynnie, słuchając śmiechu wartych oskarżeń pod adresem jednego z jego reporterów, że obaj wstaniemy i wyjdziemy stamtąd.

Ale Hinch nie odezwał się ani słowem.

- Ten facet mnie napadł - powiedziałem. - W mojej własnej piwnicy. Pamiętasz? Przyszedłem tutaj zgłosić napad, a ty powiedziałaś, że ktoś włamuje się do domów z torbą hydraulika. Więc nie tylko do mnie się włamano, prawda?

- Włamanie to jedna sprawa - powiedział szeryf - a to... upozorowanie wypadku... wynajęcie aktorów... nie chcę nawet wiedzieć, co jeszcze...

Zaryzykowałem. Spojrzałem na Hinch.

- Powinienem być ci o tym powiedzieć, ale chciałem najpierw poskładać to w całość. Wiem, że to brzmi trochę jak jakieś szaleństwo, dlatego chciałem się najpierw upewnić.

- Jedźmy po ten rewolwer, Tom - powiedział cicho. - Jedźmy wszyscy do ciebie i oddajmy szeryfowi broń, dobrze?

Dobrze.

Przyznam, że nie wyglądali na szczególnie zdziwionych, kiedy już przyjechaliśmy do domu, który wynajmowałem - Hinch i ja jednym samochodem, a szeryf za nami drugim - kiedy szeryf wszedł ze mną na górę i patrzył, jak otwieram szufladę nocnego stolika, wpatruję się w osłupieniu w miejsce, gdzie powinien być rewolwer, przetrząsam tę szufladę, a potem kolejną poniżej, jak opróżniam komodę, wszystkie szafki kuchenne, łazienkę, piwnicę, a następnie każdy centymetr swojego biurka w redakcji, i kiedy okazało się, że po broni nie ma śladu.

Zniknęła.

Hinch stwierdził, że przydałoby mi się trochę wolnego.

Zapewnił mnie, że nie ma to nic wspólnego z zawieszeniem.

Nie.

Tylko że ze względu na trwające dochodzenie w sprawie postrzelenia Nate'a, z uwagi na podejrzenia szeryfa co do mojej osoby - nawet jeśli okażą się bezpodstawne, chociaż miło byłoby wiedzieć, gdzie się podział rewolwer - oraz ze względu na to, że Mary-Beth chciała wrócić do pracy, miało to sens. „Spójrz na to od tej strony - powiedział. - Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, depcze ci po piętach jakiś uzbrojony szaleniec. Byłoby dobrze, żeby trzymał się z dala od redakcji”.

Oczywiście to było zawieszenie. Wiedziałem, jak wygląda zawieszenie.

Nie wiem, w co uwierzył Hinch, ale wiem, komu nie wierzył.

Chodziło o rewolwer.

Hydraulik musiał go ukraść, powiedziałem im, to było oczywiste. Włamywał się już do mojego domu, przyłapałem go kiedyś na gorącym uczynku. A potem przyłapałem go, gdy próbował zrobić to ponownie. Widocznie wrócił po raz trzeci.

Chyba nikogo nie przekonałem.

Zacząłem opowiadać Hinchowi całą resztę.

Zrezygnowałem już w połowie pierwszego zdania. Musiałem. Miał ten sam wyraz twarzy co szeryf. Ten sam co redaktor, którego zostawiłem hienom na pożarcie. Echa przeszłości były zbyt wyraźne. Wszystko brzmiało może tylko odrobinę mniej fantastycznie niż wtedy: aktorzy oszuści, lekarz, który podkłada bomby, a potem w zrujnowanym mieście przekazuje mi informacje w formie anagramów, nawet amerykański najemnik ostrzeliwujący z kałasznikowa pół Afganistanu.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Co tak naprawdę miałem?

Musiałem zająć się tą aferą, jak należy. Dopiąć wszystko na ostatni guzik, zdobyć potwierdzenia z różnych źródeł, sprawdzić fakty i opatrzyć całość Znakiem Jakości Dobrego Dziennikarstwa.

Miałem coraz mniej czasu.

To było jak nadchodząca burza z piorunami, kiedy czuje się już jej zapach, suche liście zaczynają poruszać się jak wachlarze w rękach nerwowych dziewcząt z Południa, gdy powietrze staje się wilgotne, a niebo zachodzi szarą mgłą, za którą kryje się słońce.

Nadciągał potop.

ROZDZIAŁ 37

Całonocnej jeździe samochodem towarzyszy pewien dreszczyk.

Wkracza się do świata duchów, istniejącego tylko wtedy, gdy ten realny śpi, zaludnionego przez napędzanych amfą kierowców ciężarówek, uciekających małżonków, samotnych przedstawicieli handlowych, pijaną młodzież, wszystkich tych, którzy próbują dotrzeć gdzieś przed świtem.

Zastanawiałem się, do której kategorii należę.

Wyjechałem w środku nocy, zostawiając na lodówce wiadomość na wypadek, gdyby ktoś się o mnie martwił. Chociaż nie miałem pojęcia, kto by to mógł być. Zamierzałem zadzwonić do Normy, kiedy już będę na miejscu. Podróż miała trochę potrwać, jechałem tam, dokąd powinienem był się udać na samym początku.

Nie od razu zrozumiałem, że to tam jest cała historia.

„Jedź za pieniędzmi”, powiedziało kiedyś bliźniacze bóstwo dziennikarstwa śledczego.

Jechałem.

Jechałem za portfelem.

Nie mogłem się powstrzymać od wyobrażania sobie, jak oszołomiony i naćpany Dennis Flaherty wychodzi z pola kukurydzy i pyta, czy to niebo.

Nie, Dennis.

To Iowa.

Gdzieś na pustyni Nevada zatrzymałem się na całodobowej stacji benzynowej.

Trudno się było oprzeć monotonnemu rytmowi nieprzerwanego ruchu. Zdałem sobie sprawę, że co jakiś czas się wyłączam i uruchamiam autopilota.

Pilnie potrzebowałem porcji cukru.

Kupiłem paczkę różowych piankowych kul i wgrzyłem się w nie, zanim odwinąłem do końca papierek.

Jedząc słodycze, przeglądałem wystawione na stojaku widokówki w stylu retro, wszystkie w technikolorze. Wyglądały, jak gdyby były częściowo pomalowane.

Tama Hoovera.

Bulwar w Las Vegas.

Sammy Davies, Frank Sinatra, Dean Martin i Peter Lawford w hotelu Sands.

A potem piaski w innej części Nevady.

I nagle przypomniałem sobie, dlaczego jadę do Iowa i co robiłem przez całą ubiegłą noc: wydobywałem na światło dzienne odrażającą przeszłość. Robiąc coś takiego, człowiek zatyka nos i odruchowo odwraca wzrok.

Ale to nie pomaga.

Bo i tak czuje się zapach, który unosił się nad łózkami chorych, i widzi się umierających. Co jest symbolem szlachetnej praktyki lekarskiej? Dwa węże owinięte wokół uskrzydłonej laski.

Tylko że to są dusiciele.

Pożerają swoich.

„Proszę nie zostawać tutaj zbyt długo - powiedział Herman Wentworth. - Wiem coś o tym, w końcu jestem lekarzem”.

W Iowa wcale nie było jak raj.

Krajobraz był brązowy i płaski, jak gdyby przytłaczał go ciężar wilgotnego powietrza. Czarne lejkowate chmury płynęły nad horyzontem niczym niesione wiatrem kępki roślin.

Ta monotonia działała na mnie usypiająco. Poszczególne części Iowa nie różniły się od siebie, a jedyną atrakcją były przepływające za oknem miasta, które już po kilku minutach ustępowały miejsca opiewanym w *America the Beautiful* bursztynowym falom zbóż. Na purpurowy majestat gór nie było co liczyć*.

* Autorkę hymnu *America the Beautiful* Katharine Lee Bates zainspirował m.in. widok równiny ze szczytu Pikes Peak w Górach Skalistych w Kolorado (*colorado* - hiszp. czerwony, purpurowy).

Zrobiłem postój na krótką drzemkę, a kiedy się obudziłem, za oknem stał jakiś chłopiec i robił do mnie miny. Patrzyłem na niego, aż zjawił się jego ojciec i brutalnie zdzielił syna po głowie. Chłopiec najwyraźniej był do tego przyzwyczajony, bo bez słowa poszedł za nim do samochodu.

Potrzebowałem trochę czasu, żeby się dobudzić.

Czułem się zdezorientowany i ospały, miałem wrażenie, że moje ruchy są spowolnione.

Zgodnie z mapą czekała mnie jeszcze co najmniej godzina jazdy.

Opuściłem szybę w nadziei, że rozpedzone powietrze mnie obudzi.

Na widok tablicy z napisem „Ketchum City” nie poczułem ani ulgi, ani radości.

Tylko strach.

Pani Flaherty chyba pomyślała, że coś sprzedaje.

Otworzyła drzwi dopiero po dłuższej chwili i od razu zaczęła tłumaczyć, że nie jest zainteresowana.

Rozumiałem dlaczego.

Mieszkała w najgorszej przyczepie na zdewastowanym kempingu - sprzedawca musiałby zwyczajnie odejść z kwitkiem.

Kiedy przerwałem jej, żeby wyjaśnić, kim jestem, jej kontrolowana irytacja ustąpiła miejsca szczerzej życzliwości.

- Tom - powiedziała jak ktoś, kto zna mnie od dawna. - Co ty tutaj robisz?

- Chciałem porozmawiać z Dennisem - powiedziałem.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? Przyjechałeś tu aż z Kalifornii - powiedziała, jak gdyby to był kolejny cud: najpierw odzyskanie syna, a teraz niespodziewany gość.

Nie zaprosiła mnie do środka. Widać było, że chce, bo tak się przecież robi, kiedy ktoś zapuka do drzwi - szczególnie jeśli ten ktoś właśnie spędził dwadzieścia dziewięć godzin w podróży, ale najwyraźniej czuła się zażenowana tym, jak mieszka.

- Chciałem się z nim zobaczyć.

- Dlaczego?

Miała na sobie luźną, workowatą sukienkę. Jej nogi pokrywały pajęczce sieci żyłaków w kolorze atramentu.

- Próbuję się dowiedzieć, jak to się stało, że ktoś znalazł się w tym samochodzie z portfelem Dennisa.

- Cóż, to już chyba nie ma znaczenia, prawda? - powiedziała prawie kokieteryjnym tonem.

- Ktoś zginął, a ja chcę się dowiedzieć, kto to był.

- A skąd Dennis miałby to wiedzieć?

- Nie wiem. Może nie wie. A może dzięki niemu się dowiem.

Ktoś ją zawołał z głębi przyczepy.

- Czy to on? - zapytałem.

Pokiwała głową.

- Dennis - powiedziała. - Chodź na chwilę. Tom Valle tu jest.

W drzwiach pojawił się zmęczony osobnik z zapuchniętymi oczami ubrany w bokserki i podkoszulek bez rękawów.

Matka patrzyła na niego takim wzrokiem, jak gdyby miał na sobie cylinder i frak.

- Kto to jest Tom Valle? - zapytał, mimo że stałem dokładnie naprzeciwko niego.

- Rozmawialiśmy przez telefon - powiedziałem. - Pamiętasz, Dennis? Jestem dziennikarzem.

- He?

- Dzwoniłem w sprawie twojego portfela.

- He?

- Ciągle jeszcze jest trochę nieprzytomny - powiedziała pani Flaherty. - Prawda, Dennis?

- Uhm - mruknął. - To jeszcze raz, jak się pan nazywa?

- Tom. Tom Valle. Chciałbym zapytać cię o parę rzeczy.

- O co?

- O to, gdzie mogłeś zgubić swój portfel albo kto mógł go znaleźć.

- Mój portfel?

- Ten, który ktoś ci zabrał i który znaleziono przy zwłokach w samochodzie.

Dennis ciągle przecierał oczy, jednocześnie przechylając się na jedną stronę, jak gdyby stał na pokładzie tonącego statku.

- Zdarzył się wypadek, Dennis. Samochód się zapalił, a człowiek, który był w środku, miał przy sobie twój portfel, dlatego wszyscy myśleli, że nie żyjesz, twoja mama też tak myślała. Pamiętasz?

Pani Flaherty wyciągnęła rękę i pogłaskała Dennisa po ramieniu, jakby chcąc się upewnić, że rzeczywiście jest tuż obok, a nie dwa metry pod ziemią.

- Mój portfel, hm?

To było jak rozmowa ze staruszką, na przykład z ojcem Anny. Z kimś, komu pomieszało się w głowie.

- Zaczekaj chwilę, zaraz zaproszę cię do środka - powiedziała pani Flaherty.

Wróciła do przyczepy, skąd zaczął dobiegać stukot przesuwanych z miejsca na miejsce przedmiotów. Dennis nadal stał w drzwiach, wpatrując się we mnie z wyrazem lekkiego zakłopotania na twarzy. Jakiś mężczyzna wyszedł z sąsiedniej przyczepy, kiwnął głową w kierunku Dennisa, a potem oparł się o pojemnik na śmieci i zapalił skręta.

- Mówiłeś, że nie miałeś swojego portfela w szpitalu. Czy jesteś tego pewien?

- W szpitalu?

- W szpitalu dla weteranów.

- Zwinąłem się stamtąd, człowieku.

- Nie wypisali cię oficjalnie?

- Zwinąłem się.

- W porządku, Dennis.

Pani Flaherty ponownie ukazała się w drzwiach przebrana w spódnicę odpowiednią dla osoby o dwadzieścia lat od niej młodszej.

- Wejdz, Tom - powiedziała.

Kiedy wszedłem do środka, zaatakował mnie ostry zapach środka czyszczącego - z tych tanich, których używają w szpitalach. Widocznie próbowała szybko ogarnąć wnętrze, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie.

Niepotrzebnie zawracała sobie głowę. Nawet spece z programu „Dom nie do poznania” nie mogliby wiele tutaj zdziałać.

Pomieszczenie przypominało schronisko Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. Ściany pokrywały żółte zacieki, brzęczała przedpotopowa lodówka. Zerwana do połowy siatka w drzwiach oddzielających kuchnię od sypialni zwisała z metalowej ramy. W kuchni znajdowało się coś w rodzaju stołu ze zniszczonym blatem.

- Usiądź, Tom - powiedziała.

- Dziękuję - odparłem. Było nieznośnie gorąco, żaden wentylator nie poruszał cuchnącego powietrza.

Dennis nie ruszył się z miejsca, odwrócił się tylko i wpatrywał we mnie niczym w kosmitę, który wpadł na śniadanie.

- Masz ochotę coś zjeść? - zapytała pani Flaherty, jak gdyby myślała o tym samym. - Musisz być głodny po podróży - dodała.

- Nie, dziękuję, zjadłem coś po drodze. - Nawet po tylu godzinach ciągle jeszcze miałem w ustach zjęczyły posmak słodkiej pianki. Odwróciłem się do Dennisa. - Powiedziałeś, że zanim trafiłeś do szpitala, mieszkałeś na ulicy. Gdzie to było?

- Nieem.

- Musisz wiedzieć, w jakim to było mieście.

- Ummm... w Detroit. Chyba.

- W Detroit. Świetnie. W której części?

- Koło stadionu.

- Jakiego stadionu?

- Baseballowego.

- Koło Comerica Park? Tam, gdzie grają Detroit Tigers?

- Uhm.

- W porządku. Jak długo tam byłeś?

- Nieem.

- Rok? Dwa lata? Trzy?

- Nie jestem pewien.

- Jak udało ci się przeżyć? Co jadłeś?

- W Mariotcie.

- Jadłeś w hotelu?

- Z tyłu. Tam gdzie wyrzucali śmieci.

Pani Flaherty zasłoniła usta ręką, jak gdyby coś jej podeszło do gardła. Pewnie nie pytała Dennisa, jak mu się żyło na ulicy, i wolałaby tego nie wiedzieć.

- W porządku, Dennis. Miałeś wtedy swój portfel, w Detroit?

- Tak myślę. Czas na moją pigułkę, mamo.

- Wzięłeś już swoją pigułkę, Dennis.

- Nie wzięłem.

- Wziąłeś, synku, wziąłeś.
- Co on bierze? - zapytałem. - Lit?
- Wzruszyła ramionami.
- No dobrze, Dennis. Wydaje ci się, że miałeś portfel, kiedy byłeś w Detroit, tak? Kiedy mieszkałeś koło Comerica Park.
- Kolejne obojętne spojrzenie.
- Powiedzmy, że miałeś.
- Dobrze.
- Dokąd pojechałeś z Detroit? Zastanów się spokojnie.
- Może do Seattle. Chyba.
- Jak długo tam byłeś?
- Dużo padało.
- Tak. Jak długo tam byłeś, Dennis?
- Nieem. Dużo padało.
- Miałeś jeszcze swój portfel w Seattle?
- Tak.
- Skąd wiesz?
- Pokazałem go w biurze dla weteranów.
- Pamiętasz to, jesteś tego pewien? Pokazałeś portfel w Urzędzie do spraw Kombatantów w Seattle?
- Mamo, muszę wziąć pigułkę.
- Nie, Dennis, wziąłeś już pigułkę. Dałam ci ją rano - przypomniała mu pani Flaherty.
- Dobrze.
- Dennis - odezwałem się. - Dlaczego pokazywałeś portfel w urzędzie?
- Pokazałem im kartę kombatanczą. Potrzebowałem pomocy.
- I umieścili cię w szpitalu w Seattle?
- Nie.
- Byłeś w szpitalu, Dennis.
- Tak.
- W Seattle.
- Nie. Mamo, muszę wziąć pigułkę. Czas na moją pigułkę.

- Dennis, posłuchaj. Twoja mama mówi, że dała ci już pigułkę.

- Dobrze.

- Gdzie był ten szpital?

- Nieem.

- To nie było w Seattle? Poszedłeś do Urzędu do spraw Kombatantów w Seattle. Tak powiedziałeś przed chwilą. Potrzebowałeś pomocy, tak właśnie powiedziałeś, zgadza się?

- Tak.

- Co się stało?

- Komputery nie działały. Padało.

- Nie pomogli ci w Seattle?

- Nie.

- No dobrze. Gdzie był ten szpital, Dennis? Robimy postępy, wiemy już, że miałeś portfel w Seattle. Wyjąłeś go i pokazałeś kartę kombatanczką. To pamiętasz. Gdzie był ten szpital? Dokąd pojechałeś z Seattle?

Dennis ślaniał się i kołysał z przymkniętymi oczami jak meloman, który zapomniał o całym świecie skupiony na dźwiękach ulubionej symfonii.

- Musi się zdrzemnąć - powiedziała pani Flaherty. - To leki.

- Czy możesz nie zasypiać jeszcze przez chwilę, Dennis?

- Jestem zmęczony.

- Wiem, że jesteś. Ale może udałoby ci się nie zasnąć jeszcze przez kilka minut? Potrzebna mi jest nazwa szpitala, w którym się leczyłeś.

- Jestem zmęczony, mam, idę się zdrzemnąć - oświadczył.

- Dobrze, Dennis. - Pani Flaherty minęła mnie szybko i złapała go pod rękę, prowadząc jak niewidomego do tylnej części przyczepy. Jak gdyby miał dwa latka, a ona wciąż opowiadała mu bajki na dobranoc w środku popołudnia. Może to wszystko nie było aż takie smutne, na jakie wyglądało. Kobieta, która została sama, może z powodu śmierci, a może rozwodu, teraz odzyskała syna i znowu jest matką. Może lepszą niż kiedyś.

- Chyba powinieneś już iść - powiedziała pani Flaherty, kiedy wróciła.

- Jak długo zwykle trwa jego drzemka? - zapytałem.

- Wszystkie te pytania bardzo go zmęczyły. Nie jest do tego przyzwyczajony. Myślę, że powinieneś już iść, dobrze?

- Muszę się dowiedzieć, z jakiego szpitala uciekł. Może poczekam, aż się obudzi.

- A co to za różnica? Kogo to obchodzi z jakiego szpitala?

Usiadła przy kuchennym stole. Wyjrzała przez osłonięte siatką okno, zza którego dochodził ostry zapach chwastów.

- Napijesz się kawy? - zapytała. - Mam rozpuszczalną, ale dobrą.

Kiedy Dennis się obudził, poszliśmy się przejść po kempingu. W przyczepie było nieznośnie gorąco, a na zewnątrz tylko trochę chłodniej. Powietrze było jak wilgotny ręcznik.

Dennis powiedział, że brał udział w operacji Pustynna Burza i zatruł się oparami ropy.

- Saddam mnie zabił, człowieku.

- Zbadali cię?

- Hę?

- Czy ktoś cię zbadał pod kątem zatrucia chemikaliami?

- Nie sądzę. Nie mieli pojęcia.

Dennis mówił trochę składniej po swojej drzemce. Pani Flaherty powiedziała, że zdarzają mu się chwile przytomności i wtedy przypomina dawnego siebie.

- Czy możemy porozmawiać o szpitalu?

- Nie wiem.

- Chyba zgubiłeś tam portfel. Może ktoś go ukradł.

- Możliwe. Pewnie ten sukinsyn z piechoty.

- Kto to był?

- Był stuknięty - powiedział Dennis, jak gdyby sam był okazem zdrowia psychicznego. - Ci goście z piechoty to są jacyś obłąkani popaprańcy.

- Dlaczego myślisz, że to był on?

- Nie wiem. Jego żona zrobiła niezłą dywersję, kiedy był za granicą. Załatwiła dzieci z osiemdziesiątki szóstki.

- Zabiła jego dzieci?

- Właśnie. Zakopała je gdzieś przy międzystanowej osiemdziesiątce. A potem strzeliła sobie w pieprzoną głowę. Facet zdezerterował i szukał ciał chyba przez rok. Nie mógł ich znaleźć.

- Dlaczego uważasz, że ukraść twój portfel?

- Nieem.

- Z jakiegoś powodu uważasz, że to on.

- Pokazałem mu swojego syna, w portfelu.

- W takim razie miałeś jeszcze swój portfel. Widzisz, Dennis, wiemy już, że miałeś go w szpitalu dla weteranów.

- Uhm.

- Pokazałeś mu zdjęcie swojego syna. Ile on ma lat?

- Nieem. Nie pozwala mi się z nim zobaczyć, pieprzona dziwka.

Najwidoczniej mówił o drugiej pani Flaherty, tej, którą jego matka wciąż przeklinała

- Co się stało po tym, jak pokazałeś temu gościowi z piechoty zdjęcie w portfelu?

- Nic.

- No dobrze. Więc dlaczego uważasz, że go ukraść?

- Nieem, może chciał zdjęcie.

- Dlaczego miałby zabrać zdjęcie czyjegoś dziecka?

- To był stuknięty popapraniec, mówiłem ci.

- Był tam jeszcze, kiedy uciekłeś?

- Jasne. Był stuknięty.

- A więc to nie on. Twój portfel znaleziono w Kalifornii.

- Żartujesz.

- Czy facet z piechoty był czarny?

- Nie.

- Dobra. Zapomnij o nim. Pomyśl chwilę. Miałeś portfel, a potem go nie miałeś. Jak to się mogło stać?

Wzruszył ramionami.

- Wypisali cię ze szpitala?

- Wyszedłem.

- Zwiąłeś.

- Wyszedłem.

- Skąd masz leki?

- He?

- Lekarstwa. Dostawałeś je w pojedynczych dawkach, prawda?

- Tak jest.

- Więc skąd wziąłeś te, które teraz bierzesz?

- A, te. Zarekwirowałem je.

- Ukradłeś je.

- Potrzebowałem ich, człowieku.

- Co zrobisz, kiedy się skończą?

- He?

- Skąd weźmiesz leki, kiedy te ci się skończą?

- Houston, mamy problem.

- Gdzie był ten szpital, Dennis?

- Trudno powiedzieć.

- Pamiętasz faceta z piechoty.

- Tak jest.

- Pamiętasz, jak pokazałeś mu zdjęcie swojego syna.

- Tak jest.

- Gdzie jest ten szpital, Dennis?

- Nieem.

Jego umysł bawił się z nim w chowanego. Może sprawiły to leki, może opary ropy w Iraku, a może był tak samo stuknięty jak żołnierz z piechoty - próbował odkopać pochowane w zakamarkach mózgu wspomnienia, tak jak tamten swoje dzieci pogrzebane przy drodze numer osiemdziesiąt.

- Cóż, wiemy przynajmniej, że nie w Seattle.

Pomyślałem, że mógłbym wprawdzie obdzwonić wszystkie szpitale dla weteranów w Ameryce, ale dane o ich pacjentach

podlegały ochronie i nie łudziłem się, że cokolwiek by mi powiedziano. W większości szpitali psychiatrycznych nie ma nawet rejestru pacjentów.

- Pamiętasz, w jakim kierunku pojechałeś po wyjeździe z Seattle? Jak w ogóle podróżowałeś?

- Machałem, człowieku.

- Jeździłeś stopem.

- Tak jest.

- Pamiętasz, kto cię podwiózł?

- Facet.

- No tak, kobieta by cię nie zabrała.

Doszliśmy do niewielkiego placu zabaw z zaledwie paroma huśtawkami, na których bawiło się kilkoro małych dzieci; było ich wystarczająco dużo, żeby niektóre musiały czekać na swoją kolejkę. Kilka stojących obok zaniedbanych kobiet paliło wspólnego papierosa, obserwując dzieci bez większego zainteresowania.

- Na południe - powiedział Dennis.

- Co?

- Pytałeś o kierunek. Pojechałem na południe. Nie da się pojechać za daleko na północ, kiedy się jest w Seattle.

ROZDZIAŁ 38

Dennis lubił czytać na głos znaki drogowe.

- Dawsville. Zjazd czterdzieści dwa. Dwa kilometry.
- Boise. Zjazd pięćdziesiąt dziewięć. Pół kilometra.
- Roboty drogowe na odcinku piętnastu kilometrów.

Przyzwyczailem się do tego, że mam GPS, i w końcu przestałem patrzeć na znaki.

Kiedy przez dłuższy czas nie było znaków, Dennis przestawił się na czytanie tablic rejestracyjnych przejeżdżających samochodów.

- A6572G4.
- M87GT2.

Nie był złym towarzyszem podróży. Pomijając ciągle mamrotanie, zachowywał się przyjaźnie i spokojnie. Od czasu do czasu przysypiał, jednak prawie zawsze budził się przed następnym znakiem ostrzegawczym.

Kiedy włączyłem radio, powiedział, że grał kiedyś na gitarze w kapeli stylizującej się na Metallicę. Zaśpiewał nawet kawałek *St. Anger*, niezłe naśladowując Jamesa Hetfielda.

Na południe od Seattle było sześć szpitali dla weteranów.

Byłem gotów sprawdzić je wszystkie.

Dennis był moim przewodnikiem. Czułem się trochę jak ślepiec prowadzony przez niewidomego, ale tylko on mógł mi pomóc.

Zapakowanie go do samochodu wymagało pewnego wysiłku.

Dopiero co uciekł ze szpitala psychiatrycznego i nie miał specjalnej ochoty tam wracać. Kiedy powiedziałem pani Flaherty o swoich zamiarach, popatrzyła na mnie, jakbym sam wymagał leczenia.

Powiedziałem jej, że Dennisowi kończą się leki. To był fakt.

Poza tym nie wrócił jeszcze do zdrowia. To też był fakt.

W dodatku ucieczka z oddziału psychiatrycznego szpitala federalnego nie była zbyt mądrym posunięciem. Nie wiedziałem, czy to, że zgłosił się tam sam, było jakkolwiek okolicznością łagodzącą, więc wolałem o tym nie wspominać.

Potrzebowałem go.

Leki okazały się argumentem, który przekonał ich oboje. Pani Flaherty nie miała pieniędzy na psychiatrów, należała do grupy około czterdziestu milionów Amerykanów bez ubezpieczenia zdrowotnego. Jeśli Dennis miał być nadal leczony, potrzebował pomocy armii.

Jego miejsce było w szpitalu - smutne, ale prawdziwe.

Zamierzałem go tam zabrać.

Zakładając, że uda mi się znaleźć ten szpital.

Z Północnej Dakoty zadzwoniłem do Normy.

Znowu sięgnąłem do bankomatu po swoje topniejące zasoby i zapłaciłem za dwa pokoje w motelu Sioux Nation. W jego holu mieściło się niewielkie kasyno.

- Mam złą wiadomość, Tom - powiedziała. - Laura odeszła zeszłej nocy.

Żona Hinch.

To rzeczywiście była zła wiadomość, ale też nie najgorsza spośród tych, które ostatnio słyszałem. Weźmy na przykład strzał z przejeżdżającego pick-upa.

- Jak to znosi Hinch? - zapytałem.

Nie licząc mojego zawieszenia, Hinch zawsze był w porządku. Dał mi szansę, kiedy nikt inny nie chciał mi jej dać.

- Mniej więcej tak, jak można się było spodziewać. Bóg jeden wie, co on naprawdę myśli. Tłumi to wszystko w sobie. Był jej naprawdę oddany.

- Tak. A jak się czuje Nate?

- Dobrze. Miał wczoraj niewielką infekcję, więc dali mu silniejsze antybiotyki. Jego mama tu jest.

- Tak, wiem, widziałem ją w szpitalu.

- Nie, chodzi mi o to, że jest tutaj, u mnie w domu. Nocuje u mnie.

- To miło z twojej strony.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić dla tej biedaczki. Gdzie jesteś, Tom? Twój głos dobiega jakoś tak z daleka.

- W Północnej Dakocie.

- Co, na Boga, robisz w Północnej Dakocie?

- Szukamy czegoś.

- My?

- Ja i mój towarzysz podróży.

- To znaczy kto?

- To znaczy człowiek, który zginął w wypadku na drodze numer czterdzieści pięć.

- Przerażasz mnie, Tom, wiesz o tym?

- No dobrze, on tak naprawdę żyje, chociaż czasem wydaje mi się, że nie ma w sobie zbyt wiele życia.

Zapadła krótka cisza, którą zakłócały tylko dobiegające z motelowego telewizora dźwięki pozycji dwudziestej drugiej na liście stu najlepszych piosenek lat osiemdziesiątych: *Girls Just Want to Have Fun*.

- Tom.
- Słucham?
- Te rzeczy, o których mówisz... słyszałam co nieco od Mary-Beth, która słyszała od nie wiem kogo... nie zmyślasz tego, prawda?
- Nie zmyślam.
- Nigdy nie pytałam cię o... no wiesz, Nowy Jork i tak dalej. Nie pytała. Przez jakiś czas zastanawiałem się, czy w ogóle wiedziała. Nie czytała ogólnokrajowych gazet, a o ile mi wiadomo, w „Us” nigdy o mnie nie pisano.
- Wiem.
- Doszłam do wniosku, że jeśli będziesz chciał o tym rozmawiać, to sam zaczniesz.
- Właśnie.
- Więc chcesz o tym porozmawiać?
- Nie bardzo.
- W porządku, Tom. W każdym razie nie dałeś nikomu swojego rewolweru, żeby do ciebie strzelał, prawda?
- Nie.
- Od początku uważałam, że to brzmi niedorzecznie. Ale tak mówią.
- A czy mówią, dlaczego miałbym to zrobić?
- Dla większej... wiarygodności. Czy to właściwe słowo? Żeby być w centrum uwagi.
- W takim razie podziałało.
- Hę? Przecież powiedziałeś, że to nieprawda?
- Ktoś ukradł mój rewolwer. Tylko żartowałem.
- Ha, ha.
- Czy mogłabyś zadzwonić do Sama Weitzera i powiedzieć mu, że wyjechałem z miasta? To już chyba tydzień, prawda? Będzie się zastanawiał, dlaczego nie przychodzę na kręgle.
- Jasne. - Cisza. - Tom?

- Tak?
- Czego ty właściwie szukasz?
- Wiarygodności. Tak jak powiedziałaś.

Dennis miał rację, jeśli chodzi o Seattle.

Kiedy tam dojechaliśmy, lało, aż nad asfaltem unosiła się para.

Jechaliśmy przez centrum miasta, bo Dennis chciał zobaczyć Safeco Field, gdzie grali Seattle Mariners. Dawno temu Dennis był fanem baseballu, ale to było jeszcze w czasach, gdy odczytywanie wyników rozgrywek nie przyprawiało go o ból głowy. Kiedyś potrafił wyrecytować z pamięci statystyki każdego zawodnika. Może dlatego koczował w cieniu stadionu baseballowego w Detroit, kiedy już znalazł się na ulicy. Chciał być blisko kultowej rozrywki Amerykanów.

Minęliśmy targi i restauracje rybne, które otaczają Safeco i ciągną się wzdłuż wybrzeża, a potem ruszyliśmy autostradą na południe.

Pierwszy szpital dla weteranów, który planowaliśmy odwiedzić, znajdował się na granicy stanów Waszyngton i Oregon, w mieście Tellings zamieszkałym przez sto pięćdziesiąt dziewięć tysięcy osób. Tyle przynajmniej Dennis wyczytał z mapy.

- Czy to brzmi znajomo? - zapytałem.
- Hę?
- Nazwa miasta. Czy coś ci to mówi?
- Liczba mieszkańców: sto pięćdziesiąt dziewięć tysięcy - powiedział.
- Tak. Pytam, czy ta nazwa ci się z czymś kojarzy, czy może tam kiedyś byłeś.
- Nieem.

Dennis zaczął się klepać po twarzy, chociaż w samochodzie nie było żadnych owadów. Czasem coś do siebie szeptał, ale kiedy prosiłem, żeby powtórzył, pytał, o co mi chodzi.

Próbowałem sobie wyobrazić, co myślą o nas ludzie w przejeżdżających obok samochodach. Poobijana miata ze zderzakiem od innego wozu i pasażerem, który mamrocze do siebie z przerwami na zabijanie nieistniejących much.

Wtedy zorientowałem się, jak dokładnie wyglądamy.

Przynajmniej dla jednego kierowcy.

ROZDZIAŁ 39

Nawet nie zauważyłem, kiedy zrobiło się ciemno.

Jeszcze przed chwilą Dennis mógł bez problemu odczytywać numery rejestracyjne mijających nas samochodów, dla których porzucił znaki drogowe, teraz przychodziło mu to z trudem.

Musiał się pochylać i mrużyć oczy, kiedy tablice pojawiały się nagle w kręgach bladożółtego światła.

- Przyspiesz - powiedział. - Nie widziałem ostatniej cyfry.

Zaproponowałam mu, żeby odpoczął. To ciągle mamrotanie cyfr i liter zaczynało mnie denerwować, a chwile wytchnienia zdarzały się tylko dzięki tablicom w stylu WOLNIEJ albo WRA K200.

Dennis uparcie ignorował moje błagania, więc się poddałem. Przynajmniej miał jakieś zajęcie.

M65LK1...

RLN895...

Nie jestem pewien, kiedy się zorientowałem.

L98HT4...

K61MNO...

Trochę, jakbym miał włączone radio, ale zaczynał słuchać jakiejś piosenki, dopiero kiedy zaczyna się już następna. Zdarza mi się to czasem, kiedy się zamyślę, i mam wtedy wrażenie, że muzyka dobiega z oddali, jak gdyby wpadała przez otwarte okno.

VML254...

HG54MT...

Litania numerów Dennisa przypominała rodzaj muzyki - jednostajnej, cichej i rytmicznej. Melodia do mnie docierała, mimo że częściowo się wyłączyłem.

QR327N9...

KL61WT...

W pewnej chwili zdałem sobie sprawę z powtarzającej się frazy.

MH92TV...

Coś dziwnego działo się z tymi literami i cyframi. Brzmiały znajomo. Zupełnie, jak gdybym je już słyszał przed chwilą. I wcześniej też.

MH92TV...

Jakieś dwadzieścia minut temu, potem jeszcze raz, a teraz znowu.

MH92TV.

I co z tego? Mnóstwo samochodów jedzie tą drogą dokładnie w tym samym kierunku co my, może nawet całą drogę do Tellings. Próbowałem się uspokoić, ale zdawałem sobie sprawę, że słyszałem te numery dużo wcześniej niż dwadzieścia minut temu.

Dennis czytał tablice rejestracyjne odkąd wyjechaliśmy z Iowa.

- Dennis... który samochód ma te numery?
- Hę?
- MH92TV. Który to jest samochód?

Wydawał się miło zaskoczony faktem, że zainteresowałem się czymś, co wcześniej mnie denerwowało. Ekstra.

- Tam - powiedział.

- Gdzie tam?

- Tam. - Pokazał na lewo, ale kiedy zwolniłem, żeby dać się wyprzedzić czerwonemu mitsubishi, na jego tablicy ukazały się litery GAYSROK.

- To nie ten, Dennis. Wzruszył ramionami.

- Nie, nie ten. Chyba za nami.

- Gdzie za nami? - Wpatrywałem się w lusterka, ale w ciemnościach przecinanych długimi światłami samochodów widziałem tylko zamazane kształty.

- Nieem, człowieku. Może jest przed nami.

- No dobra. Jaki to samochód?

Wiedziałem, jaka będzie odpowiedź, zanim to powiedział.

Byłem jak czarodziej Karnak Wspaniały ze skeczu Johnny'ego Carsona: już przyciskałem do czoła zaklejoną kopertę i odczytywałem jej zawartość, cały czas modląc się, aby to było coś innego - jakkolwiek inny samochód: honda accord, Saturn albo volkswagen caddy, praktyczny dodge minivan, volkswagen bus albo volvo.

Nie ma tak dobrze.

- Pick-up - powiedział Dennis.

Zacisnąłem ręce na kierownicy, aż zbiełały mi knykie.

- Jesteś pewien?

- Uhm. Jedzie za nami od samego początku, człowieku.

- Od Iowa? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Cóż, no wiesz. Może nie dostrzegąłem tego, co widzę?

- W porządku. Jaki kolor ma ten pick-up, który jedzie za nami od Iowa?

- Gadasz coraz konkretniej, człowieku.

Wymieniałem wszystkie możliwe kolory, jakie przychodziły mi do głowy, wszystkie kolory tęczy, a Dennis za każdym razem kręcił głową, „nie, nie wydaje mi się”, aż proces eliminacji doprowadził mnie nieubłaganie do ostatniego koloru, jaki chciałem usłyszeć.

- Niebieski? Czy on jest niebieski, Dennis?

- Uhm - powiedział Dennis. - Tak jest. Niebieski.

Gonisz.

Stoi na dole schodów z metalowym narzędziem w ręce.

Bawi się ze mną w autoberka na pustej drodze.

Przechadza się Trzecią Ulicą i dostrzega przez okno rewolwer Smith & Wesson kaliber trzydzieści osiem. Mój Smith & Wesson.

Bang.

Spojrzałem w lusterko.

Potem na boki. W prawo, w lewo.

Serce waliło mi, jakby zamierzało zrobić numer z *Obcego* i wybuchnąć wewnątrz klatki piersiowej. Szybko zmieniłem pas, cudem unikając zmiżdżenia przez osiemnastokołową ciężarówkę z wyposażeniem toalet, skręciłem ponownie i zwolniłem, zbliżając się do prawego pasa.

- Hej, co ty robisz? Zatrzymujemy się?

Zbliżał się następny zjazd. Dennis odczytał sumiennie jego nazwę trzy kilometry wcześniej: Wohop Road.

- Muszę siusiu - powiedział Dennis.

Spojrzałem w boczne lusterko. Chciałem zobaczyć, czy ktoś jeszcze zmienia pas. Sąsiednim jechały jakieś samochody - dwie wyraźne pary świateł. A potem nagle została tylko jedna.

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w lusterko. Co się stało?

- Muszę siusiu jak skurwysyn, Tom - powtórzył Dennis.

Wyłączył światła.

Były dwie pary świateł, a teraz została jedna.

Wyłączył światła.

Gaz do dechy. Przekroczyłem sto trzydzieści, nie przestając przyspieszać.

- Aż tak bardzo mi się nie spieszy - powiedział Dennis. - Nie zsikam się w gacie.

Sto czterdzieści... sto czterdzieści pięć... sto pięćdziesiąt...

- A może się zsikam.

Kiedy pojawił się zjazd na Wohop Road, Dennis nawet nie próbował przeczytać znaku. Nie mógł. Zasłonił oczy i siedział skulony w pozycji awaryjnej znanej pasażerom wszystkich linii lotniczych.

Jeszcze nie... jeszcze nie...

Teraz.

Szarpnąłem kierownicą w prawo.

Prawie przejechałem zjazd, jak gdybym kierował się do następnego. Pierwszy raz odkąd skończyłem czwartą klasę, wszedłem w zakręt na dwóch kołach, ledwo mieszcząc się w łuku. Spadłem na cztery łapy, wyjechałem na szczęśliwie pustą drogę dojazdową i gnałem dalej.

Słuchaj.

Nic.

Jak to się mogło stać?

Skąd mógł wiedzieć, że tutaj jestem?

Widział mnie na kempingu w Iowa?

Na drodze do Tellings?

Jak?

Pomyśl.

No dobrze, był jeden sposób. Oczywiście, że był. Jeden sposób, zakładając, że nie jechał za mną całą drogę z Littleton.

Wypłaty z bankomatów.

Karta kredytowa.

Ta, której używałem na stacjach benzynowych, podczas postoju w Nevadzie i w motelu Sioux Nation w Północnej Dakocie.

Trop, który wywęszy każdy dobry pies myśliwski.

Całą trasę z Iowa do Seattle, a potem tutaj.

Tylko że...

Do tego trzeba mieć specjalny dostęp.

Prywatne operacje bankowe i wyciągi z kart kredytowych to informacje, których banki powinny strzec jak oka w głowie. Żeby się do nich dostać, trzeba mieć odpowiednie uprawnienia.

- Uh, naprawdę muszę siusiu, człowieku.

- Jeszcze kilka minut, Dennis.

Już prawie tam byłem, całkiem blisko. Usiadłem na stolku w Niech Mnie Kule Biją i zacząłem coś rysować, a szkic nabierał kształtów. Gdybym wpatrywał się w to coś wystarczająco długo, może nawet zgadłbym, co to jest.

Musiałem poruszać się szybciej. Musiałem zwiększyć tempo, złapać rytm.

O ile się nie myliłem, hydraulikowi nie udało się skrócić.

Zgubiłem go.

Przejechałem kolejne dwadzieścia mil, zanim ugiąłem się wobec budzących coraz większą litość żądań Dennisa - „już nie moooogę, człowieku” - i zjechałem na całodobową stację Exxon-na.

ROZDZIAŁ 40

Nikt nie chciałby wylądować w szpitalu.

Jeżeli tylko ma inne wyjście.

A już na pewno nikt nie chciałby wylądować w szpitalu dla weteranów.

Armia, marynarka, siły powietrzne i piechota przeznaczają większość swoich środków na próby zabijania ludzi, a nie leczenia ich.

Szpitala dla weteranów cuchną zaniedbaniem.

Ten w Tellings nie był wyjątkiem.

W holu dla odwiedzających krzyczał jakiś człowiek na wózku. Rozerwał mu się worek na odchody i nikt nie przychodził go wymienić. Powiedział, że woła tak od dwóch godzin.

Pielęgniarka z izby przyjęć nie zważała na jego krzyki, jak gdyby słuchała głośnej muzyki z niewidzialnego iPod'a.

Nas ledwo dostrzegła.

- Tak? - zapytała kilka minut po naszym zgłoszeniu się w rejestracji.

Wcześniej okrążyliśmy teren szpitala drogą wokół trzech niewinnie wyglądających budynków, które składały się na cały kompleks. Zapytałem Dennisa, czy pamięta to miejsce.

- Czy to tutaj, Dennis? Byłeś już tutaj?

Nie potrafił powiedzieć. Rozglądał się jak turysta, który patrzy na coś, o czym czytał w przewodnikach - na coś, co wygląda znajomo, ale nie do końca.

Był łatwy sposób, żeby się dowiedzieć.

- Czy długo tu pani pracuje? - zapytałem pielęgniarkę z izby przyjęć.

- Co?

- Czy pracuje pani tutaj dłużej niż tydzień?

- Co to ma znaczyć? - zapytała. - Ma pan jakieś uwagi odnośnie do moich kwalifikacji?

- Czy widziała już pani kogoś z nas?

- Czy mogę szanownym panom w czymś pomóc? - zapytała tonem, który mówił, że przyjrzała się Dennisowi wystarczająco dobrze, żeby stwierdzić, że taki z niego szanowny pan jak i ze mnie. Kiedy człowiek spędzi trochę czasu w samochodzie, zaczyna wyglądać, jakby w nim mieszkał.

- Mam receptę - powiedziałem. - Chcielibyśmy ją zrealizować.

- Czy widzi pan tu gdzieś napis „apteka”?

- Nie.

- W takim razie dlaczego prosi mnie pan o zrealizowanie recepty?

- No dobrze, w porządku.

- Czy on jest weteranem? - zapytała, wskazując na Dennisa. Mogłaby zapytać o to jego, ale widziała już tylu pacjentów szpitali psychiatrycznych, że rozpoznawała ich na kilometr.

- Saddam nafaszerował mnie chemikaliami - powiedział Dennis.

- Naprawdę?

- Mam w żyłach ropę, potrzebuję smaru.

- Czy pan jest jego opiekunem, czy coś w tym rodzaju? - zapytała.

- Coś w tym rodzaju.

- Chce go pan powierzyć naszej opiece?

- Nie. Tylko kupić leki, jedzie na rezerwie.

- Może pan to przemyśli, on nie wygląda najlepiej.

- Nie, nic mu nie jest. Potrzebuje tylko swoich lekarstw.

- No dobrze, jestem zajęta.

- Jasne, w porządku. I nigdy go pani nie widziała?

- Nie.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie nad łukiem głównego wejścia wisiał napis „Wesprzyj nasze wojsko”.

Zrobiłem coś, co ostatnimi czasy robiłem przy każdym wyjściu na zewnątrz. Rozejrzałem się, szukając niebieskiego pick-upa.

- Ile pigułek mi zostało? - zapytał Dennis.

- Niewiele. A przy okazji: zauważyłeś, że mają różne kolory?

Mama Dennisa powierzyła mi zaszczytną funkcję strażnika leków - włożyła je wszystkie do pudełka po plastrach z opatrunkiem i wepchnęła do mojej kieszeni. Mimo woli pomyślałem, że to jakaś metafora - trochę jak daremne przyklepanie plastra na śmiertelną ranę.

- Jestem głodny - powiedział Dennis.

- Dobra, zjemy coś po drodze.

Staralem się oszczędzać gotówkę, żeby nie korzystać z bankomatu. Chociaż właściwie nie miało to już znaczenia, bo zanim dojechaliśmy do szpitala i tak zapłaciłem kartą za paliwo - wsunąłem ją do czytnika, jak pracownicy UPS wsuwają do otworu na listy kartkę ze słowami: byłem tu.

Następny szpital znajdował się w Oregonie, sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na południe.

Szpital imienia Eisenhowera.

Pomijając ostatnie wypadki, nigdy w życiu nie byłem w okolicach Oregonu. Teraz jechałem tam drugi raz w ciągu dwóch tygodni.

- Dennis, powiedz mi, gdy zobaczysz znowu tę tablicę, dobrze?

- Jasne - pokiwał głową. - Jaką tablicę?

- MH92TV.

- A, w porządku.

Dochodziła północ. Uznałem, że poruszając się nocą, jesteśmy bezpieczniejsi - unikamy przydrożnych moteli, w których musiałbym użyć karty kredytowej albo wypłacić gotówkę, a człowiek z niebieskiego pick-upa mógłby zaskoczyć nas w ciemnościach.

Dojechaliśmy do szpitala Eisenhowera o pierwszej w nocy.

Wyglądał trochę jak podstawówka, do której chodziłem w dzieciństwie, tylko był trzy razy większy. Przed wejściem do przysadzistego budynku z czerwonej cegły stał obowiązkowy maszt. W gorącym, lepkiem powietrzu amerykańska flaga zwisała z niego bezwładnie jak kuchenna ścierka.

- Co to jest? - zapytał Dennis, kiedy wjechałem na parking. - Gdzie jesteśmy?

To nie wróżyło dobrze.

W rejestracji mieliśmy powtórkę z Tellings. Tym razem pielęgniarka w izbie przyjęć okazała się bladym mężczyzną o sowiej twarzy, który zapytał, czego chcemy, powiedział, że nigdy w życiu nie widział Dennisa, i zapytał o jego zdrowie psychiczne, kiedy ten zabił nieistniejącą muchę.

Mimo to poszliśmy na mały spacer wkoło, podobnie jak w Tellings. To była klapa, Dennis nigdy tam nie był.

Wróciliśmy do samochodu i wyjechaliśmy główną bramą.

Przygotowałem się do długiej jazdy, do następnego szpitala było prawie pięćset kilometrów.

Dennis był niespokojny.

Powierzyłem mu zadanie odczytywania tablic rejestracyjnych. Dzięki temu on miał zajęcie, a ja prawie wiarygodnego obserwatora wypatrującego niebezpieczeństwa w otaczającym nas gąszczu cyfr i liter.

Mniej więcej o trzeciej nad ranem poczułem ten rodzaj zmęczenia, z którym nie można już walczyć. Dennis zasnął już wcześniej i chrapał teraz głośno oparty o boczną szybę. Byłem bliski pójścia w jego ślady. Przerywane żółte linie na jezdni działały na mnie jak tabletki nasenne połykane jedna po drugiej w drodze do łóżka.

Kiedy dotarło do mnie, że naprawdę zasnąłem za kierownicą i zjechałem na sąsiedni pas, zacząłem wypatrywać następnego zjazdu. Niecałe pięć kilometrów dalej zjechałem z autostrady w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliśmy się kilka godzin przespać.

Znalazłem całodobową stację benzynową.

Zaparkowałem obok oświetlonego okna. Było przez nie widać hinduskiego właściciela, ale my nie byliśmy widoczni z drogi. Wyłączyłem silnik i natychmiast zasnąłem.

Dennis obudził mnie, kiedy nad horyzontem pojawił się zaledwie wątły pas różowego światła.

Spojrzałem na zegarek: była piąta trzydzieści.

Otaczały nas niskie zarośla, które właśnie wylaniały się z porannego mroku. Słysząc było szelest dwóch rozpiętych nad stacją wielkich linii wysokiego napięcia i od czasu do czasu upiorny świst przejeżdżającego samochodu.

- Muszę iść - powiedział Dennis. - Boli mnie brzuch.

- Dobra, Dennis, tam. - Pokazałem mu drzwi do toalety z tyłu budynku.

Otworzył drzwi do samochodu i siedział chwilę, przecierając oczy. Potem powoli się przeciągnął: najpierw stopy, potem ręce, w końcu reszta ciała. Ruszył niepewnym krokiem w kierunku łazienki i wszedł do środka.

Byłem potwornie zmęczony, musiałem się jeszcze przespać. Kiedy się obudziłem, zastanawiałem się, czy Dennis naprawdę wyrwał mnie ze snu, idąc do łazienki, czy to mi się śniło. Zupełnie jak moja była żona, która potrafiła rozmawiać ze mną o drugiej w nocy, a potem zarzucać mi, że wszystko zmyśliłem.

Tylko że Dennisa nie było w samochodzie. Różowe światło płynnie przechodziło w bladożółte.

Była piąta czterdzieści.

Wysiadłem, podszedłem do drzwi od łazienki i zapukałem.

- Dennis, czy wszystko w porządku?

Usłyszałem stęknęcie.

Obszedłem budynek w poszukiwaniu jedzenia.

Kiedy wszedłem zaspany do sklepu, Hindus - prawdopodobnie Sikh, ponieważ nosił charakterystyczny czerwony turban - nawet mnie nie zauważył. Siedział przygarbiony za ladą i czytał gazetę.

Wszedłem między regały, usiłując znaleźć coś do jedzenia. Stacje benzynowe najwyraźniej ignorują ostatnie trendy w żywieniu. Ta ograniczała się właściwie do produktów spożywczych o nazwach kończących się na „os”.

Cheetos. Doritos. Tostitos. Rolos.

Było tak cicho, że kiedy wyciągnąłem z półki dwie paczki doritos, ich szelest zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

Ale Sikh nawet nie drgnął nad swoją gazetą.

- Czy jest jakiś sos? - zawołałem.

Zignorował mnie.

- Gdzie mogę znaleźć sos?

Cisza.

- Hej! - zawołałem.

Włączył się terkoczący klimatyzator. Przejechał samochód. Na zewnątrz rozległ się wrzask dachowego kota. Trzeszczała linia wysokiego napięcia.

Zdarza się, że człowiek uświadamia sobie coś w jednej chwili, a kilka wyraźnych, przerażających myśli ni stąd, ni zowąd jednocześnie opanowuje mózg, tak że nie można złapać tchu.

Wtedy idzie się na dno.

Wybiegiem ze sklepu, upuszczając doritos na podłogę.

Zacząłem głośno wołać.

- Dennis! - Rzuciłem się do drzwi do łazienki, powtarzając: o mój Boże, o mój Boże, Dennis, o mój Boże, Dennis...

Ja, który raczej unikałem zwracania się do Boga, ponieważ nie zrobił dla mnie w życiu zbyt wiele, wezwałem go trzy razy, jak gdybym wznosił do nieba jakiś święty lament. Jak gdybym odmawiał pokutę za grzechy.

Popełniłem grzech.

Zasnąłem.

ROZDZIAŁ 41

Pędziliśmy autostradą.

Jak najdalej od stacji benzynowej, gdzie hinduski sprzedawca leżał twarzą na rozłożonej gazecie - był Hindusem, nie Sikhem, i tak naprawdę nie miał czerwonego turbanu, przynajmniej dopóki ktoś nie wpakował mu kuli w głowę.

W łazience sprawy przedstawiały się inaczej. Krew, która nie miała w co wsiąknąć, pokrywała całą podłogę i część stłuczonego łazienkowego lustra. Na podłodze leżały kawałki szkła.

Wśród nich z pewnością ten, którego hydraulik użył, żeby odciąć Dennisowi język.

Przejechaliśmy zaledwie trzy kilometry, gdy po lewej stronie nagle wyrósł jak spod ziemi budynek, zupełnie jak gdyby Bóg chciał powiedzieć: pamiętasz o mnie, ja pamiętam o tobie.

Szpital dla weteranów nr 138.

Tak po prostu.

Wyglądał na bardzo stary i bardziej przypominał arsenał - zbudowany z kamienia, otoczony wieżyczkami. Ale był to szpital,

z lekarzami, pielęgniarkami i lekarstwami, a Dennis właśnie wykrwawiał się na śmierć.

Przejeżdżając przez bramę, zauważyłem zakratowane okna na ostatnim piętrze.

Podjechałem pod główne wejście, wyciągnąłem Dennisa z samochodu i prawie wniósłem go do środka. Wtedy właśnie zobaczyła go pielęgniarka z izby przyjęć i powiedziała:

- Panie Flaherty, gdzie, u diabła, się pan podziewał?

Nie najgorzej.

Znaleźliśmy nasz szpital.

- W porządku - powiedział major DeCola, ostrzyżony na jeża chirurg, gdy w końcu lekarze zatamowali krwawienie. Ze wszystkich części ciała język jest najbardziej ukrwiony. - Co mu się, do diabła, stało?

- Ktoś go zaatakował - powiedziałem.

Siedzieliśmy w poczekalni, gdzie stały krzesła, stoły i dwa prawie puste automaty z przekąskami.

- Nie chrzań, Sherlocku - powiedział DeCola. - Kto?

- Nie wiem. Był w toalecie na stacji benzynowej kilka kilometrów stąd i ktoś go tam dopadł.

Pominałem część o zamordowanym właścicielu stacji benzynowej.

Dlaczego?

Bo został zastrzelony z mojego rewolweru.

Znajdą w jego głowie pocisk kaliber trzydzieści osiem.

Wiedziałem o tym.

Morderstwa nie dało się długo zachować w tajemnicy -było prawdopodobne, że ktoś, kto wszedł do sklepu z zamiarem kupienia paczki papierosów, znalazł już zeszczywniałe ciało.

Ćwiczyłem w myślach wersję dla policji. Zamierzałem powiedzieć, że spałem za budynkiem, a potem usłyszałem krzyk Dennisa i znalazłem go z odciętym językiem. To wszystko.

Okazja nadarzyła się już jakieś pół godziny później. Do poczekalni weszło dwóch detektywów i policjant.

Wyjaśnili, że wezwał ich major DeCola.

Wiedzieli o martwym Hindusie.

Policjant odpowiedział na wezwanie rozhisteryzowanej kobiety. Podjechała na stację, żeby zatankować, i wybiegła na drogę w jednym bucie na wysokim obcasie.

Przedstawiłem swoje przygotowane zawnazsu zeznania.

- Spał pan w samochodzie? - zapytał detektyw Wolfe podejrzliwym tonem. Może dlatego że to ludzie śpiący w samochodach zwykle popełniają przestępstwa w przeciwieństwie do tych, którzy padają ich ofiarą.

- Zgadza się - odpowiedziałem.

Kiedy dodałem, że jestem dziennikarzem, wydawał się jeszcze bardziej skonsternowany.

- Co pan tam robił z panem Flahertym? - zapytał. Swoim wzorowym schludnym wyglądem przypominał bohaterów seriali o wojsku. - Dennis Flaherty był pacjentem tutejszego oddziału psychiatrycznego, prawda? Gdzieś się zawieruszył.

- Tak, przywiozłem go z powrotem.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Dlaczego pan? Kim pan dla niego jest?

- Przeprowadzałem z nim wywiad w związku z artykułem, który piszę.

- Naprawdę? Z jakim artykułem?

- O weteranach - powiedziałem. - O ich trudnościach z przystosowaniem się po powrocie do domu i problemach, z którymi się borykają.

Nie wiem, dlaczego powiedziałem akurat to, a nie cokolwiek innego. Możliwe z powodu artykułu, który kiedyś napisał Wren. Artykułu, który - jak teraz przypuszczałem - zaprowadził go prosto do większego tematu. Łączyłem punkty. A możliwe dlatego, że hydraulik miał oficjalny dostęp do wyciągów z mojej karty

kredytowej, a ci byli kolejnymi trzema oficjelami.

- No dobrze, a więc obaj spaliście w samochodzie?

- Tak. Dennis nie pamiętał, w jakim był szpitalu, więc jechaliśmy na południe, sprawdzając wszystkie po kolei.

- Nie pamiętał?

- Od czasu do czasu traci kontakt z otoczeniem - wyjaśniłem.

- Uhm. - Detektyw Wolfe zerknął na swojego współpracownika, który próbował dobrać się do ostatniej paczki chipsów, waląc ręką w bok automatu, jakby to był nieskłonny do współpracy podejrzany.

- Więc twierdzi pan, że usłyszał krzyk pana Flaherty'ego - Wolfe odwrócił się - a kiedy pobiegł pan do łazienki, znalazł pan go w tym stanie?

- Tak jest. A potem przyjechaliśmy tutaj.

- Nie wchodził pan do sklepu?

- Nie.

- Nie słyszał pan strzału?

- Nie - powiedziałem. - Ale kto wie, może to właśnie mnie obudziło.

- Kto wie? Pan wie.

- Nie pamiętam, żebym cokolwiek słyszał, po prostu się obudziłem.

- I nie widział pan nikogo, kto wychodziłby z łazienki albo ze sklepu?

- Nie, spałem twardym snem.

- I nie wchodził pan do sklepu?

- Nie. - To pytanie zadał mi już wcześniej.

- Na podłodze leżały dwie paczki... czego, John? - zapytał kolegi.

- Doritos - powiedział John tonem dającym do zrozumienia, że mógłby teraz skorzystać ze swoich uprawnień. Automat uparcie odmawiał wydania paczki chipsów.

- Właśnie - powiedział Wolfe. - Dwie paczki doritos. Ktoś musiał je upuścić, wybiegając ze sklepu, na przykład w panice. Zastanawialiśmy się, kto to mógł być, skoro pan nie wchodził do sklepu.

- Ten, kto zabił właściciela stacji benzynowej? - podsunąłem.

- Pan Patjy był tylko sprzedawcą na nocnej zmianie - poprawił mnie. - Myśli pan, że morderca wziął, wychodząc, dwie paczki doritos, a potem stwierdził, „po co mi, do diabła, te doritos”, i rzucił je na podłogę?

- Może najpierw je wziął - powiedziałem.

- Wszedł tam, żeby kupić doritos, a potem zmienił zdanie i postanowił zamiast tego zastrzelić pana Patjy'ego. I obciąć język pana przyjacielowi.

- Nie wiem - powiedziałem.

- Taak, ja też nie wiem.

- A co z tą kobietą? Może to ona je upuściła?

- Tak, to by miało sens. Tylko że zapytaliśmy ją, a ona powiedziała, że nie. Więc sprawa doritos pozostaje zagadką.

Cisza.

- Zastanawiam się, dlaczego obcięli mu akurat język - powiedział detektyw Wolfe.

Jako ostrzeżenie... siedź cicho...

- Myślę, że będziemy musieli poczekać, aż sam nam to powie - stwierdził Wolfe. - Tylko że on niespecjalnie będzie w stanie mówić, prawda?

- Nie wiem, będzie?

- Lekarz mówi, że nie. Poza tym, tak jak pan powiedział, chwilami się wyłącza. Więc nie będziemy mieli z niego wiele pożytku.

- Brał udział w operacji Pustynna Burza - powiedziałem. - Jest przekonany, że zatrzał się oparami z płonących pól naftowych.

- Pewnie tak było. - Detektyw Wolfe się zamyślił. - To była cholerna katastrofa.

- Był pan tam?
- Tak.
- W wojsku? - zapytałem.
- W piechocie. Dlaczego nie wszedł pan do sklepu?
- Słucham?
- Znalazł pan pana Flaherty'ego całego we krwi, z odciętym językiem. Dlaczego nie pobiegł pan do sklepu po pomoc? Albo żeby zadzwonić po pogotowie? Ma pan komórkę?
- Rozładowała mi się - skłamałem.
- Uhm. Więc dlaczego nie skorzystał pan z telefonu w sklepie? Dlaczego pan tam nie pobiegł po pomoc?
- Nie wiem, chyba spanikowałem. Chciałem stamtąd uciec.
- Uhm. Cóż, może zapis z kamery powie nam, co się stało - powiedział, patrząc mi prosto w oczy z niewzruszonym wyrazem twarzy.

A potem dodał:

- Zapomniałem. Cholerne dziadostwo nie działa.

Położyli Dennisa w sali pooperacyjnej obok żołnierza pokrytego bliznami od szrapnela.

- W Iraku tak go załatwili? - zapytał, wskazując na mojego towarzysza.

Siedziałem na krześle obok Dennisa. Był wieczór; fluorescencyjne oświetlenie nad łóżkiem skwiercząc, błyskało na biało i niebiesko, co przypominało mi odległy ostrzał raketowy.

Zaczynałem myśleć, że jest coś szczególnego w tym szpitalu. Szpital dla weteranów nr 138 w Oregonie.

- Nie - powiedziałem. - Tutaj, w domu.

- Cholera. Język, tak?

Pokiwalem głową.

- Przekichane. Jego babce się to nie spodoba. Może pozwać armię za uszczerbek w pożyciu małżeńskim. Wiesz, o co mi chodzi. - Wystawił język i poruszył nim.

- Nie sądzę, by można było pozwać armię - powiedziałem.

- Nie można? A, to do dupy ze mnie prawnik.

Nie doczekał się odpowiedzi, więc dodał:

- Tylko się z ciebie nabijam.

Dennis ocknął się jakąś godzinę później.

Musiałem się zdrzemnąć. Obudziło mnie płaczliwe pojękiwanie przypominające miauczenie bezpańskiego kota, który próbuje wprosić się do domu.

To był Dennis.

Nie mógł mówić.

To, co zostało z jego języka, pokrywały szwy.

A usta miał pełne waty.

- Nic nie mów, Dennis. Mam dla ciebie kiepskie wieści, ale mogło być gorzej.

Otworzył szeroko oczy - były zaczerwienione i spuchnięte. Wyglądał jak Chińczyk.

- Boli cię? Pokiwaj głową, jeżeli cię boli, Dennis. Jeżeli wciśniesz ten mały guziczek przy kropłówe, dostaniesz dodatkową dawkę morfiny.

Nie przestawał się we mnie wpatrywać. Znowu spróbował coś powiedzieć.

- Ten, kto cię zaatakował, obciął ci język, Dennis. Nie cały, ale sporą część. Nie jestem pewien, co to oznacza, jeśli chodzi o... mówienie. Nie wiem. Rozumiesz?

Nie odpowiedział.

Zaczął się rozglądać, jakby czegoś szukał.

- Pamiętasz, co się stało, Dennis? Pamiętasz, kto cię napadł?

Teraz szukał czegoś innego - swojego języka. Przelykał gwałtownie, próbując go znaleźć, a potem wkładał do ust drżące palce, próbując dotknąć czegoś, czego tam już nie było. Płakał.

- Nie wkładaj tam palców, Dennis, masz założone szwy.

Zamknął oczy, jęknął i walnął głową o poduszkę.

Wyjrzałem przez brudne szpitalne okno. Gałąź jakiegoś drzewa stuknęła o szybę, jakby próbując dostać się do środka.

Poczekalem, az Dennis sie uspokoil i przestal uderzac glową o lozko.

- Czy moglybys pisac na kartce odpowiedzi na moje pytania?
Wpatrywales sie w sufit.

- Tylko kilka pytan, Dennis.

Na nocnym stoliku lezal ogryziony olowek. Podnioslem go i wlozylem mu do reki. Nie chwycil go zdecydowanie, ale tez i nie upuscil. W korytarzu znalazlem porzucony numer „Oregonian”. Wydarlem z niego calostronicowa reklame najlepszego w Oregonie dealera uzywanych samochodow i wlozylem do jego drugiej reki.

Wlepil w nia swoje puste spojrzenie i zapisal cos nierownymi, dziecinnymi kulfonami.

„Dlaczego?”

- Nie wiem, Dennis.

„Dlaczego?”, powtorzyl.

„Dlaczego... dlaczego... dlaczego...” wciąz od nowa jak dziecko, ktore nie przestanie, dopoki nie dostanie odpowiedzi: dlaczego niebo jest niebieskie... dlaczego ptaki lataja... Dlaczego ktos odcial moj pieprzony język?

- Jak wygladal czlowiek, ktory ci to zrobil?

Pokrecil glową. Przycisnal magiczny przycisk na kroplońce z morfina.

- Czy wygladal dziwnie? Jak gdyby nie mial rysow twarzy?

Zamrugal przymkniętymi oczami.

„Śpiący”, nabazgral.

- Czy tak wygladal, Dennis?

„Śpiący”.

- Jasne, to morfina.

Zapytalem jeszcze raz, ale tym razem nawet nie staral sie odpowiedziec.

Odplywal. Patrzylem, jak zasypia. A raczej jak próbuje zasnąć.

Powieki opadały mii powoli, a potem nagle otwierał szeroko oczy, jak gdyby zobaczył coś, co przeraziło go na śmierć. Łazienkę i hydraulika zbliżającego się z kawałkiem szkła.

Po chwili znowu podniósł ołówek.

„Opowiedz mi coś”, napisał.

- Co?

„Bajkę na dobranoc”.

- Nie znam żadnych bajek na dobranoc, Dennis.

„Śpiący”.

- Dobrze, w takim razie prześpij się.

„Boję się. Opowiedz”.

- Słuchaj, Dennis...

„Mamo”.

- Twoja mama jest w Iowa. Ja jestem Tom. Jesteś w szpitalu.

„Bajkę”.

- Nie znam żadnych bajek, Dennis.

- No dalej, człowieku, opowiedz mu bajkę. - Żołnierz się obudził i dołączył do Dennisa. - Biedak nie ma języka. Nie znasz żadnej bajki na dobranoc?

- Nie.

- Daj spokój, a o Czerwonym Kapturku? Każdy to zna.

Dennis otworzył oczy i utkwiał we mnie wzrok.

- No dobrze - powiedziałem. - Znam jedną historyjkę.

Prawdziwą.

- Dawaj - powiedział żołnierz.

- To historyjka o duchach.

- Myślałem, że miała być prawdziwa.

- Bo jest.

- Słyszałeś, Dennis? Prawdziwa historia o duchach.

- Byli sobie ci ludzie - zacząłem. - Ci lekarze...

- Kiedy? - przerwał mi żołnierz. - Kiedy sobie byli? Teraz?

- Nie - odpowiedziałem. - Nie teraz, w 1945.

ROZDZIAŁ 42

Pierwszego dnia po przyjeździe zebrali się w świątyni Gokoku.

Trochę dlatego że wszystko obrosło już w legendę. Nie zaskoczyło ich to: kiedy świat opanowały czary, nie można się obejść bez bożków i totemów.

Wpatrywali się w granitowe nagrobki i byli przekonani, że widzą cienie wypalone w kamieniu. Rzeczywiście, jeśli się zmrużyło oczy i patrzyło wystarczająco długo, w odpowiednim świetle można było zobaczyć cienie ludzi.

Duchów.

Były też inne cienie. Na dachu siedziby Izby Handlowej, odbite na wieży budynku Kompanii Energetycznej Chugoku i dwa na jedynej ocalałej ścianie świątyni. To właśnie cienie na nagrobkach zawładnęły wyobraźnią na skalę masową. Dlaczego nie? Ta wyobraźnia została wypaczona, przekroczyła dotychczasowe granice pojmowania.

Miesiąc wcześniej to miasto było tętniącym życiem ośrodkiem wojskowym i przemysłowym zamieszkanym przez trzysetna tysięcy ludzi.

Teraz pozostało w nim sześć budynków.

To, czego od razu nie zmiotła fala uderzeniowa, pochłonął ogień. Liczba mieszkańców zmalała o dwie trzecie - nie od razu, lecz w kolejnych, przerażających etapach, które dopiero teraz dawały znać o sobie, chociaż ciągle jeszcze nie pozwalały się do końca zrozumieć.

Stanęli oko w oko z czarną magią czy może raczej na skraju przepaści, bo przed nimi rozciągała się otchłań - próżnia w ówczesnym stanie wiedzy.

Przyjechali, aby ją wypełnić.

Niektórzy byli wcześniej w Nowym Meksyku, gdzie przyglądali się nieufnie technikom, naukowcom i robotnikom bezpośrednio zaangażowanym w prace nad czymś, co nazwano kryptonitem, czyniąc w ten sposób ponurą aluzję do pierwiastka zdolnego pokonać samego Supermana. Wszyscy już wiedzieli, że rzecz jest podstępna. Pozostawało tylko pytanie, jak bardzo.

Oni tymczasem uważali się za zaklinaczy węży próbujących uspić kobrę, którą Oppenheimer i inni wywabili z koszyka. Tańczyli wokół niej z nadzieją, że ich nie ukąsi.

A może to, z czym mieli do czynienia, bardziej przypominało smoka niż kobrę? Entuzjaści, którzy montowali materiał rozszczepialny w pancerzu bomby, nazywali swoje zajęcie łaskotaniem smoka. Mieli nadzieję, że się nie poparzą, ale jednemu to się przytrafiło - fizykowi o nazwisku Louis Fruton, którego w 1945 roku niespodziewany radioaktywny wybuch ugotował na śmierć.

Kiedy zdetonowali Trinity w punkcie zero, o świcie na niebie rozbłysło miniaturowe słońce, dwa tysiące razy gorętsze niż to, dookoła którego krąży Ziemia. Siedmiotonowa wieża, na której zamocowano bombę, wyparowała. Ziarenka piasku zeszkliły się pod wpływem temperatury. Pierwsza w historii chmura w kształcie grzyba uniosła się do nieba i przyprószyła białym śniegiem miniaturowe postacie wojskowych na dole.

Druuga w historii chmura w kształcie grzyba pojawiła się

trzy tygodnie później nad ośrodkiem wojskowym i przemysłowym, jakim była Hiroszima.

Wąż wydostał się z kosza, jego jad krążył już we krwi.

Najpierw zebrali się na Okinawie - lekarze wojskowi z Los Alamos, z Wojskowego Centrum Medycznego im. Waltera Reeda, szpitala w Rochester, a nawet kilku z kliniki Mayo. Porównywali notatki i wertowali istniejącą literaturę. Nie było tego wiele, a informacje, którymi dysponowali, były załóżniczo fragmentaryczne. Czekali.

Wojna skończyła się 13 sierpnia, ale do Japonii pozwolono im wjechać dopiero pod koniec września. Czekano tam na nich laboratorium o powierzchni dwudziestu siedmiu kilometrów kwadratowych, a w nim sto sześćdziesiąt tysięcy żywych zwłok do poszturchiwania, macania, prześwietlania, opisywania i analizowania. Przede wszystkim zaś do poddawania obserwacji.

Byli jak biolodzy, którzy badają nieznaną dotąd gatunki.

Pierwszych na świecie ludzi, którzy przeżyli.

Jako lekarze widywali już ludzkie ciała uszkodzone na różne sposoby - przez pociski, noże, szrapnele, gazy, trucizny. Tym razem chodziło o coś innego - ciała zbombardowane neutronami, cząstkami beta i promieniami gamma.

Skutki dało się podzielić na trzy wyraźne fazy.

Pierwsza obejmowała zgony, które nastąpiły kilka godzin lub dni po eksplozji.

W tym przypadku trzeba było polegać na obserwacjach zdumionych japońskich lekarzy. Ludzie, którzy z pozoru nie byli ranni, umierali w tajemniczy sposób: w łóżku, podczas jazdy rowerem, upadali na ulicy. Lekarze domyślali się, że promieniowanie gamma spustoszyło ich ciała, niszcząc ściany komórek.

Druga faza ujawniła się jakieś dwa tygodnie po napromieniowaniu.

Ludziom wypadły włosy, dręczyła ich silna biegunka, niekontrolowane dreszcze i napady ponad czterdziestostopniowej

gorączki. Odnotowywano u nich spadek liczby białych krwinek, krwawiły im dziąsła, a otwarte rany zaogniały się i nie chciały goić. Większość tych, u których pojawiły się objawy drugiej fazy choroby popromiennej, umierała.

Nie było im dane doczekać trzeciej fazy, w której organizm próbował walczyć, gdy białe krwinki mnożyły się gwałtownie, aby sprostać wewnętrznemu wyniszczeniu. Wdawały się infekcje, głównie płuc. Atakowały i przechodziły, ciągnęły się, a potem ustępowały, oszczędzały jednych, zabierając drugich.

Była też oczywiście faza czwarta.

To o niej wciąż debatowali, szepotali i rozmyślali pobudzeni naparstkami ciepłej sake, niezłej japońskiej gorzałki, faza, na temat której mogli tylko snuć domysły, ponieważ miała się ujawnić dopiero po latach.

Co potem?

Kiedy odbudowano miasto, kiedy na nagrobkach i na ścianie świątyni wyblakły cienie, kiedy wszyscy wrócili już do domu. Co było dalej?

Mogli tylko zgadywać.

Pojawiły się pierwsze oznaki mutacji genetycznych. Promieniowanie utrzymywało się nie tylko w powietrzu, ale również we krwi.

Obserwowali narodziny dzieci tych, którzy przeżyli.

Noworodki ze zdeformowanymi rękami, bez palców, z rozszczepionymi językami lub z mongolizmem, chociaż tak naprawdę trudno było go stwierdzić u żółtych dzieci, które zawsze wyglądały, jak gdyby miały mongolizm. Potem były przypadki białaczki, zagadkowych, śmiertelnych chorób krwi.

Zaczęła się tymczasowa nieoficjalna kwarantanna.

Sami Japończycy zaczęli unikać ofiar bomby atomowej, które w bolesny sposób przypominały im o narodowej hańbie. Jak gdyby ci poparzeni, pokryci bliznami i zniekształceni ludzie przywodzili na myśl stan ich własnego okaleczonego kraju. Hiroszima i Nagasaki leżały w gruzach, a całe dzielnice

Tokio zamieniły się w zgłiszcza zrujnowane zrzuconymi przez B-29 bombami zapalającymi.

Ci, którzy ocalili - zwani hibakusha - nie byli zdolni do pracy. Ciągłe chorowali i brali wolne. Umierali. Nieprzyjemnie było na nich patrzeć.

Nikt nie narzekał, kiedy wojskowi lekarze odizolowali część ocalałych - jeśli w ogóle można było o tych ludziach powiedzieć, że ocalili. Byli napiętnowani, zatruci, więc zepchnięto ich poza nawias społeczeństwa. „Tak będzie lepiej i dla nas, i dla nich”, myśleli lekarze.

Dzięki temu mogli z bliska obserwować ofiary. Rosły szanse utrzymania ich przy życiu. W każdym razie niektórych. Pobierali im krew, prześwietlali kości, badali stolec. Podczas sekcji zwłok zbierali się gorliwie wokół stołów ciekawi, co zobaczą.

Powoli, tu i tam, zaczęli eksperymentować.

Z początku tylko na ledwie trzymających się przy życiu. Na tych, którzy byli jedną nogą w grobie. Testowano na nich określoną dietę albo całkowicie odmawiano im pożywienia. Bombardowano ich promieniami rentgena, żeby się przekonać, czy można pokonać wroga jego własną bronią.

Wiedzieli, że ta wiedza będzie potrzebna ich krajowi.

Wojna wprawdzie się skończyła, ale pojawił się nowy wróg. Japończycy się ugięli i już kierowali swój nacjonalistyczny zapal na odbudowę gospodarki. Czego nie dalo się powiedzieć o dawnym sojuszniku Ameryki. Sowiecki niedźwiedź wydawał głośnie pomruki, pożerając Europę Wschodnią i szykując się do skoku na resztę kontynentu, kiedy tylko pojawi się choćby cień takiej szansy.

Nikt nie miał złudzeń.

Hiroszima i Nagasaki to tylko pierwsze salwy w wojnie nowego rodzaju.

Która na razie była zimna, ale w każdej chwili mogło zrobić się gorąco.

Należało się dowiedzieć, co zrobić, kiedy dym opadnie, a dała milionów ofiar - bo byłyby ich miliony - zostaną zabrane z ruin.

Potrzebowali odpowiedzi.

Stali się niewrażliwi. To nie było trudne, zważywszy, że mieli do czynienia z ludźmi, którzy zadali nam cios w plecy w Pearl Harbor i zasiali półwysep Bataan ciałami amerykańskich żołnierzy.

Jeśli postępowali ze swoimi pacjentami w sposób zimny i wyrachowany, jeśli zaczęli traktować ich jak króliki doświadczalne, a nie żywe, czujące istoty ludzkie, to było zrozumiałe. Robili to dla dobra kraju. Dla rozwoju nauki.

Takie eksperymenty mogą się wydawać sprzeczne z amerykańskimi idealami.

Ale nie wtedy, gdy patrzy się perspektywicznie. Nie wtedy. Zaslugiwali na medale.

Dzięki ich badaniom miały powstać procedury, podręczniki przetrwania w epoce nuklearnej.

Nawet gdy lekarze wrócili już do domu i oficjalnie zakończył się program badań w Hiroszimie, eksperymenty trwały.

Specjalne rozkazy biegły specjalnymi kanałami do specjalnych miejsc.

Tym razem królikami doświadczalnymi nie byli ludzie z dalekiego kraju.

Nie.

Znaleziono króliki bliżej domu.

Byli nimi na przykład niezrównoważeni emocjonalnie chłopcy z domu dziecka w Rochester.

Lekarze założyli tam chłopięcy „klub naukowy”.

Wszyscy chcieli do niego należeć.

W końcu poza wyplataniem koszy nie mieli zbyt wiele do roboty. Tyle że w rzeczywistości nie wszyscy chłopcy byli niezrównoważeni. Niektórzy zostali porzuceni przez niezdolnych ich utrzymać rodziców. W klubie naukowym mogli grać w baseball. Dostali prawdziwe piłki, skórzane rękawice i kije.

Dawano im coś jeszcze.

Owsiankę zaprawioną radioaktywnymi izotopami.

Codziennie na śniadanie.

Każdy musiał zjeść owsiankę do końca, jeśli chciał zostać w klubie. Bez wyjątku.

Były jeszcze ciężarne kobiety w szpitalu uniwersyteckim Vanderbilta.

Te, którym podawano specjalny „koktajl”.

„Co jest w środku?”, pytały kobiety w pierwszym, piątym, dziewiątym miesiącu ciąży.

„Witaminy - mówiono im. - Witaminy, które wzmocnią ciebie i twoje dziecko”.

W tych koktajlach nie było żadnych witamin.

Tylko promieniowanie wycelowane prosto w ich potomstwo.

„Wypij to”.

I był jeszcze pewien szpital na zachodzie.

Marymount Central.

Gdzie trzystu dwudziestu wybranym pacjentom podawano dożylnie pluton.

Niektórzy mieli raka.

Niektórzy nie mieli.

Niektórzy byli umierający.

Ale większość nie.

To nie miało znaczenia.

I tak wszyscy byli skazani na śmierć.

Wówczas lekarze wojskowi należeli już do nowo powstałej Komisji Energii Atomowej, którą potem włączono do Departamentu Energii. Tego samego, którego dyrektor wiele lat później przeprosił za „chore działania”. Ale dla tych lekarzy otrzymany w czasie wojny przydomek stanowił tajną odznakę honorową. Jeszcze pięćdziesiąt lat później mówili o sobie, używając trzech cyfr.

„499” - odpowiadali zapytani, w którym pułku służyli.

W 499. Batalionie Medycznym.

ROZDZIAŁ 43

Wjechałem windą na najwyższe piętro.

To z kratami w oknach.

Gdy tylko otworzyły się drzwi, poczułem to. Powietrze wydawało się gęste, aż ciężko było oddychać. Czułem się, jakbym szedł z ciężarkami przy kostkach.

Może sprawiały to grube metalowe drzwi do holu, chociaż hol to chyba za dużo powiedziane, ponieważ pomieszczenie nie wydawało się służyć żadnemu wyraźnemu celowi. Nie było krzeseł ani recepcji, tylko pusta przestrzeń pomiędzy windą i zamkniętymi drzwiami. Na ścianie wisiał interkom.

Zadzwońiłem.

Za metalową kratką w drzwiach pojawiła się jakaś twarz.

Wiem, to brzmi jak sen, który ktoś z trudem sobie przypomina. I tak się właśnie wtedy czułem. Było już po północy, kilka pięter niżej spał odurzony morfiną Dennis.

Zza zamkniętych drzwi dochodziły niezliczone szepty, jak gdyby to była wieża Babel, gdzie w tłumie ludzi każdy mówi własnym językiem zrozumiałym tylko dla niego samego.

- Taa?

Głos należał do czarnego mężczyzny, który gapił się na mnie przez siatkę. Widziałem głównie białka jego oczu.

- Jestem detektyw Wolfe - powiedziałem i machnąłem swoim portfelem w nadziei, że zza siatki jego zawartość będzie równie słabo widoczna jak twarz człowieka po drugiej stronie.

- Tak?

- Przywieziono dziś byłego pacjenta. Został napadnięty na stacji benzynowej niedaleko stąd, pewnie pan o tym słyszał?

- Nie.

- Był pacjentem tutejszego oddziału psychiatrycznego. Dennis Flaherty.

- A, tak, Dennis. Coś słyszałem. Wydłubali mu oczy, co?

- Obcięli język.

- Aha.

- Jest w dość kiepskim stanie. Ten, kto to zrobił, przy okazji zabił sprzedawcę na stacji benzynowej.

- Uhm. Tak?

- Chciałbym się rozejrzeć, jeśli to możliwe.

- Tutaj?

- Tak jest.

- Po co?

- Major DeCola powiedział, że nie ma problemu.

- Jaki major?

- DeCola.

- On jest lekarzem na dole, na...

- Chirurgii.

- Aha. On nie jest psychiatrą. Więc...

- Powiedział, że nie ma problemu.

- Taak. Cóż, mówię tylko...

- Jest majorem - powiedziałem.

- Cholera. No dobrze.

Magiczne słowa.

Drzwi otwierały się elektronicznie - a przynajmniej powinny. Czarnoskóry mężczyzna, który przedstawił się jako Rainey, musiał je w końcu pchnąć.

- Wszystko się tutaj rozpada na pieprzone kawałki - powiedział Rainey.

Może ucieczka wcale nie była dla Dennisa taka trudna, pomyślałem. Może wystarczyło pchnąć drzwi i wiać.

Za drzwiami było małe biurko ze składanym krzesłem, jak się domyśliłem stanowisko Raineya.

Na rozłożonej równiutko jak serwetka gazecie stał styropianowy kubek. Samo pomieszczenie było wielkości toalety z dwiema kabinami. Zapach też był podobny: zwiędzłego moczu i męskiego potu. Zapach zamknięcia.

- Znał pan Dennisa? - zapytałem.

- Tutaj nikogo się nie zna, człowieku. Nie chcesz nikogo znać. Większość z nich nie wie nawet, jak się nazywa.

- On wiedział, jak trafić do wyjścia, prawda?

Rainey zachichotał.

- Jasne, Dennis prysnął.

- Zanim uciekł, napchał sobie kieszenie prochami. Na którym pięttrze przechowuje się leki?

- Nie na tym.

Naprzeciwko drzwi, którymi wszedłem, były jeszcze jedne. Jak się domyśliłem, prowadziły na oddział. Do wariatkowa.

- Mogę zobaczyć pokój Dennisa?

- To tylko łóżko, człowieku.

- Jasne. Wszystko jedno.

Wzruszył ramionami, podrapał się po głowie i powiedział:

- Pan jest szefem.

Odnalazł klucz i włożył go do zamka. Drzwi się otworzyły.

Spodziewałem się czegoś gorszego.

To wyglądało jak internat w starej szkole dla chłopców. No dobrze, w starej szkole dla starych chłopców. A jednak byłem zaskoczony. Zwyczajny korytarz z normalnie wyglądającymi drzwiami, które prowadziły do normalnych pokoi z rzędami łóżek.

Kiedy stanęliśmy w drzwiach dawnego pokoju Dennisa, Rainey przyłożył palec do ust.

- Nie hałasuj.

Wątpię, czy moglibyśmy tam komukolwiek przeszkodzić. Pacjenci wiercili się, obracali, mamrotali we śnie. Niektórzy wyglądali, jak gdyby spali z otwartymi oczami.

- Które łóżko należało do Dennisa?

- Zobaczymy... - wyszeptał Rainey. - Tamto. - Wskazał na koniec pokoju. - Chciał być przy oknie, żeby widzieć niebo. Może to z przyzwyczajenia do życia na ulicy.

- Może.

- To tylko puste łóżko, mówiłem.

- Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Patrzy pan na nie.

- Chciałbym popatrzeć z bliska.

Rainey wzruszył ramionami.

Przeszliśmy środkiem wzdłuż mamroczących, poruszających się postaci po obu stronach pokoju. Zapach był tu gorszy - kwaśny, przypominający leki.

Cienkie promyki platynowego światła księżycowego rozlewały się na drewnianej podłodze. Prawie się potknąłem o czyjś but.

- To? - zapytałem. Było to ostatnie łóżko, dokładnie pod oknem. Siatka w oknie cięła światło księżycyca na małe równiutkie kwadraty.

- Uhm.

Łóżko było pościelone po wojskowemu, szary koc równo naciągnięty, idealnie gładkie rogi. Nad łóżkiem wisiała drewniana półka, ale nic na niej nie leżało.

Usiadłem, próbując sobie wyobrazić, jak to było mieszkać tutaj, wśród innych niezrównoważonych ludzi, którzy kiedyś nosili broń.

- A co z tamtym? - zapytałem.

Chodziło mi o łóżko stojące naprzeciwko posłania Dennisa. Były to jedyne puste łóżka w pokoju.

- Tamto? - powtórzył Rainey. - A, tamto było Benjy'ego.

ROZDZIAŁ 44

Na półce Benjamina wciąż leżały jego rzeczy.

Stare książki, głównie elementarze, podręczniki, komiksy - przedmioty, które rodzice zwykle zamykają w skrzyni na strychu. Tylko że w szpitalu dla weteranów nie było żadnych skrzyń, zdecydowanie nie było strychów ani kochających rodziców, którzy przechowują pamiątki z dzieciństwa.

- Był czarny - powiedziałem. - Benjamin był czarny.

- Czarny jak ja - odparł Rainey. - Dlaczego pan się nim interesuje?

- On też prysnął, prawda? Dennis nie był jedynym, który znał drogę do wyjścia.

Rainey pokiwał głową.

- Myślę, że zabrał ze sobą coś z rzeczy Dennisa - powiedziałem.

- Aha.

- Jak długo Benjy był w tym szpitalu?

Rainey uśmiechnął się.

- Cholera, kto wie? Dostał dożywocie, człowieku.

- Dożywocie, jasne. Ale Benjy nie był weteranem, prawda?

- To przecież szpital dla weteranów, tak?

- Tak, ale może nie zawsze nim był.

- Nie pomogę panu, to nie było za moich czasów. Wiem tylko, że biedny głupek był tutaj od zawsze.

- Był głupkiem?

- Cholera, trafił tutaj, prawda? Oczywiście, że był głupkiem.

- Rozmawiał pan z nim kiedykolwiek?

- O czym?

- O czymkolwiek. O pogodzie, o rozgrywkach, o cenach benzyny?

- Hej, mówiłem już. Nie chcesz znać nikogo z tych ludzi. Skoro tu trafiają, nie mają mózgu. Są stuknięci jak Dennis. Benjy gadał do siebie.

- Czy brał leki? Jak Dennis?

- We wszystkich kolorach tęczy, człowieku.

- Taa. Może dlatego do siebie gadał.

Rainey wzruszył ramionami.

- Myślę, że Benjy nie był głupkiem - powiedziałem. - Ale chyba był biedny. Kiedy się stąd wydostał?

- Nie wiem, jakiś czas temu. Przed Dennisem.

- Jasne, przed Dennisem. Przyjaźnili się, Dennis i on? Trzymali się razem?

Rainey pokręcił głową.

- Mówiłem panu, Benjy dostał dożywocie. Dożywotni trzymają się z boku. Dennis był świeży, prosto z ulicy.

- Czy pozwalacie pacjentom zachować swoje portfele?

- Czasami. Pozwalamy im zatrzymać trochę drobnych, wie pan, na słodycze i takie tam. Niektórzy trzymają w portfelach zdjęcia - żon, dzieci. Więc dlaczego nie?

- Czy miewają czasem przy sobie więcej niż trochę drobnych?

- Cóż, nie powinni.

- Tak, ale czy to się zdarza?

- Jasne. Chyba tak. Ludzie ich odwiedzają, przysyłają różne rzeczy. Oni grają w pokera - powinni grać na zapalki, ale wiadomo to?

- Tak, jasne. Więc może się zdarzyć, że od czasu do czasu w tych portfelach znajduje się coś więcej niż zdjęcia i drobne na słodczyce.

- No tak, pewnie.

- Czy Dennis grywał w pokera?

- Chyba tak. Dlaczego?

- Jego portfel wylądował w kieszeni Benjy'ego. Zastanawiałem się, czy było w nim dużo pieniędzy. Głupek czy nie, wiedział, że będzie potrzebował gotówki, żeby dostać się stąd tam.

- A gdzie jest tam?

- W Kalifornii. Pojechał odwiedzić mamę.

- Ach, tak? Skąd pan to wie?

- Miał wypadek niedługo po tym, jak u niej był.

- Samochodowy?

- Nie, nie sądzę.

- Jaki wypadek?

- Śmiertelny.

- Tak? Kiepska sprawa.

Mówiliśmy szeptem, ale zauważyłem, że jedna czy dwie głowy uniosły się z pościeli jak duchy.

- Gdzie jest historia choroby Benjy'ego?

- Chyba na dole, w archiwum.

- Gdzie to jest?

- Na czwartym. Wydostał się stąd tylko po to, żeby odwiedzić mamę, co?

- Cóż... nie widział jej pięćdziesiąt lat.

- Hm? Dlaczego?

- Nie wiedział, że ona żyje.

- Przez pięćdziesiąt lat? Jak to możliwe?

- Bardzo prosto. Powiedzieli mu, że ona nie żyje.

- A dlaczego ona nie przyjechała go odwiedzić?
- Bo powiedzieli jej, że on nie żyje.
- Jacy oni?
- Czy na tym oddziale jest telewizor?
- Uhm. Oglądają opery mydlane i tych trzech wsioków na motorach na Discovery.
- Co jeszcze lubią?
- Golfa. Szeptanie ich uspokaja.
- A poranne programy na NBC? Oglądają je czasami?
- Czasami, jasne.

Zacząłem zbierać zakurzone książki z dawnej półki Benjy-
'ego.

- Proszę się nie martwić, zwrócę je - powiedziałem, chociaż Raineya chyba to nie obchodziło.

- Hej - powiedział Rainey. - Skoro myślał, że jego mama nie żyje, to jak się dowiedział, że to nieprawda?

- Ktoś mu powiedział.

„Belinda była naszą miejscową znakomitością - powiedział pan Birdwell. - Znasz tego gościa od pogody na NBC, Willarda, jak on się nazywa, Scotta, który składa życzenia urodzinowe stulatom z całego kraju? Pokazał zdjęcie Belindy kilka tygodni temu”.

- Musiał ją zobaczyć, zanim umrze, co? - powiedział Rainey, pozwalając sobie zaledwie na cień wrażliwości w głosie.

- Tak. I zanim ona umrze.

- To mile.

Usiadłem na łóżku Benjamina Washingtona. Próbowałem sobie wyobrazić ten wyjątkowy poranek. Najpierw śniadanie mistrzów: OJ, zyprexa, haldol i seroquel, potem zamulony człapie do sali telewizyjnej na program z Katie Couric i spółką. W końcu pojawia się ten pulchny facet od pogody z kiepskim tupecikiem na głowie i mówi: „Życmy wszystkiego najlepszego Belindzie Washington z Littleton w Kalifornii. Kończy sto lat. Wszystkiego najlepszego, Belindo”.

No i proszę.

- Czy wiedział pan, że był wykastrowany? - szepnąłem do Raineya.

- Uhm, jasne. Widziałem go pod prysznicem.

- Czy wie pan dlaczego?

Rainey wzruszył ramionami.

- Myślałem, że to obrażenia wojenne. Niejednemu tutaj sporo brakuje, nie tylko piątej klepki.

- Benjamin Washington był cywilem.

- Benjamin jaki?

- Washington.

- Uhm. Briscoe. Nazywał się Benjamin Lee Briscoe.

- Jest pan pewien?

- Eee, zmyślam. Jasne, że jestem pewien. Może myli go pan z kimś innym, co?

No dobrze, coś było nie tak. Nie mogło być mowy o pomyłce, jednak to nazwisko wydawało się dziwnie znajome.

Briscoe.

Przejrzałem elementarz Benjy'ego. Podróż przez alfabet. Na którymś etapie ktoś próbował go czegoś nauczyć. Na okładce nabazgrał swoje imię: Benjamin, lat 9.

- Jak się stąd wydostał, Rainey? Powiedział pan, że był odużony lekami.

- Eee, mówiłem, że do siebie gadał. To pan powiedział, że to przez leki.

- Założę się, że przestał je brać. Może udawał, że je polyka, ale potem wypluwał. Na pewno chciał mieć jasność umysłu.

- Pan tak twierdzi. To właśnie zrobił Dennis?

- Nie.

Obudziłem Dennisa.

Miał senny wzrok, był spokojny, jakby wrócił skądś, gdzie nadal miał swój język i mógł czytać na głos tablice rejestracyjne, ile dusza zapagnie.

- Dennis - powiedziałem. - Posłuchaj tylko i kiwaj głową, dobrze? Tak albo nie, dobrze Dennis?

Pokiwał, że tak.

- Zamieniłeś się. W ten sposób twój portfel trafił do kogoś innego.

Gapił się na mnie.

- On nazywał się Benjamin. Zamierzał się stąd wydostać, uciec. Pamiętasz?

Brak odpowiedzi.

- Może to on podsunął ci ten sam pomysł. Benjamin nie potrzebował swoich leków, nie chciał ich. Ale ty ich potrzebowałeś. Miałeś w portfelu trochę pieniędzy, może jakieś dokumenty. Benjamin potrzebował jednego i drugiego. Był duchem. Nie miał tożsamości. A przecież w końcu wychodził na zewnątrz.

Dennis gapił się na mnie.

- Wymieniłeś swój portfel na jego leki we wszystkich kolorach tęczy. Dlatego czarnoskóry człowiek, który spłonął w samochodzie w Kalifornii, miał w kieszeni twój portfel.

Dennis zamrugał.

- Wiem, że nic nie pamiętasz. Wiem, że to wszystko zasłania jakaś pieprzona mgła. Ale spróbuj sobie przypomnieć.

Tylko spróbuj. Tak czy nie?

Pokiwał głową.

Tak.

ROZDZIAŁ 45

Zabrałem pamiątki po smutnym życiu Benjamina do ciemnej i pustej poczekalni.

Kupiłem w automacie kubek błotnistej kawy i usiadłem przy stoliku.

Otworzyłem elementarz. Benjamin, lat 9.

Na każdej stronie była jedna litera. Na pierwszej A, na drugiej B, na trzeciej C i tak dalej.

Benjamin przepisał dziesięć razy każdą literę - dużą i małą. A potem zaczynające się od tej litery słowo.

Słowem na „A” było „Ala”.

A potem obrazek - prymitywnie narysowana kredką dziewczynka.

Następnie „Ala” pojawiła się w prostym zdaniu.

„Lubię Alę”, napisał Benjamin składnią dziewięciolatka, z której nigdy nie wyrósł.

„Wszyskiego najlepszego z okazji setnych urodzin.

Sto uścisków”.

Trudno jest z czegokolwiek wyrosnąć, jeśli się jest faszerywanym ogłupiaczami.

Słowem na „B” był „but”.

Narysowany przez Benjamina but znajdował się na nodze małego czarnego stracha na wróble stojącego obok łóżka do złudzenia przypominającego to, które właśnie widziałem na oddziale. Było jego dziecięcą wizją. Nawet koc był tego samego koloru.

„Chodzę w butach”.

Tyle udało mu się osiągnąć przez pięćdziesiąt lat, aż pewnego dnia zobaczył w telewizji swoją mamę, która, jak mu powiedziano, zginęła w powodzi razem z innymi. I wtedy się obudził.

Przejrzałem kolejne strony.

„Cebula”.

„Dom”.

„Ekran”.

„Foka”.

„Guzik”.

„Hak”.

„Indyk”.

„Jajo”.

A potem strona z literką „K”.

Wpatrywałem się w to słowo, które wcale nie pasowało do dziecięcego elementarza.

Nie.

Widziałem już to słowo.

Kiedy z pękniętej ramki na zdjęcie wypadł złożony liścik i wyszeptał: chodź za mną.

Widzisz, Rainey, mówiłem o właściwym facecie.

Obrazek przedstawiał ulicę pełną patykowatych postaci, którym z oczu tryskały łzy. Ich cienkie tyczkowate ręce były wyciągnięte do góry w geście dziecięcego przerażenia. Dlaczego? Nad nimi czaił się niebieski olbrzym z zakrzywionym nożem ociekającym dużymi czerwonymi kroplami krwi.

Wpatrywałem się w to zdanie.

„Mieszkam Kara Bolka”.

„K” jak „Kara Bolka”.

To dlatego nigdy nie mogłem jej znaleźć. Mogłem wertować spisy telefonów do końca świata i niczego nie znaleźć.

„Pozdrawia Cię Kara Bolka”.

Kara Bolka to nie kobieta.

To było miejsce.

ROZDZIAŁ 46

- Baczość.

W ten sposób żołnierz z bliznami od szrapnela poinformował mnie, że chyba powinienem się obudzić. Że mam gości.

Tymczasem to ja wciąż byłem gościem - w miejscu, w którym małe dzieci kulily się z przerażenia przed niebieskim olbrzymem z zakrwawionym nożem. Otwarcie oczu i skupienie się na tym, co widzę, stanowiło niemały problem.

Kiedy w końcu sobie z nim poradziłem, zobaczyłem detektywa Wolfe'a. Stał w towarzystwie jakiegoś nowego współpracownika, który nie wyglądał na policjanta. Coś wisiało w powietrzu.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Może nie taki znowu dobry - odparł Wolfe. - Przedstawił się pan jako reporter, ale pan nie jest jakimś tam reporterem, panie Valle.

Dennis też się obudził. W kącikach ust miał zaschniętą krew.

- Był pan sławny - ciągnął detektyw. - Nie powiedział mi pan, że był pan sławny.

Drugi mężczyzna wysunął krzesło i postawił na nim stopę, opierając ramiona o kolano. Wprawdzie pytania zadawał detektyw Wolfe, ale jego nowy partner najwyraźniej był głównym słuchaczem moich odpowiedzi.

- Miałem swoje pięć minut - odpowiedziałem.

- Jest pan skromny - powiedział Wolfe.

- Nie. Chyba nie.

- Daj spokój, Tom. Pięćdziesiąt sześć artykułów? To niezły wyczyn. Może trzeba mnie było w to wtajemniczyć.

- Dlaczego? To nie miało nic wspólnego z napadem na Denisa na stacji benzynowej.

- Nie? Chodzi mi o to, że przez ten twój cholerny zwyczaj łgania w żywe oczy można cię zaliczyć do mało wiarygodnych świadków.

- Skończyłem z tym. Od ponad roku znowu pracuję w gazecie.

- Właśnie z niej wylatujesz. Postawili cię do kąta, bo byłeś niegrzeczny. I miało to coś wspólnego z postrzeleniem kogoś.

- Tym kimś miałem być ja. Tylko że tamten chybił.

- Jaki tamten?

- Ten, kto strzelał.

- Jasne. Zachodzi podejrzenie, że strzelał z twojego rewolweru.

- Ukradł go.

- Tak, tak właśnie wszystkim powiedziałeś.

- Bo tak właśnie było. Dlaczego miałbym chcieć, żeby ktoś mnie zastrzelił?

- Może nie chciałeś. Przecież w końcu to nie ty zostałeś postrzelony, ucierpiał ktoś inny.

Drugi mężczyzna od czasu do czasu przymykał oczy i kiwał głową.

- Sęk w tym - ciągnął Wolfe - że do pana Patjy'ego również strzelano. Sprawca był na tyle miły, że zostawił łuskę naboju

z trzydziestki ósemki Smith & Wesson. Z takiej samej broni zraniono tego chłopaka w Littleton. Z dokładnie takiej, jaką kupiłeś, o ile mi wiadomo nielegalnie, w sklepie niejakiego Teda.

No dobrze, to było tylko kwestią czasu.

I ten czas minął.

- Mówiłem wam. Spałem w samochodzie. Kiedy się obudziłem, znalazłem Dennisa w łazience.

- Jasne. Lubisz doritos, Tom?

- Niespecjalnie.

- Ktoś lubił. Zostawił odciski palców na obu paczkach, które upuścił, wychodząc.

Nie odpowiedziałem.

- W Nowym Jorku, kiedy cię aresztowano za... co to było? Włamanie, celowe zniszczenie własności i stek zasranych kłamstw - po tym wszystkim sąd orzekł, że masz się poddać terapii. To była twoja przepustka na wolność, prawda?

- Nie groziło mi więzienie. Nie byłem wcześniej karany.

Drugi mężczyzna zmrużył oczy i zmarszczył brwi w zamysleniu.

- Pytam, czy sąd uznał, że masz problemy psychiczne.

- Miałem problemy. Ale raczej nie określiłbym ich jako psychiczne.

- A jak byś je określił?

- Chciałem być najlepszy. Zmyślałem. To był mój problem.

- Teraz to jest mój problem.

- Dlaczego?

- Nie udawaj głupiego. Właśnie ci to wyjaśniłem.

- Ja widzę to inaczej. Nikogo nie zastrzeliłem. Nie obciąłem Dennisowi języka. Zresztą macie okazję sami go o to zapytać. Jest tutaj. Dajcie mu ołówek. Zapytajcie, kto go napadł w łazience. To ten sam człowiek, który zabił pana Patjy'ego. I jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że to ten sam człowiek, który postrzelił mojego praktykanta w Littleton. Śledził nas.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Może zapomniałaś, że zatajenie informacji o morderstwie jest przestępstwem. W każdym razie nadal mamy mały problem.

- Jaki problem?

- Jaki? A taki, że ten twój przyjaciel tutaj, bez obrazu, jest pieprzonym świrem. Co oznacza, że cokolwiek zezna, będzie głównie warte. Czasem się wyłącza, sam to powiedziałaś. Zabija nieistniejące muchy. Co czyni go tylko trochę, ale tylko odrobinę, mniej wiarygodnym od ciebie.

To chyba wyrwało drugiego mężczyznę z zadumy. Skierował wzrok na mnie.

- Nie pomylił pan oddziałów, doktorze? - zapytałem.

Uśmiechnął się.

- Popeliłem jakąś freudowską pomyłkę?

- Tak jakby.

Zwróciłem się do detektywa.

- Jeśli chciał mnie pan poddać psychoanalizie, trzeba było zapytać.

- Naprawdę? A gdybym tak chciał dać ci w nos? Powinienem najpierw zapytać?

- Spokojnie - wtrącił lekarz. - Tylko rozmawiamy.

- Wy sobie rozmawiacie, doktorze - powiedział Wolfe. - A ja mam jednego trupa i jednego weterana, który nie może mówić. Ty nie jesteś weteranem, prawda, Tom?

- Nie, chyba że służba przygotowawcza oficerów rezerwy też się liczy.

- Nie wydaje mi się. To dobrze, bo nie znoszę przymykać weteranów.

- Zamierzacie mnie przymknąć?

- Nie wiem, powinniśmy?

- Odradzam. Nic nie zrobiłem.

- Jasne. Tylko że co innego myślisz, a co innego mówisz. A może po prostu masz nierówno pod sufitem. Czy on ma nierówno pod sufitem, doktorze?

- Nie słyszałem o takim terminie diagnostycznym - odparł lekarz.

- No dobrze, użyję innego. Czy zachowuje się socjopatycznie, schizoidalnie, cierpi na urojenia, paranoję? No i co, doktoru?

- Słuchałem go niecałe pięć minut, to trochę mało. Przepraszam, że mówimy o panu w trzeciej osobie, panie Valle.

- Na litość boską, ile czasu potrzeba na postawienie diagnozy? Nie słuchał pan nigdy opinii biegłego psychiatry? Dwie minuty i po prostu wie, że oskarżony nie odpowiada za swoje czyny.

- Obawiam się, że ekspertyzy sądowe nie są moją mocną stroną.

- Trzeba mieć mocne strony, doktorze. Bez tego ani rusz w dzisiejszych czasach. Weźmy na przykład moje.

- To znaczy? - zapytał lekarz.

- Doprowadzam sprawę do końca. Nawyk żołnierza piechoty. Nie zostawiaj nikogo na polu bitwy. Nikogo. Nigdy. A teraz mam jednego poległego na polu bitwy i jednego rannego. Nie licząc tego tutaj światowej sławy artysty bajkopisarza, który twierdzi, że nic nie zrobił.

- Chce pan znać moje zdanie? - zapytał doktor.

- Jasne.

- On nic nie zrobił.

- A co się stało ze „słuchałem go niecałe pięć minut”?

- Nazwijmy to pierwszym wrażeniem.

To dziwne uczucie, kiedy mówią o człowieku, jakby był nieobecny. Miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie i przetrzeni do sali sądowej w Nowym Jorku i słucham, jak mój prawnik oraz ich prawnik debatują nad moim losem, a ja przez większość czasu siedzę cicho.

- On był w tym sklepie, doktorze. Założę się o sto dolarów, że to jego odciski są na tych doritos - powiedział detektyw Wolfe. - W przeciwnym razie wszedłby do środka i powiedział

Hindusowi, żeby wezwał pogotowie, kiedy znalazł pana Flaherty'ego z odciętym językiem. Ale nie zrobił tego. Więc albo był wcześniej w tym sklepie i zobaczył zamordowanego Hindusa, albo go zamordował.

- A potem odciął język panu Flaherty'emu? Temu, którego odwoził do szpitala na leczenie? - zapytał psychiatra. - Proszę mi wybaczyć, ale moim zdaniem te zdarzenia idą w parze. Zrobił jedno i drugie albo nie zrobił nic.

- Dobrze, w porządku, zrobił jedno i drugie.

Wszedł major DeCola i powiedział, że musi zbadać Dennisa, wobec czego prosi nas o opuszczenie pokoju. Natychmiast. Sąd ogłasza przerwę.

ROZDZIAŁ 47

Zapomniałem o czymś.

Jak wspominałem na samym początku, mam problemy z chronologią i szczegółami. Z ustaleniem, co wydarzyło się najpierw, a co dopiero potem. Kiedy wiedziałem już coś na pewno, a kiedy tylko podejrzewałem.

Dzwoniłem do tego laboratorium - Dearborne Labs we Flint w stanie Michigan.

O czym mówię?

O liście z Dearborne Labs, który znalazłem w chacie Wrena. „Pan J. Wren. Wstępne analizy nadesłanych przez Pana próbek potwierdzają Pańskie obawy. W załączeniu przesyłamy wyniki badań laboratoryjnych”.

Tylko że brakowało załączonych wyników.

Zadzwoiłem więc do laboratorium.

Chciałem się przekonać, czy problemy zdrowotne Wrena miały coś wspólnego z jego wyjazdem z miasta.

- Słucham - powiedział młody kobiecy głos.

- Dzień dobry, mówi John Wren - przedstawiłem się. - Jakiś czas temu przesłałem państwu pewne próbki, ale nie otrzymałem

wyników ich analizy. Oczywiście martwię się stanem swojego zdrowia i zależy mi na informacji.

- Stanem zdrowia?

- Tak. Mieli państwo przebadać otrzymane próbki i przesłać wyniki.

- Oczywiście. Wspomniał pan o swoim zdrowiu?

- Tak jest. Cisza.

- Testujemy próbki gleby, panie Wren.

- Próbkę gleby - powtórzyłem głupio. - Oczywiście. Dlatego właśnie się niepokoję. Nie czuję się dobrze i obawiam się, że to może mieć związek z czymś, co jest w ziemi.

Jeszcze raz zapytała o moje nazwisko i poprosiła, żebym zaczekał. Potem wróciła i powiedziała, że wysłali do mnie wyniki ponad trzy lata temu. Dlaczego dzwonię akurat teraz?

- Właśnie sobie o tym przypomniałem - odparłem. Jak się okazało, w ziemi rzeczywiście coś było.

- Miał pan rację - powiedziała.

- W porządku. Świetnie. Proszę mi przypomnieć, w czym miałem rację.

- Świeci.

- Świeci? O czym pani mówi?

- Może przydałby się panu licznik Geigera. Gleba, którą nam pan przesłał, jest radioaktywna. Czy mogę spytać, gdzie pan pobrał te próbki?

Mogła spytać, ale ja nie musiałem odpowiadać.

Rozłączyłem się.

Nadal martwiłem się o Wrena.

Wtedy, w jego chacie, kiedy dzwonił z Fishbein, chciałem przełamać lody i zapytałem o wędkę.

Jak wspominałem, pisałem kiedyś tekst o turnieju wędkarskim w Vermont. Spędzałem wtedy czas z umięśnionymi facetami, którzy lubili snuć wieczorami wędkarskie opowieści,

zaciągając się camelem bez filtra.

Bardzo mi to odpowiadało.

Robiłem notatki do artykułu. Zbierałem, co się dało.

Tym właśnie zajmują się dziennikarze. Uczymy się z każdej dziedziny po trochu, akurat tyle, żeby móc się pomylić.

Ci faceci rozmawiali o wędkach, jakby wspominali swoje byłe dziewczyny. Porównywali ich zalety z tęsknotą i czułością.

Zapytałem Wrena o wędkę, które trzymał pod ścianą - jakiego typu to sprzęt.

Zawahał się i powiedział, że na pstrągi.

Jest mnóstwo rodzajów wędek.

Na ryby słodkowodne i morskie, są też wędkę półtorametrowe oraz wszelkich innych rozmiarów.

Ale nie ma wędek na pstrągi. Ani na fladry, ani na mieczniki. Wędek nie dzieli się według gatunków ryb, które się łowi. Każdy, kto traktuje wędkarstwo poważnie, kto wyjeżdża do opustoszałego obozu dla wędkarzy, żeby spędzać czas na łapaniu pstrągów, wiedziały o tym.

I jeszcze jedno.

Wszyscy zniknęli. Do tej pory za każdym razem, kiedy wyglądałem oknem, widziałem kogoś na parkingu: przedstawicieli handlowych, gości przyjeżdżających samochodami kempingowymi, rodziny w drodze z A do B, a nawet zadomowionych już mieszkańców, którzy tak jak ja płacili za tydzień z góry.

Teraz ich nie ma.

Motel jest pusty.

Jestem tu sam.

Tak się postępuje przed rozpoczęciem oblężenia.

Oczyszcza się teren.

Izoluje się cel przed natarciem.

ROZDZIAŁ 48

Nadal byłem wolnym człowiekiem.

Ciągle jeszcze miałem czas.

Dopóki nie zidentyfikują moich odcisków palców, które mają w aktach, ponieważ jestem pod nadzorem sądowym. Dopóki detektyw Wolfe nie przekona jakiegoś asystenta zastępcy prokuratora okręgowego, że nie potrzeba aż tylu dowodów, kiedy ma się do czynienia z kimś, o kim wiadomo, że jest kłamcą.

Może nie potrzeba.

A jednak ktoś kiedyś obliczył, że ludzie kłamią średnio sto razy dziennie. Okłamujemy naszych szefów, podwładnych, klientów, małżonków, dzieci, wyborców, policjantów, inkasentów, krewnych, przyjaciół. Pracowników opieki społecznej. I siebie samych. Kiedy i to nam się uda, zostaje nam już tylko Bóg. I jego też okłamujemy.

Niektóre kłamstwa są większe od innych.

Kłamstwo wobec Benjamina. Kłamstwo wobec Belindy.

Kłamstwa, do których zmuszono Lloyda Steinera.

O wielkich kłamstwach wiedziałem wszystko.

Zgodnie z tym, co powiedział Rainey, dokumentację choroby Benjaminą przechowywano na czwartym piętrze. Poprosiłem o nią, podszywając się pod detektywa Wolfe'a, a pielęgniarka uprzejmie mi ją pokazała.

Oczywiście z aktami Benjaminą Washingtona był pewien problem.

Nie oznaczono ich nazwiskiem „Benjamin Washington”.

Rainey miał rację. Napisano na nich „Benjamin Lee Briscoe”.

Urodzony w 1948 roku. Weteran wojny wietnamskiej. Kompania „Charlie”. Służył w delcie Mekongu od 1966 do 1968 roku.

Coś mi mówiło...

Usiadłem na twardym plastikowym krześle i gapiłem się w ścianę, której pielęgniarki używały jako tablicy ogłoszeń. Wiisały tam informacje o mieszkaniach do wynajęcia, kiermaszach domowych wypieków, psach do przygarnięcia, pracy dla opiekunek do dzieci, a nawet o narodzinach dzieci.

Informacje o narodzinach.

Których przeciwieństwem są... informacje o śmierci. Nekrologi.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni. Wyjąłem portfel i zająrzałem do przegródki, w której trzymałem numer telefonu Johna Wrena.

Kilka tygodni temu nabazgrałem go sobie na odwrocie zdjęcia pomnika weteranów Wietnamu.

Czarny wypolerowany granit z niekończącą się rzeką zastygłych w kamieniu nazwisk.

Musiałem zmrużyć oczy, żeby odnaleźć to właściwe. Eddie Bronson miał na tej ścianie liczne towarzystwo.

Jeszcze trochę wyżej, pomiędzy Josephem Brittem i Jamesem Briblym.

Dzień dobry.

Benjamin Lee Briscoe.

Już wiem, dlaczego to nazwisko brzmiało tak znajomo.

Kiedy pierwszy raz przeczytałem w „Littleton Journal” nazwisko Eddiego Bronsona, było tylko jednym z wielu na liście poległych. Pewnej nocy wpatrywałem się w to zdjęcie z pijackim szacunkiem dawnego autora nekrologów. Ten był najsmutniejszy, jaki widziałem.

Benjamin Washington zginął pięćdziesiąt lat temu w powodzi.

Ale urodził się na nowo.

Tak jak ten zagubiony weteran, który kiedyś koczował w altanie.

On również się odrodził.

„Kim jest Eddie Bronson?”, pytał Wren w swoim artykule.

A potem pojechał do Waszyngtonu i znalazł odpowiedź.

Eddie Bronson był zaginionym w akcji żołnierzem, którego ciało użył jako wietnamskie pole ryżowe. Szalony weteran, który zamieszkał w miejskiej altanie, przyjął jego nazwisko. Musiało mu doskwierać poczucie winy, że przeżył. To wszystko. Nierzadko zdarza się, że ktoś, kto z niezrozumiałych przyczyn nadal oddycha, chociaż jego życie dawno straciło sens, a wspomnienia wojny rzucają cień na wszystko, przyjmuje nazwisko poległego towarzysza.

Tylko że...

On miał poczucie winy nie dlatego, że przeżył Wietnam, tylko dlatego że przeżył coś innego. Coś gorszego.

Potem umieszczono go w zakładzie.

Kiedy oddawałem akta pielęgniarce, zapytałem ją o instytucję, w której byliśmy.

Czy zawsze podlegała Urzędowi do spraw Kombatantów, czy może wcześniej pełniła jakąś inną funkcję?

„Skąd pan wie?”, zapytała. Tak, prowadzono tu badania. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Nadzorowane przez wydział medyczny Departamentu Energetyki. Był tu oddział dziecięcy specjalizujący się w rzadkich przypadkach raka.

Czy pamięta, jak się nazywał?

„Marymount”, powiedziała.

Marymount Central.

Podziękowałem.

Poszedłem pożegnać się z Dennisem.

Ale nie znalazłem go w jego pokoju.

- Odbiła mu szajba - powiedział żołnierz. - Zabrali go z powrotem do czubków. - Najwyraźniej cieszył się, że znów ma pokój dla siebie. - Zwariował. Sam zobaczysz, jest stuknięty.

- Ktoś mu odciął język - powiedziałem. - Coś takiego może człowiekowi popsuć humor.

Właśnie wtedy powinienem był się zwinąć - uzbrojony i niebezpieczny, naładowany groźnymi informacjami. Najlepszy moment, by wiać.

Ale Dennis leżał w szpitalu, nie mógł mówić i tak jak w przypadku Nate'a Skate'a to była moja wina. Sprowadziłem na niego nieszczęście.

Wróciłem więc na górę, wjechałem windą do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze i wcisnąłem przycisk interkomu.

Rainey uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył.

To powinno było dać mi do myślenia.

Może byłem zdezorientowany - niewiele ostatnio spałem, a kiedy już zasnąłem, ścigały mnie niebieskie olbrzymy i osiemdziesięcioletni lekarze. Zarówno we śnie, jak i w koszmarach na jawie wiedziałem już, że byli jedną i tą samą osobą.

- Witamy, detektywie Wolfe - powiedział Rainey.

Nie wychyciłem kpiny w jego głosie.

- Rozumiem, że przeniesiono tutaj Dennisa - zacząłem.

- Zgadza się.

- Muszę się z nim zobaczyć - powiedziałem.

- Jasna sprawa. Nie ma problemu. Otworzył drzwi.

- Odstawię pana do jakiegoś pokoju, a tymczasem po niego pójde. Może być, detektywie?

Mogło być. Zamierzałem pożegnać się z Dennisem. Chciałem pojechać jeszcze tylko w jedno miejsce, ładnie wszystko opakować i zdobyć Pulitzera.

- Mam nadzieję, że wystrój panu nie przeszkadza - powiedział i zapewnił mnie, że za sekundę przyprowdzi Dennisa.

Nie przeszkadzał mi wystrój. Nie zwróciłem na niego uwagi. Zachwycałem się swoim obrazkiem z połączonych punktów. Patrzcie.

Podniosłem go do góry, tak żeby wszyscy w restauracji mogli go podziwiać: mój tata, moja mama, mój szef, moja kuratorka, doktor Payne i dziennikarz, który na moim biurku napisał „Kłamię, więc jestem”. Benjy, Belinda, Nate Skate, Norma i Hinch. Oni też. Wychodziłem z ciemnej jaskini w blasku zmarłych wstania.

Właściwie rysunek nie był jeszcze skończony.

Ale miałem już prawie wszystko.

Przyjrzyjmy mu się punkt po punkcie.

John Wren znalazł zdezorientowanego weterana wojny wietnamskiej, który spał w miejskiej altanie i powiedział, że nazywa się Eddie Bronson.

Punkt pierwszy.

Pewnego dnia Wren pojechał do Waszyngtonu i odkrył coś zagadkowego. Eddie Bronson był trupem. Zaginionym w akcji. Jego nazwisko było wypisane na ścianie pomnika. Ludzie nie umierają dwa razy.

Punkt drugi.

Kim więc był ów Eddie Bronson? Najwyraźniej weteranem dręczonym przez poczucie winy. Kimś na tyle zdezorientowanym, by po przyjęciu cudzego nazwiska zapomnieć własne. Zapomnieć swoją rodzinę i przeszłość. Ale nie drogę do domu.

Nie.

Ze wszystkich altan miejskich w Ameryce wybrał sobie tamtą. Powiedział, że to jego dom.

Dlaczego?

Bo czuł się w niej jak w domu.

W każdym razie prawie.

Kiedyś mieszkał tylko trzydzieści siedem kilometrów stamtąd, w miasteczku, które przestało istnieć.

W Littleton Flats. Wren miał się tego niebawem dowiedzieć.

Punkt trzeci.

Żaden z mieszkańców Littleton Flats już nie żył.

Żaden.

Łącznie z Benjaminem Washingtonem.

No, chyba że...

Wren rozpoczął pracę nad demaskatorską publikacją na temat katastrofy tamy Aurora.

I coś odkrył.

To go podekscytowało, ale potem dostał szału i ludzie nazwali go miejscowym świrem. Pewnej nocy zamknął się w redakcji „Littleton Journal” i nie chciał wyjść.

Dlaczego?

Co tam robił?

Zmuszono go do opuszczenia budynku, a potem wyjechał i gdzieś się zaszył, żeby pracować nad artykułem.

Co to był za artykuł?

Chyba wiedziałem.

To był artykuł o tym, jak zaginieni w akcji pomagają sobie nawzajem.

W czysto biurokratyczny sposób.

Akta zaginionych w akcji żołnierzy z granitowej ściany przechowywano w Urzędzie do spraw Kombatantów, dopóki nie odnaleziono ich ciał. Dzięki temu mogli pomóc kilku zaginionym w innej narodowej katastrofie. Oczywiście nieświadomie - żołnierze, o których słuch zaginał, użyczyli swoich nazwisk tym, którzy zniknęli z Littleton Flats pewnego niedzielnego ranka, gdy tamtejsza tama zawałiła się nie z powodu nadmiernych opadów.

Nie.

„Przydałby się panu licznik Geigera, panie Wren”.

Ciągle jeszcze nie rozejrzałem się w koło.

Gdybym to zrobił, zauważyłbym, że pomieszczenie przypomina pokój z obitymi miętko ścianami, brakowało tylko obicia. Uświadomiłbym sobie, że Rainey nie wrócił w ciągu minuty, dwóch, trzech, czterech ani w ciągu pięciu minut.

Wystarczająco długo, żebym zrozumiał swoje położenie.

Tik-tak, tik-tak, tik-tak i nagle minęło piętnaście minut, odkąd Rainey wyszedł. Nagle okazało się, że siedzę na przytwierdzonej do ściany opuszczonej metalowej ławce. W pokoju, w którym nie ma się ochoty przesiadywać zbyt długo.

Już nie czekałem na oklaski zachwyconego tłumu.

Przyglądałem się otoczeniu. Czytałem napisy, które różni nieszczęśnicy wryli na ścianach.

„Jestem więźniem ciągłego smutku”, nabazgrał ktoś.

„Zadzwoń do Boga na koszt abonenta”.

„Jestem zaginionym w akcji tego świata”.

I to:

„Pozdrawia Cię Kara Bolka”.

Kiedy wstałem i pokonałem półtorametrową odległość do drzwi - była w nich mała kratka, tak jak w drzwiach prowadzących do windy - zanim jeszcze dotknąłem klamki, już zacząłem przeczuwać, że drzwi mogą nie ustąpić. Z drzwiami bywa różnie - jedne są otwarte, inne zamknięte, a czasem te otwarte nagle się zatrząskują.

Złapałem za klamkę i przekręciłem.

Zamknięte na klucz.

Użyłem więcej siły. Nic.

Pchnąłem drzwi, chcąc się upewnić, że naprawdę są zamknięte. Stukałem w nie, na początku grzecznie, jakby to mogło być nieporozumienie, zwykła usterka techniczna, a Rainey miał zaraz przybiec, wypuścić mnie i przeprosić.

Po chwili zacząłem walić z całej siły.

- Hej, hej, Rainey! Co się tutaj dzieje?

Czasami zna się odpowiedź na pytanie już w chwili, gdy wypowie się je głośno, a wtedy staje się ono zwykłą formalnością. Co ty wyprawiasz?, wołasz, kiedy ktoś mierzy do ciebie z pistoletu w ciemnej uliczce, chociaż dobrze wiesz, co robi. Zamierza do ciebie strzelać.

- Hejże! Otwieraj te cholerne drzwi. Co to ma znaczyć? - krzychałem w coraz większej panice jak ktoś, kto utknął między piętrami.

Rainey pojawił się dopiero po dziesięciu minutach.

Tymczasem zdążyłem już pokaleczyć sobie pięści, oblać się potem i porysować kopniakami dół drzwi.

Rainey już się nie uśmiechał. Nie wyglądało też, by zamierzał mnie wypuścić.

- Stul pysk - powiedział.

- Nie wiesz, co robisz, jestem gliną.

- Taaa, ja też jestem gliną. Pieprzonym szefem policji. W porządku, przedstawienie skończone.

- No dobra, jestem dziennikarzem.

- Coś ty?

- Nazywam się Tom Valle, pracuję dla „Littleton Journal”. Czasem reporter musi trochę skłamać, żeby zdobyć materiał. Nie można nas za to tak po prostu zamykać, w przeciwnym razie wszyscy siedzielibyśmy w więzieniu. Słuchaj, wypuść mnie i zapomnijmy o wszystkim.

- Trochę skłamać? To jest dopiero kłamstwo. Prawdziwe łgarstwo.

Rozmawiał z kimś.

- Słuchaj, łamiesz prawo. Pomagasz niewłaściwym ludziom. Tutaj, w tym szpitalu. - Czasem człowiek zdaje sobie sprawę, że się boi, dopiero wtedy, gdy usłyszy strach w swoim głosie. Do tego momentu wydaje mu się, że sobie radzi, że wszystko jest pod kontrolą, że wyjdzie z tego cało.

- Niewłaściwym ludziom, jasne. Dobre, zabawne. Dlaczego po prostu nie wyluzujesz? Nie usiądziesz sobie...

- Rainey, wypuść mnie stąd, jestem reporterem, na litość boską. Popelniono przestępstwo.

- Tak, masz rację.

- Ale to nie ja jestem przestępcą.

- Tak, ty jesteś gliną. Jesteś detektyw Wolfe.

- Nie wpuściłbyś mnie, gdybym ci powiedział, że jestem reporterem.

- Cóż, skoro tak to ująłeś...

- Wypuścisz mnie?

- Nie.

Wykonywał rozkazy. To był szpital wojskowy, a on wykonywał rozkazy.

- Słuchaj, nie możesz mnie tak po prostu zamknąć. To jest jakieś pieprzone szaleństwo. Mam swoje prawa... - Sięgnąłem po wyświechtany frazes, który rozbrzmiewał tu pewnie ze sto razy dziennie. Jak w każdym więzieniu na świecie. Nikt nie jest winny, nikt nie powinien tam trafić, to wszystko jedna wielka pomyłka.

- Prawa, co? - powiedział Rainey. - Ja mam prawo do odrobiny ciszy i spokoju. Więc siądź na dupie i stul pysk.

Coś krzychałem, nie jestem pewien co, ale użyłem wielu niecenzuralnych słów.

Kiedy na chwilę umilkłem, usłyszałem szepty.

Dobiegały z zewnątrz, stamtąd, gdzie siedział Rainey.

Zniknął gdzieś na lewo od kratki, słyszałem rozmowę, ale nie mogłem rozróżnić słów.

- Hej, hej, kto tam jest? Z kim rozmawiasz, Rainey? Halo!

Odgłos kroków i kółek wózka toczącego się po wyłożonej kafełkami podłodze.

Klamka drgnęła, przekreśliła się.

Instynktownie cofnąłem się w stronę ściany.

W drzwiach pojawił się Rainey i dwóch sanitariuszy w niebieskich uniformach. Podejrzywałem, że podczas rekrutacji ich

postura liczyła się bardziej niż podejście do pacjenta. Jeden z nich trzymał strzykawkę.

- Co to ma być? - zapytałem.

- A na co to wygląda? - zapytał Rainey.

- Nie będę brał zastrzyków.

- W porządku. Jak sobie życzysz.

- Popelniacie przestępstwo, nie dociera to do was? Pójdziecie do więzienia.

- Eee tam, ja pójdę do domu. Tylko położymy cię do łóżka.

- Nie wezmę zastrzyku.

- Jesteś pobudzony, facet. A pobudzeni ludzie działają mi na nerwy.

Sanitariusz ze strzykawką w ręce przypominał jednego z tych grających w hokeja imigrantów z Samoa, których nazwisk nie można wymówić. Uśmiechnął się i powiedział:

- Chodź do mnie.

- Nie, dziękuję, tu mi dobrze. W każdym razie dzięki.

- Słuchaj, człowieku - powiedział zniecierpliwiony. - Albo zrobimy to delikatnie, albo brutalnie.

- Dobra, delikatnie. Wypuście mnie stąd, a ja obejdę się z wami delikatnie. Obiecuję. Ze wszystkimi. Wiem, że musicie słuchać poleceń, rozumiem to. Nikomu nie polecam ignorować poleceń, tylko że ja nie jestem pacjentem. Jestem reporterem, piszę artykuł.

- Lepiej napisz moje nazwisko bez błędów, bracie - powiedział Samończyk. - Składa się z jedenastu liter.

- Nazwisko? Nie będę wymieniał waszych nazwisk. Po prostu pozwólcie mi stąd iść i wszystko gra. Luz.

- Naprawdę tego chcesz? Chcesz, żeby cię związać jak wieprzka, wsadzić w kaftan? Chcesz tego całego gówna?

- No dobra, wygraliście - powiedziałem.

Między Samończykiem a drzwiami była niewielka szpara, przez którą światło dzienne wpadało do środka, a szybki

zawodnik mógłby śmignąć na zewnątrz jak huragan czwartej kategorii.

- Mogę sam sobie podwinąć rękaw? - zapytałem.

Ostatnim razem grałem w futbol w dzieciństwie - na ulicy, trzech na trzech, uważając na przejeżdżające samochody. Miałem wtedy opinię krętacza. Na Sto Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy uchodziło to za komplement, ale później, w redakcji informacyjnej, już nie.

Starłem się sprawiać wrażenie rozluźnionego i pogodzonego z losem.

To niełatwe, kiedy każdy miesiąc drży w panice. Pobudzeni ludzie działają im na nerwy. Odprężeni ludzie odprężają ich. O właśnie. Rainey już się opiera o ścianę. Drugi sanitariusz wychodzi, niepotrzebny... poszedł. Samończyk założył ręce, jak cierpliwy mąż na zakupach, który czeka, aż żona wyjdzie z przymierzalni i będzie można wrócić do domu, obejrzeć mecz.

- Którą rękę mam dać? - zapytałem.

- Którą wolisz, brachu - powiedział Samończyk.

- Lewą - powiedziałem. - Jestem praworęczny. - Zaczęłem metodycznie podwijać rękaw.

Raz, dwa, trzy.

Raz, dwa, trzy.

Gonisz ty...

Prosto ze Sto Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy w Queens.

Pobiegłem w stronę światła.

Zaskoczyłem ich na tyle, by prześliznąć się obok próbującego mnie zablokować Samończyka.

Byłem wystarczająco szybki, żeby wybiec na korytarz.

Na tyle spokojny, żeby minąć lekarza, sanitariusza czy pacjenta, nie zwracając na siebie uwagi.

„Biegnij, Forrest, biegnij...”

Mogło mi się udać, naprawdę.

Aż do windy i na dół, na parter, żeby zrobić scenę, zawołać „słuchajcie, co oni chcą mi zrobić”, a wtedy major DeCola wysłałby ich biegiem z powrotem na oddział psychiatryczny.

Mogło, tylko że wpadłem na mur.

To był człowiek.

Samoanczyk chyba w końcu dał mi zastrzyk.

Kiedy odzyskałem przytomność, kaszląc i charkając, otworzyłem oczy i rozejrzałem się, okazało się, że patrzę w lustro. Takie jak w gabinecie luster, w którym niepokojąco zdeformowana postać rozmazuje się jak zalana deszczem akwarela.

Moje odbicie się uśmiechało, chociaż byłem pewien, że ja sam się nie uśmiecham.

Poczułem się przez to jeszcze bardziej zaniepokojony.

- Cześć - powiedziałem głosem, który brzmiał, jakby zniekształcało go kiepskie połączenie telefoniczne. - Cześć. Kim jesteś?

- Już mnie o to pytałeś - powiedziało odbicie. - Jestem hydraulikiem, pamiętasz? Wykonuję rutynowe prace konserwacyjne. - Ten sam świszczący falset, który słyszałem tamtego dnia w piwnicy. „Jak dziewczyna”, powiedział Sam.

Nadal się uśmiechał.

Nic mi nie zrobisz, mówił jego uśmiech. Nie zrobisz, nie zrobisz, nie zrobisz...

Nie mogłem mu nic zrobić.

Leżałem. Ręce i nogi miałem ciasno przypięte pasami.

- Śledziłeś nas do stacji benzynowej - mówiłem wciąż tym dziwnym dobiegającym z oddali głosem. - Sprawdzałeś, gdzie korzystałem z karty kredytowej, i jechałeś za nami.

Zaczął się śmiać.

- Karta kredytowa? - Pokręcił głową. - To nie byłoby zbyt efektywne - powiedział.

- To skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy?

- Jesteś dziennikarzem śledczym. Domyśl się. To było jak sen.

- Dlaczego jestem przywiązany? - zapytałem.

- Ach, o to ci chodzi. Nie chciałeś się poddać leczeniu. Wada wrodzona, pomyślałem, patrząc na jego twarz.

Wyobrazałem sobie, że to był wypadek, jakaś koszmarna jatka, po której nie dało się poskładać go z powrotem. Ale nie. Nie miał blizn. To była awaria podczas procesu produkcyjnego. Taki się urodził.

- Jak trafiłeś na tę stację benzynową? Nie mogę tego rozgryźć - powiedziałem.

- Nie?

Przyłożył rękę do ucha i pokazał coś na migi. Bawiliśmy się w zagadki. No jasne.

- Moja komórka - powiedziałem. - Śledziłeś mój telefon.

- Bez komentarza. Czy to pytanie w ramach wywiadu? Jeśli tak, to zapomnij, że go autoryzuję.

- Namierzyłeś mój sygnał.

Za pomocą satelity można w dzisiejszych czasach określić czyjeś położenie z dokładnością do piętnastu centymetrów. Nawet nie trzeba korzystać z telefonu komórkowego, wystarczy, że się go nie wyłączy. Dzięki temu hydraulik nas znalazł, mógł bez trudu nas śledzić i zakraść się na stację benzynową, gdzie spaliśmy.

- Zabiłeś sprzedawcę - powiedziałem. - Odciałeś Dennisowi język.

- Rety, kiedy tak o tym mówisz, to brzmi dosyć wrednie.

- Dlaczego? Przecież spałem. Dlaczego po prostu nie zabiłeś mnie?

Zachichotał i nie odpowiedział.

- Czego chcesz? Co zamierzasz ze mną zrobić?

- Jestem hydraulikiem, nie psychiatrą.

- Nie jestem stuknięty.
 - Oczywiście, że nie.
 - Wiem o Kara Bolce. Wiem o 499. Batalionie Medycznym.
- Wiem, co się stało w Littleton Flats.
- Wypasiony temat, co?
 - Jeżeli ja do tego doszedłem, innym też się to uda. Nie skończy się na mnie. Nie można zebrać wody z powrotem do butelki, jeśli jest rozlana po całej pieprzonej podłodze.
 - Tym właśnie zajmują się hydraulicy. Przeciekami.
 - Ja jestem przeciekiem - powiedziałem. Czuję mrowienie w nogach. - To mną musisz się zająć.
 - Nie martw się, nie wystawię ci rachunku - powiedział.
 - Co się stało z twoją twarzą? - zapytałem.
 - Z moją twarzą? Dlaczego pytasz? Coś z nią nie tak?
 - Nie ma jej.
 - A, o to ci chodzi. Zebrałem za dużo lewych sierpowych.
 - To chyba nie był boks.
 - No, dobra, przejrzałeś mnie. Tak mówię babkom w barach.
 - I co, wierzą ci?
 - Nigdy.
 - Co się stało z twoją twarzą?
 - To był wypadek.
 - Nie masz blizn.
 - To był wypadek przy urodzeniu.
 - Gdzie? Gdzie to się stało?
 - W szpitalu.
 - W którym? - spytałem, wiedząc, jaka będzie odpowiedź, mimo że leki rozmiękczyły mi mózg.
 - W tym. To nie zawsze był szpital dla weteranów.
 - Nie. To był ośrodek badawczy - powiedziałem. - Departamentu Energetyki. Wiem, co to były za badania. Więc byłeś mieszkańcem Kara Bolki.

- Kara Bolka - powtórzył. - Aaa. To oni tak to nazwali, lekarze. Taki dowcip. Nie byliśmy mieszkańcami Kara Bolki, tylko uchodźcami stamtąd. Żyliśmy w cieniu tego miejsca, jak szczury. Straszili nas nim.

- Dobrze, a kto w takim razie był potworem? W miejscach, którymi straszy się dzieci, zawsze mieszka jakiś potwór.

Uśmiechnął się.

- Chyba go poznałeś.

- A tak. Nie tylko ja. Tylko że ta druga osoba nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Miała wtedy trzy lata.

- Ta dziewczynka. Bailey.

„Wierzysz w bajki? Czytałeś kiedyś jakąś, będąc dorosłym? Może powinienes. Nawet jeżeli nie wierzysz w gobliny, możesz się przerazić na śmierć”.

Bajki można rozumieć na dwa sposoby.

- Bailey patrzyła na to wszystko oczami dziecka - powiedziałem.

Nadal słyszałem swój głos z zakłóceniami.

Ratownicy w kombinezonach ochronnych wyglądali jak roboty bez twarzy. Piski wykrywaczy promieniowania przypominały mowę delfinów. Lekarze w maskach chirurgicznych stali się obcymi bez ust. Ich szpital polowy wyglądał jak statek kosmiczny. Zapamiętała niebieskie światło. On miał najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Dzięki Bogu za tych, co wierzą w UFO, co?

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego Bailey nie zamknęli w Kara Bolce? Dlaczego jej nie zabrali, tak jak pozostałych, jak Benjy'ego? Dlaczego nie została jedną z was?

- Skąd mogę wiedzieć, nie było mnie wtedy na świecie.

- Urodziłeś się już po wszystkim, tutaj.

- Uhm.

- A twoja matka? Co się z nią stało?

- Jak myślisz, co jej się mogło stać? - odpowiedział. - Neutrony i promienie gamma jej się stały. Trafiła do mikrofalówki. A ja jestem wypiekami. - Znowu się zaśmiał, ale tym razem w jego śmiechu pobrzmiwał gorzki ton.

- Ale ty... - Co?

- Odwalasz za nich brudną robotę.

- Ja jestem ich brudną robotą. Poza tym moje perspektywy zawodowe od początku były, jak by to powiedzieć... ograniczone. Możesz mnie nazwać zaufanym współpracownikiem oddelegowanym do zadań specjalnych. Poza tym nie ma jak rządowa emerytura.

- Pracujesz w Departamencie Energetyki?

- Powiedzmy, że w wydziale, który nie figuruje w rejestrach.

- Zostałeś ich płatnym mordercą czy, jak to nazywasz, hydraulikiem, po tym wszystkim, co zrobili?

- Wyciągnij wnioski z historii. Wiesz, którzy strażnicy byli najgorsi w obozach koncentracyjnych? Najbardziej brutalni? Nie naziści, tylko kapo, Żydzi, którzy dostali do ręki bat.

- Ale tobie nie groziła komora gazowa.

- Nie, tylko ostatnie piętro tego szpitala. To wystarczyło. A poza tym to nie oni zniszczyli Littleton Flats, tylko moc uwolniona z reaktora.

- Nie mówię o Littleton Flats, lecz o tym, co zrobili Benjaminowi. Co zrobili tobie.

Ta dziwaczna barwa głosu. Włosi nazywali to oczywiście inaczej. *Castrato*.

- Okaleczyli cię, kiedy byłeś dzieckiem. Tak jak Benjamina. Wykastrowali was.

Znowu ten uśmiech, w którym teraz widać było szyderstwo. Zadrwij pierwszy, a nie będzie tak bardzo bolało, kiedy zadrwią z ciebie.

- Widzisz to? - Pokazał na swoją twarz. - Oczywiście, że widzisz. Przyjrzyj się dobrze. Uważali, że jeden wadliwy egzemplarz wystarczy. Chronili geny. Trudno ich za to winić.

Wydawało mi się jednak, że w rzeczywistości chce powiedzieć coś innego: zobacz, co mi zrobili. Zobacz.

- Kto jeszcze się uratował? - zapytałem. - Benjamin, twoja matka. Ile osób przeżyło katastrofę?

- Przykro mi, ale jak już mówiłem, nie było mnie wtedy na świecie.

- Kiedy ośrodek przekwalifikowano na szpital dla weteranów, ci, którzy ocalili, stali się legendą za życia - powiedziałem.

- Otrzymali nazwiska zaginionych w akcji żołnierzy, którzy byli w podobnym wieku. Wszystkich trzeba było uwzględnić w kartotekach i wciągnąć do rejestru. Benjamin Washington został Benjaminem Lee Briscoe. Miał szczęście, zatrzymał swoje prawdziwe imię. I był jeszcze jeden człowiek, który się uratował, prawda? Co najmniej jeden. Ten, który zabłąkał się do Littleton trzy lata temu i zasnął w altanie. To jego nazwisko znalazł Wren na pomniku weteranów Wietnamu w Waszyngtonie i zaczął wypytywać o katastrofę.

- Każdy dysponuje wyłącznie informacjami, które są mu potrzebne do działania - stwierdził hydraulik. - Pozwól, że zerknę na listę i zobaczę, czy ty też na niej jesteś. Dam ci znać.

- Zrobiłem kopie wszystkiego, co mam. Wszystkiego. I przekazałem właściwym osobom.

- Uhm - powiedział niemal znudzony. - Nie wydaje mi się, żeby właściwe osoby odpowiadały na twoje telefony.

- Temat to temat.

- Tak, a ty masz nosa do tematów. Tylko że twoje tematy nie są prawdziwe. Każdy potraktuje je z pewną rezerwą. Z wielką rezerwą, jeśli mam być szczerzy. Ale oczywiście nie rozmawiamy szczerze. Nie zrobiłeś żadnych kopii. Właściwi ludzie? Nawet w „National Enquirer” nie będą chcieli z tobą gadać.

- Masz rację. Niczego nie skopiowałem. Nikt mi nie uwierzy.
Możesz mnie wypuścić.

Nawet mi nie odpowiedział.

- Nogi mi drętwieją. Czy możesz poluzować pasy?

- A masz zgodę lekarza?

- Proszę.

- Praktykowanie medycyny bez uprawnień jest przestępstwem.

Kiedyś mój dentysta trochę przesadził ze znieczuleniem. Zamiast miłego uczucia pływania przeżyłem coś w rodzaju lotu w stratosferę, gdzie powietrze jest zbyt rozrzedzone, żeby nim oddychać. Teraz czułem się podobnie. Hydraulik coś mówił, ale słowa docierały do mnie z opóźnieniem, jak gdyby musiały pokonać odległość z Ziemi na Marsa.

Tym samym świństwem faszzerowali Benjy'ego.

Cale to mamrotanie na oddziale psychiatrycznym. Może bełkotał coś o wybuchach, powodzi i lekarzach ze skalpelami. Mówił, że tak naprawdę nazywa się Washington i że nigdy w życiu nie był w Wietnamie. To nie miało znaczenia jak opowieść idioty - głośna, wrzaskliwa i nic nieznacząca.

Pora zacząć się przyzwyczajać.

Chciałem zapytać hydraulika, co się ze mną stanie - będę żył, zginę czy może zamienię się w chodzącego trupa jak Benjy - ale nie mogłem wypowiedzieć słowa. Z moich ust wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot. Chciało mi się śmiać.

Nadal leżałem w tym samym pokoju, teraz to zauważyłem. Na ścianie było jeszcze wolne miejsce. Mogłem wysłać swój własny list z Kara Bolki. „Jestem zaginionym w akcji tego świata. Zadzwoń do Boga na koszt abonenta”.

To była najgorsza część oddziału psychiatrycznego. Miejsce, gdzie umieszczają beznadziejne przypadki; takim nie daje się nawet plastikowych łyżek.

Nie słuchajcie niczego, co on mówi, instruują sanitariuszy. Kłamię. Będzie opowiadał niestworzone historie. Powie, że jest

reporterem, będzie bełkotał coś o reaktorach atomowych, o ośmiuset zabitych, o tuszowaniu faktów i o Kara Bolce. Co to jest Kara Bolka? A któż to wie? Majaczenie paranoidalnego schizofrenika o morderczych zapędach. Mówią, że zabił sprzedawcę na stacji benzynowej. Zastrzelił dziewiętnastolatka w Littleton w Kalifornii. Obciął język biednemu Dennisowi.

To brzmiało jak niezły kit. Gdyby ktoś opowiedział mi coś takiego, wcisnąłbym to Hinchowi. Napisałbym o tym.

Naprawdę.

ROZDZIAŁ 49

Izolotka.

Tak się nazywa miejsce, w którym leżałem.

Z dala od pozostałych pacjentów. Przynajmniej na razie.

Sanitariusze przychodzili dwa razy dziennie, ogłupić mnie zastrzykiem i wysłać z powrotem na Marsa, gdzie małe niebieskie ludziki przypinają człowieka pasami i wkładają mu do głowy dziwaczne myśli.

W pokoju nie było okien. Godzinami patrzyłem w ścianę. Na suficie były zacieki, które po jakimś czasie zaczynały przypominać różne rzeczy. Na przykład chmury na niebie - brudnym jak pomyje. Jedna z plam miała kształt sinusoidy. Był nawet profil George'a Washingtona. Słowo skauta. I szalowy skrzydłaty Chevrolet z pięćdziesiątego ósmego.

Tak to jest, kiedy się jest odcięty od świata.

Kiedy ma się rozmiękczonego mózg.

Używali pierwszorzędnych psychotropów, medycyna musiała pójść w tej dziedzinie nieźle do przodu. Czulem się, jakby codziennie robili mi lobotomie bez ostrych narzędzi.

A jednak.

Przypominało to patrzenie przez pożyczone okulary, ale pozwoli uczyłem się łapać ostrość i czasem udawało mi się skupić. Wołałem swoje małe neurony, mówiąc: no już, chłopaki, do roboty.

Wydrapywałem w ścianie swoje myśli, żeby się przekonać, czy są choć trochę zrozumiałe dla ludzi mówiących po angielsku.

Jeśli moje rojenia miały sens, to ja też. Jeśli były szaleństwem, ja również byłem szalony. To był test.

Swój trening umysłowy zacząłem od zapisania nazwisk.

Kolegów, z którymi grałem w kręgle. Współpracowników. Sama, Setha, Marva, Nate'a i Hinch. Potem przyszła pora na nazwy - kapeli folkowej i kancelarii o wątpliwej renomie specjalizującej się w obsłudze prawnej pacjentów pogotowia.

Literowałem je, pisałem wspak i wywracałem na lewą stronę.

Łączyłem je jak wagony kolejowe i wysyłałem w podróż.

Z Belindy i Benjamina zrobiłem pasażerów.

Rozkładałem pociąg na części, dodawałem nazwiska wszystkich, których znałem, mieszałem wagony i z powrotem odstawiałem na tory. Zderzałem je ze sobą, rozbijając w drobny mak.

Oznaczyłem szczątki literami alfabetu.

A przed B, poprzedzającym C, które rymuje się z D podejrzanie przypominającym E.

Zacząłem od Anny.

Wiem, pewnie jestem daleko w tyle.

Wszyscy już to zauważyli, kiedy przedstawiła mi się na parkingu przed kręgielnią. Kiedy oszołomiony patrzyłem, jak nachyla się nad moją miatą.

I z pewnością próbowali mi to powiedzieć.

Zastanawiali się, kiedy to wreszcie dotrze do mojego zakutego łba i doznam iluminacji.

Może potrzebowałem do tego koktajlu z haldolu i czterech ścian, na których mogłem pisać.

I trochę wolnego.

Żeby nie zaprzętały mi głowy otwarcia centrów handlowych i ceny dwugłowych alpak. Potrzebowałem czasu na rozmyślenia.

Wydrapałem jej nazwisko w gipsowej ścianie - numer jeden na alfabetycznej liście Toma zatytułowanej: „Ludzie, którzy nie wiedzą, że tu jestem, choć to bez znaczenia, bo i tak by się tym nie przejęli”.

Anna Graham.

Musiałem wpatrywać się w te dwa słowa, aż rozmazały się i zlały w jedno.

AnnaGraham.

Musiałem je wypowiedzieć na głos.

AnnaGraham... AnnaGraham... AnnaGraham... szeptałem, dopóki nie zdałem sobie sprawy, co tak naprawdę powtarzam.

Anagram.

Anagram.

Anagram.

Przestałem szeptać.

Oniemiałem ze zdumienia, gdy zdałem sobie sprawę z tego, co widzę.

Anagramy.

Byłem specjalistą od anagramów, prawda?

Mój podkładający bomby, przeciwny aborcji pediatra - albo położnik, nie pamiętam - sprzedał mi mnóstwo anagramów, próbując w pożałowania godny sposób zmylić trop.

Dla nieustraszonego reportera nie były żadnym wyzwaniem.

Rozszyfrowałem je wszystkie.

Tylko że - ach, rzeczywiście - przecież ten pediatra nie istniał.

„Po odkryciu pewnych niespójności w opublikowanym przez nasz dziennik artykule na temat działalności terrorystycznej pediatri - przeciwnika aborcji, przeprowadziliśmy gruntowne śledztwo.

Z przykrością informujemy, że w jego wyniku ustaliliśmy, iż autor artykułu, pan Valle, od ponad pięciu lat dziennikarz naszej gazety, sfabrykował znaczną część przedstawionych w tekście informacji. Ponadto jest podejrzany o sfingowanie całości lub fragmentów materiałów wykorzystanych w pięćdziesięciu pięciu innych artykułach. Kiedy dowiedzieliśmy się o tym procederze, pan Valle został natychmiast zawieszony i poddany procedurze dyscyplinarnej. Prawdopodobnie stanie przed sądem.

Jednocześnie chcielibyśmy poinformować o rezygnacji z pracy w naszej gazecie jej długoletniego redaktora oraz o zmianach, które wprowadziliśmy do naszego systemu pracy, aby zapobiec tego rodzaju oszustwom dziennikarskim w przyszłości. Przepraszamy wszystkich czytelników, którzy pokładali wiarę w naszej uczciwości”.

Pięćdziesiąt sześć artykułów.

Łącznie z tekstem o grupie borykających się z bezrobociem aktorów z Los Angeles, którzy decydują się na udział w oszustwach.

I tym o szaleństwie autoberka.

I tym o lekarzu, z którym spotkałem się w ruinach opuszczonego miasta.

Gdzie podawał mi informacje w formie anagramów.

W porządku, Anno.

Pójdę, dokąd tylko zechcesz.

Anna Graham.

Hamnaagran.

Gramahanna.

Nam. Gram. Ana. H.

Kombinowałem jak szalony. Zajęło mi to całe popołudnie albo rano, trudno to ocenić, kiedy się leży w pokoju bez okien.

Nie mogłem rozwikłać zagadki. Litery trzymały się razem, zamknięte w sobie, i nie chciały przemówić.

Aż tu nagle...

Zrozumiałem, że Anna miała dwa nazwiska.

Oczywiście.

Rozłożenie na czynniki pierwsze tego drugiego i złożenie go z powrotem zajęło mi niecałe dziesięć minut. W psychotropowym świecie to było jak mgnienie oka.

AOL: Braakk.

Anagram, który chciała mi pokazać.

Wystarczy zmienić porządek liter i nagle ma się to przed sobą.

Dotarłem tam już wcześniej. Kiedy znalazłem elementarz Benjy'ego. A to było na wypadek, gdyby mi się nie udało.

Karabolka.

Tej nocy, kiedy przeglądałem elementarz, poszedłem do pokoju pielęgniarek skorzystać z komputera.

Krążyłem po sieci. Znalazłem interesujące mnie strony.

Połowa była po rosyjsku.

Karabolka okazała się rosyjską nazwą.

Pora, żebyście poznali tę historię.

Dlaczego nie?

Najwyższy czas.

Benjy musiał o tym słyszeć.

I hydraulik.

I oszołomiony, zdezorientowany człowiek, który trafił do Littleton trzy lata temu, i każdy, kto podczas powodzi nie poszedł na dno tylko po to, żeby potem zapaść się pod ziemię.

Ta historia nie nadaje się na bajkę na dobranoc, chyba że chce się komuś zafundować koszmarne sny.

Takie rzeczy dobrze się opowiada przy ognisku w ciemnym lesie.

Są przerażające jak bajki braci Grimm.
Jak epilog, na który czekał 499. batalion.
Powrót Hiroszimy.
O którym nikt nie wiedział.
Nikt.
To była wielka tajemnica.
Ciiiiiii...

ROZDZIAŁ 50

Przed wszystkim chodziło o Karabolkę - jedno słowo. Benjy był kiepski z ortografii. Widocznie dla niego brzmiało to jak nazwisko.

A w rzeczywistości było nazwą - piekła na ziemi, czyśćca, wielkiej wpadki.

Nazwą rosyjskiego miasta.

Które nigdy nie pojawiło się na mapie.

Żadnej.

Na ani jednej.

Można go było szukać i szukać, i nigdy nie znaleźć. Nie istniało dla kartografów, nie figurowało w żadnej encyklopedii.

Nikt nie śmiał pisać słówka.

Zostało zbudowane na Uralu przez żywe szkielety z łagrów. To były jego pierwsze ofiary: kiedy zabił je głód, gruźlica i kary cielesne, wrzucano je do otwartych dołów i posypywano wapnem. Podczas drugiej wojny światowej podobnie obchodzili się z Rosjanami naziści.

To bezimienne miasto miało służyć jednemu celowi i jednemu bogu.

Wielkiemu bóstwu o imieniu Pluton.

Nikommu więcej.

Podążało w jedynym możliwym kierunku jak koń w kieracie, jak kozioł ofiarny.

Nieślubne dziecko matuszki Rosji.

Nie miało imienia, było Tajne, przez duże T.

Jak tajne laboratorium, w którym masowo produkowano tajny pluton.

Z pomocą tajnej siły roboczej wrzucano tajne radioaktywne odpady do tajnych zbiorników.

Tajna policja obserwowała ponad osiemdziesiąt tysięcy jego mieszkańców.

Co zdradziło istnienie miasta?

Dym.

Dużo, dużo dymu.

Długie, grube smugi jak warkocze.

Tak to wyglądało dla mieszkańców Karabolki.

Głównie Tatarów stanowiących składnik etnicznej zupy, którą Stalin lubił mieszać od czasu do czasu, zbierając tłuszcz z jej powierzchni i rzucając go gdzieś na Syberię.

Tatarzy powychodzili ze swoich domów i przyglądali się czarnym kłębowi niesionym przez wiatr ponad linią drzew.

Myśleli, że to pożar lasu.

Potężny, przerażający pożar lasu.

Ale tylko pożar.

Nie wiedzieli, co działo się naprawdę, ponieważ tajne miasto było tak tajne, że nie mieli pojęcia o jego istnieniu.

Błędne pojęcia.

Nikt nie sądził, że zaledwie trzydzieści pięć kilometrów dalej w głębokim lesie znajduje się potężne atomowe miasto.

Że pożar lasu nie był pożarem lasu.

Nie mogli wiedzieć, że system chłodzenia tajnego reaktora, zbudowanego w tym mieście, z niewyjaśnionych przyczyn przestał działać.

Że temperatura w wypełnionym radioaktywnym szlamem zbiorniku gwałtownie wzrosła.

Że w końcu wyleciał w powietrze.

Że wybuchł z energią odpowiadającą eksplozji siedemdziesięciu ton trotylu.

Czterech Czarnobyli.

Dziesięciu Hiroszim.

Że siła wybuchu zerwała dach z budynku, w którym znajdował się zbiornik, i wystrzeliła radioaktywne szczątki reaktora na wysokość wielu kilometrów.

Oni wiedzieli tylko o tym, co zobaczyli na własne oczy.

Następnego ranka wszystko było pokryte grubą warstwą czarno-pomarańczowej sadzy.

Wszystko.

Wtedy właśnie pojawił się oddział Armii Czerwonej i otoczył połowę miasta.

Tatarską połowę.

Nikogo nie wpuszczano i nikogo nie wypuszczano.

Bo tak naprawdę były dwie Karabolki: tatarska i rdzennie rosyjska.

Rosjanom powiedziano prawdę. Zostali natychmiast ewakuowani długimi, czarnymi ciężarówkami. Nigdy nie wrócili.

Tatarów okłamano.

Oni zostali.

Były sobie dwie wioski. Jedna, w której zawsze mówiono prawdę. I druga, w której zawsze kłamano.

Do wód gruntowych przedostała się ropa - tak powiedziano Tatarom.

To dlatego wszystkie ich krowy, owce, świnie i konie padły albo ciężko zachorowały.

To dlatego woda z ich studni miała smak metalu.

Dlatego wszystko pokrywały czarno-pomarańczowe sadze.

Dlatego była tam Armia Czerwona.

Ropa naftowa.

Ktoś to musiał posprzątać.

Zostali wybrani do tego zadania.

Żołnierze wyprowadzili ich na pola i kazali gołymi rękami wykopywać z ziemi marchew i ziemniaki, a potem zakopywać w wielkich dołach.

Zaprowadzono ich do opuszczonej już rosyjskiej części Karabolki, żeby zeskrobywali sadze z murów i wyburzali jednoizbowe drewniane domy.

Zabrano ich do stajni i obór, w których panowała dziwna cisza. Wyciągali za ogony martwe zwierzęta i wrzucali je do dołów z wapnem.

Robotnicy w większości byli dziećmi w wieku od ośmiu do jedenastu lat.

Dziewczynki i chłopcy codziennie chodzili na szkolne wycieczki do skażonej strefy.

Zaczęły im krwawić ręce.

Na ich ciałach pojawiły się rany.

Wymiotowali zieloną wydzieliną.

„To nic - mówili żołnierze.

To od ropy. Jak wyczyścicie miasto, wszyscy poczują się lepiej, a choroby znikną.

Bóle głowy i nudności, krwawienia z odbytu i zielone wymioty. Otwarte rany i łysienie. Miną”.

Sprzątanie trwało cały rok.

Śnieg, który spadł następnej zimy, natychmiast stopniał.

Woda ze studni nadal była słonawa i cuchnąca. Miała metalowy posmak.

Miasteczko ogarnął rodzaj śpiączki.

To nie miało znaczenia.

Zostali na miejscu.

Dzieci nadal chodziły na pola, do wymarłych obór i opuszczonych domów.

Później nazwano ich młodymi likwidatorami - dużo później, kiedy sprawy wyszły na jaw.

Dzieci o radioaktywnych rękach. Dzieci potępieńców.

Całe pokolenie, które po prostu wymarło.

Z pięciu tysięcy tatarskich dzieci ostatecznie została niecała setka.

Włączając te nowo narodzone.

Oraz te, które dopiero miały się urodzić, po wielu tygodniach, miesiącach, a nawet latach.

Dzieci niepodobne do żadnych innych na świecie. Które trafiły do wesołych miasteczek albo do słoików jako eksponaty. Jeszcze dziś można je oglądać w Muzeum Embriologii w Czelańsku.

Zalane formaliną i ustawione rzędami na drewnianych półkach.

Rybie twarze, nogi jaszczurek, oczy piskorzy, ciała pokryte łuskami, nogi zakończone kopytami i psie ogony.

Jakby spełniała się starożytna klątwa.

Jakby w tajnym zbiorniku zamiast radioaktywnego szlamu przechowywano czarnoksiężski napój, który został wypluty na niewinnych ludzi.

To była tajemnica.

Sekret, którego nie wolno było wyjawić. Nigdy.

Tylko że...

Czasem, pracując na polach, kopiąc gołymi rękami w ziemi koloru nocy, dzieci słyszały jakiś dźwięk. Dobiegał z wysoka, jakby z nieba. Jak szept Boga na tyle głośny, że mogły go usłyszeć, ale tak cichy, że łatwo było o nim zapomnieć.

A jednak...

Pilnujący ich żołnierze z karabinami chyba nigdy go nie usłyszeli.

Ale one słyszały.

Może szept był skierowany tylko do nich.

Do młodych likwidatorów, którzy wkrótce mieli zostać zlikwidowani. Może miał dotrzeć tylko do ich uszu.

Obietnica.

Przysięga.

Znak, że ktoś widzi ich cierpienie.

I nie zapomni.

Nie.

Bóg widzi wszystko, prawda?

Ktoś ich obserwował.

Ale to nie był Bóg.

To było jedno szklane oko.

Ukryte w brzuchu z aerodynamicznej stali leciało z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę i rejestrowało obrazy w tempie pięćdziesięciu klatek na sekundę. Ktoś robił zdjęcia. Śmigający ponad zasięgiem radarów Ikar w drodze do słońca.

Tajny samolot U-2.

Warto przez chwilę powstrzymać śmiech i przyjrzeć się tej symetrii, dostrzec w niej ironię.

Tajny amerykański samolot podczas tajnego lotu nad tajną radziecką wioską, która właśnie doświadczyła skutków największej w historii tajnej eksplozji.

Nie powiemy, jeżeli wy nie powiecie.

My nie powiemy, ponieważ tajne amerykańskie samoloty nie naruszają radzieckiej przestrzeni powietrznej.

Wy nie powiecie, ponieważ nie produkujecie na masową skalę tajnego plutonu, a on nie wyleciał w powietrze. Nie mordujecie własnych dzieci. Oczywiście, że nie.

Zgoda.

To nie Bóg szeptał do tych dzieci.

To były szepty dwóch wrogów, którzy nie mogli krzyczeć.

Gdy samolot powrócił ze swojej misji, gdy tajny film został już wywołany, przestudiowany, przeanalizowany i rozłożony na czynniki pierwsze, wyciągnięto wszelkie możliwe wnioski.

Gdyby coś miało się kiedyś stać tutaj - nie dlatego, by to było możliwe, ale gdyby... po prostu przygotowujemy się na wszystkie ewentualności, nawet te najbardziej niedorzeczne i zwyczajnie śmieszne - będziemy przygotowani. Będziemy wiedzieli, jak sobie z tym poradzić. Podejmiemy odpowiednie kroki.

ROZDZIAŁ 51

Zdjęcia.

Dni przelatywały jak szybko przerzucane kartki albumu wypełnionego zdjęciami - czasami zupełnie rozmazanymi, a czasami nie. Zdarzało się, że byłem nawet w stanie je zapamiętać.

- Jak to się stało? - zapytałem Hermana Wentwortha.

Jeśli leży się w szpitalu wystarczająco długo, prędzej czy później poznaje się ordynatora. No dobrze, emerytowanego ordynatora.

Zasłużonego emerytowanego ordynatora.

- Błąd ludzki - powiedział. - Niewielki problem z systemem chłodzenia. Działaliśmy wtedy metodą prób i błędów.

Niewielki problem... metoda prób i błędów. Mówi o elektrowni atomowej, która wyleciała w powietrze, jakby opowiadał o budowie makiety wulkanu w szkolnym laboratorium, podczas której nauczycielowi osmalilo twarz.

Mały wypadek.

Zdarza się.

- To samo stało się w Rosji - powiedziałem. - Tam też nawaliło chłodzenie.

- Tak.

Wentworth coś mi wstrzykiwał, a ja patrzyłem na ojca narodu na suficie. Cześć, George.

- Tama Aurora była tylko przykrywką - powiedziałem. - Potrzebowaliście wody do chłodzenia rdzenia reaktora.

- Nie tylko oni mieli swoje tajne elektrownie, my też. To były inne czasy. Żyliśmy w cieniu nuklearnego Armagedonu. Trudno sobie teraz to wyobrazić. Wszechobecny strach.

- A kiedy elektrownia wybuchła, mówiło się o katastrofie tamy. O powodzi. Ale w wodzie nie pływały ciała i zarazki, w każdym razie nie tylko one. Było jeszcze promieniowanie. Ukryliście to. Zabraliście wszystkich, którzy wtedy ocaleli, i ukryliście. W amerykańskiej Karabolce.

- A co mieliśmy zrobić? Ogłosić światu, że właśnie mieliśmy wypadek atomowy o mocy dwudziestu dwu megaton trotylu? Powiedzieć Rosjanom? Własnemu narodowi? Jak już mówiłem, to były inne czasy.

- Było więcej rzeczy, o których nie powiedzieliście narodowi amerykańskiemu. Na przykład o tej szkole dla chłopców w Rochester. O ciężarnych kobietach w klinice Vanderbilta. I o tym miejscu. Kiedy jeszcze nazywało się Marymount Central.

Nie odpowiedział, właśnie wyjmował strzykawkę.

- Jedną osobę wypuściliście - powiedziałem. - Z tych, które przeżyły. Tę małą dziewczynkę, Bailey Kindlon. Dlaczego?

- Aaaa, Bailey. Taka mała, taka przerażona. Bardzo krótko przebywała w wodzie. Jeśli chodzi o promieniowanie, właściwie wyszła bez szwanku. No i miała tylko trzy lata, co nie było bez znaczenia. Liczyliśmy na to, że patrzyła na wszystko inaczej niż starsze dzieci, które więcej rozumiały.

- Powinienem był się zorientować, kiedy powiedział pan, że był w 499. batalionie. Stare dobre czasy w Hiroszynie. Co to był za zastrzyk? Bolało.

- Coś nowego. Pomyśl o tym, jak o znieczuleniu ogólnym. Dziesięciokrotnym.

- Te wszystkie mutacje w Japonii. A potem w Karabolce. Musiały napędzić wam sporo strachu.

- Sporo nas nauczyły.

- Ale to wam nie wystarczyło, chcieliście wiedzieć więcej.

- Wszystko ma swoją cenę. Każdy królik doświadczał to potwierdzi.

- Więc użyliście ludzi w charakterze królików. W Rochester i tutaj. A kiedy w Littleton Flats wydarzyła się katastrofa, wiedzieliście, co robić. Wiedzieliście, gdzie ich przywieźć. Wykastrowaliście ich, żeby niemowłeta-potwory nie raziły waszego poczucia estetyki, żeby mutacje się nie szerzyły. Nafaszerowaliście ich lekami do utraty przytomności - Benjamina i tego drugiego, który trafił z powrotem do Littleton jak gołąb pocztowy. Nie zapomina się drogi do domu, co? Nawet mając rozmiękczony mózg. Wren znalazł go śpiącego w altanie, a potem zobaczył jego nazwisko na czarnej granitowej ścianie w Waszyngtonie. Ludzie nie umierają dwa razy, prawda?

- Przeczytałeś to w artykule Wrena? Tym o katastrofie tamy Aurora?

- Nie było artykułu o katastrofie tamy Aurora. Nigdy się nie ukazał. Wren go nie skończył.

- Oczywiście, że się nie ukazał. Ale może został napisany. Może Wren gdzieś go zostawił?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zobaczymy.

Idźmy dalej.

Rainey.

Nie wiedziałem, czy go wtajemniczyli czy nie. Prawdopodobnie nie. Był tylko żołnierzem, który wykonywał swoją robotę.

Zapytałem go, jak mogą mnie połączyć w sensie prawnym. Nie, żeby ktokolwiek przestrzegał tu jakichś zasad. Ale gdyby tak było.

- Postępujemy zgodnie z przepisami. Chodzi o ludzi stwarzających zagrożenie dla siebie samych albo dla innych - zacytował. - Myślę, że się do nich zaliczasz.

- Nie jestem weteranem, a to jest szpital dla weteranów.

- Odbyleś służbę przygotowawczą oficerów rezerwy. Kwalifikujesz się.

- Jeden z psychiatrów był obecny przy mojej rozmowie z prawdziwym detektywem Wolfem. Uważał, że jestem całkiem zdrowy. Czy mogę się z nim zobaczyć?

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- To masz problem. Ale jeśli trafię na kogoś, kto uważa, że jesteś całkiem zdrowy, to dam ci znać.

- Jak się czuje Dennis?

- Trudno powiedzieć. Jest dość mało mówny.

- Ja mu tego nie zrobiłem. Przywiozłem go tutaj, uratowałem mu życie.

- Powiem mu, żeby wysłał ci kartkę z podziękowaniami.

- Mówię prawdę.

- Oczywiście, Pinokio.

Burza.

Słyszałem, jak szaleje na zewnątrz. Grzmiało, a ja czułem się, jakbym stał zbyt blisko wzmacniacza basowego w małym klubie. Od wibracji dzwoniły mi żebra.

„Zanosi się na ulewny... ulewny... ulewny deszcz...”

Śpiewałem.

Byłem swoim własnym iPodem.

Trzymałem się kanonu Dylana.

„Lepiej zacznij pływać albo pójdiesz na dno jak kamień”.

Ulubiony cytat Anny, prawda? Miała go w swoim profilu na AOL: Braakk.

Może to była kolejna wskazówka dla błędzących.
Katastrofa tamy Aurora.
„Lepiej zacznij pływać”.
Benji musiał wtedy pływać jak olimpijczyk.
I Eddie Bronson też, kimkolwiek naprawdę był.
I matka hydraulika. Utrzymali się na powierzchni, żeby trafić do paszczy rekina.
Zostali połknięci w całości.
Kim była Anna?
Jeśli nie Anną Graham, to kim?
Każdy kłamca wie, że część tego, co ludzie mówią, jest prawdą. Dzięki tej części zachowują wiarygodność i udaje im się sprzedać całość.
Powinienem się nad tym zastanowić.
Naprawdę powinienem.

Obudziłem się w środku nocy.
Przez szparę pod drzwiami sączyła się do środka niewyraźna, czerwona jak krew poświata.
Usłyszałem kroki albo raczej szuranie.
Ktoś przystawał i szedł dalej jak mechaniczna zabawka, która co dwa kroki się zatrzymuje i trzeba ją nakręcić.
Wędrował korytarzem, zaglądając do każdej celi.
To nie mógł być Rainey ani Samoaniec, ani żaden z pozostałych sanitariuszy. Potrafiłem już rozpoznać ich kroki: głośne, żwawe i zdecydowane.
Te były inne.
Usłyszałem za drzwiami czyjś oddech.
Ktoś odsunął kratkę i czerwień wlała się do środka, zamieniając moją celę w ciemnię.
Dziwny dźwięk.
Trochę jak mowa, trochę jak jęki, a trochę jak coś jeszcze innego.
Usiadłem i patrzyłem, jak jakieś oko zagląda do mojego pokoju.

Znowu ten dźwięk. Nie do końca ludzki. A może przeciwnie. Zbyt ludzki.

- Dennis - wyszeptalem. - To ja, Tom.

Oko mrugnęło twierdząco.

Podszedłem na palcach do drzwi i przyłożyłem twarz do otwartego okienka.

- Posłuchaj, Dennis, zamknęli mnie i chcą wyrzucić klucz, rozumiesz?

Żadnej reakcji. Niewykluczone, że słowa „Dennis” i „rozumienie” wzajemnie się wykluczały.

- To samo zrobili twojemu przyjacielowi Benjy'emu. A potem go zabili. Nie chcą, żeby pewne informacje wydostały się na zewnątrz.

Nie miałem pojęcia, czy coś z tego, co mówiłem, docierało do Dennisa. Możliwe, że było to dla niego równie trudne do rozszyfrowania jak jego zachowanie dla mnie.

- Dennis, muszę się stąd wydostać. Pomóż mi.

Znowu wydał z siebie dźwięk, przypominający mowę głuchego, który nigdy nie słyszał innych ludzi. To mogło oznaczać „tak”. Albo „nie”. Albo „może”. Niewykluczone też, że prosił o swoje lekarstwa.

- Dennis, czy rozumiesz, co mówię? Chcą mnie pogrzebać.

Oko się poruszyło. Kratka się zamknęła. Usłyszałem to samo ciche szuranie.

Pozwolili mi wziąć prysznic.

Kabina była otwarta, żeby mogli obserwować pacjenta. Do ścian przymocowano metalowe uchwyty, żeby odurzony weteran nie upadł i nie zabił się.

Wchodząc, minąłem kogoś, kto akurat wychodził.

Poruszał się ospale, opadały mu powieki, był niespokojny. Na ramieniu miał wytatuowane motto Korpusu Piechoty Morskiej.

Może to ten popapraniec, o którym mówił Dennis.

Ten, który zdezerterował, żeby szukać ciała dzieci przy drodze numer osiemdziesiąt.

Powiedziałem „cześć”.

Żołnierz patrzył przed siebie, jakbym był przezroczysty. Albo niewidzialny. W pewnym sensie tak było.

Nikt nie mógł mnie zobaczyć.

Byłem niewidzialny.

Zapytałem Seta, jak mu idzie gra w kręgle.

Czy zrewanżował się dupkowi z tatuażem Judas Priest, który przyłożył mu w kręgielni? Komu udało się przekroczyć moją nieprzekraczalną średnią 132 punktów?

Czy Sam sprzedał ostatnio jakieś ubezpieczenia na życie?

Oczywiście Seta tak naprawdę tam nie było.

Trochę mnie to przerażało.

Ale i tak odpowiadał na moje pytania.

I to było jeszcze bardziej przerażające.

Niedawno śniło mi się, że znowu znalazłem się w Queens tamtej nocy, wtedy gdy szalała śnieżycą. Wtedy gdy moja mama opróżniła całą butelkę Jacka Daniela. Gdy usłyszałem, jak mamrocze coś do siebie na temat zabawek, które Jimmy zostawił na podłodze w salonie. I kiedy zaciągnąłem Jimmy'ego do sypialni i próbowałem zamknąć drzwi, ponieważ wiedziałem, na co się zanoszą.

On też wiedział.

Jimmy był mniejszy ode mnie i nie potrafił się bronić, dlatego łatwiej mogła nim poniewierać - jak szmacianą lalką.

Był bardziej podobny do ojca, który opuścił nas dla młodszej i ładniejszej kobiety przynoszącej nam dodatkowe naleśniki w Acropolis Diner.

Jimmy zawsze przyjmował jej napady szału ze stoickim spokojem i wyrazem... chyba lekceważenia na twarzy. Nawet w

wieku sześciu lat jakoś odnalazł w sobie to dorosłe uczucie, które doprowadzało ją do jeszcze większej wściekłości. Wtedy robiła mu różne rzeczy gorącą wodą w wannie, grzejnikiem w sypialni, sprzączką od starego paska taty.

Rzeczy, które powodowały, że w końcu zaczynał krzyczeć i zawodzić, podczas gdy ja kryłem się w fałszywym sanktuarium sypialni i zatykałem uszy. Ignorując zło, daleko się nie zajdzie.

Tamtej nocy zaciągnąłem go do swojego pokoju i zamknąłem drzwi, myśląc, że tym razem jej nie wpuszczę. O nie. Niech dyszy jak wilk z bajki o trzech świnkach, ale nie uda jej się zdmuchnąć drzwi. Staralem się, jak mogłem - jak tylko może dziewięciolatek. Niewystarczająco. Odepchnęła mnie, złapała Jimmy'ego za rękę i choć wyrywał się z krzykiem, wywlokła go z pokoju.

A ja wszystko słyszałem.

Wszystko.

Nie pomogło zatykanie uszu. Leżałem na podłodze, zaciskając na głowie kleszcze z własnych rąk.

Za oknem wyl wiatr, ale dużo gorsze było wycie dobiegające zza ściany. Zawierucha na zewnątrz i w środku, kiedy Jimmy uderzał o różne przedmioty, a pas uderzał w jego ciało.

Ten straszny krzyk.

W końcu nagle ucichł. Po prostu.

We śnie boję się wyjść z pokoju. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończyło, że gdybym wyszedł, zobaczyłbym Jimmy'ego, jak siedzi tam, posiniaczony, a nawet zakrwawiony, ale żywy. Nie wychodzę, żeby nie widzieć, jak leży bez ruchu na podłodze, cały siny.

Mama nie każe mi iść do pokoju i pisać historyjki o Jimmym, niezdarnym sześciolatku, który sam sobie robił krzywdę. Historyjki, którą później posłusznie zrelacjonuję policji, pracownikowi opieki społecznej i własnemu ojcu, skrupulatnie, ze wszystkimi szczegółami.

„Mój brat Jimmy pośliznął się na lodzie i uderzył w głowę.
Zawsze się przewraca i różne takie.
Jest prawdziwym łajzą”.

Nie.

W moim śnie ojciec wraca, by nas uratować. Wraca do swojej rodziny.

Słyszę jego kroki na ganku.

Chłupot mokrego śniegu.

Stukanie do drzwi.

Zaraz wejdzie, otrzepie nieprzemakalny płaszcz, pobiegnie do Jimmy'ego i go obudzi.

Drzwi się otwierają.

Tato, mówię. Tato.

Ale on nie może mówić. Jest potwornie zimno, wirują płatki śniegu. A on nie może mówić.

Pokazuje mi, żebym poszedł bliżej.

Biegnę do niego w swojej pidżamie z Batmanem, która jakoś dziwnie zmienia kolor. Robi się szarobura.

A z moim ojcem nadal coś jest nie tak - chociaż próbuje mówić, z jego ust nie wydobywają się słowa.

Chwyta za moją pidżamę i ciągnie mnie na zewnątrz.

A tymczasem śnieg gdzieś zniknął.

Jest tylko pusty korytarz zalany czerwoną poświatą.

Ciiii...

Nie może mówić, a jednak coś szepcze.

Dennis pokazuje, żebym poszedł za nim.

W jego ręce połyskuje klucz.

Może powinienem był zadać sobie pytanie, skąd go ma.

Ten klucz.

W ten sposób można się doprowadzić do szaleństwa.

ROZDZIAŁ 52

Gdybyś pracował jako stróż w garażu szpitala dla weteranów numer 138, zobaczyłbyś tej nocy sennego sanitariusza przemierzającego opustoszały podziemny parking.

- Długi dzień, co? - mógłbyś go zapytać.

Sanitariusz pokiwałby głową i odparłby:

- Taa...

A potem z wyrazem zdumienia i irytacji na twarzy przesuwałby kieszenie.

- Jezu - mruknąłby, wywróciwszy obie na lewą stronę. - Zgubiłem bilet parkingowy. Rano na pewno go tu miałem.

Pokiwałbyś współczująco głową.

Właściwie to gość wyglądał na lekko zamroczonego. Prawdę mówiąc, śmierdział, jakby przebiegł maraton. Albo spędził cały dzień na mocowaniu się z niezdyscyplinowanymi pacjentami. Albo wyciągnął swoją niebieską koszulę ze stosu brudów w szpitalnej pralni.

- Co to za samochód? - W końcu przemówiłyby przez ciebie litość i chęć pozbycia się jego cuchnącej osoby z zasięgu twojego węchu.

- Miata - odparłby sanitariusz. - Srebrno-niebieska i trochę poobijana.

- Dobra - westchnąłbyś. - Pójdę poszukać.

- Naprawdę? - Ucieszyłyby się. Nie chciałyby przecież sprawić ci kłopotu. - Byłbym bardzo wdzięczny.

- Żaden problem - odparłbyś, wychodząc ze swojej oszkłonej budki z pękiem ponumerowanych kluczy i idąc w stronę dolnego poziomu parkingu, gdzie, o ile pamięć ci dopisywała, widziałeś srebrno-niebieską miatę z przekrzywionym zderzakiem.

I oczywiście tam byś ją znalazł. Sprawdziłbyś bilet parkingowy za szybą, włożył właściwy kluczyk do zamka i podjechał do wdzięcznego pielęgniarza, który, sądząc po wyglądzie, naprawdę potrzebował snu.

Patrząc, jak sanitariusz wsiada do samochodu i odjeżdża, pomyślałbyś, że samochód i kierowca pasują do siebie. Wprawdzie żaden z nich nie jest wiekowy, widać jednak, że mają spory przebieg.

To tylko kwestia czasu, kiedy obaj zaczną się sypać.

Jechałem drogami, które poznałem już wcześniej.

Miałem dość benzyny i pieniądze - na wszelki wypadek trzymałem w schowku kartę kredytową. Telefon leżał w uchwycie na kubek, tam gdzie go zostawiłem. Nie musiałem go wyłączyć, żeby był niewidzialny dla wścibskich satelitów. Rozładował się.

Okolica wyglądała znajomo.

Gęstniejące lasy i wszechogarniające zimno.

Jechałem do miejsca, w którym już kiedyś byłem.

Stało tam sześć chat z bali nad jeziorem Bluemount.

Tym razem wiedziałem, gdzie jest zjazd z autostrady.

Wiedziałem, że muszę okrążyć jezioro dwukrotnie, jak w zabawie w „chodzi lisek koło drogi”, i znaleźć przybity do drzewa znak.

Wiedziałem, że samochód będzie się trząsał i klekotał, pokonując leśną drogę.

Wiedziałem, że kiedy las wypłuje mnie na brzeg jeziora, nikt nie wyjdzie na ganek, żeby się przywitać.

Podjechałem pod dom i siedziałem chwilę w samochodzie z nadzieją, że moje domysły są błędne, że Wren zaraz otworzy drzwi, a potem poczęstuje mnie porcją jadowniczej krytyki i dymu papierosowego.

Cisza.

Wysiadłem i wszedłem po schodach. Pchnąłem drzwi i zająrzałem do środka.

Tym razem piecyk nie był włączony, ale było wczesne popołudnie i dość słońca, żeby rozproszyć zimno.

Nikt nie zwracał sobie głowy posprzątaniem bałaganu. Teraz zobaczyłem to miejsce takim, jakim było - ktoś je splądrował tak samo jak piwnicę w moim domu, zanim się do niego wprowadziłem.

Tym razem przeszukałem wszystko.

Wszystko to, co i oni musieli wcześniej przeszukać. Tak naprawdę nie spodziewałem się niczego znaleźć, ale przetrząsnąłem dom bardzo dokładnie. Nigdy nic nie wiadomo. Kiedy zaczynałem pracę dziennikarza, nazywaliśmy to poszukiwaniem złota. Dlaczego? Bo w przeciętnej kopalni trzeba przerzucić trzy tony ziemi, żeby zebrać ćwierć kilograma kruszcu. Jest go tak mało, że nazywa się go niewidzialnym złotem.

Czasem trzeba długo grzebać w błocie, żeby znaleźć to, co niewidzialne.

Natrafiłem na korespondencję Wrena.

Dawna miłość o imieniu Dorothea - nie podpisała się nazwiskiem; być nie muszą tego robić, kiedy chcą powspominać namiętne noce na Florydzie.

Jakiś pan Poonjab z Mikronezji, jeden ze znajomych Wrena, może z czasów, gdy Wren był zagranicznym korespondentem. Pan Poonjab przesyłał pozdrowienia od żony i dzieci.

Żadnych listów od żon. Żadnych kartek z życzeniami urodzinowymi od dzieci. Paru osobom było na rękę, że Wren nie miał rodziny - tak samo zresztą jak jego nagłe upodobanie do samotności.

Pan Poonjab obiecał, że w następnym liście prześle to, o co prosił reporter.

Trudno powiedzieć, co to było.

Co można chcieć z Mikronezji?

Orzechy kokosowe? Liście palmy? Muszle?

A może coś bardziej istotnego? Do lat sześćdziesiątych Amerykanie niszczyli rajskie wyspy mórz południowych próbami jądrowymi, zamieniając je w tereny tak skażone, że w większości pozostały niezamieszkałe. A teraz z powrotem przesiedlamy ludność i splącamy reparacje przecenionymi towarami.

Może relacji o nuklearnym spustoszeniu Wren potrzebował z pierwszej ręki.

Pod kanapą leżały dwa czasopisma medyczne. W jednym znalazłem suchy, rzeczowy traktat poświęcony skutkom opadu radioaktywnego.

Było też dziesięć stron skopiowanych z książki o raczkującym programie amerykańskich zbrojeń jądrowych.

Biografia dziewcząt z Hiroszimy - grupy zdeformowanych przez wybuch bomby młodych kobiet, które podróżowały po świecie.

Studium próbek gleby z Los Alamos.

Jasne.

Musiał pojechać do Littleton Flats, tak jak ja to zrobiłem.

Musiał zgarnąć trochę tego czerwonego piachu i wysłać go w fiolkach do Dearbome Labs. „Wydaje mi się, że jest radioaktywny”, musiał im powiedzieć.

„Myślę, że świeci”.

Miał rację.

Były też zwykle domowe rachunki, głównie z czasów, kiedy Wren mieszkał w Littleton.

Olej opałowy i prąd.

Telefon i kablówka.

Rachunek za czyszczenie rynien.

Kalkulacja kosztu czyszczenia dywanów.

Rachunek za prace remontowe wystawiony przez Seta Bis-hopa. Suche tynki. Pięćset dolarów, nabazgrane jego charakterystycznym pismem z zawijasami.

Były też poźółkłe wycinki z artykułami podpisanymi nazwiskiem Wrena przysłane z miejsc zarówno egzotycznych, jak i prozaicznych.

Tajlandia. Polska. Newark. Cleveland.

Rachunki od lekarza. Wren najwyraźniej cierpiał na łagodną arytmie, miał wysoki poziom cholesterolu i nawroty depresji. Znalazłem receptę na xanax, lek znany z uspokajającego działania, który w redakcji informacyjnej ustępował popularnością tylko narkotykom. Reporterzy żyli w ciągłym napięciu pod presją czasu.

Przejrzałem wszystko. A potem jeszcze raz.

Przetrząsałem biurko Wrena w poszukiwaniu latarki.

Wprawdzie na zewnątrz było jeszcze jasno, ale wybierałem się na dłuższy spacer po lesie.

Drzewa tworzyły ciemne gotyckie sklepienie.

Ich pnie były omszałe i wilgotne.

Pod nogami miałem splecione korzenie pokryte ściółką zmieszanych z ziemią nadgnitych liści.

Czasem między drzewami migał zad uciekającego jelenia.

Po suchych gałęziach biegały wiewiórki.

Zataczałem pętlę wzdłuż brzegu jeziora, tam gdzie stały chaty.

Co trochę grzęzłem w miękkim podłożu i po dziesięciu minutach moja koszulka University of Oregon, wygrzebana po drodze w Kmart, w koszu z rzeczami za pięć dolarów, była przesiąknięta potem.

Kiedyś pisałem artykuł o ekspercie medycyny sądowej, który prowadził badania, zakopując zwłoki w swoim ogrodzie. Były to głównie zdobyte w kostnicy ciała bezimiennych zmarłych, po które nikt się nie zgłosił. Chciał opisać wpływ czasu, gleby i warunków pogodowych na ludzkie ciało, szczegółowo prześledzić niszczenie kości, ścięgien i innych tkanek.

Część ciał pozostawił na powierzchni ziemi.

Pozostałe zakopał na różnych głębokościach, wykopując je raz na jakiś czas, żeby przeanalizować zmiany.

Szybko okazało się, że nie tylko on interesował się kopaniem. Ogród przylegał do rezerwatu przyrody, a mieszkające tam niedźwiedzie i dziki, które wywęszyły zakopane szczątki, potrafiły bez trudu wykopać nawet dwumetrowy dół, żeby się do nich dostać.

Lekarz opisał, jak to wyglądało.

Jak niesprzątnięty stolik w bufecie typu „zjedz, ile zdołasz”.

Mieszanina obgryzionych kości, połamanych zębów i zwierzęcych odchodów.

Jeśli ktoś został zakopany w tym lesie, jego ciało też nie miało szans na wieczny odpoczynek.

Wszedłem w wirującą chmurę komarów.

Zaatakowały mnie jak eskadra szalonych kamikadze. Tylko na rękach zabiłem ich co najmniej dziesięć; kiedy wieczorem spojrzałem w lustro, okazało się, że wyglądam jak pokonany w paintballu.

Włóczyłem się wśród dymiących kolumn ognia - tych niewielu prześwitów w rozwieszonym wokół gobelinie, którymi przedostawało się słońce.

Staralem się iść tak, by cały czas widzieć jezioro, a właściwie błyski odbitego od powierzchni wody światła, dzięki czemu mogłem uniknąć błędzenia lub gorzej - zanurzenia się w prastary las i utonięcia w nim.

Spędziłem nad jeziorem jakieś trzy godziny, dopóki nie ściemniło się na tyle, że musiałem się poddać.

Zawróciłem i położyłem się spać w tej samej chacie, w której nocowałem ostatnim razem.

Rano znowu poszedłem do lasu.

Tym razem szedłem z chaty Wrena w głąb lasu po linii prostej.

Spędziłem tam całe przedpołudnie.

W końcu spocony i sfrustrowany usiadłem na jakimś pniu, przyglądając się cętkowanym wzorom na liściach. Białe smugi słonecznego światła przedzierały się między gałęziami i rozpryskiwały na ziemi.

Czułem się, jakbym patrzył na abstrakcyjne malowidło Jacksona Pollocka, próbując rozszyfrować jego sens.

Przypadkowy porządek rzeczy.

Patrzyłem zwłaszcza na jeden wzór, z którego tworzyłem własne obrazy.

Ale nie mogłem zrozumieć, skąd się tam wziął.

Kiedy obejrzałem liściaste sklepienie, nie znalazłem w nim prześwitów.

Nie przepuszczało ani promyka światła.

Usłyszałem brzęczenie owadów. Poczuję jakiś zapach.

Niewyraźny, piźmowy, mdły.

Kiedyś musiał być naprawdę wstrętny, teraz ledwo można go było wyczuć.

Zobaczyłem rozrzucone tu i ówdzie grudki wilgotnej czarnej ziemi. Dostrzegłem rój owadów - gzów, komarów i chrabąszczy.

„Wjedź teraz do lasu, a nie znajdą cię do przyszłego roku”.

Musiałem odgarnąć grube pnącze, żeby się tam dostać.

Blisko.

Na ziemi, niczym ciśnięte w kąt zmięte przebranie na Halloween, widniał biały wzór.

Wszyscy znają to przebranie.

Szkielet.

Opędzałem się od much i patrzyłem.

Na białe smugi światła, którego nie było. Kości. Trupiobiałe.
Przegryzione na pół, tak żeby zwierzę, które je wykopało,
mogło dostać się do szpiku.

Oczywiście nie byłem ekspertem, nie potrafiłem odróżnić
kości jelenia od kości człowieka, ale nie musiałem.

Jelenie nie noszą spodni.

Jasnobrązowych drelichów z logo Gapa na guziku.

ROZDZIAŁ 53

Odebrała telefon po drugim dzwonku, a potem, o dziwo, nie rozłączyła się.

Może dlatego, że zapytałem ją, czy po rozwodzie zamierza wrócić do panińskiego nazwiska.

Do nazwiska Steiner.

Umilkła. Było to szczególne, wymuszone milczenie, które mówi więcej niż słowa. Zgodziła się spotkać ze mną na rogu Dziewiątej i Lincolna.

Podczas naszego pierwszego spotkania wspomniała o swoim ojcu.

„Mój tato był mechanikiem”, powiedziała, gdy podziękowałem jej za naprawienie przewodu od cewki paliwowej. „Właściwie mieszkał pod maską”.

Podobnie jak ktoś inny, o kim ostatnio słyszałem.

„W więzieniu skończył kurs dla mechaników samochodowych i tym się zajął po wyjściu na wolność... Cudowne dziecko, inżynier, naprawiał samochody, żeby zarobić na chleb”.

To nie wszystko.

Kiedy po raz drugi jedliśmy razem kolację, wspomniała, że znała Wrena.

„Tak się właśnie poznaliśmy. W domu opieki... Myślę, że pojechał tam w poszukiwaniu kogoś, kto byłby trochę bardziej wylewny w rozmowie o tym zdarzeniu niż większość mieszkańców Littleton”.

A co tam robiła Anna?

„Mój tato. Ma alzheimera”, powiedziała.

A kiedy zapytałem Wrena - właściwie nie jego, tylko kogoś, kto rozmawiał wtedy ze mną przez telefon - czy Lloyd Steiner żyje, odpowiedział: „Ledwo”.

„Próbowalesz z nim porozmawiać?”

„Powiedzmy, że on nie rozmawia”.

To było możliwe.

A może nawet prawdopodobne.

„Więc twoim zdaniem Lloyd Steiner poszedł do więzienia, żeby uspokoić opinię publiczną, a oni przez cały czas pilnowali, żeby trzymał głębę na kłódkę?”

Może trzymał głębę na kłódkę, ale nie przez cały czas.

Zadzwońiłem do domu opieki. Przedstawiłem się jako zatroskany krewny i zapytałem dyżurnego o sympatycznym głósie, jak się czuje pan Steiner.

- Bez zmian. Niestety, musimy go karmić na siłę.

„To coś, co się robi, kiedy się kogoś kocha, prawda? To mój tato. Zrobiłabym dla niego wszystko”.

No i może w końcu właśnie tyle musiała dla niego zrobić.

Wszystko.

Pokazała mi zdjęcie.

Cody na rowerku z rączką pedałuje co sił w nogach, jadąc, dokąd dusza zapagnie, by odkrywać szeroki świat.

Tylko że nie naprawdę.

Mama stała za nim, trzymając za tę rączkę i kierując go, dokąd sama chciała. Jego wolność była złudzeniem.

„Takie małe oszustwo”.

Tak, Anno, to było oszustwo.

Było.

Zabawne, że nadal nie była mi obojętna.

Może taka już nasza natura, że pozwalamy ciału wybaczać to, czego wybaczyć nie może rozum.

Gdyby było inaczej, skakalibyśmy sobie do oczu. I nigdy byśmy nie odpuścili.

- Trzy lata temu ktoś złożył ci wizytę - powiedziałem. - Odrażający człowiek, który mówił kobiecym głosem.

Staliśmy na rogu Bulwaru Lincolna. Był wczesny wieczór, mnóstwo ludzi szło w stronę promenady.

Pokiwała głową.

- Twój tata miał wtedy wczesne stadium alzheimera. To mogła być ostatnia szansa, żeby czegoś się od niego dowiedzieć. Zanim zgaśnie - a w każdym razie ta jego część, która mogła komunikować się ze światem, mogła mówić.

Odwróciła się i przetarła oko.

- Kiedy przyszedł do ciebie ten człowiek, powiedział coś w tym stylu, sparafrazuje: twój tatuś zawarł umowę. Dawno temu. Musi jej dotrzymać. Nawet jeżeli jest wściekły, to nieładnie, że zaczął zwierzać się lokalnym reporterom. Tajemnica to tajemnica. Umowa to umowa.

Coś było w jej oczach.

Łzy.

- Zaczął mówić o przeszłości - powiedziała cicho.

Pokiwałem głową.

- Jasne.

- Właściwie tylko o tym mówił. Tak się dzieje, kiedy człowiek... Tak powiedział lekarz... To jak odliczanie wstecz przed narkozą. A potem zasypiasz. Nie ma cię. On tam wracał, w lata pięćdziesiąte.

- Rok 1954 - powiedziałem. - Założę się, że w pięćdziesiątym czwartym spędził sporo czasu. A ten właśnie rok interesował Wrena. Rok katastrofy. Przy okazji, jak masz naprawdę na imię? Głupio się czuję, mówiąc do ciebie Anno.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytała.

- Nie, chyba nie. Umowa, którą zawarł twój ojciec. Może to była najlepsza umowa, jaką mógł zawrzeć w tamtych okolicznościach. Myślę, że tak czy inaczej by go dorwali, kiedyś dla nich pracował. Spędził dziesięć lat w więzieniu, ale zrobił to dla swojej rodziny. Coś z tego miał. Ty musiałaś urodzić się później, kiedy wyszedł.

Pokiwała głową.

- Mieli dziesięcioletnią przerwę - zmusiła się do uśmiechu. - Musieli sporo nadrobić.

- Spotkałaś się z Wrenem w domu opieki. Może ten przerażający człowiek powiedział ci, żebyś tak zrobiła, bo twój tata mówi o rzeczach, o których mówić nie powinien, w dodatku rozmawia o nich z reporterem, więc pojedź tam i przypilnuj go. Albo może Wrena poznałaś wcześniej, odwiedzając tatę. A on cię potem odszukał i zapytał, czy mógłby z nim porozmawiać. O katastrofie. I o mieście. To bez znaczenia. W każdym razie zaprzyjaźniłaś się z Wrenem i zdobyłaś jego zaufanie.

- Tak.

- Był podekscytowany, tak jak mówiłaś. Odkrył coś, co wydarzyło się zaledwie trzydzieści siedem kilometrów od Littleton, coś okropnego. Coś przerażającego. A twój ojciec musiał to potwierdzić. Czy dał coś Wrenowi? Czy przekazał mu coś więcej niż swoje wspomnienia?

- Nie, nie sądzę. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ tak się przestraszyli, że zaczęli działać. A przecież zdawali sobie sprawę, że nikt nie uważał pamięci twojego ojca za niezawodną. Już nie. Bo...

- Słuchaj, ja nie mogę o tym rozmawiać.

Nadal wyglądała na smutną, a nawet więcej - na przerażoną. Nawet tutaj, w samym środku radosnego wieczoru w Santa Monica, była śmiertelnie przerażona.

- W jaki sposób ci groził? - zapytałem cicho. - Twój tata, jasne, ale on jest już jedną nogą w grobie. Masz syna. Twoja mama nadal żyje. Czy zmusił cię do takiego samego wyboru, jakiego dokonał twój ojciec? Żebyś chroniła swoją rodzinę?

Nie odpowiedziała. Nie musiała.

- Zostałaś ich szpiegiem. Miałaś na oku kogo trzeba. Chcieli wiedzieć, co twój ojciec powiedział Wrenowi. O czym rozmawiali. Czy dał mu coś konkretnego. Na tym polegała twoja praca, miałaś być przyjaciółką Wrena, a jednocześnie ich oczami i uszami. Pomóc zebrać rozlaną wodę z powrotem do butelki.

Jakiś samochód powoli skręcił za róg. Zrobiła krok do tyłu, jakby szykowała się do biegu.

- Powiedziałas mu, że zamierzasz się ze mną tutaj spotkać?

Pokręciła głową.

- Jesteś pewna? Nie kłamiesz?

- Nie.

- To dobrze, w takim razie możesz przestać oglądać się za siebie. Twój ojciec mówił o przeszłości, o roku 1954. Puścił farbę. O tamie, która nie była tylko tamą. O niewielkiej eksplozji, o której nie uczą nas na lekcjach historii. Nic Wrenowi nie dał? Nic?

- Nie - spojrzała na mnie. - Dlaczego wciąż o to pytasz?

- Już mówiłem. Przestraszyli się wystarczająco, żeby zacząć działać.

- Nie tylko oni się bali.

- Wren też?

Pokiwała głową.

- Wiedział, że go śledzą. Uważał, że jego telefon jest na podsłuchu. Nie wiedział już, komu może ufać.

- Tobie jednak ufał, prawda?

- Tak - pokiwała głową. - Ufał mi. Zaczął się obawiać, że stanie mu się coś złego.

- Miał rację - powiedziałem. - Zabili go.

Zbladła i zamilkła jak w czasie naszej rozmowy przez telefon.

- Nie - wyszeptwała. - Nie. Napisał do mnie maila...

- To nie był on. Zakopali go w lesie. Znalazłem ciało.

- Powiedzieli, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli będę z nimi współpracowała. Przysięgam na Boga... Musisz mi uwierzyć... Obiecali mi...

- Wierzę ci. Powiedzieli ci to, co musieli powiedzieć. Bądź kumplem Wrena. Nikomu nic się nie stanie. Wypytaj go o parę rzeczy. Powtórz nam, co mówił. Kłamali.

Przejeżdżający obok samochód zadudnił najnowszym przebojem Eminema.

- Co mówił Wren? - zapytałem. - Poza tym, że się bał, że coś spadnie mu na głowę?

- Nie zdradził mi szczegółów - powiedziała. - Twierdził, że tak będzie bezpieczniej. Pisał artykuł o katastrofie i twierdził, że kryje się za nią coś, co rząd stara się zatuszować. Jakiś wielki wypadek, który się wtedy wydarzył, a powódź była jego najmniej istotną konsekwencją. Twierdził, że coś takiego można trzymać w tajemnicy tylko do pewnego czasu, aż w końcu przychodzi taki moment, że po prostu już dłużej się nie da. Mówił, że mój ojciec pomógł mu to wszystko zrozumieć i że powinnam być z niego dumna. Dodał też, że zamierza wszystko ujawnić, nawet za cenę życia. Że bez względu na to, co się stanie, artykuł będzie bezpieczny.

- Bezpieczny? Co miał na myśli?

- Nie powiedział. Twierdził, że ukrył go w takim miejscu, gdzie go nie znajdą. To wszystko. Że go zabezpieczył. Że wcześniej czy później ta historia ujrzy światło dzienne.

- Światło dzienne? Tak powiedział?

Pokiwała głową.

- A czy wspomniał o byłym żołnierzu, który pojawił się w mieście? O Eddiem Bronsonie?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ od niego wszystko się zaczęło. Bo był kimś, kto rzekomo zginął w katastrofie, a potem nagle okazało się, że żyje. Wtedy właśnie Wren zaczął drążyć historię Littleton Flats. Tak jak ja trzy lata później.

Wyglądała na szczerze zakłopotaną. Mówiła prawdę: wiedziała tylko to, co jej powiedzieli, tylko to, co chcieli, żeby wiedziała.

- Kiedy cię poinformowali, że znowu potrzebują twoich usług? - zapytałam.

- Dzień przed naszym pierwszym spotkaniem.

- Ale to nie było przypadkowe spotkanie.

- Nie.

Próbowałam się zastanowić. Mój mózg nie działał już tak, jak kiedyś. Lekki go przytępiły, poluzowały przewody.

Benjy prysnął. A oni wiedzieli, że przyjedzie do Littleton. Przestraszyli się. Spotkał się z mamą, zadzwonił do pieprzonego szeryfa. Z kim jeszcze rozmawiał?

Pokręciła głową.

- Daj spokój, każdy głupek by się zorientował. Każdy z wyjątkiem mnie. Anna Graham. Anagram. Otworzyli dla ciebie to konto na AOL. Naprawdę nie wiesz dlaczego?

- Nie. Naprawdę nie wiem. Dlaczego chcieli, żeby moje nazwisko było anagramem?

- Ponieważ pewien lekarz przekazywał mi anagramy w artykule sprzed dwóch lat. W aferze, którą zmyśliłem. Mój zapas kreatywności powoli się wyczerpywał, więc zacząłem czerpać z konwencji thrillera.

Pokręciła głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- To jest nas już dwoje. Ale ja chyba zaczynam rozumieć. Naprawdę. Poluzowałaś mi przewód od cewki zapłonowej.

I naprawiłaś go. Poszłaś ze mną na dwie randki. I nie wiedziałaś, kim jestem? Tom Valle i jego paskudna przeszłość.

- Nie.

- Życie jest pełne niespodzianek. Czy kiedykolwiek, poza facetem bez twarzy, spotkałaś któregoś z nich?

- Nie, nie spotkałam. A ten facet znalazł mnie trzy lata temu. W Santa Monica. Zadzwoił do drzwi i powiedział, że musi ze mną porozmawiać o moim ojcu. Dobrze, powiedziałam, zrobiłam mu kawy. To było, zanim zaczął grozić, że zrobi krzywdę mojemu dziecku. I mojej mamie. Spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie. Kiedy się otrząsnęłam, kazałam mu iść do diabła. Zamierzałam pójść na policję, powiadomić FBI. Podał mi słuchawkę. „Pamiętaj, żeby dobrze przeliterować moje nazwisko”, powiedział. Rozumiesz, wyraził się jasno, to było jak nieoficjalnie przekazana oficjalna informacja. Że mam przesrane. Nie miałam wyboru. Nie wiedziałam o Wrenie. Naprawdę, nie wiedziałam.

To było dziwne - ktoś błagał mnie, żebym mu uwierzył. Cóż za ironia losu.

- Wierzę ci - powtórzyłem. - Poinstruowali cię, co masz mi powiedzieć? Podsuwali ci kwestie? Nie przypadkiem wspomniałaś, że mieszkasz na Piątej Ulicy, w bok od promenady, prawda?

- Nie. Dlaczego to było takie ważne?

- Mieli nadzieję, że wybiorę się tam na spacer. Że będę cię szukał. - Poczułem, że się czerwienię jak skrupowany trzynastolatek, który grając w butelkę, trafił na kogoś, kto wcale nie chciał być wylosowany. W każdym razie nie przez niego. - A ja cię szukałem, kretyn. Byłaś ostatnio w teatrze? Może widziałas tę śmieszna, podszytą seksem komedijkę, której akcja rozgrywa się na molo w Santa Monica?

- Nie. Dlaczego?

- Zapomnij o tym. Nieważne.

Tum trochę się przerzedził. Wiał delikatny wiatr, który unosił płatki mimozy z ustawionych na chodniku donic i rozwiewał piękne, gęste włosy Anny.

Mogłoby być tak miło. Gdybym naprawdę jej się spodobał. Gdyby nie kazano jej uśmiechać się do mnie w świetlicy domu opieki. Gdyby wysłuchała mojej żalosalnej historii i powiedziała: rozumiem, wybaczam ci, i tak cię pokocham.

Teraz spojrziała na mnie wielkimi brązowymi oczami.

- Wciąż tego nie rozumiem - powiedziała. - Dlaczego chcieli, żebym cokolwiek ci powiedziała?

ROZDZIAŁ 54

Nadal miałem klucz do redakcji „Littleton Journal”.

Pojechałem do miasteczka w środku nocy.

Zaparkowałem przed wejściem i siedziałem w samochodzie, dopóki nie upewniłem się, że w pobliżu nikogo nie ma. Że żadna młodzież nie żłapie piwa z puszek w papierowych torebkach ani żaden pan Yang nie pichci kaczki po pekińsku dla jutrzejszej klienteli.

Wszedłem do środka i skierowałem się w głąb redakcji.

Tam składano gazetę. Teraz oczywiście cały proces był skomputeryzowany. Każda strona powstawała osobno, a potem trafiała na maszyny przy Yarrow Street, gdzie drukowano całość.

Starsze wydania wciąż przechowywano na mikrofilmach, ale wszystko, co miało mniej niż dziesięć lat, było archiwizowane komputerowo.

Kiedy numer został uznany za zamknięty - przez Hinchę oczywiście - trzeba było zapisać go jako osobny plik z odpowiednią datą. To również była moja robota - w „Littleton Journal” byliśmy wielozadaniowi.

Zalogowałem się i cofnąłem o trzy lata. Do numeru z artykułem o Eddiem Bronsonie. Ostatniego, nad którym pracował Wren, zanim zniknął.

Nie po to, żeby znowu przeczytać ten tekst, znałem go prawie na pamięć.

Szukałem czegoś innego.

Kiedy znalazłem, wiedziałem, że to jest to.

Przeskakiwałem z jednego numeru do drugiego i z powrotem - przewijałem archiwum i klikałem, przewijałem i klikałem.

Przejrzałem teksty. *Kim jest Eddie Bronson?* Recenzja nowej płyty, cztery gwiazdki. Prognoza pogody - gorąco i sucho, potem gorąco i sucho, a potem nadal gorąco i sucho. Promocja w Diary Queen: dwie porcje lodów w cenie jednej.

Może zadziałała podświadomość. Czasem czegoś się nie widzi, ale zauważa to mózg. I archiwizuje do wykorzystania w przyszłości.

Te małe cyferki w prawym górnym rogu pierwszej strony.

Komputer umieszcza je tam automatycznie. Widnieją na każdym wydaniu od założenia gazety. Odmierzają czas; mówią, że może nie jesteśmy sędziwą gazetą, ale z historią.

Mamy korzenie. Swoją przeszłość.

Wydanie z artykułem *Kim jest Eddie Bronson?* miało numer 7512.

Przeszedłem do następnego.

A potem dla pewności jeszcze raz się cofnąłem.

W porządku, powiedziałem na głos.

Mam.

Wróciłem do swojego domu w Littleton.

Wszedłem tylnymi drzwiami, tak na wszelki wypadek.

Ktoś był tam przede mną.

Jak w chacie nad jeziorem. Bałagan to bałagan. Każdy wygląda tak samo.

Poszedłem na górę i spędziłem dobre dwadzieścia minut pod prysznicem, próbując zmyć z siebie odurzający smród

niewoli i rozjaśnić umysł. Zastanawiałem się, czy szaleństwo jest zaraźliwe. Zauważyłem, że drżą mi ręce, że palce same się zaciskają, jakby chciały coś złapać.

Kiedy wszedłem nago do sypialni i otworzyłem szufladę z bielizną, powiedziałem: jest i słuwa.

Głośno, jakbym rzucał luźną uwagę do innej osoby znajdującej się w pokoju.

Grzecznie odłożył broń na miejsce.

Rewolwer, z którego strzelał do Nate'a Skate'a i pana Patjy'ego.

To nie pistolety zabijają ludzi, tylko inni ludzie.

Założyłem jakąś bluzę i wsadziłem broń za pasek do spodni gestem prawdziwego gangstera.

Spieszyłem się.

Jeżeli podrzucili broń, to dlatego że chcieli, by ktoś ją znalazł. A najlepiej, żeby znalazł mnie z bronią w ręku.

Na przykład w chwili, gdy wstrzymując oddech, zaświeciłem światło w piwnicy: pistolet trzymałem przed sobą, bo widziałem w telewizji, że tak robią policjanci. Dopiero gdy przeprowadziłem rozpoznanie terenu, wetknąłem go z powrotem za pasek.

Nikogo nie było.

Usiadłem na najniższym stopniu i desperacko próbowałem się skupić jak klasowy głupek, który tym razem naprawdę nie chce oblać. Staralem się zrobić użytek z resztek inteligencji, jakie mi jeszcze zostały. Znowu siedziałem w Acropolis Diner. Prawie skończyłem. Pora zapłacić i wyjść.

Gonisz, powiedział do mnie. Gonisz... gonisz... gonisz...

Tak, wiem.

A teraz nagle zrozumiałem dlaczego.

- Hej, człowieku, gdzie ty, kurwa, byłeś? To były pierwsze słowa, które usłyszałem z ust Setha, gdy zadzwoniłem do niego z piwnicznych schodów.

Zachowywał się, jakby czuł się pokrzywdzony, ponieważ wyjechałem, nic mu nie mówiąc. Ludzie pytali o jego udział w ostatnich wydarzeniach. Strzelanina. Zaginiona broń. I moja wątpliwa reputacja brutalnie wydobyta na światło dzienne. A dni w Littleton bywały długie, gorące i bezlitosne.

Musiał trochę kłamać. Udawać, że wie więcej, niż wiedział w rzeczywistości. Jak gdyby we wszystko został wtajemniczony. Odebrałem mu całą przyjemność pławienia się w blasku niesławy z powodu znajomości ze mną.

- Mówiłem ci, pisałem nekrolog.

- Tak? Może powinienes zacząć od własnego, skoro już się do tego wziąłeś.

- A to dlaczego?

- Był u mnie szeryf. Przesłuchiwał mnie.

- Tak?

- Tak? Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Tak? Cholera, gdybym wiedział, że jesteś takim desperatem, spędzałbym z tobą więcej czasu.

- Co mu powiedziałaś?

- Że grasz w kręgle jak ostatnia ciota. I że następna cizia, którą dorwiesz, będzie twoją pierwszą. Co ty na to?

- Brzmi dość trafnie. Czy szeryfowi się to podobało?

- On chyba nie ma poczucia humoru.

- Nie.

- Powiesz mi w końcu, co się dzieje? Czy dowiem się dopiero z pieprzonego „Littleton Journal”?

- To zależy.

- Tak? A od czego?

- Czy mi pomożesz.

- Czy pomogę ci w czym?

- Dowiedzieć się, co się dzieje.

- Hę? Jestem trochę nietrzeźwy, ale nie ułatwiasz mi sprawy.

- Kilka lat temu kładłeś u Wrena suche tynki.

- Suche tynki? Nie.
- Widziałem rachunek.
- Widziałeś rachunek. Dobra, to nie znaczy, że to zrobiłem.
- Gdzie je miałeś położyć?
- Gdzie? W piwnicy.
- Dlaczego? Co było w tej piwnicy? Trzeba było coś naprawić?
- Właściwie to tak. Jakąś cholerną dziurę.
- Za pięćset dolarów?
- Hej, to była cena wyjściowa, mogłem coś opuścić, człowieku. Poza tym chciał umocnić ścianę.
- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego chciał umocnić ścianę w piwnicy?
- Nie wiem. Powiedział, że izolacja jest gówniana. I że musi się zabezpieczyć przed powodzią.
- Przed powodzią? W Littleton?
- Hej, co to za ton? Czy mówienie facetowi, że ma świra, należało do moich obowiązków? Nie zamknął się przypadkiem kiedyś w redakcji czy coś?
- Czy coś. Tak ci powiedział, to jego słowa? Muszę się zabezpieczyć przed powodzią?
- Tak.
- I nie wykonałeś zlecenia?
- Eee...
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Co to ma znaczyć?
- To znaczy, że nie wiem. Że zapomniałem.
- Kiedy cię o to poprosił? Przypadkiem nie wtedy, kiedy zamknął się w redakcji?
- Taak.
- Więc kiedy miałeś zacząć?

Seth westchnął.

- Wspominał, że może wyjedzie. I że jeżeli nie odezwie się do mnie w ciągu dwóch tygodni, to mam po prostu zaczynać.

- Więc zapłacił ci z góry?

Wprawdzie trudno w to uwierzyć, ale można wyczuć przez telefon, jak ktoś się czerwieni.

- Yyy... tak.

- I nie odezwał się do ciebie w ciągu dwóch tygodni? Nie odezwał się do ciebie nigdy więcej?

- Nie, chyba nie.

- Ale nie wykonałeś swojej roboty. Dlaczego?

- Widocznie zapomniałem.

- Jasne. Zapomniałeś. Pieniądze już wydałeś, więc po co miałbyś na nie pracować? On miał świra, nikt by się nie dowiedział.

- Pozwij mnie. Jestem tylko człowiekiem.

- Niby tak.

- Hej, słyszałeś kiedyś o rzucaniu kamieniem, amigo?

Był tu przez cały czas.

Patrzyłem dokładnie w to miejsce, gdy zszedłem na dół śladami hydraulika.

Zobaczyłem dziurę w ścianie, kiedy odsunąłem książkę.

Tę z gipsowym kurzem na obwolicie.

Hiroszima.

Myślałem, że dziurę w ścianie zrobił hydraulik, ale to nie był on.

Tylko Wren.

Tej nocy, której wyjechał, żeby zaszyć się nad jeziorem.

Przed wyjazdem ukrył artykuł.

Zajrzałem do dziury i zobaczyłem to, co zwykle widzi się po drugiej stronie gipsowej płyty w tej okolicy. To samo, co z

pewnością zobaczył hydraulik i oszedł z niczym - podobnie jak ja, kiedy byłem tu ostatnim razem.

Izolację z gazet. Jest tania i wszędzie jej pełno, a zważywszy, że w środku kalifornijskiej pustyni na ogół nie trzeba się obawiać śnieżycy, spokojnie zdaje egzamin.

Tylko że ta izolacja nie była tania. Ta izolacja była absurdalnie droga.

Wren zapłacił za nią życiem.

Odsunąłem książki.

Wsadziłem głowę do dziury i delikatnie, powoli wyciągnąłem stamtąd zmiętą gazetę.

Pierwszą stronę „Littleton Journal”.

Całe mnóstwo pierwszych stron. Ściana była nimi wypchana.

Numer w prawym górnym rogu wciąż był doskonale widoczny.

7513.

Ten, którego brakowało w archiwach.

Wydanie z *Kim jest Eddie Bronson?* miało numer 7512.

Kolejny numer, z recenzją filmu *Harry Potter i kamień filozoficzny* oraz relacją z ostatniego spotkania towarzystwa patriotycznego, oznaczono jako 7514.

Jeden numer pominięto.

To właśnie odkryłem, przeglądając archiwum.

Jak to się stało?

Bardzo prosto.

Brakujący numer powstał tamtej nocy, gdy Wren zamknął się w redakcji. Pierwsza strona. Właśnie ta. Tym się wtedy zajmował. Nie załamał się. Nie wył do księżycy. Wył z powodu niesprawiedliwości. Próbował wydobyć prawdę na światło dzienne. Zanim sam zapadnie się pod ziemię.

Nie zdążył zachować pliku, ale komputer automatycznie nadał mu numer i kiedy następne wydanie poszło do druku,

miało numer o jeden wyższy, niż powinno. Nikt tego nie zauważył, bo nikt nie sprawdzał.

Nieznana katastrofa atomowa Ameryki.

Czołówka numeru, który się nigdy nie ukazał.

Siedmiocentymetrowa czcionka.

Czerwony druk.

I nie tylko. Były też ilustracje

Schematyczny rysunek. Diagram.

Cholerny projekt.

Rysunek był wyblakły i pokreślony, ale nawet kompletny ignorant zorientowałby się, co na nim jest.

Rdzeń. Pręty paliwowe. Osłony.

Prawdziwy projekt. W przeciwieństwie do tych fałszywych, o których tak głośno było podczas procesu inżyniera Lloyda Steinera.

Tak, Anno, twój ojciec jednak dał coś Wrenowi.

Coś, co przechowywał przez wszystkie te lata. Może to miał być rodzaj spadku, dzięki któremu mogłabyś się dowiedzieć, kim był naprawdę. Że nie był winny. Nie tego, co mu zarzucono. Nie bardziej niż którykolwiek z ludzi, którzy pracowali przy budowie reaktora jądrowego na pustyni i nie puścili pary z ust, kiedy wyleciał w powietrze.

Zasada Wrena numer jeden.

„Dla pewności kopij notatki”.

Skopiował.

„Prędkiej czy później - powiedział Annie - ktoś wydobędzie tekst na światło dzienne”.

Dosłownie.

Niestety, zrobił jeden błąd.

Powierzył tę misję Sethowi Bishopowi.

Sethowi, który - jeśli Wren nie odezwie się przez dwa tygodnie - miał wydrzeć ze ściany dwieście pierwszych stron „Littleton Journal” i nawet przy swoim ograniczonym intelekcie

zrozumieć, że ktoś powinien je zobaczyć. Że ten tytuł krzyczał o krwawej zbrodni.

Tylko że Seth wyznawał *credo* nałogowego palacza trawki. Nie ma sensu wykonywać pracy, za którą dostało się już wynagrodzenie. Bez wątpienia przepuścił je na pierwszorzędne skręty i sześciopaki piwa.

Wyjeżdżając z Littleton, usłyszałem sygnał jadącego w przeciwnym kierunku radiowozu.

Jak się domyślałem, to szeryf spieszył dokonać aresztowania. Po przyłapaniu sprawcy z bronią w ręku.

Zastanie pusty dom i pustą szufladę.

Przed wyjazdem na drogę numer czterdzieści pięć zatrzymałem się na chwilę.

Pani Weitz otworzyła drzwi i stała w nich, nie ruszając z miejsca swoich stu czterdziestu kilogramów.

- Czy zastałem Sama? - zapytałem.

Odniosłem wrażenie, że już miała skłamać, kiedy z kuchni dobiegł głos jej męża, pytającego, gdzie się podziały te cholerne ciasteczka. W tej sytuacji kobiecie nie pozostało nic innego, jak tylko wpuścić mnie do środka.

- Dzięki - powiedziałem, gdy odsunęła się zaledwie tyle, żeby mnie przepuścić. - Nie zabawię długo.

Sam był bardziej gościnnie od swojej żony, chociaż zanim zaciągnął żaluzje, wyrzwał ukradkiem przez obydwa okna gabinetu, jakby chciał się przekonać, czy zanosi się na nalot uzbrojonych policjantów.

- Jezu - powiedział w końcu. - Nie masz pojęcia, co o tobie mówią.

- Owszem, mam.

- Czy cokolwiek z tego jest prawdą?

- Niewiele.

- W porządku, to mi wystarczy. Dla kumpla z drużyny wszystko. Potrzebujesz pomocy?

- Niewielkiej.

- Wal - powiedział, po czym, zauważywszy wystający z moich spodni pistolet, zaczerwienił się i dodał: - Nie najlepszy dobór słów.

- Od jak dawna próbujesz mi sprzedać polisę ubezpieczeniową, Sam?

- Co? Nie chcesz chyba powiedzieć, że przyjechałeś tutaj tylko po to, żeby wykupić sobie ubezpieczenie?

- Właśnie po to.

ROZDZIAŁ 55

I oto jestem.

W pokoju numer cztery tego zawszonego motelu.

Skompromitowani dziennikarze przyjeżdżają tutaj, ale stąd nie wyjeżdżają.

Prawie skończyłem. Poniekąd. Niemal.

Czy teraz już wszystko jest jasne?

Czy przedstawiłem to dość wyczerpująco? Przejrzyście? Klarownie?

Czy mam zacząć od początku?

Co w tej historii jest niezrozumiałe: o co im chodziło, co to za konstrukcja, co za film wysmażony scena po scenie przez kucharek sześć?

Wren sam określił to w taki sposób, gdy rozmawialiśmy przez telefon. A właściwie nie Wren, tylko jeden z pierwszoplanowych aktorów. Gdyby ktoś mnie spytał o zdanie, powiedziałbym, że kolejny znaleziony za pośrednictwem tej samej strony internetowej co fałszywy Ed Crannell. Następny, któremu przydzielili rolę - choć w tym przypadku chodziło tylko o wypowiedzenie kilku kwestii.

Powiedział: „To przypomina kiepski film”.

Przecież to oczywiste.

O to im właśnie chodziło.

Do tego zmierzali.

Był tylko jeden powód, dla którego to przedsięwzięcie miało rację bytu.

Jeszcze w Nowym Jorku zacząłem się uciekać do konwencji taniego thrillera.

Anagramy.

Potajemne spotkania w ruinach opuszczonych miast.

Aktorzy oszuści.

Autoberek.

Ten sam mechanizm.

„Czytałem go. Twój kanon kłamstwa”, powiedział.

Czytałem go.

Nie tylko go czytali. Posunęli się o wiele dalej. Przestudowali go. Wypożyczyli te same pomysły, te same wyświechtane motywy i splepli je w istne arcydzieło najlepszych przebojów Toma Valle'a.

Dlatego tak mnie prowokował przez telefon - nie było pięciu minut, podczas których nie przypomniałby mi o tym, jak zhańbiłem swój zawód. Jak to przeze mnie dziennikarstwo cofnęło się o pięćdziesiąt lat.

Dokładnie pięćdziesiąt.

Do 1954 roku.

Po co?

Czemu służyły te prowokacje, szpile i kuksańce?

W jakim celu podzielił się ze mną tyloma pożytecznymi informacjami?

To było częścią scenariusza.

To oni powiedzieli mi o Lloydzie Steinerze.

Oni wysłali Annę Graham na przyjęcie urodzinowe Belindy, a potem na parking pod Niech Mnie Kule Biją, gdzie nabażgrała ten anagram pod maską mojego samochodu.

Kara Bolka, moja muza, syrena.

I hydraulik, kiedy ocknąłem się przypięty pasami.

Taki był pomocny. Co za gaduła. Co za papla.

Dlaczego?

Nadal tego nie widać?

Próbowali przecież coś ukryć, prawda?

Owszem.

I tak, i nie.

Nie możesz zebrać wody z powrotem do butelki. Jest rozlana, powiedziałem hydraulikowi.

Nie zaprzeczył.

Nie mógł.

Hydraulicy naprawiają przecieki, jasne.

Ale czasami robią coś dokładnie odwrotnego. Przepłukują stare ciekące rury, wylewają pod ciśnieniem zabarwioną rdzą wodę. Oczyszczają instalację.

„Można coś utrzymać w tajemnicy tylko do pewnego czasu - powiedział Wren Annie. - Potem przychodzi taki moment, że już dłużej się nie da”.

I coś w tym jest.

Ktoś kiedyś powiedział, że dwie osoby są w stanie dochować tajemnicy tylko wtedy, gdy jedna z nich nie żyje.

Jedna osoba nie żyła. Wren. Eddie Bronson prawdopodobnie też. Nie wspominając o nieszczęsnym sprzedawcy na stacji benzynowej, którego jedyną winą było to, że znalazł się na linii ognia.

I Benjy Washington.

Który zwał i pojechał do Littleton.

Musieli być w prawdziwej rozterce.

Dotarł do domu opieki. Spotkał się z mamą. Zadzwoił do szeryfa. Z kim jeszcze rozmawiał? Komu jeszcze zdążył opowiedzieć swoją historię?

Najpierw prysnął Bronson, potem on.

Jak to się skończy?

Wren dawno już nie żył, a wciąż śmiertelnie ich przerażał.
Bali się nieboszczyka.

Dlaczego?

Ponieważ powiedział Annie jasno i wyraźnie:

„Artykuł jest bezpieczny”.

Artykuł. Tajemnica.

Były bezpieczne.

„Ukrył tekst w jakimś miejscu, w którym go nie znajdą”.

Ale w którym znajdzie go ktoś inny. A wtedy historia ujrzy
światło dzienne.

Co Wren miał na myśli?

Przewrócili do góry nogami jego dom i chatę nad jeziorem,
żeby znaleźć artykuł.

Trzy razy wysłali hydraulika do mojego domu po tym, jak
Benjy przyjechał do Littleton.

Cóż za ironia.

Gdyby naprawdę przewrócili dom do góry nogami, zdarli
tynki i zburzyli ściany, znaleźliby to, czego szukali.

Pod gipsową okładziną. Artykuł, który Wren skrupulatnie
skończył. W środku nocy złożył kolejne wydanie gazety, para-
noicznie bojąc się podzielić swoją wiedzą choćby z Hinchem.
Nie wiedział już, komu może zaufać. Został miejscowym świ-
rem i jak widać nie bez przyczyny.

Ale nie przewrócili jego domu do góry nogami.

Miecz Damoklesa nadal wisiał nad ich głowami.

Zawiesił go Wren.

Więc co zrobił hydraulik?

To proste.

Wystarczy założyć stronę internetową dla aktorów, którzy
może nie byliby zdolni zabić za rolę, ale nie będzie im prze-
szkadzało, jeśli zrobi to ktoś inny.

Wysłać największego kłamcę we wszechświecie na drogę
numer czterdzieści pięć, żeby zrelacjonował wypadek.

Pobawić się z nim w autoberka na pustej szosie.
Wysłać lekarza na wizytę domową do opuszczonego miasta.
Przypilnować, żeby dziewczyna marzeń o imieniu anagram
zatrzepotała rękami na parkingu przed Niech Mnie Kule Biją.
Skierować go na Piątą Ulicę w bok od promenady.
Sprowokować.
Dokuczyć.
Zdopingować.
Ukraść jego broń i kogoś z niej zastrzelić.
Zamknąć go na oddziale psychiatrycznym i zabrać klucz.
Tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, żeby do reszty po-
zbawić go wiarygodności.
A potem włożyć ten klucz do ręki Dennisa i go wypuścić.
Czy teraz już wszystko jasne?
Czy widać to czarno na białym?
Czasem nie ma znaczenia, czy tajemnica wyjdzie na jaw.
Nie.
Dopóki można kontrolować, w jaki sposób to się stanie.

ROZDZIAŁ 56

Dwa tygodnie temu ponownie włączyłem komórkę.

Wysłałem sygnał wirującym w kosmosie niestrudzonym satelitom, żeby mogły odbić go w kierunku ziemi, gdzie jakiś zmęczony operator z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, FBI albo po prostu z Departamentu Energetyki odbierze go, zrobi wykres i dokona niezbędnych obliczeń, a potem przekaże wyniki zainteresowanym.

Dwa tygodnie temu, kiedy zameldowałem się w pokoju numer cztery.

Jak żyli ludzie przed wynalezieniem Microsoft Worda?

Przed wynalezieniem laptopów, pecetów, kursorów, klawisza „delete”, plików zapasowych, kopiowania i wklejania?

Kiedy nie można było tak po prostu z jednego dokumentu zrobić dwóch? Skopiować, przeciągnąć, skrócić, bez trudu przeredagować?

To jest Dokument Numer Jeden.

Który dotrze we właściwe miejsce lub nie.

Nie mam takich obaw co do Dokumentu Numer Dwa, który jako jedyny został na dysku mojego komputera.

Brzmi bardzo podobnie jak pierwszy, ale nie tak samo. Nie zawiera spostrzeżeń ani wniosków, jest pozbawiony spoiwa. Wracając do teraz już męczącej i zużytej analogii, przypomina rysunek typu „połącz punkty”, w którym nie ma połączeń.

Ale są punkty.

Wszystkie postaci.

Panna Anagram, Sam Savage i Doktor Śmierć we własnej osobie.

Benjy, Bronson, Bailey i inni.

Został napisany w taki sposób, jak oni sobie tego życzyli.

Po to dawali mi wskazówki i jednocześnie zamykali usta. Popuszczali smycz i znów ją skracali. Dlatego mnie zdyskredytowali, zamknęli, a potem wypuścili.

Z tego właśnie powodu.

Przychodzi mi na myśl inne powiedzenie - Stalina lub któregoś z jego sługusów, manipulatorów Karabolki.

Proszę o wybaczenie, jeśli coś przekręcę. Chodziło o historię. „W historii nie jest ważne to, co się stało”, powiedział.

„Ważne, kto ją pisze”.

Ja.

Ja jestem tym, który ją pisze.

Tom Valle.

Miałem opowiedzieć o czymś, o czym nikt nie miał się dowiedzieć.

Zanim opowie to ktoś inny.

Kiedy jakaś historia zostanie raz zdyskredytowana - kiedy się ją wyśmiejemy i podważymy jej wiarygodność - nikt już nie potraktuje jej poważnie. Staje się anegdotą, wchodzi do kanonu teorii spisku, trafia na stos pseudohistorycznych odpadów. Tak było choćby z historią zwolnienia z Gwardii Narodowej pewnego prezydenta. Kiedy grafolodzy zakwestionowali autentyczność przedstawionych w telewizji dokumentów, odszedł gospodarz programu, a szanowana w całym kraju producentka została zwolniona. Potem nie miało już znaczenia, że

zasadnicze informacje okazały się niepodważalne. Całość i tak uznano za śmieć. Stek kłamstw.

Podobny los miał spotkać Dokument Numer Dwa.

Rozprawią się z nim ku uciesze gawiedzi. Zakładając, że ktoś w ogóle zwróci na niego uwagę. Zostanie wyśmiany, skrytykowany, wreszcie napiętnowany. Będą o nim mówić na zajęciach z dziennikarstwa w całym kraju jako o czymś, czego nie należy robić, ku przestrodze każdego reportera żółtodzioba.

Na zawsze będzie się kojarzył z ludźmi, którzy wierzą, że to Lyndon B. Johnson kazał zabić Kennedy'ego, z entuzjastami teorii spiskowych na temat Strefy 51, ze wszystkimi Bailey Kindlon tego świata.

Sękam w tym, że nawet, jeśli ktoś przełknie anagramy i wynajętych aktorów - nawet wtedy będzie musiał zwrócić uwagę na źródło informacji.

Dość gadania.

Tego chcieli.

I to im dam.

Zostawiam dokument w swoim komputerze, otwarty na pierwszej stronie.

Piszę najszybciej, jak potrafię.

A sam wybieram się na spacer.

Zadzwoiłem już do recepcji i powiedziałem, że mogą przysłać tu Luizę, żeby posprzątała. Powiedziałem kierownikowi, że pójdę się przejść, żeby jej nie denerwować. Może za motelem, widziałem tam ścieżkę, prowadzącą na piaszczyste równiny.

Kiedy słyszę jej kroki za drzwiami, jestem już gotowy i właśnie wychodzę.

Może na pół godziny.

Co najmniej.

To wystarczająco długo, by mogli tu wejść, zrobić użytek z umiejętności szybkiego czytania i mniej więcej zorientować się w sytuacji.

Zostawiam na ołtarzu ofiarę, bo mam nadzieję, że w ten sposób udobrucham bogów. Może ominie mnie ich zemsta, jeśli złożę godziwe dary?

Luiza bez słowa mija mnie w drzwiach. Chwilę później stoję już na tarasie w oślepiającym blasku popołudniowego słońca. Pusty parking. Cisza w eterze.

Idę po schodach, powoli pokonując ich chwiejne stopnie.

Nie rozglądam się na boki. A już z całą pewnością nie oglądam się za siebie. Przyjechałem, zrobiłem, co do mnie należy. Teraz patrzę przed siebie.

Idę szybko przez parking, jak skazaniec.

Bo nim właśnie jestem.

W ten czy inny sposób.

Powiedziałem, że piszę swoją ostatnią wolę, i tak było naprawdę. Powiedziałem, że jesteś moim katem, i tak właśnie jest.

W kieszeni na lśniącej płycie mam tekst.

Razem z podrobionym prawem jazdy, które dzięki uprzejmości Luizy zostało wsunięte pod drzwi mojego pokoju jakiś czas po naszej rozmowie o nielegalnych dokumentach. Po tym, jak wcisnąłem jej w dłoń pięćset dolarów.

To tylko prawo jazdy, ale wystarczy na początek.

Tom Valle umrze.

W ten czy inny sposób.

Umrze.

W drugiej kieszeni znajduje się Smith & Wesson.

Na wypadek, gdyby moja ofiara im się nie spodobała. Gdyby jednak woleli martwego autora od żywego. Szalonego reportera, który musiał się zastrzelić na pustyni za trzeciorzędnym motelem. Ostatnim schronieniem kłamcy.

Nie wiem.

Nie potrafię czytać w cudzych myślach.

Będę szedł i szedł bez końca, nie obejrzę się za siebie, dopóki nie usłyszę odgłosu ich kroków, a wtedy będę już wiedział.

Jest gorąco, a pustynia rozciąga się aż do Nevady. Ale czuję się, jakby przez lata otulał mnie chłód. Po raz pierwszy w życiu jest mi ciepło.

Mam tekst w kieszeni, na błyszczącym krążku.

Zabiorę go ze sobą i zobaczymy.

Idę, idę i idę.

Zdaję sobie sprawę z upływu czasu. To całe wieki. Nie chodzi o minuty, lecz o lata, które minęły od czasów Acropolis Diner, Queens, Nowego Jorku, nocnej śnieżycy, „co się stało, Tommy” i kogoś, kto zaglądał mi przez ramię, gdy niepewnie pisałem swoje teksty. Od czasów hot dogów i spacerów w Bryant Parku, i tego okropnego dnia, kiedy zabrakło mi odwagi, żeby wejść do jego biura i coś powiedzieć. Cokolwiek. Tak samo jak wtedy, kiedy prawda nie przeszła mi przez gardło.

W końcu ich słyszę, ale to nie jest odgłos kroków.

Tylko kół.

Silników.

Chyba dwóch jeepów.

Nie ma się czym martwić.

Mam jedną ostatnią tajemnicę.

Jedną.

Wyznaczyłem jeszcze jednego kata.

Wziąłem sobie do serca zasady Wrena i zabezpieczyłem tekst.

Mój dawny szef zaszył się w swoim górskim domku w Putnam County. Jego przygasła, ale wciąż tłąca się latarnia może jeszcze wskazywać drogę tym, którzy wierzą, że mamy na tym świecie do zrobienia rzeczy dobre i potrzebne. Jego zniszczoną reputację wciąż jeszcze można uratować, naprawić dawną niesprawiedliwość. Spłacić niebotyczny dług.

Sam prawdopodobnie zdążył już mu to wysłać.

Ktoś zapuka do jego drzwi, a on pokwituje odbiór paczki, potem otworzy ją scyzorykiem. Kiedyś niechętnie go przyjął jako prezent z okazji urodzin, których nie obchodzi.

Zsunie swoje dwuogniskowe okulary na czubek nosa i przeczyta coś, co będzie wyglądało jak pierwsza strona małomiasteczkowej kalifornijskiej gazety. „Littleton Journal”. Gdzie on już słyszał tę nazwę?

Przeczyta ją więcej niż jeden raz. Zobaczy załączoną wiadomość z wyjaśnieniem, dlaczego ta pierwsza strona nigdy nie ujrzała światła dziennego. Aż do tej pory. I zrozumie, że jeszcze nie jest za późno. Nigdy nie jest za późno. Sam kiedyś mawiał, że nie ma ustawy, która wyznaczałaby granice dla publikacji.

Z pewnością ją zlekceważy.

Z początku.

Przypomni sobie naszą rozmowę telefoniczną i będzie gotów wysłać artykuł pocztą lotniczą do kosza na śmieci. Ale tam jest ten projekt. Będzie musiał go przeanalizować, jakżeby inaczej. Z datą i lokalizacją wypisanymi wyraźnie, czcionką o poważnym, urzędowym wyglądzie. Odszuka Littleton Flats w Internecie. Katastrofę. Tamę. Lloyd Steiner. Szpital dla weteranów nr 138. Jest dziennikarzem. Postąpi jak dziennikarz. Przeprowadzi śledztwo.

Nie da za wygraną, dopóki nie pozna prawdy. Takiej czy innej.

A potem wydobędzie ją na światło dzienne.

Nie z podpisem zhańbionego bajkopisarza - jak był uprzejmy mnie nazwać. Patologicznego kłamcy. Nie. Tekst ukaże się z podpisem szanowanego redaktora, którego jedyną zbrodnią było to, że ja dla niego pracowałem.

Dźwięk silników staje się coraz głośniejszy.

Jeszcze się nie obejrzałem.

Poczekam, aż mnie dogonią.

Dotykam schowanego w kieszeni rewolweru. Pojedynek na pustyni. Twarzą w twarz. Jak wszystkie strzelaniny, które widziałem w telewizji w naszym salonie w Queens.

Może mi się uda. Nigdy nic nie wiadomo.

Tak czy inaczej Tom Valle będzie martwy. Odejdzie w zapomnienie.

Jeśli nie w blasku chwały, to w bladym świetle odkupienia. Wreszcie nauczyłem kłamcę rozumu.

Chwytam za broń. Odwracam się.

Jakieś słowa przelatują mi przez głowę. Coś, co czytano na pogrzebie Jimmy'ego. Nigdy nie zapomniałem o tym tekście, a wiele lat później odszukałem go i zapamiętałem każde słowo. Odpowiednie pożegnanie dla Jimmy'ego, Benjy'ego, Eddiego Bronsona, dla wszystkich dzieci na świecie - tych, które dorosły, i tych, które dorosnąć nie zdążyły. Dla wszystkich, których opłakujemy.

Nawet dla mnie.

„Stoję na brzegu. Okręt obok mnie rozwija białe żagle i niesiony poranną bryzą odpływa w kierunku błękitnego oceanu. Niebawem przypominać będzie białą chmurkę w miejscu, gdzie niebo spotyka się z wodą. I kiedy ktoś u mojego boku mówi: »odpłynął«, ja już wiem, że są jakieś inne oczy, które wypatrują statku, i inne głosy, gotowe z radością zawołać »już płynie !«.

I to właśnie jest umieranie”.

Mam nadzieję, że to prawda.

Mam nadzieję.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować Kristen Weber i Davidowi Shelleyowi za mądrą redakcję tekstu oraz wszystkim dziennikarzom, z którymi rozmawiałem podczas pisania tej książki.